

STO DNI SZCZĘŚCIA

„To powieść o cieszeniu się
każdą chwilą życia, o sile przyjaźni
i nadziei. Będziesz się śmiać przez tży.”
„Publishers Weekly”

EVA
WOODS


AMBER

STO DNI SZCZĘŚCIA

EVA
WOODS

Przekład
IRENA KOŁODZIEJ



Korekta

Barbara Cywińska

Renata Kuk

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© portumen/Shutterstock

Tytuł oryginału

How to Be Happy

Copyright © Claire McGowan 2017

The moral right of the author has been asserted.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6621-3

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Scottowi (SP)

z miłością

Nie zawsze da się uchwycić moment, w którym nasze życie skręca w niewłaściwą stronę. Na ogół biegnie niepostrzeżenie, rok za rokiem, chwila za chwilą, aż wreszcie któregoś dnia człowiek się rozgląda i uświadamia sobie, że odszedł tak daleko od siebie takiego, jaki był kiedyś, że czuje się zupełnie inną osobą. Zwykle jest to upadek stopniowy, powolna erozja tego, kim się jest – po troszeczku, kamyk za kamykiem, drobina za drobiną.

Bywa jednak, że potrafisz określić precyzyjnie, kiedy twoje życie rozpadło się na dwie części. Kiedy starannie ułożone karty rozsunęły się i domek się rozsypał, i wiesz, że odtąd nic już nie będzie takie jak przedtem. W tej chwili nie wiesz nawet, czy w ogóle to przeżyjesz, czy ruiny pogrzebią cię na zawsze. Ale przeżywasz. Jakoś. Nie wiadomo jak.

Dzień 1

POZNAJ NOWĄ PRZYJACIÓŁKĘ

Przepraszam...

Brak odpowiedzi. Recepcjonistka nadal trzaskała klawiszami. Annie spróbowała jeszcze raz:

– Przepraszam?

Było to „przepraszam” z poziomu numer dwa – oczko wyżej niż to, które kierowała do turystów blokujących ruch schody, a oczko niżej od zarezerwowanego dla kogoś, kto w pociągu kładzie torbę na siedzeniu obok. Zero reakcji.

– Przepraszam panią – powiedziała, wchodząc na poziom numer trzy (kiedy ktoś ukradnie ci miejsce parkingowe, uderzy cię parosolką itd.). – Może mi pani pomóc? Stoję tu już pięć minut.

– Co jest? – rzuciła kobieta, nie przerywając pisania.

– Muszę zmienić adres w danych pacjentki. Odsyłano mnie już do czterech różnych działów.

Recepcjonistka, nie odrywając wzroku od ekranu, wyciągnęła rękę. Annie podała jej formularz.

– To pani?

– Hm... nie. – Chyba widać!

– Pacjentka musi sama wprowadzić zmiany.

– Hm... no ale nie może. – Co powinno być oczywiste, o ile ktokolwiek w tym szpitalu zawraca sobie głowę czytaniem kart.

Formularz opadł na kontuar.

– Nie mogę pozwolić na wprowadzanie zmian innej osobie. Ochrona danych osobowych, rozumie pani.

– Ale... – To okropne, ale nagle poczuła, że za chwilę się rozpłacze. – Ja muszę zmienić ten adres, tak żeby listy przychodziły na mój adres! Ona już nie może ich sama czytać! Dlatego tu jestem. Proszę... Ja... ja po prostu muszę to zmienić! Nie rozumiem, dlaczego to ma być takie trudne?

– Przykro mi. – Recepcjonistka pociągnęła nosem i zdjęła z paznokcia jakiś pyłek.

Annie złapała papier.

– Proszę pani, jestem tu od czterech godzin. Odsyłają mnie od pokoju do pokoju. Kartoteka. Neurologia. Ambulatorium. Recepcja. Znowu neurologia. I nikt nie ma pojęcia, jak załatwić tę prostą jak drut sprawę! Nic nie jadłam, nie brałam prysznic i nie mogę pójść do domu, no chyba że pani otworzy właściwą stronę w komputerze i wpisze te parę słów. To wszystko! Nic więcej!

Recepcjonistka nadal na nią nie patrzyła. Trzask, trzask, trzask. Annie poczuła, że wzbiera w niej fala gniewu i frustracji.

– Czy pani mnie słyszy??! – krzyknęła. Wyciągnęła rękę i odwróciła monitor w drugą stronę.

Brwi kobiety niemal zniknęły w wysoko natapirowanej fryzurze.

– Proszę pani, bo będę musiała wezwać ochronę, jeśli nie...

– Ja tylko proszę, żeby pani na mnie patrzyła, kiedy do pani mówię. Żeby mi pani pomogła. Proszę... – I głos jej się załamał. – Przepraszam – wykrztusiła, płacząc gorzko. – Przepraszam, ja... po prostu... ja muszę zmienić ten adres...

– Proszę pani... – Recepcjonistka nabrała powietrza i otworzyła usta, niewątpliwie żeby powiedzieć Annie, gdzie ma sobie pójść. I w tym momencie zdarzyło się coś dziwnego: usta rozciągnęły jej się w szerokim uśmiechu. – Cześć, P!

– Cześć! Jak tam? Wszystko oki-doki?

Annie obejrzała się, żeby sprawdzić, kto im przerywa. W drzwiach prowadzących do obskurnej szpitalnej kanciapy stała wysoka kobieta ubrana we wszystkie kolory tęczy. Czerwone pantofle. Fioletowe rajstopy. Żółta sukienka w odcieniu sycylijskich cytryn. Zielona włóczkowa czapka. Bursztynowa biżuteria jarzyła się pomarańczowym blaskiem, a oczy miały żywy odcień błękitu. Kolory powinny były się gryźć, a pomimo to jakoś do siebie pasowały.

Kobieta podeszła i dotknęła jej ramienia. Annie uskokczyła.

– Strasznie przepraszam, nie chcę się wkręcać bez kolejki, ale po prostu muszę błyskawicznie zaklepać wizytę.

Recepcjonistka już trzaskała klawiszami, tym razem ochoczo.

– Przyszły tydzień ci pasuje?

– Dzięki, jesteś cudowna. Wielkie sorry, a jednak się wepchnęłam bez kolejki! – Tęcza znowu rozbłysła uśmiechem w stronę Annie. – A ta piękna pani została już obsłużona, Denise?

Nikt od niepamięci świata nie nazwał Annie piękną panią. Zamrugowała, strząsając łzy z rzęs.

– Nie, nie zostałam, bo to podobno za trudne zmienić adres w karcie pacjentki. Odsyłają mnie od Annasza do Kajfasza. – Starła się, żeby jej głos brzmiał pewnie.

– Och, Denise na pewno to dla pani zrobi. Ta niesamowita kobieta ma w swoich cudownych koniuszkach palców wszystkie sekrety tego szpitala. – Poruszyła w powietrzu palcami, naśladując pisanie na klawiaturze. Na wierzchu jednej dłoni miała rozległy siniec, częściowo zaklejony wacikiem.

Denise rzeczywiście skinęła niechętnie głową.

– No dobrze. Pani da.

Annie podała jej formularz.

– Czy może pani wpisać mój adres? Annie Hebden. – Klawisze zastukały i w dziesięć sekund sprawa, której nie mogła załatwić cały dzień, była załatwiona. – Hm... dziękuję.

– Proszę bardzo – odrzekła Denise. Annie czuła jej dezaprobatę. Była niegrzeczna, wiedziała o tym. To wszystko było takie trudne, takie frustrujące.

– Genialnie. To cześć, staruszko. – Tęczowa kobieta pomachała Denise na pożegnanie i znowu złapała Annie za ramię. – Przykro mi, że ma pani zły dzień.

– Ja... że co?

– Wygląda, jakby miała pani naprawdę kiepski dzień.

Annie na chwilę zaniemówiła.

– Jestem w szpitalu, kurczę. Myśli pani, że jest tu choć jedna osoba, co ma dobry dzień?

Kobieta rozejrzała się po poczekalni. Połowa ludzi była o kulach, niektórzy bladzi, z ogolonymi czaszkami. Jakaś kobieta w szpitalnym szlafroku siedziała, zgarbiona, w fotelu na kółkach. Znużone dzieci wytrząsały zawartość torebek swoich matek, a matki tymczasem dziobały bezmyślnie palcem w telefon.

– Nie widzę powodu, czemu by miało nie być.

Annie, zła, cofnęła się o krok.

– Wie pani co? Dziękuję za pomoc... chociaż nie powinnam była jej potrzebować, ten szpital to jakaś porażka... ale nie ma pani pojęcia, dlaczego tu jestem.

– Fakt.

– To idę.

– Lubi pani ciastka? – spytała kobieta.

– Co? Oczywiście... co?

– Sekundkę! Niech pani zaczeka! – I pomknęła przed siebie. Annie spojrzała na Denise, która powróciła do obojętnego gapienia się w klawiaturę.

Policzyła do dziesięciu – zła na siebie, że robi choćby to – po czym pokręciła głową i ruszyła przed siebie korytarzem w odcieniach rozpaczliwego błękitu i gorzkiej zieleni. Odgłosy przetaczania łóżek, klapanie wahadłowych drzwi, odległy płacz. Stary człowiek leży na wózku, malutki i szary. Dzięki Bogu, że na dziś skończone. Teraz do domu, zatracić się w telewizyjnych obrazkach, zaryć się pod kołdrę...

– Ej, chwileczkę! Annie Hebden!

Annie odwróciła się. Irytująca kobieta biegła korytarzem – a raczej nie tyle biegła, co szurała nogami, kompletnie bez tchu. W wyciągniętej ręce trzymała babeczkę, pokrytą czekoladowym lukrem.

– To dla pani – wydyszała, wciskając ją Annie do ręki. Każdy paznokciec miała pomalowany na inny kolor.

Po raz drugi w ciągu pięciu minut Annie zaniemówiła.

– Dlaczego?

– Dlatego. Z babeczką wszystko robi się troszeczkę lepsze. Z wyjątkiem cukrzycy typu 2, jak mi się zdaje.

– Hm... – Annie spojrzała na trzymane w ręce ciastko. Było lekko zgniecione. – Dziękuję – powiedziała z wahaniem.

– Nie ma sprawy. – Kobieta zlizwała lukier z palców. – Szlag, mam nadzieję, że nie złapię gronkowca. Choć nie zrobiłoby to specjalnej różnicy. A tak w ogóle to nazywam się Polly. A ty jesteś Annie.

– Yyy... Tak.

– Miłego dnia, Annie. A przynajmniej troszkę mniej niemiłego niż dotąd. Pamiętaj, jeśli chcemy mieć tęczę, musimy zaakceptować deszcz. – Pomachała jej ręką i w podskokach – chyba to pierwszy raz ktoś podskakiwał Korytarzem Skazańców... – zniknęła jej z oczu.

Na autobus Annie czekała w deszczu, szarym kapuśniaczku, w którym Lewisham najwyraźniej się specjalizowało. Jakie to głupie, co powiedziała tamta kobieta... Nie każdy deszcz prowadzi do tęczy. Zwykle prowadzi do przemoczonych skarpetek i włosów jak szczurze ogony. Ale ona przynajmniej miała dokąd pójść. Pod wiatą przystanku siedział jakiś bezdomny, z włosów ściekała mu woda, tworząc kałużę wokół jego brudnych spodni. Annie czuła się podle, patrząc na niego, ale co mogła zrobić? Nie była w stanie mu pomóc. Nie była w stanie pomóc nawet samej sobie.

Autobus przyjechał zatłoczony. Annie stała wciśnięta pomiędzy wózek dziecięcy a kilka toreb z zakupami, które przy każdym zakręcie się przewracały. Wsiadła starsza pani, z trudem wciągając po schodkach wózek na zakupy. Przeciskała się przejściem i nikt nie podniósł głowy znad telefonu, żeby zaproponować jej miejsce. Wreszcie Annie nie wytrzymała. Co jest z tymi ludźmi? Czy w tym mieście nie ma już choćby strzępka przyzwoitości?

– Na litość boską! – warknęła. – Może by ktoś ustąpił miejsca tej pani?

Młody człowiek z wielkimi słuchawkami na uszach dzwignął się ociężale, zakłopotany.

– Nie wolno używać imienia boskiego nadaremno – rzekła starsza pani, siadając, i spojrzała z dezaprobatą na Annie.

Annie wpatrywała się we własne stopy, które pozostawiły na wilgotnej podłodze brudne ślady. Wreszcie dobrnęli do jej przystanku.

Jak to się stało, że jej życie dotarło do tego punktu? Rozkleić się publicznie z powodu zmiany adresu? Płakać w obecności obcych ludzi? Kiedyś to ona unosiła brwi, gdy ktoś się rozklejał. To ona proponowała chusteczkę do nosa i poklepywała krzepiąco po ramieniu. Nie rozumiała, gdzie się podziała tamta osoba. Ta, którą kiedyś była.

Czasem Annie miała wrażenie, że jej życie odmieniło się w jednym

mgnieniu oka.

Oczy zamknięte – była z powrotem w sypialni swojego ślicznego domu w tamten ostatni słoneczny poranek, i wszystko było jak najlepiej. Przepęłniała ją ekscytacja, nadzieja i radość z domieszką lekkiego wyczerpania. Było idealnie.

Oczy otwarte – była tutaj. Wracała do tego okropnego mieszkania, łapała w deszczu autobus, leżała bezsennie, przerażona i nieszczęśliwa.

Jedno mrugnięcie – perfekcja. Drugie mrugnięcie – ruina. Ale choćby nie wiem ile razy zamykała oczy, nigdy nie chciało być z powrotem tak, jak było.

Dzień 2

UŚMIECHAJ SIĘ DO NIEZNAJOMYCH

Dzwonił dzwonek. Annie obudziła się z gwałtownym drgnięciem. Serce jej waliło. Co to jest? Znowu policja, karetka?... Ale nie, to najgorsze już się zdarzyło.

Usiadła i zdała sobie sprawę, że znowu zasnęła na sofie, w rzeczach, które miała na sobie wczoraj w szpitalu. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, co oglądała w telewizji. Może *Tatuaż do poprawki*? Lubiła to. Zawsze to pocieszające – wiedzieć, że są ludzie, którzy podejmują jeszcze gorsze decyzje niż ona.

Drrrryńńń... Odsunęła koc, którym musiał ją przykryć Costas, i wstała. Na podłogę poleciały okruchy, chusteczki do nosa i pilot. Całkiem jakby wróciła do domu pijana... Pijana żalem, smutkiem i złością.

Drrryyńńń!

– Dobra, dobra! – Jezu. A w ogóle która to godzina? Zegar na telewizorze wskazywał 9.23. Musi się spieszyć, inaczej nie zdąży na porę odwiedzin. Costas musiał wyjść na ranną zmianę wieki temu. Przychodzi i wychodzi, nawet go nie oglądając... Skręciło ją ze wstydu – Annie sprzed dwóch lat nigdy by nie spała w ubraniu.

– Annie Hebden! Jesteś tam?

Annie się skrzywiła. Przez szparę w zabezpieczonych łańcuchem drzwiach widać było szmaragdową zieleń. A, to ta dziwaczka ze szpitala... Polly cośtam.

– Yyy... tak?

– Dostałam twój list ze szpitala. – W szparze ukazała się ręka, tym razem ze srebrnymi paznokciami, i pomachała Annie przed nosem kopertą. Na kopercie było jej nazwisko, ale inny adres. Jakiś z lepszej dzielnicy. – A ty pewnie dostałaś mój – powiedziała radośnie przybyła.

Annie spojrzała na stosik poczty na macie. Rachunki. Prenumerata miesięcznika „Ogrody”, z której dawno powinna była zrezygnować. I jaśniejąca bielą koperta zaadresowana do Polly Leonard.

– Jak to się stało?

– Myślę, że Denise się poplątało, kiedy zmieniała ci adres. Nic takiego, już do niej dzwoniłam, żeby zmieniła jeszcze raz. I po sprawie.

Znaczy, że szpital ujawnił komuś jej adres?

– Przyjechałaś specjalnie, żeby mi przekazać list? – Przecież to dobre pół godziny – od mieszkania Polly w Greenwich do jej w Lewisham, zwłaszcza w godzinie szczytu.

– No. Nigdy nie byłam w tej dzielnicy, więc pomyślałam sobie, czemu nie?

Było milion rozmaitych powodów, żeby nie. Rosnące wskaźniki przestępczości w dzielnicy. Monstrualne centrum handlowe z lat

siedemdziesiątych. Fakt, że serce tej części miasta było od lat rozkopane, co czyniło z niej piekło pełne korków, warkotu młotów pneumatycznych i odoru smoły.

– No cóż, dziękuję. – Annie wysunęła przez szparę list Polly. – To na razie.

Polly ani drgnęła.

– Jedziesz dziś do szpitala?

Instykt podpowiadał, żeby skłamać, ale nie wiadomo dlaczego, nie skłamała.

– O... tak. Jadę, ale...

– Jakaś sprawa do załatwienia?

– Niezupełnie. – Nie czuła się na siłach, żeby jej wyjaśniać.

– Ja też się wybieram. Mogłybyśmy pojechać razem.

Annie była znana z tego, że czasem zostawała w pracy dwadzieścia minut dłużej, tylko po to, żeby mieć pewność, że wszyscy inni już poszli i nie będzie musiała czekać z nimi na autobus.

– Nie jestem ubrana – bąknęła.

– Nie szkodzi, poczekam.

– Ale... ale... – Tępy mózg Annie nie potrafił wymyślić ani jednego powodu, żeby nie wpuścić do domu tej irytującej, przesadnie kolorowej nieznajomej. – Myślę, że... no okej, proszę.

Opuściła łańcuch i wpuściła Polly do środka.

– A więc tak mieszkasz. – Pośrodku szaroburego pokoju Annie Polly wyglądała jak choinka. Dziś miała na sobie coś w rodzaju koktajlowej sukienki, długiej do kostek, z błyszczącego atłasu w kolorze miętowego likieru, a do tego ciężkie turystyczne trzewiki. Całości dopełniała kurteczka ze sztucznego futra i szydełkowa czapka. Rąbek sukienki był wilgotny i brudny, jako że miała za sobą marsz w deszczu rozkopanymi ulicami Lewisham. Wyglądała jak modelka prezentująca modę miejską.

– Nie mogę tu nic zmienić. Gospodarz nie pozwala. – Mieszkanie na dziewiątym piętrze wciąż miało beznadziejne podłogi z laminowanych desek i gruzłowate, nierówne ściany z lat siedemdziesiątych. Czuć je było wilgocią i zastarzałymi zapachami kuchni, pozostawionymi przez poprzednich lokatorów. – Hm... muszę wziąć prysznic. Może... może napijesz się herbaty albo coś?

– Nie, nie trzeba. Coś sobie tymczasem przeczytam. – Polly rozejrzała się po zapuszczonym pokoju, gdzie na suszarce wciąż pokutowały wyschłe na wiór spłowiełe majtki i legginsy Annie. Wzięła z zakurzonego stolika jakąś broszurkę. – *Jak uzyskać opiekę prawną*. O, to wygląda na coś ciekawego.

Ironia? Zdjęcie na okładce ukazywało starszego człowieka, którego ktoś trzymał za rękę, chociaż prawna opieka kojarzyła się raczej z krępowaniem staruszkowi rąk, żeby nie wyrządził sobie krzywdy. Sobie albo komuś innemu.

– Okej. Zaraz wracam.

Annie weszła do łazienki. Zardzewiałe lustro, pokryta osadem zasłona prysznicowa. Czy ona zwariowała? W jej domu siedzi jakaś obca kobieta, a ona na to pozwala! Kobieta, o której nic nie wie, która może być nienormalna, i całkiem prawdopodobne, że jest, biorąc pod uwagę jej strój. Może dlatego spotkały się na oddziale neurologii? Może miała jakiś uraz głowy i zmieniła się w osobę nierespektującą żadnych granic? I dlatego ni stąd, ni zowąd przychodzi i czyta jej przygnębiające prywatne broszury?

Annie wzięła najszybszy prysznic na świecie, co jej mama nazwałaby umyciem się jak kot łapą. Odkąd jej życie rozpadło się na kawałki, prysznic przez całe miesiące był tym miejscem, gdzie się wyplakiwała, wsadzając pięść w usta, żeby stłumić odgłos łkania. Dziś jednak nie miała na to czasu. Wrzuciła na siebie niemal to samo ubranie, które nosiła wczoraj. Co za sens starać się, żeby ładnie wyglądać? W miejscu, gdzie ludzie albo umierają, albo marzą o śmierci?

Kiedy wychodziła – zero makijażu, wilgotne włosy skręcone w koczek – z pokoju dobiegały jakieś głosy. Zmartwiła. Musiał mieć dzisiaj krótszą zmianę...

– Annie! – zawołała Polly, promieniejąc. – Właśnie poznałam twojego pięknego przyjaciela!

– Helou, Annie! – Costas pomachał jej ręką. Costas był Grekiem, wspaniałej urody, a o jego klatę można było tłuc jajka na twardo. Miał dwadzieścia dwa lata, wolny pokój Annie zdołał zmienić w rozkładający się śmietnik, a żeby było śmieszniej, pracował w Costa Coffee. Przynajmniej on uważał, że to śmieszne.

– To mój współlokator. Muszę iść.

– Sekundkę. Costas przyniósł ciastka!

– Szef powiedział, że mogę zabrać. Ale jeszcze całkiem dobre! – Costas otworzył papierową torebkę, pełną croissantów i półfrancuskich ciastek z owocami. – Musisz kiedyś przyjść do Costy – uśmiechnął się do Polly. – Zrobię ci specjalną kawę po grecku. Mocna, że łeb odpada!

Annie poczuła nagły gniew. Jak ta kobieta śmie – tak ni stąd, ni zowąd tu przyjść, wdzierać się w jej życie, oglądać to niechlujne mieszkanie, brudne naczynia w zlewie?

– Idę – powiedziała. – Costas, mógłbyś po sobie pozmywać? Wczoraj zostawiłeś blachę całą umazaną czymś zielonym.

– To spanakopita... musi odmoknąć.

– Ojejku, uwielbiam spanakopitę! – wykrzyknęła Polly. – Jak miałam osiemnaście lat, włóczyłam się z plecakiem po Grecji. *Yiasou!*

– *Yiasou!* – Costas uniósł oba kciuki i wyszczerzył ku niej wszystkie oślepiająco białe zęby. Zawsze się uśmiechał. Jakie to męczące. – Świetnie, Polly!

Annie włożyła płaszcz, starając się zawrzeć w tej czynności możliwie najwięcej biernej agresji.

– Spóźnię się.

– Oj! Racja, trzeba iść. Cudownie było cię poznać, Costas, przyjacielu Annie.

– On jest moim współlokatorem – poprawiła Annie z naciskiem i gniewnie pchnęła drzwi. Nie do końca wiedziała, skąd ta złość.

– Proszę państwa, autobus będzie miał teraz postój. Zmiana kierowcy. Potrwa to... yyy... nie wiemy jak długo.

Rozległo się zbiorowe westchnienie.

– Teraz to już na pewno się spóźnię – mruknęła pod nosem Annie.

– Cholerni dranie – warknął siedzący obok starszy mężczyzna w kosmatej kurtce, cuchnącej wilgocią. – I za co to człowiek płaci dwa funty! Grabież, panie, i tyle.

– No cóż, dzięki temu mamy czas, żeby się trochę rozejrzeć po okolicy – zaszczębiotała wesolo Polly.

Annie wymieniła z sąsiadem szybkie osłupiałe spojrzenie. Za oknem widać było gigantyczny budynek Tesco, a dalej pustą przestrzeń, na której widniał spalony samochód.

– Albo pogadać – ciągnęła Polly. – Dokąd pan jedzie?

– Na pogrzeb – mruknął, wspierając się na lasce.

– O, współczuję. Przyjaciel?

Annie skurczyła się na siedzeniu. Jakiś mężczyzna w poplamionych farbą dżinsach już przewracał oczami. A nuż się domyślą, że ona jedzie z kobietą, która rozmawia z ludźmi w autobusie? Najgorsza londyńska zaraza, gorsza niż miejskie lisy czy rdest japoński.

– Mój stary kumpel Jimmy. Ostro walił w krykiecie. Pilot myśliwca w czasie wojny.

– O, coś takiego. A jak się poznaliście?

Kobieta w szalu na głowie wyjęła z ucha słuchawkę i cmoknęła z dezaprobatą. Annie wzdrygnęła się.

– Wychowaliśmy się na tej samej ulicy. Na Old Bermondsey. On był w RAF-ie, ja w marynarce. Mógłbym ci opowiedzieć to i owo, kochana – zaśmiał się dychawicznie.

Annie wzięła do ręki pozostawiony przez kogoś numer „Metra” i zaczęła ostentacyjnie czytać o napadach miejskich gangów. Stary tymczasem nawijał:

– ...a Jimmy myk! – do szafy i siedział, dopóki jej mąż nie wyszedł, a wtedy wyskoczył przez okno...

– Jakie to przykre – powiedziała Annie z naciskiem, powiewając gazetą. – Tylko w tym miesiącu trzy napady z użyciem noża.

– Bandziory, panie – zawyrokował stary. – My z Jimmym byliśmy postrachem ulicy, ale żeby nożem? Nigdy. Pięścią w nos, a, to co innego. Tak jest

kulturalnie. Po ludzku.

Annie zamknęła oczy. Chyba tego dłużej nie wytrzyma... Na szczęście autobus zawarczał i ruszył, a Kumpel Jimmy'ego wysiadł na najbliższym przystanku. Na pożegnanie uściśnął Polly rękę i wycisnął na niej mokry pocałunek.

– Przyjemnie było z panią pogadać, młoda damo.

– Mam chusteczki higieniczne – pośpieszyła Annie, gdy zniknął.

Polly zaśmiała się.

– Na pewno mnie przeżyje.

Annie znowu podniosła do oczu gazetę. Wszyscy inni w autobusie mieli w uszach słuchawki, jak przystało na porządnych ludzi. Tylko Polly się rozglądała, machała do dzieci, zagadywała do psów i nawiązywała kontakt wzrokowy ze wszystkimi uczestnikami tego spektaklu. Jeśli tak dalej pójdzie, to miały całkiem sporą szansę, że zaaresztuje ich Londyńska Policja Transportowa i nawet nie zdołają dojechać do szpitala.

Ale dojechały. Bezdomny nadal siedział pod daszkiem przystanku ze zwieszoną na piersi głową. Czyżby przesiedział tu całą noc? Polly nachyliła się ku niemu, a Annie znowu się wzdrygnęła i utkwiała wzrok w przestrzeni.

– Dzień dobry. Jak pan ma na imię? Bo ja Polly.

Powoli podniósł głowę. Odchrząknął.

– Jonny – wychrypiał. Głos miał jak papier ścierny.

– Może panu coś przynieść? Coś gorącego do picia?

Annie zalała się rumieńcem w imieniu Polly. Czy to nie jest protekcjonalność – proponować gorący napój, a nie pieniądze?

Mężczyzna spojrział ze zdziwieniem.

– Kawę, jak by się dało. Albo coś innego, byle gorące.

– Ile cukru?

– Yyy... dwie łyżeczki poproszę. Dzięki.

– To na razie, do zobaczenia. Teraz muszę iść.

– Aha. Powodzenia.

Annie już szła naprzód, wprost nieprzytomna z zażenowania. Po wejściu robiła, co mogła, żeby pozbyć się Polly.

– Ja tu skręcam, więc...

– Ja też. Stara dobra neurologia. – Polly wzięła Annie pod rękę. – Najlepszy oddział. Bo wiesz, tu chodzi o mózg. Wszystko, czym człowiek jest, w nim się mieści. A nie o jakieś głupie serce czy nogi. A już nie daj Boże dermatologia... To najgorsze ze wszystkiego.

– Taak – powiedziała Annie z ciężkim sarkazmem. – Fajnie jest, jak mózg zmienia się człowiekowi w breję. – Stały przed wejściem na oddział. – Dobra, muszę iść.

Polly ani drgnęła.

– To znaczy... jednorazowo może wejść tylko jedna osoba. Więc...
Dlaczego ona nie idzie? Jeśli się stąd zaraz nie zabierze, może zobaczyć,
że...

– Proszę pani! Proszę pani! – rozległ się cienki, zdenerwowany głos.
Annie drgnęła. W ich stronę dreptała śpiesznie kobieta w szpitalnym
szlafroku. Wymierzyła w Annie chudy palec wskazujący.

– Pani... Czy pani jest pielęgniarką?

– Biedna – mruknęła Polly. – Czy możemy pani jakoś pomóc?

Annie próbowała przystopować Polly.

– Chyba nie powinnyśmy...

– Szukam pielęgniarki – wydyszała kobieta. Annie wiedziała, że ma
zaledwie sześćdziesiąt lat, ale wyglądała na osiemdziesiąt. Twarz miała zapadłą,
siwe włosy, nogi wystające spod szpitalnego szlafrocka były chude, w sińcach, a
jedna owinięta bandażem. – Muszę... oj, już nie wiem, co muszę.

– Na pewno pani sobie przypomni. Pójdziemy na salę? – Polly wzięła ją za
pokrytą bliznami rękę.

– Nie powinnaś tego robić. – Annie miała ochotę podnieść głos.

– Oj, daj spokój, Annie, ona potrzebuje pomocy.

– Zostaw to, dobrze? – nie wytrzymała Annie. – Idź, kurczę, do swoich
spraw!

Kobieta utkwiała w niej spojrzenie.

– Pani... Ja panią chyba znam. Czy pani jest pielęgniarką?

– Ja... yyy... – Głos uwiązał Annie w gardle. Polly zmarszczyła czoło i też
nie odrywała od niej wzroku. – Nie... ja...

W tym momencie z sali wybiegła pielęgniarka o udreżonej twarzy.

– Maureen! Wracaj do łóżka, ale już. Nie wolno ci chodzić z tą nogą!

Kobieta nie ruszała się z miejsca. Nadal wpatrywała się w Annie.

– Ja panią znam. Ja panią znam!

Przepadło. Za późno, żeby udawać.

– Tak, to ja, mamó. Annie. Przyszłam cię odwiedzić.

Charity – jedna z sympatyczniejszych pielęgniarek, pomimo że uparczywie
modliła się za pacjentów – posłała Annie współczujące spojrzenie.

– Chodź, Maureen. Niedługo przyjdzie cię odwiedzić twoja córka.

Kiedy zamknęły się za nimi wahadłowe drzwi, Polly spojrzała na Annie.

– To dlatego tu jesteś? A nie dlatego, że sama jesteś chora?

– Tak. Mama... ma demencję. Wczesny rzut. W sobotę upadła, jak
próbowała wydostać z szafki frytkownicę. Choć od roku dwa tysiące siódmego nie
ma żadnej frytkownicy. Ale niedługo ją chyba wypiszą i... i nie wiem, co wtedy. –
Odetchnęła głęboko.

Wyraz twarzy Polly się nie zmienił. Było w niej zainteresowanie,

zrozumienie, ale nie współczucie.

– To chyba tłumaczy twoją ledwie powstrzymany wściekłość.

W Annie coś pękło.

– Słuchaj. Nie znam cię i nie masz prawa tak mówić. Moja mama nie ma jeszcze nawet sześćdziesiątki, a ma zaawansowaną demencję! Mam nie być wściekła? Muszę być wściekła! Więc może po prostu odwal się ode mnie i od mojego życia, okej? Kto ci dał prawo, żeby... nachodzić mnie, wtrącać się i... – Dalsze słowa utonęły w nagłym niepohamowanym płaczu.

Polly zareagowała na tę tyradę w sposób nietypowy.

– Chodź. Idziemy. – Chwyła szlochającą Annie za rękę i pociągnęła za sobą korytarzem. Dłoń miała zimną, ale zaskakująco silną.

– Co? Nie, nigdzie nie... odczep się ode mnie!

– Idziemy. Coś ci pokażę.

Stały pod drzwiami z tabliczką: „Dr Maximilian Fraser, specjalista neurolog”. Pod spodem przyklejono niebieską plasteliną karteczkę, na której zielonym długopisem było napisane: „Nie, nie jestem szafką na zapasy”. Polly szarpnięciem otworzyła drzwi.

– Doktorze Zrędo! To ja, pańska ulubiona pacjentka.

– Wejdz, Polly – dobiegł głos z ciemności. – Nie jestem w trakcie przeglądania jakichś ściśle poufnych akt pacjenta ani nic takiego.

– Jest pan w trakcie jedzenia batonika i oglądania na YouTube filmików z kotami – odparła Polly i była to prawda. Pokoik był maleńki i ponury, faktycznie niewiele większy od kuchennej szafki, a jedną ze ścian miał pokrytą ciemnym szkłem. Przy komputerze siedział przysadzisty, mocno zbudowany mężczyzna w uniformie chirurga. Gęste ciemne włosy sterczały mu na wszystkie strony, tak jakby stale przegarniał je dłońmi, a brodę pokrywał kilkudniowy zarost.

– Czego chcesz tym razem? – Miał szkocki akcent. Jego oczy spoczęły na Annie, więc szybko opuściła wzrok na własne stopy w znoszonych czarnych mokasynach.

– Chcę, żeby pan pokazał moje zdjęcie mojej nowej przyjaciółce Annie.

– O nie. Znowu? Myślisz, że nie mam nic innego do roboty? Myślisz, że szpital ma tyle kasy, że możesz mnie traktować jak własną małpę?

– Oj, niech pan da spokój. Wie pan, że jestem pańską najlepszą pacjentką.

– On jest moim najlepszym pacjentem. Nie wierci mi dziury w brzuchu.

Wskazał głową szklany słoik, w którym pływał zawieszony w jakiejś cieczy ludzki mózg.

– No to już wejdz – ustąpił z westchnieniem. Włączył komputer i ekran na ścianie ożył, ukazując inny ludzki mózg. Biały, gąbczasty. Z jednej strony był ciemniejszy, poznaczony czarnymi żyłkami.

– To mój mózg – oznajmiła z dumą Polly.

– Aha – bąknęła Annie, nie wiedząc, o co tu chodzi.

Polly podeszła do ekranu i postukała palcem w szkło.

– Odciski palców – warknął doktor. Zignorowała go.

– To moje drzewo. Glioblastoma... to znaczy gałęzie, rozumiesz.

Annie spojrzała na lekarza, oczekując jakichś wyjaśnień.

– Nikt nie wie, co to słowo znaczy, Polly.

– Oj, niech mi pan da wytłumaczyć. To mój mózg, a to tutaj śliczne, podobne do drzewa... no cóż, to mój guz mózgu. – Polly się uśmiechnęła. – Nazywam go Bob.

– Proszę głęboko oddychać.

Annie zaczerpnęła tchu. Siedziała na krześle obrotowym doktora, on zaś klęczał przed nią i zaglądał jej w oczy. Jego były brązowe i inteligentne jak u miłego psa.

– Może pani śledzić mój palec? – Wyciągnął palec wskazujący.

– Jasne, że mogę – powiedziała z irytacją. – Nic mi nie jest. Nawet nie zemdlalam. – Nie miała pojęcia, dlaczego tak dziwnie zareagowała. Prawie nie знаła Polly, z guzem czy bez.

Polly wyszła, żeby przynieść „gorącej, słodkiej herbaty”, jak radośnie oznajmiła. „Tak przecież robili na wojnie, prawda?” – dodała.

– Czyli że pani nie wie – rzekł doktor. – Nie zastanawiała się pani, dlaczego ona tak często ma wizyty?

– Poznałam ją dopiero wczoraj. A ona się zachowuje, jakbyśmy byli, bo ja wiem, koleżankami z podstawówki.

– Taka właśnie jest Polly. Trudno uniknąć zaprzyjaźnienia się z nią – zauważył swoim twardym akcentem i wrócił do pozycji w kucki.

– Znaczy... jest chora.

– Bardzo chora.

– Czy... może pan... coś zrobić?

Wstał, krzywiąc się i sykając.

– O Jezu, starzeję się... Naprawdę nie powinienem pani mówić. To poufne. Ale skoro widziała pani przed chwilą jej mózg, to chyba mogę to potraktować jako zgodę pacjentki. Bob znajduje się w takim miejscu, że jest bardzo prawdopodobne, że jego usunięcie mogłoby uszkodzić jej mózg.

Annie wspomniała, co mówiła Polly. Że mózg to wszystko, czym jesteśmy.

– Miała chemioterapię – ciągnął lekarz. – Dzięki temu zyskała trochę czasu. Bez przerwy ją obserwujemy. Bardzo często ma rezonans magnetyczny. Kosztuje to majątek, psiakrew. Jeśli guz zbliży się do kory mózgowej, cóż, będzie po herbacie. A jest bardzo agresywny. Już się powiększył.

– Jeśli?

– Kiedy.

– Jak długo? – spytała.

Skrzywił się.

– Tak między nami, to lekarze nienawidzą tego pytania. Nie jesteśmy jasnowidzami. Ale powiedzieliśmy jej, że trzy miesiące.

Annie zagapiła się w niego. Tak mało... Akademicki semestr. Kwartał rozliczeniowy w finansach. Sezon amerykańskiego programu w telewizji. Wyobrazić sobie, że to wszystko, co człowiek ma, wcisnąć w to całe życie...

– Och – powiedziała. Nic innego nie potrafiła wymyślić w tych okolicznościach.

Drzwi trzasnęły.

– Nie rozwal mi tej cholерnej chałupy! – wrzasnął lekarz. Do gabinetu wkroczyła Polly z papierowym kubkiem w ręce.

– Ojej! – Troszkę się jej rozlało. Oblizała dłoń. – Proszę bardzo, pij.

Annie zajrzała do kubka. Zawartość wyglądała odrażająco, niczym pomyje. Nagle wszystko to stało się nie do wytrzymania: maciupcie ciemne pomieszczenie i ta dziwaczka z guzem mózgu, i jej własna matka w pobliskiej sali, której mózg też umierał za życia... Wstała. Kręciło jej się w głowie.

– Przepraszam... Naprawdę przepraszam, ale nie mogę. Przykro mi, Polly, że jesteś chora, naprawdę. Ale muszę już iść.

I wybiegła, strącając po drodze kubek z herbatą na podłogę.

Dzień 3

ZNAJDŹ CZAS NA ŚNIADANIE

Dzień dobry, Annie Hebden!

Annie nigdy nie była rannym ptaszkiem, nawet kiedy budził ją o świcie Jacob i tuliła go w ramionach, czując na szyi jego lekki oddech. Ostatnio nie była też nocnym markiem. Czasem zdarzało jej się około czwartej po południu okienko, kiedy – po wielu filiżankach gorzkiej kawy z niemytego chyba od roku dwa tysiące jedenastego biurowego ekspresu – nie czuła się totalnie jak zombie. Ale szósta rano? Dla każdego byłoby to nie do wytrzymania. Poczłapała do drzwi wejściowych, w które bębniła pięściami Polly.

– To jest dzień? To jest czarna noc.

– Ale na dworze jest tak ślicznie! – Polly nie wyglądała na choćby odrobinę znużoną czy zaspaną.

– Skąd. Jest szósta rano w środę, w marcu. – I dlaczego Polly jest pod jej drzwiami tak wcześnie? Dlaczego w ogóle jest pod jej drzwiami?

– Dobra, okej, w takim razie niedługo będzie ślicznie, a ja przyniosłam kawę i croissanty, więc mnie wpuść!

Dwa dni z rzędu być obudzona przez Polly, i to mimo że wczoraj od niej uciekła! Przez moment Annie zastanawiała się, czyby nie udać, że zamek w drzwiach się zaciął, po czym z westchnieniem otworzyła. Tym razem nie zawracała sobie głowy łańcuchem. Wystarczyły dwadzieścia cztery godziny, by nauczyła się, że Polly nie da się powstrzymać.

Polly była w pełni rozbudzona i przytomna. Dziś miała na sobie koszulkę z napisem „Yes We Can”, a na nogach wiśniowe kowbojki.

– Jak wyglądam? – Zwróciła głowę w tę i w tę stronę. – Hannah Montana umierająca na raka? – Krótkie kręcone blond włosy miała związane z tyłu w mały ogonek. Na wierzchu głowy widniał rozległy łysy placek od chemioterapii, a na twarzy czerwone cętki.

– Ha. – Annie nie była przyzwyczajona do żartów Polly na temat raka. Nie była przyzwyczajona przede wszystkim do raka.

Polly miała w rękach tacę, a na niej papierowe kubki z plastikowym wieczkiem.

– Kawa! Masz jakieś przyjemne filiżanki? Wstyd pić z czegoś takiego.

– Chwileczkę. Przede wszystkim usiądź.

– Nie umieram w tej sekundzie, Annie. To co, masz jakieś filiżanki?

Annie zrobiła gest w stronę kuchni i padła na brzydką, rozdartą z boku sofę z imitacji skóry.

– Czy ty w ogóle kiedyś śpisz?

– Och, nie mam na to czasu. Zostały mi trzy miesiące życia! – To zdanie z pewnością nigdy nie zostało wypowiedziane tak wesoło. – A w każdym razie tak twierdzi doktor Zrzęda. Tak go nazywam.

– No, rzeczywiście wygląda na zrzędę.

Polly przeglądała zawartość szafki. Ujawniła kubek z Cartmanem z *Miasteczka South Park*, prezent, który Annie dostała w pracy na mikołajki, choć nigdy nie obejrzała ani jednego odcinka tego serialu ani w życiu nie wyraziła najlżejszego nim zainteresowania.

– Niech go gęś kopnie, to najlepszy lekarz na świecie. Chociaż ma kompleks zbawiciela, który nie może zbawić każdego. – Głos Polly dochodził z wnętrza szafki. – Naprawdę, Annie, powinniśmy pogadać o twoich upodobaniach co do zastawy stołowej.

Wyglądało na to, że w świecie Polly naczynia stanowiły problem, ale rak był po prostu życiowym faktem. W końcu znalazła jakieś stare filiżanki w kwiatki, ślubny prezent rodziców Annie.

– Ooo, vintage?

– Nie, po prostu stare skorupy. – Annie ziewnęła. – Muszę dziś iść do pracy. Skończyło mi się wolne na mamę.

– Właśnie dlatego tu jestem tak wcześnie. Żebyśmy mogły sporządzić plan.

– Jaki plan? – Annie nie miała dziś na nic siły.

– Wytlumaczę ci. Proszę bardzo. – Nalała kawy do uroczych małych filiżaneczek i ułożyła na talerzyku w kwiatki przyniesione croissanty. Przy okazji parę płatków ciasta poleciało na podłogę, już i tak, zauważyła Annie, pełną kurzu i upstrzoną okruskami grzanek. Naprawdę pozwoliła, żeby sprawy wymknęły jej się z rąk... Costas wychował się z siedmioma siostrami i przed przyjazdem do Anglii rzadko zagotował sam choćby wodę na herbatę, więc prace domowe nie były jego mocną stroną.

– A więc – zaczęła Polly, sadowiąc się na krześle i wyjmując notes, żarówiastoróżowy ze srebrnymi brzegami – jak wiesz, zostały mi trzy miesiące życia. Oczywiście, jak się o tym dowiedziałam, byłam z lekka w szoku. Wiesz, płacz w łazience na posadzce, rozpaczliwe zaprzeczanie, niewstawanie z łóżka przez tydzień... na pewno znasz te rzeczy.

Znała, i to jak.

– Ale w końcu do mnie dotarło, że odpuszczam sobie fantastyczną okazję. Nie muszę sobie zawracać głowy tymi wszystkimi głupotami, które normalnie zabierają nam czas: rachunkami, emeryturą, chodzeniem na siłownię. Moje życie, a raczej to, co mi z niego zostało, jest teraz, dzięki poczciwemu Bobowi, maksymalnie skoncentrowane. I zamierzam je wykorzystać absolutnie najlepiej jak się da.

Annie sięgnęła po croissanta.

– Nie mów mi, że sporządziłaś listę rzeczy do zrobienia, zanim umrzesz.

– No tak, to standardowe zachowanie, gdy ma się przed sobą trzy miesiące życia. Ale w moim przypadku to troszkę bardziej skomplikowane. Nie chcę po prostu odhaczać kolejnych pozycji. Pływać z delfinami – odhaczone. Zobaczyć Wielki Kanion – odhaczone. To znaczy, już to wszystko oczywiście zaliczyłam.

– Oczywiście – mruknęła Annie z ustami pełnymi croissanta.

– Po prostu nie chcę... robić tego wszystkiego mechanicznie. Chcę spróbować naprawdę coś zmienić. Chcę zostawić po sobie jakiś znak, rozumiesz... zanim zniknę na zawsze. Udowodnić, że można być szczęśliwą i cieszyć się życiem, pomimo że sprawy wyglądają okropnie. Słyszałaś o tym, że ludzie, którzy wygrali na loterii, po paru latach wracają do poziomu szczęścia sprzed wygranej? I tak samo ludzie po poważnych wypadkach, kiedy się już przyzwyczajają do zmian, jakie zaszły w ich życiu. Szczęście to stan umysłu, Annie.

Annie znowu zacisnęła zęby. To, co jej się wydarzyło, to nie był stan umysłu; to się wydarzyło naprawdę.

– Więc jaki jest plan?

– Słyszałaś o projekcie „Sto szczęśliwych dni”? Wiesz, jedna z tych rzeczy, które krążą po Internecie.

– Nie.

Dawna Annie pewnie by lubiła takie rzeczy, zamieszczałaby je na fejsie, dzieliła się złotymi myślami. Nowa Annie miała w pogardzie wszelkie projekty, plany i listy. Wszystko to znaczy tyle co nic, kiedy życie w jednej chwili wali się człowiekowi w gruzy.

– To proste, naprawdę. Musisz po prostu każdego dnia zrobić coś co sprawi ci przyjemność. To mogą być rzeczy małe, a mogą i duże. Prawdę mówiąc, jedną z nich robimy w tej chwili.

– Naprawdę? – Annie rozejrzała się z powątpiewaniem po swoim brzydkim, zapuszczonym pokoju.

– Jemy śniadanie na ładnym nakryciu. Oglądamy świt z przyjaciółką. – Polly uniosła filiżankę w stronę czerwieniejącego nieba za oknem, a Annie pomyślała: z przyjaciółką? Czyżby to było aż tak proste? I czy taki drobiazg może w ogóle zrobić jakąś różnicę? – No więc liczę, że jeśli będę miała szczęście – szczęście w sensie „mam raka” – to mam przed sobą jeszcze całe sto dni i zamierzam wejść w ten projekt. Ale potrzebna mi jest twoja pomoc.

– Moja?

Polly odstawiła filiżankę. Na górnej wardze miała ślad pianki, a włosy nagle zapłonęły jej czerwienią w słońcu, które ostatecznie zdecydowało się wzejść, krwawe, jasne, piękne.

– Annie... mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że to mówię... ale wyglądasz na skrajne przeciwieństwo człowieka szczęśliwego.

Annie zamrugła.

– Miałam ciężko ostatnio. Widziałaś moją mamę.

– To nie może chodzić tylko o to – rzekła Polly. – Taka postawa wymaga lat pracy.

– No cóż, mieszkam w byle jakim mieszkaniu, umeblowanym sklejką i zagryzionym, do spółki z dzieciakiem z Grecji, który dotąd nie zhańbił się umyciem po sobie choćby kubka.

– Mówisz o Costasie? Jest uroczy.

– Może i jest. Ale potykanie się o jego brudne gacie i zeszkrobywanie ze wszystkich talerzy zaschniętego sera – już jakby mniej. Zobacz. – Pomacała pod sobą na sofie i wyjęła skorupkę pistacjowego orzeszka. – Wszędzie to zostawia. Doprowadza mnie tym do szału. I jeszcze się nawet nie zaczęłam szykować do pracy, której nienawidzę, i spóźnię się, jeśli zaraz nie wyjdę.

– Okej. Czyli jesteś nieszczęśliwa. I właśnie dlatego chcę, żebyś robiła to ze mną. Co ty na to? Przez najbliższe sto dni – jeśli uda mi się tak długo pociągnąć – wymyślimy na każdy dzień jedną rzecz, która sprawi nam przyjemność, i zapiszemy to. Możemy je później antydatować, jak się spotkamy, bo wiesz – skrzydlaty rydwan czasu i te rzeczy. Chcę udowodnić, że można być szczęśliwym, nawet kiedy wszystko jest naprawdę do bani.

Annie zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Ale... ja nie jestem pewna, czy wierzę w takie rzeczy, Polly.

– Mimo to możesz spróbować. Dlaczego nie?

Przez chwilę Annie niemal się zastanawiała, czyby jej nie powiedzieć – wytłumaczyć, że to coś o wiele gorszego niż chora matka, nie lubiany współlokator czy okropne mieszkanie – ale nie potrafiła. Polly była przecież kompletnie obca.

– Jest mnóstwo powodów, dlaczego nie – powiedziała tylko. – Muszę teraz iść do pracy, bo się spóźnię. Kolejny raz. – Wstała i dopiła resztki pianistej kawy (fakt, duży postęp w porównaniu z gorzką rozpuszczalną, jaką piła zazwyczaj). – Słuchaj, Polly, bardzo to miło z twojej strony, że zaprosiłaś mnie do uczestnictwa w projekcie (prędzej zakrawało to, kurczę, na wtykanie nosa w nie swoje sprawy), ale to naprawdę nie dla mnie. Za dużo mam w tej chwili na głowie. Dzięki za śniadanie. Na pewno spotkamy się jeszcze gdzieś w szpitalu.

Dzień 4

WYKORZYSTAJ JAK NAJLEPIEJ PRZERWĘ NA LUNCH

Choć Annie nie cierpiała odwiedzin w szpitalu, musiała przyznać, że jest w nim coś dziwnie kojącego. Ten przyciszony szum aktywności, poczucie, że personel panuje nad sytuacją i można po prostu usiąść i czekać, aż ci zmierzą ciśnienie albo prześwietlą którąś z tych ich maszyn. Wszystkie te ostrzeżenia co do mycia rąk i unikania zderzenia wózków – życie było tu sprawą serio. Nie było sensu przejmować się jakimiś głupstwami.

Inaczej niż u niej w pracy.

– Annie. Dziewięć po ósmej. To tak do twojej wiadomości, żebyś miała do grafiku.

Annie zacisnęła zęby tak mocno, że dziw, że nie odprysnęły jej drobiny szkliwa.

– Racja. Dzięki, Sharon.

– Żebyś na pewno zanotowała. To już w zaokrągleniu kwadrans.

Sharon, zgorzkniała kobieta, odżywiająca się frytkami i gazowanym sokiem owocowym, jako jedyna w biurze nie miała nic przeciw nowemu grafikowi czasu pracy. Kiedyś Annie też go akceptowała, więcej, jako pracownica działu finansów brała nawet udział w jego opracowywaniu. Jasne, współczuła ludziom, którym zachorowało dziecko, pękł bojler albo pociąg się spóźnił, ale to była praca i mieli robotę do zrobienia. Nosila wtedy eleganckie garnitury albo sukienki z paskiem i kardigany, przynosiła sobie domowy lunch w pojemnikach Tupperware i pomagała organizować bożonarodzeniowe imprezy.

Dopóki wszystko się nie zmieniło.

Usiadła przy biurku. Kurz i okruchy zalegały w każdej szparze, nie było żadnych zdjęć, nic miłego. Rośliny, które kiedyś hodowała, uschły i pokryły się kurzem, swoje ślubne zdjęcie dwa lata temu potłukła i wyrzuciła do śmieci. Włączyła komputer i przez chwilę słuchała, jak z jękiem usiłuje wrócić do życia. Ciekawe, czy Polly jeszcze pracuje? Na pewno to jakieś miejsce, gdzie są lśniące, czyściutkie iMaki i rośliny w doniczkach, które wszyscy podlewają – a nie tylko Sharon, która w napadach biernej agresji pozwalała im uschnąć, a potem podtykała im pod nos wyschlę, zbrązowiałe zwłoki niczym dowody rzeczowe na procesie – i wszyscy noszą okulary w ciemnej oprawce i odbywają twórcze burze mózgów wokół stolika do ping-ponga.

– Pisziesz się dziś na wspólny lunch, Annie? – spytała Fee, kierowniczka, drapiąc się po ręce, na której miała uczuleniową wysypkę. – Tylko muszę z góry wiedzieć, co kto zamawia.

Annie pokręciła głową. Kiedyś podjęła wysiłek, żeby się przyłączyć, ale

doprawdy nie miała nic wspólnego z Sharon ani z Timem, który wycierał nos rękawem, czy z Syedem, który nigdy nie wyjmował z uszu słuchawek, czy...

– Annie?

– Cześć, Jeff. – Zdobyła się na słaby uśmiech. Bądź co bądź był jej szefem.

– Mogę cię poprosić na słówko? – Zrobił ręką ruch naśladujący kłapanie buzią, tak jakby nie rozumiała po angielsku. Jeff najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że pracuje w najsmutniejszym biurze świata, gdzie entuzjazm może przynieść mniej więcej tyle pożytku, co upuszczenie krwi z żył na podłogę. Jego gabinet był wytapetowany motywacyjnymi plakatami i karteczkami ze złotymi myślami typu: „Ten, kto się poddaje, nigdy nie wygrywa. Ten, kto wygrywa, nigdy się nie poddaje”. Na półce miał pełno książek biznesowych o tytułach typu: *Jak być bogatym. Poradnik dla menedżerów średniego szczebla*. Chociaż jak człowiek może stać się bogaty, zarządzając miejską spółką przetwarzania odpadów, pozostawało dla Annie tajemnicą.

– Usiądźmy sobie w kąciku pogawędek. – Jeff, który był właścicielem około trzydziestu ośmiu garniturów z Top Mana i usiłował zapuścić brodę, był wielkim fanem „kącika pogawędek” – dwóch krzesel i stolika, na którym leżały ułożone w wachlarzyk numery pisemka samorządu dzielnicy „U nas w Lewisham”. – Co tam u ciebie, Annie? Jak się masz?

Wszystko do dupy. Okropnie. Jakbym umierała od środka.

– Wszystko dobrze, dziękuję.

– Bo zauważyłem, że... nie było cię w tym tygodniu?

– Wzięłam parę dni wolnego.

– Tak, tak, ale... nawet jeśli jesteś obecna, to niezbyt integrujesz się z innymi?

– Co masz na myśli?

– Cóż, mówiono mi, że nie wdajesz się w kuchni w żadne rozmowy, nie chodzisz z ludźmi na lunch... No wiesz, żadnych pogawędek o wczorajszym serialu przy dystrybutorze wody, cha cha cha!

– Bo zajmuję się pracą, a nie gadaniem! Nawiasem mówiąc, nawet nie mamy u nas dystrybutora wody, bo cięcia budżetowe.

– To prawda, ale wiesz, co mam na myśli. – Nachylił się ku niej życzliwie.

Wiedziała, że jest od niej o pięć lat młodszy, mimo to mówił do niej, jakby była nie zrównoważoną nastolatką. Co prawda tak się w tej chwili czuła.

– Rzecz w tym, Annie, że biuro to coś więcej niż tylko praca. To zespół. Przyjaciele, mam nadzieję. Jak załoga okrętu. – Wykonał parę gestów, które, jak wywnioskowała, miały naśladować ciągnięcie lin. – Więc cóż w tym złego, jeśli się chwilę pogawędzi przy filiżance herbaty? I na pewno nie zaszkodziłoby, gdybyś się częściej uśmiechała. Ludzie uważają, że jesteś troszkę... niezyczliwa?

Znowu poczuła ściskanie w gardle.

– Moja mama jest chora. Wiesz o tym.

– Wiem. Wiem. Doskonale zdaję sobie sprawę, że w ostatnich latach... było ci ciężko, i bardzo popieramy wszelkie przyjazne dla rodziny... – Urwał niezręcznie, być może przypomniawszy sobie, że Annie nie ma już rodziny.

Wiedział o tym, rzecz jasna. Wszyscy wiedzieli, a mimo to nadal przejmowali się jakąś głupią frankownicą czy kto zużył cały zapas mleka do kawy. Co jest z tymi ludźmi?

– Wiem, że to było trudne – podjął Jeff. – Ale w pracy potrzebne jest pozytywne nastawienie, Annie. Choćby nie wiem co się działo. Konstrukttywne! – Zrobił gest, jakby energicznie uderzał kijem bejsbolowym. – Wiesz, że w tym roku będą dalsze redukcje. Wszyscy musimy walczyć o swoją posadę. Tak że... gdybyś mogła troszeczkę bardziej się włączyć, częściej uśmiechać, no wiesz, zapytać czasem kogoś o jego dziecko i tak dalej. To już dwa lata, tak? Od... tego wszystkiego?

Annie wpatrywała się we własne dłonie, upokorzona do głębi. Ale nie mogła się przy nim rozplakać. Musi poczekać, aż będzie mogła się wymknąć do kibelka i tam wypłakać się do woli, tak jak co najmniej raz na tydzień od dwóch lat.

– Postaram się – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Mogę już iść?

Przystanęła w kuchni i czekała, aż zagotuje się zarosły osadem czajnik. Permanentnie zajeżdżał tuńczykiem, a w zlewie rozchlapane było coś, co wyglądało albo jak wymioty, albo jak zupka instant. Obok Sharon pozostawiła jedną ze swoich karteczek, stanowiących niemal jej znak towarowy, o treści: „SPSZĄTACZKA nie jest od tego, żeby po was ZMYWAĆ!”

Musi być coś więcej niż to. Niż wlec się codziennie do pracy autobusem pełnym poirytowanych ludzi. Niż siedzieć w tym biurze, które nigdy nie było sprzątane jak należy, z ludźmi, na widok których przeszłaby na drugą stronę ulicy, byle się z nimi nie spotkać. Czajnik wyłączył się z pyknięciem, a ona poczuła narastającą jej w piersi twardą bryłkę pewności. Musi być coś więcej niż to. Musi.

– Ktoś do ciebie – usłyszała głos Sharon.

Podniosła wzrok znad monitora. Sharon zdawała się mieć w szafie tylko cztery zestawy ubrań, które wkładała kolejno, ściśle według grafiku. Dziś miała na sobie zestaw numer dwa – czerwony kardigan pokryty psią sierścią (miała cztery psy) i spódnicę do kolan z oberwaną zakładką.

– Kto?

Sharon pociągnęła nosem.

– Jakaś kobieta. Ubrana jak wariatka.

O nie... To wyglądało na Polly. Kiedy dziś rano nie usłyszała pukania do drzwi, pomyślała, że niebezpieczeństwo minęło. Polly najwyraźniej radziła sobie ze swoją diagnozą w ten sposób, że starała się wykorzystać każdy moment życia, ale jak długo to potrwa? Poza tym fajnie jest korzystać z życia, ale koniec końców

człowiek musi zapłacić jakieś podatki, obciąć włosy czy odświeżyć fugi w łazience. Dlaczego Polly przyczepiła się do niej, chociaż ona nie tylko nie korzysta z życia, ale wręcz chowa się przed nim za wszelką cenę i płacze po toaletach? Może dałoby się jej jakoś pozbyć?

Za późno. Polly już wkraczała do jej pokoju, machając powitalnie ręką. W obszernej pelerynie i czerwonym filcowym kapeluszu, dzierżyła w objęciach kartonowe pudełko.

Annie zerwała się z krzesła.

– Co ty tu robisz?

– Pomyślałam, że mogłybyśmy pójść na lunch.

– Nie mam czasu na lunch.

– Annie! Czy płacą ci za tę godzinę przerwy?

– No nie, ale...

– Czyli pracujesz dla nich tę godzinę ekstra za darmo, tak?

– Ciszej – syknęła Annie, rozglądając się bojaźliwie. Współpracownicy, zgarbieni nad biurkami, jedli kanapki albo chleptali zupę z puszki, nie odrywając wzroku od monitora. – Skąd wiedziałaś, gdzie pracuję?

– Och, jesteś na stronie internetowej. Przyniosłam ci pakiet ratunkowy. – Wyładowała zawartość pudełka na biurko: srebrna ramka na zdjęcia, kubek z napisem: „Nie musisz być szalona, żeby tu pracować, ale prawdopodobnie jesteś”, eleganckie opakowanie herbaty w saszetkach, ciasteczka, opalizujące długopisy, mokre chusteczki higieniczne, jakaś roślina w doniczce i notes w okładce z niebieskiego jedwabiu. – Po prostu parę drobiazgów, żeby ci trochę umilić miejsce pracy. Założę się, że masz tu brzydko i brudno.

– Wcale nie!

– Jesteś pewna? – Polly przeciągnęła palcem po podstawie komputera Annie i pokazała: był czarny od kurzu. – Wszyscy mają brudne biurka. Spędzamy przy nich tyle czasu, a nawet się nie staramy, żeby były trochę przyjemniejsze. Drobiazgi naprawdę robią różnicę.

Annie westchnęła.

– Chodź, wyjdziemy. Nie wolno tu przyjmować gości. – Gestem skierowała Polly w stronę drzwi. Po drodze minęły Sharon, która wytrzeszczała na nie oczy: nareszcie miała do oglądania coś ciekawszego niż *Życie na farmie*.

Polly popatrzyła krytycznym okiem na budynek, ohydny cementowy blok z lat siedemdziesiątych, stojący obok dziesięciopasmowej jezdni.

– Nie dziwię ci się, że czujesz się nieszczęśliwa. To miejsce każdego by zdołowało.

– Dokładnie. A ja muszę tu być codziennie i robić coś, czego nie cierpię. Więc co tu może pomóc paczka herbaty?

– Może. Nawet najdłuższa droga zaczyna się od pierwszego kroku.

– Chyba nie zamierzasz mi proponować, żebym się otworzyła i zaprzyjaźniła ze wszystkimi w pracy, i przekonała się, że pod skórą wszyscy są tacy sami, choćby ta skóra była nie wiem jak gruba?

Polly się roześmiała.

– Nie. Niektórzy ludzie są po prostu okropni. A z niektórych miejsc trzeba po prostu uciekać, gdzie pieprz rośnie, najszybciej jak się da. Powinnaś stąd odejść.

Annie znowu poczuła wzbierający gniew. Z jakiej racji ta kobieta dyktuje jej, co ma robić?

– Nie mogę. Potrzebuję pieniędzy.

– Możesz robić coś innego – odparła wesoło Polly.

– Mamy recesję.

– Wymówki – machnęła ręką Polly. – Każdy tak mówi, Annie. Ach, dawniej wszystko było lepiej! Ach, jakie to okropne, że nie posyłamy już dzieci do pracy w kopalni! Zwykły wykręt.

– Ale...

Polly złapała ją za ramię.

– Wiem, że jesteś zła, ale, sorry – karta raka. Kiedyś się przekonasz, że mam rację. A teraz chodź. Właśnie robimy coś w ramach naszych stu szczęśliwych dni. Coś bardzo prostego: mamy przerwę na lunch.

– Wcale nie powiedziałam, że się zgadzam na te sto dni. A zresztą ja mam codziennie przerwę na lunch.

– I co wtedy robisz? Wchodzisz na fejsa? Załatwiasz sprawunki?

– Czasem kupuję sobie kanapkę.

– W jakimś przyjemnym miejscu?

– Tu nie ma przyjemnych miejsc. Zwykle w Tesco.

– A chociaż wstajesz od biurka, żeby ją zjeść?

– I gdzie bym miała z nią pójść? Do klopa? Na wysepkę na rondzie?

– A jakby tutaj? – Polly przystanęła i otworzyła ramiona gestem tancerki z Las Vegas.

Annie przyjrzała się sceptycznie trawiastemu skwerowi, przy którym się zatrzymały.

– W parku? Nie chodzę tutaj. Jeszcze nas porwą dilerzy narkotyków!

Polly już otwierała bramkę.

– Halo, halo, ktoś tu sprzedaje dragi? Zapraszam, chętnie kupię trochę koksu! No widzisz, nie ma nikogo. Chyba jesteśmy bezpieczne.

– Jest zimno.

– Przyniosłam koce. – Polly usiadła na ławce i wyjęła z torby dwa duże pledy.

– Czuję się śmieszna. – Dobrze chociaż, że koc zakrywa jej część twarzy... A jak będzie tędy przechodził ktoś z pracy i zobaczy, że w taki ziąb ona urządza tu

sobie piknik w towarzystwie psich kup? Pomyśli, że ostatecznie zwariowała.

Polly ujawniła dwa niewielkie kartonowe pudełka.

– Nie jesteś wegetarianką?

– Nie, ale...

– No to jedz!

W pudełku był plaster cheddara, pokrojona w kawałki soczysta gruszka, gruby plaster różowej szynki i pajda chleba o chrupiącej skórce. Całość wieńczył jaskrawoczerwony czatnej.

– Tu się tego nie dostanie – zauważyła oskarżycielsko Annie. – Tu są tylko kurczaki i budki z kebabem.

Spróbowała sera. Był ostry, słony, kruszący się. Boże, jaki pyszny! I pomyśleć, że miała zamiar jeść topiony w plasterkach...

Polly ugryzła parę kęsów i odstawiła swoje pudełko.

– Zobacz, tu jest lista dziesięciu rzeczy, które można robić w biurze podczas przerwy na lunch. Joga. Śpiew grupowy. Uliczny bazarek.

– Nie mogę sobie codziennie robić przerwy na lunch!

– Dlaczego?

Na to Annie nie miała odpowiedzi.

– Zastanowię się nad tym.

– To mogą być drobne sprawy. Spójrz na przykład na to miejsce. Czy nie jest przyjemne? Jest tu boisko do futbolu – możesz przyjść i pogapić się na przystojniaków w krótkich spodenkach. Są psy, które można głaskać, i nawet malutki kiosk z kawą. Nie mówiąc już o placu zabaw. – Wskazała głową huśtawki, gdzie maluchy, okutane w czapki i szaliki, to wlatywały w górę, to opadały, popychane przez matki. Annie skrzywiła się i odwróciła głowę; starała się unikać placów zabaw.

– Powiedziałałam już, że się zastanowię.

Polly odchyliła się, wystawiając twarz ku blademu wiosennemu słońcu.

– Nie bądź swoim najgorszym wrogiem, Annie. Od tego masz mnóstwo innych ludzi. Pamiętaj: dzisiaj jest pierwszy dzień całej reszty twojego życia.

Annie przewróciła oczami. Musiała jednak przyznać, że świeże powietrze i dobre jedzenie nieco poprawiły jej nastrój. Lepsze to niż rozpuszczalna zupka z torebki, gdy tuż obok węszy Sharon, a pozostali gadają o *Tańcu z gwiazdami*... Zdała sobie sprawę, że Polly była już u niej i w biurze, i w domu – w miejscach, gdzie spędza obecnie dziewięćdziesiąt sześć procent czasu – a nic nie wie o tej kobiecie, poza tym że się ekscentrycznie ubiera i najwyraźniej połknęła *Małą księżę złotych myśli*.

– Czyli że... dobrze się czujesz? – zaryzykowała.

Polly otworzyła jedno oko.

– Nadal umieram. Ale w ramach tego – owszem, czuję się okej. Mam niezły

poziom energii, pewnie dlatego, że biorę tyle pigulek, że aż się dziwię, że jeszcze nie grzechoczę, jak się poruszam. Doktor Max ma paranoję, że jak ta rzecz urośnie o milimetr, to zaczną się ślinić.

Annie zbladła, ale Polly nadal się uśmiechała.

– I... zrezygnowałaś z pracy?

– Oczywiście. Wiesz, pracowałam w PR. Kto by się przejmował kampanią na rzecz nowej szminki, jeśli zostały mu trzy miesiące życia?

Annie nie spytała, skąd bierze pieniądze na życie. Imię „Polly” nosiły tylko kobiety z elity. W głowie wirowało jej od pytań. Czy Polly jest mężatką? Czy ma dzieci? A przede wszystkim, dlaczego wybrała ją, Annie?

– A ten projekt... – spróbowała. – Masz jakichś przyjaciół, którzy to robią? – O mało nie powiedziała „innych przyjaciół”, ale przecież ją i Polly raczej trudno było nazwać przyjaciółkami.

– Och, uwielbialiby to. W kółko pokazują na Instagramie swoje poranne awokado i piszą na blogu o wakacjach z jogą. Ja tego nie chcę. A zresztą mają dzieci i mężów, i żony, i w ogóle. Są zajęci.

Annie w zasadzie nie miała teraz żadnej z tych rzeczy.

– W takim razie... dlaczego zaproponowałaś to mnie?

– Dlatego. Potrzebny mi był ktoś, kto w to nie wierzy. Chcę się przekonać, czy można sprawić, że jest się szczęśliwym nawet wtedy, kiedy wszystko układa się naprawdę fatalnie. Chcę wiedzieć, czy śmierć może mieć jakieś znaczenie. W sensie że nie jest to po prostu totalny przypadek, pech. Rozumiesz?

– Hm... chyba tak.

Annie nie należała do tych, którzy mają wielu przyjaciół. Wolą niewielkie grupy, ludzi, którym mogła zaufać, choć w pewnym sensie obróciło się to przeciw niej – teraz, kiedy z Jane nie mogła już rozmawiać. Cóż, nie sposób było zaprzeczyć – w jej życiu, w miejscu, gdzie kiedyś znajdowali się ludzie, których kochała, była wyrwa. Mike. Jane. Jacob. I mama. Być może... być może miło byłoby mieć nową przyjaciółkę? Ale Polly była nieprzewidywalna i z kręgów elity, a poza tym dla Annie ten głupi projekt był jak przyklejanie plastra w miejsce po amputowanym ramieniu. Pozbierała widelcem smaczne resztki posiłku i powiedziała, że już pójdzie.

– Ile ci jestem winna?

– Nie bądź głupia. Zostanę tu jeszcze chwilę – odparła Polly i opatuliła się ciaśniej w koc. – Na pewno są tu jakieś fajne małe sklepiki.

– Jeśli lubisz pieczone kurczaki i kradzione rowery... – zadrwiła Annie, ale bez uprzedniego przekonania. Zdała sobie sprawę, że naprawdę czuje się lepiej, jakoś odświeżona, nie tak jak wtedy, gdy przesiedziała przerwę przy biurku, z kanapką w plastikowym trójkątnym opakowaniu ze sklepu na rogu.

Wracając do biura, minęła recepcjonistkę, która podskoczyła na jej widok.

– Dobrze się czujesz? Nie jesteś chora czy coś?

– Nie, a bo co?

– Bo wiesz, tak jakbyś się do mnie uśmiechnęła.

Znalazłszy się znowu przy biurku, Annie rozpakowała zawartość pudełka, które przyniosła Polly. Położyła ładne gadzety na zakurzonej półce na biurowe akcesoria. Po chwili pod wpływem impulsu przetarła ją rękawem. O Jezu, jaki czarny... Wstawiła iskrzące się długopisy do kubka z napisem „Rezerwat przyrody Cotswolds”, dokąd wybrali się z Jacobem na jego pierwszą wycieczkę. I ostatnią, jak się okazało... Później przez całe miesiące obracała to w głowie. Przeziębił się? Złapał jakąś infekcję? Postawiła roślinkę obok monitora i dotknęła grubych zielonych liści. Hiacynt, jaskraworóżowy. Kiedyś miała takie same w ogródku. Ciekawe, czy Mike i Jane dbają o nie teraz...

Sharon głośno pociągnęła nosem. Był to jej sposób na zwrócenie uwagi Annie bez konieczności wymawiania jej imienia.

– Spóźniłaś się. Wracasz z przerwy na lunch dziesięć minut później.

Annie westchnęła.

– Umieszczę to w moim grafiku.

– I był telefon do ciebie. Masz oddzwonić. Nie mam czasu wciąż odbierać twoich osobistych telefonów.

– Co za telefon?

– Zostawiłam ci numer na biurku. Jakaś kobieta dzwoniła.

Annie przeszukała gorączkowo biurko. W końcu znalazła skrawek papieru pod biurkiem, tuż obok sporego kłęбка kurzu. Rzuciła Sharon wrogie spojrzenie, ale koleżanka wróciła już do swojej bardzo ważnej pracy (gry w *Życie na farmie*).

Rozprostowała świstek i ogarnęło ją przerażenie. To jej wina. Zrobiła sobie przerwę, na chwilę pozwoliła sobie na dobre samopoczucie. I proszę. Zerwała się i złapała torbę.

– Gdzie ty idziesz? – krzyknęła Sharon. – Już i tak masz czas do nadrobienia!

Annie zignorowała ją. W tej chwili grafik naprawdę jej nie obchodził.

Minęło prawie czterdzieści minut, zanim dotarła do szpitala. Zdyszana podbiegła do recepcji, cała spocona.

– Moja mama... pogorszyło się jej?

– Kto? – Recepcjonistka nawet nie podniosła głowy.

– Maureen Clarke. Proszę... Co się stało?

– Chwileczkę. – Mozolnie stukwała w klawiaturę. W Annie się gotowało. Dlaczego te wszystkie kobiety są takie niezycziwe?

– Annie? To pani? – usłyszała za plecami szkocki akcent. Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła neurologa Polly. Wyglądał, jakby nie spał od paru dni, kędzierzawe włosy sterczały mu na wszystkie strony, biała koszula była

wygnieciona.

– Dostałam wiadomość... moja mama...

– Ano tak, mieliśmy z nią troszkę kłopotu, ale już wszystko dobrze, niech się pani tak nie przejmuj.

– A co to było? – Serce powoli zwalniało rytm. – I dlaczego pan się nią zajmuje? Przecież pan jest z neurologii?

– Polly poprosiła, żebym rzucił okiem na jej kartę. Nie jest to oczywiście moja dziedzina, ale coś tam wiem.

– Ach tak. – Czy Polly zamierza przeniknąć do każdej dziedziny jej życia?

– Pani matka... – Westchnął. – Cóż, była trochę wzburzona. Myślała, że trzymamy ją w więzieniu. Ale ale, niech no pani ze mną pozwoli. Chciałbym, żeby poznała pani mojego kolegę.

Annie ruszyła za nim korytarzem, który przypominał kolorem dziecięcy rzyg. Zauważyła, że mijający ludzie kiwają mu głowami – sanitariusze, portierzy, sprzątaczkę. „Dźbry, panie doktorze”. „Cześć, Max”. A on się odklaniał, nie przerywając marszu. Dotarli do jakichś drzwi. Doktor Fraser otworzył je kartą.

– Mama jest zamknięta?

– Obawiamy się, Annie, że w tej chwili mogłaby zrobić komuś krzywdę.

Matka, w szpitalnej koszuli, była w łóżku. Trzęsa się, jakby było jej strasznie zimno, i wodziła po sali rozbieganym wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Annie rzuciła się ku niej i stanęła, przerażona.

– Ona jest przywiązana!

– Och, to standardowe zabezpieczenie, Annie. Wiem, że to źle wygląda, ale proszę mi wierzyć, dzięki temu jest bezpieczna.

Przeguby matki, cienkie jak u dziecka, obwiązane były piankową taśmą przymocowaną do łóżka. Gorzej – z tego, jak matka prześlizgiwała się po niej wzrokiem, Annie wiedziała, że znowu jej nie poznaje – jej, swojej córki, swojego jedyne dziecko. W tej chwili znaczyła dla niej nie więcej niż szpitalne łóżko, żółty pojemnik na zużyte igły i popiskujący monitor, do którego była podłączona.

Drzwi znowu się otworzyły i wszedł wysoki mężczyzna w nienagannie białym kitlu.

– Kto to jest? – spytał ze złością. Annie nie potrafiła określić jego akcentu. – Powiedziałem, że panią Clarke trzeba izolować!

– I właśnie dlatego jest taka przerażona! – Annie poczuła w oczach łzy gniewu. – Proszę... Czy musicie ją przywiązywać jak zwierzę?

Mężczyzna – teraz spostrzegła, że jest niesamowicie przystojny: gładka oliwkowa cera, odczesana do tyłu czarna czupryna, kości policzkowe, za które każdy model i modelka daliby się zabić – uniósł brwi.

– Doktorze Fraser, co tu się dzieje?

Doktor Fraser przetarł ręką zmęczoną twarz, wichrząc krzaczaste brwi.

– To córka pani Clarke, Sami. Pomyślałem, że mógłbyś jej wytłumaczyć, jakie są możliwości leczenia. Może byśmy przeszli do twojego gabinetu?

– Nie mogę tak mamy zostawić! – zaprotestowała Annie.

– Doktor Fraser ma rację – powiedział ten drugi. – Pani obecność ją niepokoi. Proszę. – I wprowadził ich do przyległego pokoiku.

Annie złowiła jeszcze przerażone, nierozumiejące spojrzenie matki i drzwi się za nimi zamknęły. Nie wie, kim jestem... Nie poznaje mnie... – kołatało w myślach.

– Proszę usiąść. – Doktor Jak-mu-tam wskazał plastikowe krzesło i Annie usiadła, całkiem załamana. – Panno Clarke...

– Pani Hebden – poprawiła. Dlaczego on zakłada, że jest niezamężna? Czy coś w jej wyglądzie to sugeruje?

Doktor zmarszczył brwi, niezadowolony, że mu przerwano.

– Pani matka jest bardzo chora. Miała coś, co nazywamy epizodem dysocjacyjnym, i rzuciła w pielęgniarkę krzesłem. Na szczęście nikt nie został ranny, ale nie możemy ryzykować, że coś takiego się powtórzy.

Annie, zdumiona, spojrzała na doktora Frazera, szukając potwierdzenia. Wzruszył niezręcznie ramionami: to prawda.

– Ale... ona jest taka drobna!

– Ludzie z demencją potrafią być bardzo silni. Chciałbym wziąć pani matkę pod swoją opiekę. Jestem tu nowym geriatrą. Doktor Quarani. Powinniśmy porozmawiać o istniejących możliwościach.

Annie skinęła tępo głową.

– Może pan coś zrobić? – Wpatrywała się w blat biurka, z całych sił starając się nie płakać. Na biurku stało zdjęcie w ramce: piękna kobieta w szalu na głowie, o umalowanych na czerwono ustach, z której zwisało dwoje małych dzieci. Idealna rodzina.

– Właśnie odbywa się badanie kliniczne. Nowy lek. Jak dotąd okazał się bardzo skuteczny w przypadku pewnych form demencji.

Annie podniosła wzrok.

– Może pomóc?

– Jesteśmy zdania, że w przypadkach wczesnego rzutu demencji, jak u pani matki, może spowolnić postępy choroby, uspokoić nieco pacjentkę. Jego działanie polega na regeneracji neuronów w mózgu. Zdaje pani sobie sprawę, że nie jesteśmy w stanie odwrócić szkód, które już powstały?

Annie wiedziała, że choroba zrobiła już swoje: splątała synapsy w mózgu matki i wymieszała jej wspomnienia niczym zawartość wyrzuconej na podłogę szuflady.

– Ale to znaczy, że może pan zatrzymać dalsze postępy choroby?

– Raczej spowolnić. Ale lek, tak jak wszystkie, ma skutki uboczne. To

leczenie eksperymentalne. Czy to, co mówię, jest dla pani zrozumiałe?

– Może się pani nad tym zastanowić, Annie – rzekł doktor Fraser.

Doktor Quarani znowu zmarszczył brwi.

– Pani Clarke powinna rozpocząć leczenie najszybciej jak się da. Chcę ją dzisiaj przenieść na oddział geriatryczny. W czasie stosowania leku chciałbym ją mieć pod obserwacją, tak żebym mógł monitorować postępy leczenia.

Geriatrycja. Mama nie miała jeszcze nawet sześćdziesięciu lat! A teraz miała być wrzucona do jednego worka z ludźmi starymi, którzy nie mają przed sobą ani czasu, ani nadziei...

– A co będzie, jeśli powiem „nie”?

– Za parę dni będziemy musieli ją wypisać i przekazać pod pani opiekę. Sugerowałbym, aby pomyślała pani o płatnej opiece domowej.

Ile to by kosztowało? I czy udałoby się znaleźć kogoś uczciwego? Annie z przygnębieniem skinęła głową.

– Myślę... myślę, że to dobry pomysł. Ten lek. Jeśli jest pan pewien...

Nieoczekiwanie się uśmiechnął, a Annie zamrugnęła. Uśmiech był olśniewający.

– Dziękuję, pani Hebden. Przygotuję dla pani pakiet informacji. Proszę. – Znowu otworzył jej drzwi i Annie, nieco oszołomiona, wyszła.

Matka, drobna i cicha, leżała nieruchomo, tylko oczy się jej poruszały.

– Niech pani nie ma Samiemu za złe – rzekł doktor Fraser, zamykając za nimi drzwi. – To dobry człowiek, tylko jego sposób bycia jest troszkę... obcesowy. Po prostu jeszcze się nie przyzwyczaił, że pacjenci w Wielkiej Brytanii chcą od lekarza nie tylko palca, ale i całej ręki, i wszystkiego innego też.

– Czy to dobry pomysł?

– To jedyna szansa. Co nie oznacza, że na pewno zadziała. Ale tak jak teraz na pewno jej się nie polepszy. – Odwrócili się w stronę Maureen, która wpatrywała się w nich intensywnie, jakby liczyła, że zrozumie, o co tu chodzi, jeśli tylko dostatecznie się skoncentruje.

– Czy wy...

Annie czekała.

– Czy państwo są moimi prawnikami? Bo ja tego nie zrobiłam, jestem pewna. Cokolwiek to było.

– Nie, mam – powiedziała Annie ze znużeniem. – Nie jesteś w więzieniu. Nie zrobiłaś nic złego.

– Ale mnie się zdaje, że zrobiłam. – Szybki, spanikowany oddech zmienił się w łkanie. – Tylko po prostu nie wiem, co to było. Może mogliby państwo zadzwonić do Andrew? Powiedzieć, żeby przyjechał i mnie stąd zabrał?

– Mamo... – Annie ugryzła się w język. Znowu? O nie. – Dobrze, zadzwonię do niego. Obiecuję.

– Możemy jej dać zastrzyk nasenny – rzekł łagodnie doktor Fraser. – Pośpi, a pani będzie mogła się zastanowić nad tym, co powiedział Sami. Jeśli będzie pani miała jakieś pytania, proszę mnie po prostu zapytać, okej? Jestem neurologiem, ale moja dziedzina w dużym stopniu krzyżuje się z geriatrią, niestety.

– Dziękuję. – Annie miała ochotę podejść do matki, przytulić ją, ale wiedziała, że matka będzie zimna jak lód, a serce będzie jej trzepotać jak u wystraszonego ptaka. I jakie to byłoby dla niej przerażające, że ściska ją zupełnie obca osoba! – Może lepiej wrócę do pracy. Już i tak mam kłopoty.

– Chyba rozumiem pani sytuację?

– Nie byłabym taka pewna. Dziękuję, doktorze Fraser.

– Proszę mi mówić Max. Doktor Max, jeśli pani woli.

– W porządku. Dziękuję.

Powlokła się z powrotem pomalowanym na żaloszny kolor korytarzem. Nieoczekiwanie znowu natknęła się na Polly. Siedziała na szpitalnym łóżku na kółkach i gawędziła ze sprzątaczką, która ze śmiechem nachylała się nad mopem.

– Annie! – zawołała, zeskakując z łóżka. – Musimy skończyć z tymi ciągłymi spotkaniami.

Annie przełknęła łzy.

– Jak to się stało, że znowu tu jesteś?

– Wiesz, maszyna od rezonansu magnetycznego jest strasznie przeciążona, więc na ogół kręcę się tu i czekam na jakieś okienko. – Musiała zauważyć jej twarz. – Och, Annie! Co się dzieje? Chodzi o twoją mamę? Chodź, siadaj.

Annie padła na krzesło, odnotowując rozdarcie plastikowej tapicerki. Wszystko się z niego wywala, tak jak z niej w tej chwili.

– Wiesz... miała zły dzień. Nie poznaje mnie. Była strasznie zdenerwowana... i musieli ją przywiązać.

– Strasznie mi przykro. To musiało być okropne.

I oto ta kobieta, kompletnie obca, mająca aż nadto własnych problemów, głaskała Annie po ramieniu. Tak jakby naprawdę się przejmowała. Jak to możliwe, że ją na to stać? Annie wzięła głęboki, drżący oddech. W tym musi być coś więcej... Najwyraźniej coś jej pomagało, obojętne co. Znadto była w tej chwili zmęczona, żeby walczyć, bronić się przed tym jedynym skrawkiem jej życia, gdzie było trochę koloru, czegoś pozytywnego.

– Jeśli chodzi o te sto dni... – usłyszała własny głos. – Wchodzę w to. To znaczy, jeśli chcesz.

– Oczywiście że chcę. Skoro obie musimy tu przychodzić, to równie dobrze możemy spróbować się tym cieszyć.

Annie nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby się tym cieszyć – że mogłaby nie nienawidzić każdej spędzonej tu sekundy. Że w ogóle mogłaby znaleźć w swoim życiu jakikolwiek powód do radości. Ale to tak jak z eksperymentalnym

lekiem: skoro nie ma innych możliwości, to lepiej zrobić cokolwiek niż nic.

– Okej – powiedziała. – To wchodzę. O ile nie będę musiała pływać z delfinami.

– Nie miałabyś ochoty popływać z delfinami?

Annie się wstrząsnęła.

– Nic gorszego nie mogę sobie wyobrazić.

– Jak to! Wszyscy uwielbiają delfiny.

– Ja nie. Zawsze wyglądają, jakby coś knuły. Nie można ufać komuś, kto się bez przerwy uśmiecha.

Polly wybuchnęła śmiechem.

– Och, Annie, jakaś ty zabawna. Nie będzie żadnych morskich stworzeń, obiecuję. Może byś wpadła do mnie w sobotę? Mogłybyśmy porównać nasze tygodniowe listy. Okej?

Lata minęły, odkąd Annie do kogoś wpadała. Odkąd w ogóle zawarła nową znajomość czy spotykała się z kimkolwiek towarzysko. Perspektywa wizyty była dla niej przerażająca. Ale zmusiła się, żeby odpowiedzieć:

– Okej. Wpadnę.

Dzień 5

BĄDŹ AKTYWNA

Annie stała przed komodą z odgrzebanym przed chwilą kostiumem kąpielowym w rękach. Gustowny, w czarne i białe pasy, został przez nią kupiony w Grecji, podczas wakacji z Mikiem. Miał to być ich ostatni urlop tylko we dwoje, i w pewnym sensie był – nigdy więcej nie wyjechali razem i nigdy już nie wyjadą. Przelotnie przyłożyła kostium do twarzy. Woń soli i kremu do opalania, która przechowała się we włóknach tkaniny, przypominała czasy, kiedy była szczęśliwa. Turkusowe morze, szelest wentylatora pod sufitem, kwadraty słońca na deskach podłogi, kiedy się rano budziła...

Tak łatwo byłoby go odłożyć, dać sobie spokój z publicznym basenem, gdzie woda była zimna, a przebieralnia niechlujna, ale chciała mieć jutro o czym opowiedzieć Polly. Zapakowała więc kostium do torby wraz z ręcznikiem i staroświeckim plastikowym czepkiem wytłaczanym w kwiaty. A kiedy nazajutrz w porze lunchu włądziła niezgrabnie do wody, złapała się na tym, że uśmiecha się na widok grupy sześćdziesięcioparolatek w jednakowych nakryciach głowy, uprawiających wodny aerobik. Pomachały do niej, a ona wstydliwie pomachała im w odpowiedzi. Ciekawe, czy mogłaby kiedyś zabrać matkę na coś takiego, gdyby próba z lekiem się powiodła? I w tym momencie zdała sobie sprawę, że nie wiadomo jak i kiedy, do jej serca wkradła się nadzieja.

Dzień 6

CELEBRUJ SWOJE CIAŁO

O Boże! Przepraszam, Annie, zapomniałam, że masz przyjść.

Annie zamrugała na widok Polly, stojącej w drzwiach pięknego trzypoziomowego domu, do którego została zaproszona. Szczęka jej opadła.

– Hm... znaczy, mam iść?

– Nie, nie, wchodź! Bardzo cię przepraszam. To wszystko przez Boba, wiesz. Robię się przez niego zapominalska.

Annie patrzyła w posadzkę z białych i niebieskich płytek. Czy Polly zdaje sobie sprawę?... Może to objaw raka?

– Hm... A twoi rodzice w domu? – Wiedziała, że to dom rodziców Polly, choć nie wiedziała, dlaczego Polly tu mieszka. Czy nie ma własnej rodziny, jakiegoś partnera?

– Nie, wszyscy wyszli.

Dzięki Bogu.

– Hm, Polly...

– Masz ochotę na herbatę albo coś?

– Dziękuję, ale czy ty...

Polly odwróciła się, plaskając bosymi stopami po posadzce.

– Czy co?

– Jesteś... no wiesz... – Stać ją było tylko na gest.

Polly spojrzała w dół.

– Ojejku, całkiem zapomniałam! Cha cha. No, to sąsiedzi mieli na co popatrzeć.

Czyli że nawet jeśli zdaje sobie sprawę, że jest kompletnie goła, nie zamierza nic na siebie wkładać! Annie poczuła, że kurczą się jej łopatki.

Kiedy jednak przeszły do kuchni, zrozumiała, co jest grane. Zastała w niej starszą kobietę o lśniących białych włosach, z aparatem fotograficznym w ręce.

– Mam sesję zdjęciową – wyjaśniła Polly. – Na golasa. Zawsze o czymś takim marzyłam, a lepiej niż teraz wyglądać już nie będę.

Teraz – całe jej ciało nosiło ślady leczenia. Wzdłuż nóg i ramion biegły rzędy siniaków, wyglądających jak plamy z atramentu. Była też strasznie chuda – pod cienką, napiętą skórą widać było każdą kosteczkę i każdą żyłkę.

Wprowadzono Annie do wielkiego, wypełnionego światłem pomieszczenia, częściowo oranżerii, a częściowo kuchni. Z rozległego ogrodu na tyłach domu widać było Tamizę. Annie poczuła ból w sercu. To była jej wymarzona kuchnia, taka, o jakiej czytała w czasopiśmie poświęconych urządzeniu wnętrz. Ileż to razy sobie wyobrażała, jak będą po niej biegać na bosaka jej dzieci, podkraść owoce z

miski, przynosić jej rysunki do pokazania i guzy do pocałowania, żeby przestało boleć... Teraz już nigdy nie będzie to jej dane.

– Jakbyś chciała się ubrać, kochana, to już skończyłyśmy – rzekła artystka, którą Polly przedstawiła jako Theresę.

– Chyba szkoda się ubierać. To takie wyzwalające. – Polly rozpostarła ramiona, piersi jej podskoczyły. Annie odwróciła oczy. – Hej, Annie, ty też powinnaś sobie strzelić taką fotę. Ja stawiam.

– Co?

– Zrobić sobie zdjęcie! Skoro właśnie jest Theresa, i w ogóle. Wiesz, ona z tego żyje. To jej zawód.

Theresa zachęcająco pokiwała głową.

– Naprawdę, nie sądzę... – wyjąkała Annie.

– Dawaj, Annie! Żeby przepłynąć ocean, musisz stracić z oczu brzeg! Zrób każdego dnia coś, czego się boisz!

O Boże, znowu ta motywacyjna gadka... Chyba ją to wykończy.

– Nie. Wybacz. Nie mogę, naprawdę. – Słyszała lęk we własnym głosie, co z pewnością było żalosne wobec faktu, że Polly umiera. Wbijają jej igły w kręgosłup, kamery zaglądają we wszystkie zakątki jej ciała, nawet sondują jej mózg – a ona, Annie, drży na myśl o zdjęciu ciuchów w obecności innych ludzi?

– Ojejku, daj spokój – zachęcała Polly. – Niby co takiego straszego może się stać?

– Po prostu nie mogę – powtórzyła. – Przykro mi.

Lata minęły, odkąd się przy kimś rozebrała... Nawet w szpitalu byli taktowni, kiedy trzeba się było rozebrać do badania, zostawiali człowieka za parawanem i czekali, aż okryje się kocem. Dbano o dyskrecję – zostawiano jej chusteczki i wychodzono, kiedy wybuchała płaczem w małych obskurnych pomieszczeniach, gdzie pękało jej serce.

Polly zrzędała mina.

– No dooobra... Ale obejrzysz ze mną foty? Chyba się trochę denerwuję.

– Oczywiście że obejrzę.

Na zdjęciach Polly troszkę się garbiła, tak jakby nieświadomie próbowała ochronić przed obiektywem ciało, które tyle już przeszło. Wszystko to było widać, siniaki, bliznę po wenflonie na ręce, worki pod oczami.

– Wiesz... po prostu żałuję, że nie zrobiłam sobie takiej sesji już dawno temu – powiedziała ochryplym nagle głosem Polly. – Zawsze miałam na to ochotę i byłam wtedy zdrowa, i byłam... och, kurczę, byłam seksowna. Mam raka, więc mogę to powiedzieć. Byłam seksowną laską, a wciąż jęczałam, a to że cellulit, a to że naczynka... I wciąż gadałam o botoksie. Potrafiłam wydać trzysta funtów na krem do twarzy! Co ja miałam w tej głowie? Powinnam była codziennie robić sobie zdjęcie na golasa. Powinnam była wytapetować nimi mieszkanie i

spacerować nago po ulicy. – Pociągnęła nosem. – Ojejku, co za głupoty... To jest to, no nie? Nawet na tych fotach wyglądam tak, jak zawsze chciałabym wyglądać. A będę wyglądać coraz gorzej, a potem umrę.

Annie w panice spojrzała na Theresę. Co to za nagła zmiana nastroju u Polly? Artystka jednak spokojnie pakowała sprzęt. Annie popatrzyła na własne ciało, ukryte pod obszernym swetrem i nieoczekiwanie poczuła na nosie piekące łzy. Przygryzła wargi. Nie, nie będzie płakać nad własnym obwisłym brzuchem, udami jak baryłki, popękkanymi piętami i żółknącymi paznokciami u nóg, które nie zaznały pedikiuru od dnia jej ślubu. Ciało Polly zawiodło ją w najgorszy możliwy sposób – więc ona, Annie, może przynajmniej nie nienawidzić własnego zdrowego. Odgarnęła włosy (proste, przetłuszczzone).

– No dobrze. To może parę fotek.

– Cudownie. Mogłabyś podać trochę pierś do przodu? Żal ukrywać ten wspinały biust!

Annie zaczerwieniła się i przesunęła w przód. To jakieś szaleństwo, ale leżała kompletnie goła na okrytej kocem kanapie w pozie „namaluj mnie jak jedną z twoich francuskich dziewczyn”. Wszystko było na wierzchu, od niewyworkowanego owłosienia łonowego po odciski po skarpetkach wokół kostek. Tylko zamiast Leonarda DiCaprio z *Titanica* była fotografowana przez siedemdziesięcioletnią kobietę.

– Czy mogłaby pani – zwróciła się do Theresy – zrobić coś... hm... z tą blizną? Ukryć ją jakoś?

– Lubię pokazywać ludzi takich, jacy są, Annie – powiedziała spokojnie Theresa. – Zaufaj mi. Żadnego retuszu. A co to było, cesarka?

– Hm... tak. – Unikała oczu Polly. – Wolałabym przedtem przeprowadzić jakąś solidną dietę – dodała.

– Wyglądasz fantastycznie, ty głupia – rzekła Polly. – Jak z obrazu Rubensa. Ponętnie.

– Z czyjego obrazu?

– Rubensa, malarza. Jest w National Gallery. Nie widziałaś? Nie szkodzi, któregoś dnia cię zabiorę.

Annie znowu się zarumieniła. Ale z niej ciemniaczka.

– Czy „ponętna” to nie jest inne określenie na „gruba”?

– Wolałabym wyglądać tak jak ty niż tak jak ja. – Polly wyciągnęła patykowatą nogę.

– Kiedy właśnie wyglądasz świetnie – zaryzykowała Annie. – Jesteś taka szczupła!

Polly wybuchnęła śmiechem.

– Och, Annie, na litość boską... Jestem szczupła, bo mam raka! Umieram! No, to mój guz może zadzierać nosa!

– Przepraszam – mruknęła Annie, wiedząc, że palnęła.

– Sostro! Czy ta chemia jest niskokaloryczna? Bo od toksycznych substancji strasznie się tyje! – Polly okręciła się wokół pokoju, wyrzucając w górę chude, pokryte siniakami nogi.

Theresa ze stoickim spokojem trzaskała zdjęcia.

– Czy to twój pierwszy bliski kontakt z rakiem, kochanie? – spytała Annie.

– Hm... tak.

– No to się nie przejmuj. Takie skoki nastroju są normalne. Wiesz, rozmaite uczucia walą w nią w jednej chwili. Próbuje się żyć pełną piersią, a równocześnie się umiera. Dawne zasady już nie mają zastosowania. Trzeba po prostu zapiąć pasy i ruszyć w drogę.

Dzień 7

SPĘDŹ TROCHĘ CZASU Z RODZINĄ

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń!

Nawet dzwonek przy drzwiach brzmiał optymistycznie... Annie znowu stała w progu domu rodziców Polly i nerwowo wycierała dłonie o dzinsy. Godzinami wybierała wino w sklepie Sainsbury's, oszołomiona bogactwem wyboru. Rioja. Sauvignon. Chablis. W końcu kupiła takie za osiem funtów, sądząc, że musi być porządne za tę cenę.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego przyjęła niedbałe zaproszenie Polly, pomyślane jako „rekompensata” za tamtą niespodziankę z całą tą nagością. „Wpadnij w niedzielę na lunch. Mama i tato lubią go celebrować”. Może z grzeczności? A może aby kolejnej niedzieli nie spędzać samotnie... Niedziele zawsze były najgorsze – w ten dzień zawsze chodzili z Mikiem na lunch do pubu albo zabierali Jacoba na spacer do parku.

Drzwi otworzył młody mężczyzna w okularach w ciemnej oprawce, z marsem na czole.

– Tak? Mam nadzieję, że nie jest pani z tych, co zawracają ludziom głowę jedynie słuszną wiarą?

– Nie, jestem... hm... przyjaciółką Polly? – Wydawało się zrozumiałstwem wypowiadać to słowo.

– Ach tak. Mogę? – Wziął od niej wino i przyjrzał się butelce, trzymając ją na odległość ramienia. – Hm. W porządku.

– Czy to Annie? – W holu pojawiła się kobieta we fioletowej kopertowej sukience. Szczupła, elegancka, z przyciętymi na pazia siwymi włosami, na szyi miała okulary na zdobnym w klejnociki łańcuszku. Włożyła je i popatrzyła na Annie.

– Kochanie, tak się cieszymy, że Poll ma nową przyjaciółkę! Jesteś dzielna.

Annie się to nie podobało. Nie stać jej było na żadną dzielność. Matka Polly też przyjrzała się winu.

– Cudownie! Moje ulubione!

– Chardonnay? – W głosie młodego człowieka było powątpiewanie. – Naprawdę?

– Cicho bądź. Raptem w zeszłym tygodniu było w „Guardianie”, że znowu wraca.

Annie patrzyła to na jedno, to na drugie. Czy przyniosła coś niewłaściwego?

– Jestem Valerie, kochanie, a ten niegrzeczny chłopiec to George, mój syn. Georgie, nalej Annie drinka. Mamy sancerre, malbec, a możemy też chyba wytrzasnąć trochę rieslinga, jak sądzę?

Annie nie miała pojęcia, co to wszystko znaczy.

– Hm... poproszę to, które jest już otwarte.

Valerie poprowadziła ją do salonu. Pachniała jakimiś egzotycznymi perfumami, które przywodziły Annie na myśl pomarańczowe gaje i księżycową noc na pustyni. Jej matka zawsze pachniała gotowaniem i pastylkami Hall's. A w tej chwili po prostu szpitalem.

– Niech pani nie ma za złe George'owi – szepnęła jej Valerie do ucha. – Jest bardzo opiekuńczy. Ta przykra historia sprawiła, że ni stąd, ni zowąd zaczęli się pojawiać rozmaici ludzie. Wie pani – żeby oglądać cudze nieszczęście. To straszne, jak się gapią na Polly.

Czy oni myślą, że i ona przysłała się pogapić? Annie obejrzała się na drzwi. Lepiej było w ogóle nie przychodzić... To będzie porażka – czuła to.

Polly przysiadła na poręczy różowej sofy w turecki wzór i rozmawiała ze starszym mężczyzną w granatowym blezerze i płóciennych spodniach. W ręce trzymał ogromny kielich czerwonego wina.

– Rozumiesz, problem z euro polega na tym, że... – mówił niskim, donośnym głosem.

W tej chwili Polly zobaczyła Annie i zerwała się na równe nogi. Była w ogrodniczkach, a włosy miała odgarnięte do tyłu czerwonym szalikiem. Annie w swoich dżinsach i bluzie z kapturem poczuła się szaroburo i nieciekawie.

– Annie! Dzięki Bogu, że przysłaś mnie wybawić od tej upiornej dyskusji o finansach. Nie obchodzi mnie to, tato! Nie obchodziłoby mnie, nawet gdybym miała szansę oglądać skutki.

Annie zamarła, ojciec Polly jednak tylko cmoknął, tak jakby córka powiedziała nieprzyzwoity kawał.

– Czy ci się to podoba, czy nie, Poll, referendum będzie miało dla przyszłości o wiele ważniejsze konsekwencje niż to, jakie pantofle masz zamiar włożyć.

– Ale pantofle dają mi radość. I dają mi radość innych ludzi. – Pomachała stopą obutą w haftowany sandałek w morskim kolorze, błysnęła w słońcu złota nitka. Annie zgarbiła się, żeby ukryć własne podniszczone tenisówki.

– Roger Leonard – zagrzmiał mężczyzna, miażdżąc dłoń Annie. – A ty, Annie, przejmujesz się trochę stanem Unii Europejskiej? Czy raczej butami mojej córki?

– Podobają mi się jej buty – zaryzykowała.

– Jeszcze jedna. – Roger upił potężny łyk wina. – Domyślam się, że poznałyście się z Polly w szpitalu?

– Oni tam są cudowni – powiedziała Valerie, mieszając coś przy kuchni. – Kiedy P po raz pierwszy źle się poczuła, myśleliśmy, że będziemy zmuszeni leczyć ją prywatnie... wszyscy byliśmy gotowi się zrzucić, prawda, kochanie? Ale

powiedziała, że nie, że wytrzyma w państwowym szpitalu, dzielny żołnierz. Tymczasem okazało się, że jest tam fantastycznie!

Annie kiwała głową. Czy oni zdają sobie sprawę, że niektórzy nie mają innego wyjścia niż „wytrzymać”? Nie miała pojęcia, skąd weźmie na domową opiekę, kiedy matka wyjdzie ze szpitala.

Polly usiadła przy stole i przechyliła krzesło, tak że balansowało na trzech nogach.

– Zwłaszcza doktor Zrzęda. Mama go uwielbia.

– Jest strasznie seksowny. Ten akcent!

– Wygląda jak Chewbacca.

– Och, przesadzasz, P – zaprotestowała Valerie. – Jest po prostu męski, to wszystko.

Annie dosyć lubiła to, że doktor Max jest taki kudłaty. Wyglądał z tym miło i pocziwie, jak wielki, przyjazny niedźwiedź.

Kiedy usiedli, znowu zastanowiła się nad sytuacją osobistą Polly. Dlaczego ona mieszka z rodzicami? Przecież na pewno miała własny dom, zanim zachorowała? Czy osoba tak olśniewająca jak ona może być singlem? Bo w tej chwili terminalne stadium raka może stanowić pewną barierę dla spotkań z mężczyznami, fakt.

– Proszę bardzo. – Valerie postawiła na stole dymiące kamionkowe naczynie. George jęknął.

– Boże święty... Ma, znowu kuskus? Przecież wiesz, że jestem na diecie niskowęglowodanowej!

– Wystarczy, że twoja siostra zmizerniała. Nie musisz jeszcze i ty.

– Ale ja lubię być mizerny. Zazdroszczę jej jak cholera, że jest taka chuda. Chcę kurczaka.

A więc to był kuskus. Annie usiłowała zidentyfikować składniki dania, czegoś w rodzaju żółtego gulaszu o korzennej woni. Roger chlapnął jej trochę na talerz.

– Valerie uwielbia kuchnię marokańską.

Annie dziobnęła potrawę widelcem, próbując znaleźć coś jadalnego. To chyba musi być pomidor? Z wahaniem włożyła go do ust... tylko po to, żeby się gwałtownie zaczerwienić i wydać stłumiony jęk. Nie, to nie był pomidor.

George uśmiechał się złośliwie.

– Mama wali do swoich potraw mnóstwo papryczek chili. Lepiej uważaj.

– Podaj jej wody, Georgie – ponagliła go Valerie. Annie, zakłopotana, wychyliła szklankę do dna. Pozostali najwyraźniej czuli się w pełni swobodnie, jedli wściekle ostry gulasz, popijali winem o różnych skomplikowanych nazwach i dyskutowali o artykułach z dzisiejszych gazet. Próbowwała się zorientować, czym się zajmują.

George był początkującym aktorem. Z lubością wyszydzał wszystkie gwiazdy w leżącym przed nim czasopiśmie.

– Zobaczcie, jaki łysy. A ta miała botoks.

Roger, jak się wydawało, pracował w City, a Valerie była dyrektorką szkoły dla dziewcząt, obecnie na emeryturze. Stół był zasłany gazetami i czasopismami, nawet naukowymi kwartalnikami o tytułach takich jak „Postępy onkologii”. W rozmowie przerzucano się terminami z żargonu medycznego.

– Liczymy, że P pomogą terapię alternatywną – powiedziała Valerie, pałaszując z apetytem. – Jest mnóstwo badań na temat akupunktury, chińskie zioła też wydają się dosyć skuteczne. A w przyszłym tygodniu idę na rozmowę w sprawie homeopatii.

– Mamo, proszę... – jęknął George.

– No co? Jest mnóstwo dowodów na moc pozytywnego myślenia. Cóż to może szkodzić – spróbować?

– Doktor Zręda twierdzi, że to wszystko bzdury – zauważyła Polly. Znowu zjadła tylko parę kęsów.

– No cóż, finansowanie terapii alternatywnych nie leży w interesie szpitala. My jednak uważamy, że to jakaś szansa. Prawda, Roger, kochanie?

George przewrócił oczami. Roger, patrząc w talerz, powiedział tylko:

– Z P jest dzielny żołnierz. Prawda, P? Pokona chorobę.

Annie była zaskoczona. Przecież doktor Max powiedział, że dla Polly nie ma żadnej nadziei... Nie była w stanie włączyć się do rozmowy, jadła więc nafaszerowaną chili potrawę i nudziła się. Po co Polly ją zaprosiła? Leżałyby sobie w pościeli, oglądając *Chirurgów*, a z sąsiedniego pokoju dochodziłaby głośna rozmowa Costasa. W niedzielę zawsze dzwonił do mamy... Poczuli nagłe pragnienie, by móc zrobić to samo. Po prostu żeby matka ją rozpoznawała, żeby mogła z nią porozmawiać o własnym życiu, obgadać telewizyjny serial... To przecież tak niewiele!

George odsunął talerz.

– Dobra, to ja znikam.

– Dokąd idziesz, George? – spytała niewinnie Polly.

Rzucił jej spojrzenie, którego Annie nie zrozumiała.

– Na siłownię.

– Ach tak, a będzie tam ktoś konkretny?

– Hej, Poll – odbił piłkę George – skoro mowa o kimś konkretnym, zamierzasz kiedyś oddzwonić do Toma? Znowu przysłał mi SMS-a z pytaniem o ciebie.

Kim był Tom? Valerie i Roger wymienili szybkie zaniepokojone spojrzenie, ale Polly zignorowała tę uwagę. Bawiła się swoim nakryciem.

– To miłego wyciskania, braciszku.

– Ale ty nie jadłeś deseru! – Valerie załamała ręce. – Zrobiłam clafoutis!
– Mamo, żadnych węglowodanów ani cukrów, pamiętasz?
– Ale Georgie...
– Nie teraz, Ma. Bo się spóźnię. – Wciągnął skórzaną kurtkę. – Zobaczymy tu jeszcze kiedyś Annie?

Annie załapała się rumieńcem.

– Nie bądź chamem, G – zwróciła mu uwagę Polly. – Ona cię słyszy.

Roger, ignorując napięcie, dolał Annie wina, zanim zdążyła powiedzieć „nie”. Mało co zjadła ze swojej porcji – w tym tempie lada moment się upije!

Valerie patrzyła przed siebie pustym nagle wzrokiem.

– Wszystko w porządku, mamo? – spytała Polly.

– Chyba pójdę się trochę zdrzemnąć, kochanie. – Spojrzała z uśmiechem na Annie. – Taka jestem szczęśliwa, że mam w domu oboje dzieci! A ty jesteś blisko z rodzicami, Annie?

– Mama w tej chwili nie za dobrze się czuje. Jest w szpitalu.

– O, przykro mi. A co z ojcem?

Annie czuła na sobie wzrok Polly.

– No cóż, ojciec... ojca nie ma w kadrze.

– O, szkoda. – Valerie znowu wyglądała na rozkojarzoną. – Może byś pozbierał talerze, kochanie? – zwróciła się do męża. – Chyba po prostu...

– Hm? – Roger, który patrzył w telefon, podniósł wzrok znad okularów. Aparat nagle zawibrował; wszyscy podskoczyli.

– Naprawdę uważam, że powinieneś go odłożyć. – Głos Valerie się załamał.

– To jest czas dla rodziny, Roger. Rodziny! – Wstała, szurając krzesłem. – Sam posprzątaj. Idę się położyć.

Polly też wstała. Odkroiła sobie kawałek clafoutis, który okazał się rodzajem ciasta z owocami i sosem.

– Chodź, Annie, pokażę ci ogród.

Annie powlokła się za nią. Miała świadomość panującego tu jakiegoś podskórnego napięcia i niejasno dokuczało jej podejrzenie, że może ma to coś wspólnego z nią.

– Przepraszam cię za George’a. Chyba chce dostać Oscara za rolę najbardziej wrednego brata na świecie.

– Nic się nie stało – odparła Annie. Starła się poczuć klimat ogrodu. Meandrował po zboczu wzgórza, pełen zielonych nisz, ogrodowych mebli z kutego żelaza, drzew owocowych i posążków. – Czyli że tu się wychowałeś?

Polly rozejrzała się nieuważnie.

– No... Ale nie myślałam, że w wieku trzydziestu pięciu lat znowu się tu znajduję. A ty pewnie wychowałeś się gdzieś niedaleko?

Zaledwie o trzy kilometry czy jakoś tak, ale dzieliły je całe światy.

– Czy to Shard?

W przerwie między drzewami widniała klinowata sylwetka wieżowca, przecinająca szarą wstążkę Tamizy. Annie znowu poczuła ukłucie zazdrości. Pomyśleć tylko, że Polly wyrosła tutaj, w tym ogrodzie, mając tuż za rogiem sklepy i kawiarnie Greenwich, a nie, jak ona, w komunalnym mieszkaniu w Lewisham, starając się za wszelką cenę nie zająć w ciążę przed ukończeniem szkoły!

– Powinnyśmy tam wejść – powiedziała Polly, skacząc z rozbiegu na starą huśtawkę, uwiązaną do konara jabłoni. Wyglądała teraz jak na zdjęciu – starannie dobrany strój, zarośnięty ogród w tle, a naprzeciwko, po drugiej stronie rzeki, oddalony pejzaż miasta. Obraz idealnego życia, wart, by go wrzucić na Instagram.

– Gdzie, na Shard?

– Mam parę biletów. Kupiłam jakiś czas temu, dla mnie, George’a i jego chłopaka, i... oj, tak czy siak, rozstał się z nim, i dzięki Bogu, bo Caleb był okropny, no i nie zdążyliśmy ich wykorzystać. Chciałybyś? Jako kolejną fajną sprawę z listy? Zabierz też swojego współlokatora.

– Costasa? – Wystarczy, że śpiewa w łazience Mariah Carey i do wszystkiego sypie ser... – Musiałabym sprawdzić, czy ma wolne.

– George uważa, że to obciachowe. – Polly się uśmiechnęła. – Muszę przyznać, że denerwowanie mojego brata to kolejna rzecz, która mnie uszczęśliwia. A ty masz rodzeństwo, Annie?

– Żadnego, o którym bym wiedziała – odparła. Mogła oczywiście mieć wiele przyrodnych siostr czy braci.

– A prawda, mówiłaś, że ojca nie ma w kadrze. A gdzie jest?

– Nie mam pojęcia. O ile mi wiadomo, zwiął, jak miałam dwa dni. Nie poradził sobie z tym całym rodzinnym życiem.

A odchodząc, pozostawił dwudziestoczteroletnią Maureen Clarke w obskurnym mieszkaniu komunalnym, samą z nowo narodzonym dzieckiem, załamana, samotna, nierozumiejącą, co się stało z jej życiem. Jakże to było różne od życia tej rodziny, z ojcem na stanowisku i elegancką matką, z inteligentnym, pewnym siebie bratem, z tym pięknym domem jak wielopiętrowy weselny tort, z ogrodem pełnym drzew owocowych...

– To kiepsko.

– Bo ja wiem? Nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało. Prawie o nim nie myślę.

Polly rzuciła jej kolejne irytujące motywacyjne spojrzenie.

– Życie jest za krótkie na żale, Annie. Może powinnaś spróbować go znaleźć?

– Odrobiłam te rzeczy w ramach tych stu szczęśliwych dni – rzekła Annie, stanowczo zmieniając temat. – W każdym razie coś tam zapisałam. – Pływanie,

spacery, odwiedziny u matki... nie było tego za dużo. – A ty?

Polly nie odpowiedziała. Zbladła i przestała się huścić.

– Co ci jest? Polly!

– To tylko... o, do diabła. Nie powinnam była jeść tego deseru. – Upadła na kolana i wymiotowała na trawę. Annie rzuciła się ku niej.

– Polly! Co się dzieje?

Polly usiadła, drżąc, ocierając usta.

– To tylko Bob. Nic nowego, zdarza mi się. Przepraszam, że musiałaś to oglądać.

Annie pomogła jej się podnieść. Czuła, jak drży.

– Może byś poszła się położyć? Nie musisz mnie odprowadzać.

Łatwo było zapomnieć, jak bardzo chora jest Polly, ale pod powłoką całej jej pogody i ożywienia tkwił nieubłagany fakt, od którego nie było ucieczki – zżerał ją rak, każdego dnia po troszku.

Dzień 8

IDŹ NA SPACER

Nie... Nie! Proszę! On nie może... on nie może...!

Annie poderwała się w łóżku, mokra od potu. Znowu ten sen... Tamten ranek, wtedy, w dawnym domu. Listewka słonecznego blasku na podłodze. Przelotna chwila szczęścia, zanim wszystko roztrzaskało się w pył, kroki Mike'a w przedpokoju, a potem jego przerażony głos: „Annie! Annie, dzwoń po pogotowie!”

Ale to tylko sen. To się nie dzieje naprawdę; to się nie dzieje teraz. Starając się oddychać świadomie, powoli wróciła do rzeczywistości. Poniedziałek rano. Ach, zwinąć się w kłębek i zasnąć na nowo!... Pokusa była ostra do bólu, ale przemogła się, odrzuciła kołdrę i wstała. Przy drzwiach nasłuchiwała przez chwilę, czy Costas już poszedł. To było irracjonalne, ale na jego widok w piżamie z trudem powstrzymywała wybuch gniewu. Kiedyś miała własny śliczny dom, gdzie były wolne pokoje i fotel przy oknie, i pełen kwiatów ogród, a teraz proszę – znowu wynajmuje mieszkanie z kimś do spółki! Umyła się w zagrzybionej łazience, wyszorowała zęby przed zachlapanym pastą lustrem i ubrała się w swoje zwykłe czarne ciuchy. Sen wciąż przywierał do niej niczym pajęczyna, a w oddechu nadal była nuta paniki, choć wiedziała, że to bez sensu. To było sporo lat temu. O wiele za późno na panikę.

Ponieważ wstała wcześniej, postanowiła iść do pracy pieszo. W ostatniej chwili, gdy otworzyła drzwi i poczuła, jak jest zimno, o mało się nie wycofała z pomysłu. Pomyślała jednak o zapchanym autobusie i przypomniała sobie, że musi mieć coś do zapisania w notesiku. Więc ruszyła. Prawa stopa, lewa stopa, prawa stopa, lewa stopa... Krok za krokiem odchodziła od przeszłości, aż wreszcie oddech przyspieszył nie z powodu sennego koszmaru, lecz marszu, a w głowie się przejaśniło. Może nie był to najpiękniejszy spacer na świecie, ale poranne słońce barwiło beton na różowo i kiedy dotarła do biura, była lekko zdyszana i zarumieniona. Była nawet dość wcześnie, bo nie tkwiła wraz z autobusem w korkach. Sharon życzliwie zauważyła, że jest „cała czerwona i spocona”, ale Annie prawie się nie przejęła.

Dzień 9

SPISUJ WŁASNE MYŚLI

Annie, ssąc długopis, wpatrywała się w pustą stronicę notatnika. Zza ściany dobiegał głos Costasa, który głośno rozmawiał przez telefon po grecku. Kolejny, który może sobie pogadać z matką, kiedy tylko ma ochotę, nie potrzebując się martwić, czy go poznaje, czy nie... Starła się nie słyszeć hałasu.

Jak dotąd – w czasie niewiele dłuższym niż tydzień zyskała nową przyjaciółkę... czy czym tam Polly była. Po raz pierwszy od dwóch lat stanęła przed kimś nago. Ćwiczyła. Zrobiła sobie przerwę na lunch. Nie było to wiele – żaden taniec w deszczu czy wyprawa śladami Inków – ale i tak więcej, niż zrobiła od bardzo, bardzo dawna. Ale co zaplanować na dziś i jutro, i pojutrze? Z kuchni dobiegły jakieś hałasy, więc otworzyła drzwi i wyjrzała. Costas zmywał, brzękając talerzami i obficie rozchlapując mydliny.

– Cześć, Annie. Zmywam, tak jak prosiłaś.

– Super. Dzięki. Hm... – Mogła powiedzieć, żeby tak nie chlapał wokół siebie, ale zamiast tego powiedziała: – Słuchaj... nie miałbyś ochoty pójść ze mną na Shard?

– Ten wieżowiec?

– No. Moja koleżanka ma bilety. Podobno jest stamtąd ładny widok czy coś.

– No pewnie, Annie! Bardzo chętnie! Dzięki! Jesteś wielka!

– Nie ma się czym tak podniecać – mruknęła, wycofując się z powrotem do pokoju. Złamała zasadę nierozmawiania z nim, więc jeśli nie chce teraz wysłuchiwać historii o tym, jak jego matka przekłuwiała sobie uszy, albo o kozim biznesie jego kuzyna w Faliraki, będzie musiała tu siedzieć cały wieczór... Ale przynajmniej go spytała i dzięki temu poczuła się choć odrobinę lepszym człowiekiem. Może to wystarczy za uszczęśliwiającą rzecz na dziś.

Dzień 10

ZRÓB HERBATĘ DLA KOLEGÓW Z PRACY

Posłodziłaś? – Sharon spojrzała pogardliwie na herbatę, którą podawała jej Annie, i pociągnęła nosem.

– Dwie łyżeczki. W porządku?

– Teraz słodzę tylko jedną. Jestem na diecie.

– Aha... Ale na rozpisce w kuchni wciąż stoi trzy.

– Dobrze, to już wypiję.

Annie podała kawę Syedowi, ich hipsterskiemu specjalście od mediów społecznościowych, dziś w bluzie od krykieta i żółtych sztruksach. Zdjął z głowy wielkie słuchawki, z których dobiegał łomot muzyki.

– Super, Annie. Dziękś. – Uniósł w górę kciuki.

– Dla ciebie zielona, Fee. – Annie postawiła filiżankę na biurku kierowniczkini, która drgnęła i podniosła wzrok.

– Och, dziękuję!

Fee nie wygląda zbyt dobrze, zdała sobie sprawę Annie (choć wiedziała, że w tej myśli jest trochę hipokryzji). Usta miała spierzchnięte, a kiedy brała filiżankę, drżały jej ręce.

– Hm... wszystko w porządku? – Miała nadzieję, że tak, i nie będą musiały prowadzić niezręcznej rozmowy o emocjach. W tym biurze na miejscu były rozmowy o telewizji, napojach i błędach systemu informacji, i niewiele ponad to.

– Och, tak! Tak, w zupełnym porządku.

Annie usiadła przy własnym biurku z kubkiem, który kupiła jej Polly. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, ten nie był nieodwracalnie zasyfiony taniną. Wlała odrobinę wody do doniczki z kwiatkiem i przeciągnęła palcem po podstawie komputera. Kurzu nie było. I choć nadal tkwiła w biurze i nienawidziła niemal każdej spędzonej tu sekundy, odkryła, że gdy ma czyste biurko i nie do końca czuje się jak aspołeczny troll, jej nienawiść jest odrobinę mniejsza.

Dzień 11

DAJ KOMUŚ KWIATY

Jakie śliczne! Pawie!

– Piwonie, mamó – poprosiła ją łagodnie Annie. – Podobają ci się?

– Bardzo, kochanie!

Annie poczuła dławienie w gardle. Matka zawsze uwielbiała kwiaty... W dniu wypłaty, ograniczając inne wydatki, zawsze kupowała bukiet na rynku. Kiedy Annie zaczęła do niej przychodzić co piątek z małym Jacobem, też zabierała ze sobą wielki bukiet, często z własnego ogrodu. Teraz nie robiła tego od dawna.

Z naprzeciwka nadchodził doktor Quarani, w wykrochmalonym, czyściutkim białym kitlu.

– Niech pan spojrzy, doktorze! Ta miła panienska przyniosła mi pawie!

Nie uśmiechnął się.

– Muszę zbadać pani puls, pani Clarke. – Ujął wąty nadgarstek matki.

– Wygląda chyba troszeczkę lepiej – zaryzykowała Annie. – A w każdym razie jest spokojniejsza.

– Tak, nieco wyrównał się jej nastrój. Ale tak jak mówiłem, nie powinna pani rozbudzać w sobie przesadnej nadziei.

– Oczywiście – powiedziała skwapliwie. Ale pomimo tego ostrzeżenia, pomimo dwóch lat udręki, wbrew sobie – czuła, że jej nadzieje leciuteńko ożyły. Jak wędnący kwiat, gdy włożyć go do wody. Musi uważać... Kto jak kto, ale ona wiedziała, i to aż za dobrze, że nadziei ufać nie wolno.

– Annie! – usłyszała za sobą, wychodząc ze szpitala. Obejrzała się.

– Och! – wykrzyknęła. – Co ty tu... Co się stało?

To był brat Polly, George. Siedział na izbie przyjęć z obandażowaną twarzą.

– Nic... – Skrzywił się. – Uderzyłem się w głowę na siłowni. A ty co tu robisz?

– Odwiedzałam moją mamę. Jest chora, wiesz. – Utkwiła w nim spojrzenie. Na białej koszulce miał ślad krwi.

Oddał jej spojrzenie, chłodne, taksujące. Najwyraźniej rejestrował wzrokiem jej tanią, podniszczoną torbę, nieporządne włosy, spodnie z poliestru, w których się pociła.

– Słuchaj, Annie... Moja siostra jest bardzo chora.

– Wiem o tym.

– I ma też w sobie coś... magnetycznego. Przyciąga ludzi. Rozmaite sierotki.

– Zjeżyła się, a on ciągnął: – Zawsze taka była, ale teraz, kiedy zachorowała, jest jeszcze gorzej. Przysysają się do niej. Ona uważa, że skoro ma przed sobą „trzy miesiące życia”, to może rozdać wszystko, co ma. – Zmarszczył brwi. – Ale

przecież nie wiemy tego na pewno, prawda? Niektórzy żyją z rakiem całe lata.

Annie poczuła się strasznie zmęczona. Zmęczona szpitalem, zmęczona matką, która jej nie poznawała, zmęczona norą, w której mieszkała, i zmęczona życiem.

– Słuchaj... Ja się nie przysysam do Polly. To ona pierwsza stanęła na moim progu, i to dosłownie. Ale była dla mnie miła i poprosiła mnie, żebym jej pomogła z tymi stoma dniami, i... cóż, nie potrafię jej odmówić. Jasne?

Powoli pokiwał głową.

– Okej. Wierzę ci.

– Nie pytałam, czy mi wierzysz. Kto, na litość boską, próbowałby okantować chorą na raka kobietę?

– Ja też bym tak kiedyś powiedział. Mówię ci, Annie, ile razy musieliśmy jej przeszkodzić, bo rozdałaby wszystkie swoje pieniądze! Ona po prostu nie wierzy, że ludzie kłamią. Nawet jej znajomi... Dziewczyna, z którą chodziła do szkoły, próbowała od niej wyciągnąć pieniądze na sfinansowanie jakiegoś interesu z biżuterią, który, jak się okazało, nie istnieje. A któryś z naszych kuzynów chciał, żeby wsparła rzekomą fundację, a w rzeczywistości ich wyjazd do Afryki na safari... o Jezu, no naprawdę ludzie potrafią się przyssać, nie słyszałaś?

– Nie musisz mi tego mówić – rzekła Annie.

– Dobra, przepraszam, jeśli byłem trochę...

– Chamski? Niegrzeczny? – Zbyt zmęczona była, żeby bawić się w uprzejmości.

Ku jej zaskoczeniu George się uśmiechnął.

– Raczej zamierzałem osiągnąć efekt zimnego gniewu. Wiesz, niczym obrażona piękność z południa Stanów. Powinienem był ci chlusnąć w twarz drinkiem. – Powoli odwinął bandaż. Na lewym oku miał wielki fioletowy siniak.

Annie skrzywiła się ze współczuciem.

– Na pewno boli...

– Nic takiego. Ale to oznacza, że na jakiś czas koniec z przesłuchaniami. Co prawda nie jestem tak znów zasypywany propozycjami. – Podniósł na nią wzrok. – Słuchaj, ale nie wspominaj o tym mojej siostrze, dobrze? Nie chcę, żeby się martwiła. Po prostu miałem głupi wypadek i tyle.

Annie wzruszyła ramionami.

– Jasne.

– Dzięki. Przepraszam, że byłem takim fiutem. Po prostu jestem wściekły, wiesz? Właściwie cały czas. Powinienem być smutny i dawać wsparcie, a tymczasem jedyne, co czuję, to potworna wściekłość, że to się Poll przytrafiło.

– Rozumiem – odparła Annie, która dobrze знаła to uczucie.

– Naprawdę przepraszam. To co, zobaczymy się na tej megaobciachowej wycieczce na Shard?

– Chyba tak. To na razie. – Ruszyła, ale w drzwiach się zatrzymała. – Plasterki ogórka! – zawołała.

– Co? – George miał zamknięte oczy.

– Pomaga na opuchliznę. Trzeba je schłodzić, a potem położyć na oko. – Odkrywa się to, kiedy człowiek niemal bez przerwy płacze.

Na przystanku znowu siedział tamten bezdomny, Jonny. Czytał książkę z obdartą okładką. Annie z wahaniem pomachała mu ręką. Kiedy odpowiedział uśmiechem, poczuła zażenowanie. Zęby miał okropne. Jaki sens machać, skoro w żaden sposób nie jest w stanie mu pomóc? Nadjechał autobus i wsiadła. Miała mgliste uczucie, że jakoś zawiodła, choć niezupełnie wiedziała dlaczego.

Dzień 12

POSPRZĄTAJ

Była naga. Widać było dosłownie wszystko, totalnie obnażone, wystawione na pokaz.

Annie siedziała na sofie. Obok stygła filiżanka herbaty, a przed sobą miała swój wsparty o krzesło akt, otoczony, niby szlafrokiem, zwisającym po bokach papierem, w który był opakowany. Czekał na nią, gdy wróciła do domu.

Długo siedziała tak i patrzyła. Tak, to ona, bezwzględnie ona – blizna na brzuchu, pieprzyk na ramieniu – ale zarazem to nie była ona. Krągłości i fałdy, na widok których niemal płakała ze złości, kiedy oglądała je w lustrze, jakimś cudem zostały przekształcone w coś innego.

To była ona, Annie Hebden, była żona Mike'a, była przyjaciółka Jane, matka Jacoba. Matką nigdy być nie przestanie. Córka Maureen – znowu coś, co się nigdy nie zmieni, choćby mama odeszła w ciemność nie wiadomo jak daleko. Na całej planecie nie było nikogo takiego jak ona, ani teraz, ani w przeszłości. I nigdy nie będzie. Ani jeden człowiek nie miał takich linii papilarnych jak ona, takich wspomnień jak ona, takiej krwi, która płynęła w jej żyłach. Była sobą i żyła w tej chwili – mimo wszystko. To zdjęcie było dowodem.

Wstała niespokojna. Co ona zrobiła? Pozwoliła, by znajomi się oddalili, odrzucała propozycje koleżanek, przestała wychodzić, dbać o mieszkanie, nawet myć włosy. Co wieczór siedziała w domu, za towarzystwo mając wyłącznie telewizję i cukier. Pora z tym skończyć. A właściwie pora zacząć na nowo.

W przyływie aktywności zerwała z sofy zniszczony koc, odsłaniając rozdarte skóropodobne obicie. Posypały się skorupki orzeszków pistacjowych. Cholerny Costas... Koc, potem wystrzępiony dywanik z podłogi. Jedno i drugie pełne okruszków, upstrzone plamami z ketchupu i herbaty. Wepchnęła je do pralki i włączyła ją. Pomyślała, że to jeden z uszczęśliwiających drobiazgów – odgłos obracania się w pralce rzeczy, które stawały się czyste. Przypomniało jej to poniedziałkowe popołudnia, kiedy wracała ze szkoły: w domu wirowała pralka, a matka, z filiżanką herbaty na stole i opakowaniem batoników z pomarańczowym nadzieniem, oglądała w telewizji *Wyścig z czasem*. Siadała obok i razem wymyślały odpowiedzi na pytania na okładce „Radio Timesa”. Matka, która zawsze uwielbiała słowne gry, postukując pięściami w kolana, przywoływała z głębin pamięci takie słowa, jak „kategorycznie” czy „zawadiacki”. Dzisiaj często nie pamiętała własnego nazwiska.

Starając się uciec od smutku, Annie otworzyła lodówkę i spizarkę i zaczęła wyrzucać przeterminowaną żywność. Pleśniejące strąki papryki, pojemniki z gotowymi daniami z zamrażalnika, niemieszczące się już na półkach paczki ryżu i

makaronu. Wkrótce był tego pełen wór. Zaczęła zapisywać rzeczy do zrobienia. „Umyć okna”. „Pokryć na nowo sofę”. Wyjęła wszystkie filiżanki i kubki i wytarła do czysta wnętrza szafek. Polly miała rację: jej gust co do naczyń jest tragiczny. Napelniła kolejny worek z przeznaczeniem dla sklepu charytatywnego, pozostawiając tylko porcelanę matki. Dopisała do listy: „kupić nowe łyżeczki”, „kupić spiralną tarkę do warzyw”, „powiedzieć gospodarzowi, żeby pomalował ściany na kolor inny niż psia kupa”.

Teraz łazienka. Z niesmakiem popatrzyła na starą zachlapaną zasłonę w prysznicu. Kupi nową, w jakimś wesołym kolorze, taką, żeby się nie owijała wokół nóg niczym jakaś oślizgła zjawa z kosmosu. Kupi też nową matę łazienkową i parę przyjemnych ręczników. Wyrzuciła wyschnięte szminki, kruszący się tusz do rzęs, pojemniki, w których została na dnię raptem odrobina żelu pod prysznic. Jezu, wszystko obrosło osadem... Jak ona mogła pozwolić, żeby do tego doszło?

Costas, wracając z wieczornej zmiany, z trudem otworzył drzwi, zavalone workami na odpady. Rozejrzał się zdezorientowany i wlepił oczy w Annie, która, śpiewając wraz z radiem, z zapalem czyściła kuchenkę.

– Annie! To dlatego, że zostawiam ser na wszystkich naczyniach, tak? Będę zmywał, naprawdę! Porządnie! Nie wyrzucaj mnie, dobrze? Proszę!

Annie wybuchnęła śmiechem.

– No coś ty, wcale cię nie wyrzucam! Wyrzucam siebie. A przynajmniej to, co jest we mnie niechlujnego.

Costas zrobił okrągłe oczy.

– Przepraszam, że byłam dotąd dla ciebie niezbyt miła – ciągnęła. – Od tej chwili postaram się, żeby się nam tu żyło przyjemniej. To znaczy, postarajmy się oboje. Żeby było trochę czystiej, co ty na to? Trochę mniej skorupki od orzeszków na sofie, na przykład. A naczynia trzeba natłuścić przed zapiekaniem w nich sera.

Costas zmarszczył brwi.

– Annie, dobrze się czujesz?

Zastanowiła się nad tym. Od prawie dwóch tygodni nie płakała w łazience. Mieszkanie jest teraz czystsze, niż kiedy się wprowadzała. Mamie jest lepiej. A w grafiku ma prawdziwe towarzyskie spotkania z prawdziwymi ludźmi.

– Właściwie to wiesz co, Costas? Nieźle. Zupełnie nieźle.

Dzień 13

SPOJRZYJ Z WYSOKA

On jest słodki – rzekła Polly, zerkając na tyłek Costasa, który czytał wywieszkę na ścianie. – Słodszy niż całe pudełko bakławy.

– Ma dwadzieścia dwa lata – szepnęła z naganą Annie. Wolałaby, żeby Polly mówiła ciszej. – A poza tym wydaje mi się, że on jest gejem. – Nigdy nie powiedział tego wprost, ale fakt, że trzy razy w tygodniu uprawiał całonocny clubbing w Vauxhall, był wystarczającym wskaźnikiem.

Polly westchnęła.

– Powinam była wiedzieć... Żaden hetero nie ma takich zadbanych brwi. No nic, może złapią wspólny język z George'em.

Annie miała wątpliwości – George nie odezwał się do Costasa ani słowem, odkąd się dowiedział, jak zarabia na życie. Widziała, że marszczył nos, kiedy Costas rozpyływał się nad różnymi rodzajami kawy, jakie przyrządza: latte, chude latte, flat white...

– Jak długo to potrwa? – jęknął teraz George. – Czekamy już chyba z godzinę.

– Czekamy dziesięć minut – przystopowała go Polly. – I warto jeszcze poczekać.

– Nie mogę uwierzyć, żeście mnie nakłoniły do takiej tandety dla turystów. Co następne? Madame Tussaud? Zoo?

– Zoo to świetny pomysł! Chodźmy w przyszłym tygodniu. Mogę nawet zaadoptować jakieś zwierzę i nadać mu moje imię. Tak żeby żyło, kiedy ja odejdę. No, chyba że byłaby to jętka.

Costas rozglądał się zachwycony.

– W Grecji nie mamy takiego wielkiego budynku. Za to wydaliśmy całą kasę, jaką mieliśmy, i podpaliliśmy stolicę. – Powiedział to wesołym tonem.

– I o to chodzi, Costas. – Polly otarła się o jego ramię. Annie zeszywniała: ta dziewczyna nie ma za grosz poczucia przestrzeni osobistej! – To cud nowoczesnej techniki. W niektóre dni masz stamtąd widok aż do Kent!

– Pytanie, po co nam widok stąd aż do Kent, pozostaje bez odpowiedzi – mruknął George. Na oku wciąż miał siniak, ale gdy Annie usiłowała o to zapytać, zignorował tę próbę.

Byli teraz w windzie. Obok stała jakaś rodzina w dresach, której wszyscy członkowie bez wyjątku gapili się na strój Polly: czerwona marszczona spódniczka ukazująca jej długie chude nogi, świecący kapelusz kowbojski, jaki mogliby nosić pijani biesiadnicy na wieczorze kawalerskim czy panieńskim, i żakiet ze sztucznego jedwabiu w kolorze fioletowym. Annie wyglądałaby w tym jak klaun,

ale Polly oprócz zdziwionych spojrzeń przyciągała również spojrzenia pełne zachwytu. „Czy to nie ta z telewizji?” – dobiegł uszu Annie szept kogoś z Dresowej Rodziny.

– Wchodzenie na dużą wysokość zawsze ludzi inspirowało – oznajmiła Polly. – Spójrzcie na Wordswortha, Coleridge’a... Włóczyli się po Krainie Jezior i pod wpływem natury wypluwali z siebie wiersze.

– Raczej pod wpływem opium – zauważył George. – Może mają trochę na górze?

Winda zatrzymała się i wyszli na rozległą oszkloną przestrzeń, w której mrowili się ludzie. Annie zamruwała, oślepiąca blaskiem. W dole pod nimi, niczym miasto z klocków Lego, rozciągał się Londyn: plamy zieleni, pudełka domów, krążące pośród nich maleńkie samochodziki. Plansza gry w Monopol, tyle że prawdziwa.

Polly przepchała się do barku.

– Nie ma opium, ale jest różowy szampan dla wszystkich!

George cmoknął.

– Ten tani różowy sikacz z bąbelkami? Mówisz serio?

Ale Polly już niosła tacę, na której stały cztery kieliszki.

– Zamknij się, George. Jesteś obrzydliwym snobem i sam o tym wiesz. Pamiętam czasy, kiedy twoją ulubioną potrawą były kółka ze spaghetti z torebki. Pij i już.

– Dopóki nas nie nakryją. A Costas jest przynajmniej na tyle dorosły, żeby pić?

– Mam dwadzieścia dwa lata – powiedział Costas z urazą. – Dziękuję, Polly. Dziękuję za różowy szampan i za wycieczkę, i za windę, i za widok waszego pięknego miasta.

– Proszę bardzo – odparła, znowu gładząc go po ramieniu. – Przyjemnie być tu z kimś, kto nie jest takim beznadziejnym snobem, naprawdę.

– Różowe bąbelki na szczycie Sharda – mruknął George, wychylając mimo to swój kieliszek. – Co następne? Świat M&M’sów w kapeluszach z flagą Union Jack?

– A jest coś takiego jak Świat M&M’sów? – zdziwił się Costas i kichnął.

Polly zwichrzyła mu włosy.

– Słodziak.

Annie z wahaniem sięgnęła po swój kieliszek. Był z plastiku, wypełniony pieniącym się płynem w kolorze różowego złota. Kiedyś, jak robiła zakupy na swoją studniówkę, w sklepie ze strojami balowymi zobaczyła suknię w tym kolorze. Była droga – prawie sto funtów, ale trochę zaoszczędziła ze swoich sobotnich zarobków w Boots. Wspominała o sukni wiele razy, a mama za każdym razem uśmiechała się uspokajająco. Zbliżały się jej osiemnaste urodziny i kiedy

rankiem tego dnia zbiegła na dół, na drzwiach wisiał pokrowiec na ubrania. To musi być to! Wymarzona suknia, z koronki i jedwabiu, z długą szeleszczącą spódnicą i stanikiem, w którym jakimś cudem nawet ze swoimi obfitościami wyglądała jak modelka...

Kiedy rozpięła pokrowiec, myślała, że to jakiś żart.

– Co to jest, mamó?

– Och, wiesz, poszłam obejrzeć tamtą suknię, którą chciałaś, ale była o wiele za droga, więc uszyłam ci sama. Identyczna, prawda?

Nie, wcale nie była identyczna. Miała kolor nieświeżego łososa, koronka to nie była koronka, tylko drapiący poliester, fiszbinę stanika wpijały jej się w żebra i wyglądała w tej sukience jak gigantyczna porcja budyniu. Koniec końców wyszła ze studniówki wcześniej i oglądała w domu *Frazier*a. Kolejne niezbyt radosne wspomnienie... Ale teraz była tutaj, na szczycie Sharda, i piła różowy szampan. Uniosła plastikowy kieliszek w stronę Polly.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie. – Polly upiła łyk. – Max mnie zabije. Nie powinnam pić przed rezonansem magnetycznym. Kurczę, spędzam w tej maszynie tyle czasu, że myślę już o tym, żeby ją wytapetować. Chodźcie, wyjdziemy na zewnątrz.

Na zewnątrz wiatr był ostrzejszy, a słońce oślepiało. Annie postanowiła nie mówić, że trochę jej się kręci w głowie, i trzymała się możliwie blisko ściany, ale Polly dopadła poręczy.

– Somerset House! Londyńskie Oko! Big Ben! – wykrzykiwała, wskazując poszczególne miejsca w dole.

– Muzeum Brytyjskie! – włączył się radośnie Costas. – To tam trzymacie te wszystkie bezcenne posągi, które ukradliście nam z Partenonu i nie chcecie oddać!

– W sumie to chyba nie jest tak źle tu na górze – przyznał niechętnie George. Annie spojrzała na niego kątem oka.

– Jak twoja twarz?

George zmrużył oczy przed słońcem.

– W porządku. Nic się nie stało.

– Przykro mi z powodu twojego chłopaka.

– Co? – George zmarszczył brwi. – Co to ma znaczyć?

– Po prostu miałam na myśli... miałeś tu przyjść z nim, prawda? Z Calebem?

– Z Calebem byliśmy tylko przyjaciółmi. – Jego ton był lekki albo starał się taki być, ale Annie nie miała problemu z rozróżnieniem pomiędzy udawaniem, że człowiekowi coś przeszło, a sytuacją, kiedy przeszło mu naprawdę. Czasem myślała, że jej nie przejdzie nigdy... Porzuciła tę myśl.

Popatrzyła w przestrzeń. Wiatr rzucił jej włosy w twarz. Z tej wysokości to nie był Londyn, który знаła, Londyn psich kup i robót drogowych, i drogich zawilgoconych mieszkańców. Było to miasto blasku, pełne milionów żywych istot, z

których każda myślała, że jest najważniejsza na świecie. Miasto, z którego codziennie ubywały dziesiątki ludzi, umierających w szpitalach, domach opieki, a nawet na ulicy, a inne dziesiątki przybywały – w łóżkach na oddziałach położniczych, w basenach porodowych, a czasem nieoczekiwanie w metrze. No i jakie to ma znaczenie, skoro pośród tego wszystkiego Polly wkrótce umrze, a jej synek już umarł? Poczowała, że miazdzy ją ciężar tego wszystkiego, tych roztrzaskanych marzeń i złamanych serc.

– Czuję się taki mały – odezwał się George niemal do siebie.

– Właśnie myślałam o tym samym.

– To znaczy... ci wszyscy ludzie, którzy nawet nie wiedzą, że istnieję... Jak, do diabła, mam kiedykolwiek zostać aktorem, skoro tylu innych dąży do tego samego? W sumie równie dobrze mogę powiedzieć: pas.

– Ale z drugiej strony – zauważyła Annie – jeśli spieprzymy swoje życie, to przynajmniej nikt się o tym najprawdopodobniej nie dowie ani się tym nie przejmie. Możemy sobie po prostu umrzeć, kompletnie nieznani.

George popatrzył na nią.

– Lubię cię, Annie. Jesteś dobrym antidotum na to irytujące pozytywne nastawienie mojej siostry. Wiesz, kiedy dostała tego raka, byłem przygotowany na depresję, płacz i inne okropności, tymczasem stała się chodzącą biblią samoakceptacji i autopsychoterapii.

– Ale wy wszyscy jesteście tacy... tacy rzeczowi w tej sprawie.

George wzruszył ramionami.

– Przedstawienie musi trwać, tak czy nie? Żyje się nadal, dopóki się nie umrze.

– Chyba tak.

– Ona tak chce. Żadnego rozczulania się, żadnych łez. A mama i tato... nie sądzę, żeby wierzyli, że to się naprawdę stanie. Trudno mi ich za to ganić. Bo spójrz tylko na nią... Rozumiesz, czemu nam się wydaje, że musi być jakaś nadzieja?

Annie rozumiała. Polly była uśmiechnięta, radosna, zarumieniona od słońca i wiejącego jej w twarz wiatru. Owszem, była chuda, ale to nic wyjątkowego wśród kobiet w Londynie. W ogóle nie wyglądała na chorą. Wyglądała promiennie.

– Chodźcie tu! – przywołała ich gestem. Słońce przebiło się przez chmury i grzało. – Patrzcie, to jest Most Londyński. Macie pojęcie, ile godzin tam spędziłam na zimnie? Mało mi tyłek nie zamarzał! Klęłam i narzekałam, ale spójrzcie, jak sielankowo stąd wygląda.

Rzeczywiście. Pociągi, zmierzając do stacji, meandrowały po swoich krzyżujących się torach niczym ślizgające się po wodzie kaczkę. Mikroskopijni ludzie z ich mikroskopijnymi zmartwieniami, marzeniami, nadziejami i obawami.

– Założę się, że tak właśnie widzi nas Bóg – powiedziała ściszym głosem

Polly.

– Weto! – krzyknął George. – Przecież ty nie wierzysz w Boga, hipokrytko! Nie możesz zacząć wierzyć tylko dlatego, że masz raka, to oszustwo.

Polly pokazała mu język.

– Okej, okej. Wobec tego jakkolwiek zechcesz to nazwać. Wszechświat. Wielki Potwór Spaghetti. Być może tak będę widzieć z nieba ciebie.

– Optymistka – ocenił George. – Pamiętam, jaka byłaś jako nastolatka. Możesz nie pójść do nieba.

– Jeśli jest jakieś życie po śmierci, to opowiem Bogu, jak obcinałeś głowy wszystkim moim Barbie i przywiązywałeś je do mojego łóżka.

– Zrozumie. Przecież na pewno widział, jaka byłaś irytująca.

– Widziała, a nie widział.

– Annie, a ty wierzysz w Boga? – spytał po cichu Costas. Co do niego, to przypuszczała, że tak. Widziała w jego pokoju krzyż i butelki z wodą święconą. Nigdy nie miała ochoty poruszać tego tematu – bo jak gej może należeć do Kościoła, który nienawidzi tego, kim on jest? – ale wiedziała, że gdy czasem w niedzielę rano wracał z clubbingu, jeszcze z uszami pełnymi muzyki i rytmu, szedł do prawosławnej cerkwi w Camberwell. To jedna z rzeczy, których ona, Annie, nigdy u ludzi nie zrozumie.

– Hm... nie, nie sądzę. – W przeciwnym razie musiałyby uwierzyć w Boga, który pozwolił jej synkowi umrzeć, a matce się zmarnować. – A ty jesteś religijny, tak?

Wzruszył ramionami.

– W Biblii jest napisane, że tacy jak ja to grzesznicy. Rozumiesz... geje. – Zerknął na nią wstydliwie, żeby sprawdzić, czy o tym wiedziała albo czy ma coś przeciw.

Annie przybrała na twarz wyraz totalnej tolerancji.

– Ale kiedy widzę coś takiego... – wyciągnął rękę ku niebu, poznaczonemu błękitnymi, srebrnymi i brzoskwińowymi smugami – i spotykam miłych ludzi, którzy zabierają mnie na wieżowiec i częstują różowymi drinkami... to myślę, że coś musi być. Po prostu coś więcej. Nawet jeśli to nie jest osoba ani rzecz, ani miejsce. Wiesz, co mam na myśli?

– Myślę, że tak – odparła. Już rok mieszkała z Costasem, a przecież to była najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek ze sobą prowadzili. Nigdy jej nawet nie powiedział wprost, że jest gejem... Spali przedzieleni zaledwie ścianą, a byli sobie zupełnie obcy. A teraz znaleźli się tutaj... Stali i patrzyli, jak słońce świeci nad Londynem, i było to tak piękne jak różowy szampan, suknie balowe i nowi przyjaciele.

– Polly! Na litość boską!

Annie drgnęła, wyrwana ze swoich marzeń: Polly wspinała się na poręcz,

otaczającą platformę widokową. George złapał ją ramieniem za talię, ochroniarz już biegł w ich stronę. W Annie zamarło serce, poczuła silny zawrót głowy. Polly jednak się śmiała.

– Oj, George, nie bądź nudny. Chcę lepiej widzieć!

– Nie może pani wchodzić na poręcz, proszę pani. To niebezpieczne.

– Jakie to ma znaczenie, skoro umieram! – zawołała Polly ze śmiechem.

Annie dostrzegła jednak, że twarz ma zalaną łzami. A kiedy George ją zdjął i wskazał głową w stronę wind, sugerując, że pora wracać, Annie zdała sobie sprawę, że on przez cały czas nie tylko zrzędził – on się naprawdę bardzo bał.

Dzień 14

NIC NIE RÓB

Annie, Annie, dzwoń po pogotowie!

Była w swoim dawnym domu, przez białe zasłony w oknach sypialni przenikało słońce. Trzymała w ramionach Jacoba. Wtem spojrzała na niego, a on jest cały niebieski, skórę ma niemal przezrystą, przebija przez nią siateczka żył. Jest zimny i sztywny – lalka z wosku, wyglądająca dokładnie jak jej dziecko. To sen... Wiedziała, że to tylko sen, i za wszelką cenę starała się obudzić, wydobyć z pokładów snu, które ściągały ją w dół, na powierzchnię świadomości. To nie jest naprawdę... nie jest naprawdę...

Usiadła w łóżku i spojrzała na zegar. Znowu niedziela. Costas nie wrócił jeszcze z klubu i w domu panował spokój. Zrobiła sobie kawę i jajko w koszulce na grzance, a wspomniawszy, co mówiła Polly na temat jej nakryć, ułożyła śniadanie na ładnym talerzu.

Usiadła na nowej, wolnej od skorupki pistacji sofie. W blasku słońca nie było już widać wszechobecnego kurzu i okruchów. To już coś. Niewiele, ale zawsze. Z upodobaniem spojrzała na jedzenie na talerzu, który zdobił wianuszek liliowych kwiatków wokół brzegu. Jasnożółte żółtko, biała zieleń awokado. Odruchowo złapała za telefon i strzeliła fotkę. Kiedy jednak palec już-już miał kliknąć w ikonkę Facebooka, powstrzymała się. Nie ma mowy. Nie dołączy do tych, co publikują foty swojego śniadania.

Była wiadomość od Polly, optymistyczna i radosna w tonie, żeby w tym tygodniu pójść do Galerii Narodowej. Annie wciąż dreszcz przechodził na myśl o tym, jak na szczycie Sharda Polly weszła na poręcz, sięgając ku niebu. Najwyraźniej była bardziej chora, niż sobie zdawała sprawę... Przesadnie ryzykowała, posuwała się za daleko, Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Annie wymówiłaby się od spotkania i odpowiedziała jakimś mglistym tekstem na temat pracy. Ale Polly nie miała czasu, żeby ją spławiać. Gdyby jej odmówiła, następnego razu mogłoby nie być. Pomimo wszelkich obaw powiedziała więc „tak” i usadowiła się z powrotem na sofie, by rozkoszować się spokojnym niedzielnym nicnierobieniem.

Dzień 15

SKOŃCZ ZADANIE

A więc, aby uczcić zakończenie projektu opłat za nielegalne składowanie odpadów – nareszcie! – idziemy po pracy na drinka do Szufli – ogłosił Jeff. Starał się, by jego głos brzmiał naturalnie, choć czytał z kartki. – Muszę podkreślić, że zgodnie z miejską polityką dywersyfikacji będą one musiały być samofinansujące się i obowiązkowe. Ten projekt to zbiorowy wysiłek całego zespołu i każdy ma swój wkład w ten sukces...

Annie się wyłączyła. Już i tak spędziła na myśleniu o nielegalnym składowaniu odpadów o wiele więcej życia, niżby jej kiedykolwiek wcześniej przyszło do głowy. Zdziwiona była, że idą do pubu – miasto tak unikało wydatków na kulturę, że imprezę bożonarodzeniową odkładano aż do stycznia, kiedy nikomu nie w głowie już było świętowanie.

– Idziesz? – spytała szeptem Fee.

– Nie wiem. – Annie od lat unikała wszelkich uroczystości w pracy. – A ty? Fee miała sińce pod oczami.

– No wiesz, jakbyś ty poszła... to chyba tak.

Annie pomyślała, że na pewno nie uniknie nudnej rozmowy z Jeffem, który gadał wyłącznie o pracy i chodzeniu na siłownię, i że będzie musiała ukrywać, że nie cierpi Sharon, i znosić przykry oddech Tima. Ale z drugiej strony, innych planów nie miała.

– Chyba możemy pójść. Ten jeden raz...

– Ten jeden raz – zgodziła się Fee. Uśmiechnęła się, napięcie na jej twarzy znikło. – Warto uczcić zakończenie tej roboty. Nie wiem jak ty, ale ja nie miałabym nic przeciw temu, żeby już nigdy w życiu nie usłyszeć określenia „nielegalne składowanie odpadów”.

Dzień 16

ŁYKNIJ TROCHE KULTURY

Uwielbiam ten przybytek – rzekła Polly, wchodząc rażno po stopniach muzeum. Dziś – na cześć słońca, które hojnie słało na Londyn swe blaski, zmieniając Tamizę we wstęgę srebra – miała na sobie cytrynowożółtą letnią sukienkę, a że był dopiero marzec, włożyła do tego fioletowe rajstopy, zielone szpilki z wężowej skórki i płaszcz z futrzanym kołnierzem z dawnego rocznika. Ludzie się na nią gapili, i nic dziwnego, bo mówiła tubalnym głosem, niczym głośnik na stadionie. – Skończyłam historię sztuki. A ty, Annie?

– Nic nie skończyłam – odparła Annie szeptem, aby zrównoważyć natężenie głosu Polly. – Od razu po szkole poszłam do pracy.

Nie było za wiele pieniędzy na naukę i matka przekonała ją, że lepiej zrobi, jak zdobędzie jakiś zawód, który zabezpieczy jej byt. „Nie sięgaj po księżyc, Annie”. Czasem przychodziło jej do głowy, że może gdzieś tam, w innym świecie, jest jakaś inna Annie, która przesiaduje w bibliotekach, rozmawia o literaturze, nosi dziergane na drutach swetry i jeździ na rowerze, którego pęd podrywa z chodnika jesienne liście.

– Wiesz, te moje studia to nie były żadne studia. Po prostu wciąż patrzyłam na piękne rzeczy. Miałam wtedy taką teorię, że jak stale patrzysz na ładne rzeczy i wachasz ładne zapachy, i słuchasz przyjemnych odgłosów, to obowiązkowo będziesz miała dobre myśli i będziesz szczęśliwa.

Annie powątpiewała w duchu. Nie da się otoczyć wyłącznie przyjemnymi rzeczami. Zawsze będą brudne autobusy i łoskot pneumatycznych młotów za oknem, takich jak te, które drażą Trafalgar Square, i zawsze będzie śmierć. Nie da się zrobić tak, żeby śmierć była piękna.

– Ile kosztuje wstęp do galerii? – spytała. Jej miesięczny budżet długo nie wytrzyma, jeśli nadal będzie dotrzymywać kroku planom Polly. Musiała wziąć wolne popołudnie na tę wyprawę, a brwi Sharon były przy tym bardzo wymowne.

– Wstęp jest gratis! Nie byłaś tu wcześniej?

– Nie pamiętam. – W dawnych czasach z dziewczynami – oprócz niej była to Jane, Miriam i Zarah („czarująca czwórka”; Jane usiłowała je nakłonić, żeby tak o sobie mówiły) – jeździły w każdą sobotę do centrum. Jakaś wystawa, zakupy albo posiłek w knajpce. Odkąd nie miały ze sobą kontaktu, Annie zarzuciła ten zwyczaj. Poczula coś na kształt wstydu. Miała teraz w zasięgu ręki tyle przybytków kultury, a jedyne, co robiła, to oglądała telewizję...

Polly znowu chwyciła ją za ramię i pociągnęła.

– Chodź. Obiecałam, że ci pokażę gołe baby.

Annie ruszyła za nią, krzywiąc się na jej wrzaski.

– O, to Degas, stary zbok, ale spójrz tylko na te śliczne rude dziewczyny. Chciałabym być ruda, a ty? Wydaje mi się, że miałabym wtedy więcej przygód. Spójrz, jak pięknie namalował ich plecy – są takie bezbronne... A tu zobacz, Rubens! Właśnie to chciałam ci pokazać.

Annie wpatrzyła się w obrazy. Pełne dołków pośladki, pulchne, wystające brzuchy, obfite białe uda... Polly miała rację. One rzeczywiście wyglądały tak jak ona. Jeśli nie liczyć jej cienkich, przylizanych włosów w nijakim kolorze.

– Czyli że... wtedy uważano, że są piękne?

– Uważano, że chudy znaczy biedny. Albo chory. – Polly machnęła ręką w stronę własnej ascetycznej sylwetki. – Nie żebym miała komuś wymawiać chudość, skoro tak ma. Po prostu chciałam, żebyś zobaczyła, że to, co uważamy dziś za seksowne, bynajmniej nie było seksowne w czasach baroku. Pojęcia piękna cały czas się zmieniają.

– W takim razie urodziłam się w niewłaściwej epoce – oceniła Annie. Nie mogła oderwać oczu od perłowej tonacji tych ciał. Ani śladu fałszywej opalenizny, wyłącznie odcienie różu, kremu i kości słoniowej. Żywe, bujne ciała, widać, że wykarmione miodem, śmietanką i sarnimi półtuszkami. Postawa tych kobiet, pełna dumy, kokieterii, czaru.

– Ta jest moja ulubiona. – Polly podprowadziła ją do kolejnego aktu. Tym razem ukazywał kobietę w pozycji półleżącej, widzianą od tyłu, patrzącą w ręczne lustro, a w lustrze – na widza. – *Wenus z lustrem*. Po prostu uwielbiam ten odcień różu. Próbowалам zorganizować dla moich druzhen suknie w tym kolorze, ale nie wiedziałam, jak go określić.

Annie zwróciła ku niej głowę, zaskoczona. Po raz pierwszy Polly wspomniała o swoim ślubie. „Spytaj ją. Spytaj o coś więcej”. Ale nie spytała, w obawie, że popsuje znakomity nastrój przyjaciółki.

Polly wciąż wpatrywała się w obraz, jak gdyby starając się zapamiętać każdy jego detal.

– Wiesz, czego żałuję? Że nie przychodziłam tu raz na tydzień, żeby po prostu popatrzeć. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek miała dość. Zamiast tego oglądałam różne głupoty, kolegów z pracy, których nie cierpiałam, i brudne pociągi, i głupie internetowe historyjki o tym, której z celebrytek przybyło parę kilo... Wciąż biegałam na jakieś spotkania, martwiłam się o jakiś tusz do rzęs i o to, że powinnam chodzić na pilates. Zmarnowałam cały ten czas, Annie.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć.

– Na pewno widziałaś też jakieś piękne rzeczy.

– Och, tak. – Polly westchnęła. – Zachody nad Wielkim Kanionem i Tadz Mahal, i Alpy w śniegu, i tak dalej. Ale to za mało. Czy kiedykolwiek można mieć dość? Chcę zobaczyć wszystko. Nie chcę nigdy przestać patrzeć.

W lęku, że Polly może się rozplakać, Annie delikatnie położyła jej rękę na

ramieniu. Nie powiedziała: wszystko będzie dobrze, bo wiedziała, że nie będzie.

– Ale teraz jesteśmy tutaj. I możemy patrzeć na ten obraz.

Polly odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się.

– Masz rację. Jesteśmy tutaj i patrzymy na ten obraz. Pozostanie tu długo po tym, jak obie przeminiemy, wciąż seksowny jak diabli. Wiesz, co jest nam teraz potrzebne? To, co najważniejsze w każdej wizycie w muzeum – sklep z upominkami, a potem tort.

Kiedy szły do wyjścia, Polly przystanąła na schodach, blokując drogę całej gromadzie chińskich turystów.

– Co jest? – Annie targnął niepokój. Czy ona znowu zamierza dostać mdłości albo wejść na wieżowiec, albo się rozebrać? Najwyraźniej w każdej chwili może się wydarzyć każda z tych rzeczy.

Ale Polly się uśmiechała.

– Widziałas ten film, *Dolce vita*?

– Ach tak. Widziałam. – Ulubiony film mamy... Sen o przystojnych Włochach i *gelato* na zalanych słońcem placach. Rzeczywistość odległa o lata świetlne od prawdziwego życia matki. – A czemu pytasz?

– Czy myślisz o tym samym, co ja?

– Hm... chyba nie.

– Fontanny! – Polly uniosła zwycięsko wskazujący palec. – Taniec w fontannie!

– Zwariowałaś? Wyobrażasz sobie, jaka brudna musi być woda?

Polly już maszerowała w stronę fontanny, wołając przez ramię:

– No i co z tego? Najwyżej zachoruję. Chodź, Annie! W życiu nie chodzi o to, żeby unikać burzy; chodzi o to, żeby nauczyć się tańczyć w deszczu. Gdzie twój zmysł przygody?

Zatraciła go, nieodwołalnie zatraciła. Właściwie to nawet nie wiedziała, czy kiedykolwiek go miała.

– Polly!

Polly zbliżała się do fontanny o lodowato zimnej wodzie i zapachu publicznego basenu. Rzuciła się za nią. Polly już była na krawędzi, już zrzuciła płaszcz. Annie wpadła w panikę.

– To na pewno zabronione!

Polly przewróciła oczami.

– No i dobrze. Mam nadzieję, że mnie aresztują. Tego też nigdy nie zaznałam.

– Ale...

– Chodź, Annie! Zdarzyło ci się kiedykolwiek tańczyć w fontannie?

Oczywiście że nie. Jedyne fontanny, z jakimi się dotąd spotkała, to niefortunne, pełne niedopałków projekty sztuki ulicznej.

– O Boże...

Polly była już na bosaka. Palce u nóg miała cienkie, paznokcie pomalowane na srebrno, nogi jak patyki, pełne siniaków. Ze śmiechem wskoczyła do wody.

– Jezu, jaka lodowata! Chodź, Annie!

Czy można sobie wyobrazić coś gorszego niż wejście do zimnej, brudnej fontanny? A jak złapie polio? Czy na to się nadal choruje?

Kwadratowy mężczyzna w żółtej odblaskowej kurtce już się zbliżał, rozmawiając przez walkie-talkie.

– Muszę panią poprosić o opuszczenie fontanny, szanowna pani.

Polly, z podkasaną wysoko spódnicą, radośnie brodziła po płytkiej wodzie, chlupiąc i chlapiąc.

– Dlaczego?

Facet się zacukał.

– Hm... ze względu na zdrowie i bezpieczeństwo.

– Och, to bez znaczenia, ja umieram. Mogę panu coś podpisać, jeśli pan chce.

Facet spojrzał na Annie, która wzruszyła ramionami.

– Przepraszam. Jest naprawdę chora, i...

– Musi ją pani stąd zabrać, inaczej ją zaaresztuję.

– Naprawdę jest pan policjantem?

– No... nie do końca, ale znam paru.

Annie doznała uczucia, że właśnie ta chwila to dla niej punkt zwrotny. Może się cofnąć i pozwolić temu mężczyźnie, by przeszkodził Polly, która przecież chce tylko pobrodzić przed śmiercią w publicznej fontannie, a może...

– Co pani robi! – zawołał facet, wyraźnie wystraszony. – Niech pani przestanie!

Annie ściągnęła długie buty, a potem, gmerając pod spódnicą, niemodne wełniane rajstopy. I, krzywiąc się od dotknięcia lodowatej wody, też wskoczyła do baseniku.

– Jezu!

– Naprzód, Annie, naprzód! – śmiała się Polly, klaszcząc w ręce. Ludzie tręcali się łokciami, zaczęli im robić zdjęcia. Annie skuliła się z zażenowania.

Polly skłoniła się przed nią i wzięła ją za rękę.

– Czy mogę panią prosić do tańca, pani Hebden?

– O Boże, Polly, ja naprawdę nie...

– Dawaj, dawaj! Rzecz w tym, żeby tańczyć w fontannie, a nie tylko w niej brodzić. Hej! – krzyknęła, zwracając się do tłumku. – Zagrajcie nam jakąś piosenkę, a my wam wykonamy numer!

– O Boże, nie, przestań...

Czyjś telefon zaczął grać lichą wersję *New York, New York*.

– To nie to miasto! – zawołała Annie.

– Nie szkodzi. Chodź! – I Polly, objąwszy ją ramieniem, zaczęła płaszać, wyrzucając w górę nogi. Annie bez przekonania zaczęła robić to samo, ochlapując sobie spódnicę niewątpliwie zainfekowaną wodą. Wtem rozległ się plusk – to kolejne osoby wskakiwały do baseniku, grupka jakichś zagranicznych studentów, którzy podwinąwszy powyżej kolan nogawki dżinsów, śmiali się i klęli po hiszpańsku. Potem rodzice zaczęli wstawiać do fontanny dzieci, powietrze wypełniło się odgłosami pluskania, okrzykami i wesołą wrzawą. Piosenka zmierzała do finału, ludzie śpiewali teraz chórem: „New York, New Yoooooooooork”!

Polly zgięła się w ukłonie, zanosząc się od śmiechu.

– O Boże... Co za chwila!

Ludzie, śmiejąc się i klaszcząc, zaczęli się rozpraszać, moment przeminął. Przez tę minutę, może dwie, londyńczycy byli zjednoczeni, zamiast iść każdy swoją drogą. Dla Annie było to jak wieczność.

Polly wciąż nie mogła złapać tchu.

– Wszystko dobrze? – spytała z niepokojem Annie.

Kaszłąc, pokiwała głową.

– Warto było. To była rewelacja.

– Okej, to może byśmy weszły do środka, żeby się rozgrzać? Tort i herbata, co ty na to?

Znów zakaszła.

– Tort i herbata... brzmi... cudownie.

– Wyszły ci już nogi?

Polly uniosła chudą stopę, owiniętą w kolorowe papierowe ręczniki.

– Wyglądam, jakbym obłaziła ze skóry.

– Jak ci będzie zimno, to mów. Doktor Max powiedział, że masz na siebie uważać.

– Wszystko okej! Zdrowie. – Polly uniosła filiżankę. – Wiesz, żałuję też, że nie jadłam tortu codziennie przez całe życie. Tyle zjadłam tych sałatek i jagód goji, a i tak umrę w wieku trzydziestu pięciu lat. Co za strata, Annie... Słowo daję, te niezjedzone torty i ciastka będą mnie prześladować po tamtej stronie. Od dziś co najmniej dwa ciastka dziennie. W ramach pracy nad odbijaniem się od dna.

Annie skubała wymyślne ciastko z kremem, przyozdobione jedwabistym bładoróżowym lukrem, niemal zbyt piękne, żeby je jeść.

– A ja nawet nie umiem powiedzieć, czy byłam dotąd kiedyś w Galerii Narodowej, czy nie. Co ja robię ze swoim życiem? Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz poszłam z kimś na herbatę, tak jak teraz.

– Właśnie miałam cię o to zapytać. Gdzie są twoje przyjaciółki, Annie?

Annie zamrugała. Do bezpośredniości Polly trzeba się było przyzwyczaić.

– Kiedyś je miałam. Jeszcze ze szkoły, wiesz. Ale chyba pozwoliłam, żeby się oddaliły.

Katastrofa z Jane w jakiś sposób objęła także inne przyjaźnie. Wtedy się tym nie przejmowała; kto by żałował róż, gdy spłonął las? Teraz jednak czuła tę stratę – w każdą sobotę, kiedy siedziała sama w domu, za każdym razem, gdy myślała o wyjeździe na urlop, ale rezygnowała z tego pomysłu, bo nie chciała być tą samotną podróżniczką na wycieczce śladem Smutnych Samotnych Kobiet w malarstwie.

– No a twoje? – odbiła piłeczkę. – Też nie poznałam ani jednej twojej przyjaciółki. – A może Polly się jej wstydziła?

– No cóż, szczerze mówiąc, w pewnym sensie ich unikam.

– Dlaczego?

– Och, nie wiem. Może dlatego, że jak na nie patrzę, to widzę, jak bardzo musiałam się zmienić. I traktują mnie inaczej – jakbym się miała stłuc czy coś. W pewnym sensie chciałabym, żeby wzięły mnie na bok i powiedziały, że włożyłam coś, co gryzie się z resztą, czy coś w tym stylu, tak jak przedtem. To po prostu troszeczkę... niezręczne.

– Ja też unikam moich przyjaciółek – przyznała Annie. – Od dawna. – Od tak dawna, że nie wiedziała, czy może je jeszcze nazywać przyjaciółkami.

– Masz czas. – Polly przymknęła oczy z wyrazem błogości, przełykając makaronik w kolorze pistacjowej zieleni. – I o to właśnie chodzi, wiesz. Mnie zostało niewiele czasu, więc chcę, żeby inni robili rzeczy, których ja nie dam rady. Żeby patrzyli w gwiazdy. Jedli ciastka. Aha, i jeszcze to. – Sięgnęła do torby, naszywanej malutkimi lusterkami, i popchnęła ku Annie jakiś bilet.

– *Fantazja na temat Thomasa Tallisa* – przeczytała Annie. – Co to jest?

– Koncert. Będą grać najwspanialszy utwór muzyczny, jaki kiedykolwiek stworzono. Coś zarówno dla uszu, jak dla oczu. Pójdiesz?

– Och, nie wiem...

– Karta raka – mruknęła Polly, żując ze smakiem biszkopt królowej Wiktorii, z bitą śmietaną i truskawkami. – Proszę... Uwielbiam ten kawałek, a to może być moja ostatnia szansa, żeby go posłuchać.

– Oj, no dobrze. Ale musisz mi pozwolić, żebym ci zwróciła pieniądze. Naprawdę źle się z tym czuję. – Pamiętała, co mówił George o pasożytach.

Polly jednak wydłużyła się twarz.

– Annie, ja nie zabiorę pieniędzy ze sobą. Więc chyba lepiej będzie, jak ich użyję, żeby miło spędzić czas z przyjaciółmi, nie sądzisz?

Z przyjaciółmi... Annie cały czas myślała o tych, których straciła, a oto nieoczekiwanie znalazła nową przyjaciółkę. Myślała, że to się nigdy nie zdarzy – jak miałyby zyskać nowych przyjaciół w wieku trzydziestu pięciu lat? A jednak wyglądało na to, że zyskała, i to w kompletnie nieobiecującym środowisku oddziału neurologii szpitala w Lewisham.

– W porządku – powiedziała nieśmiało. – Ale musisz mi pozwolić, żebym sama coś zrobiła, dobrze? A nie tylko podłączała się do twoich pomysłów na coś pozytywnego.

Promienny uśmiech rozjaśnił twarz Polly i Annie zdała sobie sprawę, że to zagranie było jej bardzo na rękę.

– Może powinnaś zacząć od odszukania dawnych przyjaciółek? Bądź co bądź, ja nie zostanę tu długo.

Ale Annie nie chciała o tym teraz mówić. Chciała trwać w tej chwili, szczęśliwa, rozluźniona, z poczuciem, że naprzeciwko niej siedzi przy stoliku prawdziwa przyjaciółka. Prawdziwa przyjaciółka, która nie jest jeszcze na pół nieobecna.

– Pomyślę o tym – obiecała.

Dzień 17

POSŁUCHAJ MUZYKI

Nie wiedziałam, że tu będzie tak wytwornie. Czemu mi nie powiedziałaś, że powinnam się elegancko ubrać?

Sala koncertowa Royal Festival Hall pełna była par w starszym wieku w smokingach i długich sukniach, sączących białe wino i rozmawiających o Mahlerze. Annie przyszła w swoich zwykłych czarnych spodniach i swetrze i teraz czuła się okropnie nieubrana. Musiały też przekonać obsługę, żeby je wpuszczono, bo Polly zapomniała biletów. Poszła jednak w ruch jej karta raka (jak również karta Visa) i sytuacja została uratowana, jeśli nie liczyć paru uronionych łez. Annie trzymała się z tyłu, zażenowana, wstydząc się, że jest zażenowana. W rezultacie były teraz spóźnione i ludzie gapili się na nie, kiedy przepychały się do swojego rzędu.

Polly miała na sobie sukienkę w gałązki słoneczników.

– Och, nie przejmuj się. Kogo obchodzi, jak jesteś ubrana? Przyszliśmy, żeby posłuchać muzyki, a nie wyglądać.

– A co to jest, czego będziemy słuchać? – Zamierzała przedtem sprawdzić na YouTube, tak żeby nie wypaść na totalną ignorantkę, ale Sharon wciąż kręciła się koło jej biurka i nie udało się znaleźć właściwego momentu.

– Mój absolutny faworyt, Vaughan Williams. Jakie to piękne i dramatyczne! Snoby muzyki klasycznej pewnie powiedziałyby, że trochę cikliwe, ale kto by się przejmował.

To nawet w muzyce klasycznej są snoby? Doświadczenie Annie z muzyką na żywo obejmowało wyłącznie wyprawę na *Upiora w operze* w ramach jej panińskiego wieczoru oraz koncert zespołu Take That w hali O2. O ile pamiętała, oba wyjścia zorganizowała Jane...

Kiedy zajęły miejsca – bardzo blisko frontu, ile to musiało kosztować? – z nerwów wszystko zaczęło ją swędzieć.

Na sali panowała pełna szacunku cisza, jeśli rozmawiano, to półgłosem. Annie otworzyła z sykiem butelkę dietetycznej coli i zarobiła tym na pełne nagany spojrzenia ze strony siedzących wokół starszych państwa. Skarcona, szybko schowała butelkę pod siedzenie i postanowiła cierpieć pragnienie aż do końca koncertu. To nie był musical. Nikt nie miał żadnych napojów ani słodczy i nikt nie przeglądał Facebooka na komórce.

Cisza zrobiła się jeszcze głębsza, gdy weszła orkiestra, wszyscy w czerni. Zaczęto stroić instrumenty i umieszczać nuty na pulpitych. Muzycy wyglądali niezwykle uroczyście, byli krańcowo skupieni. Nerwy Annie napięły się jeszcze bardziej. A jak będzie musiała zakaszleć? I to w jakimś szczególnie ważnym

momencie? Zlinczują ją?

– No to ruszamy – szepnęła Polly. Nawet te trzy słowa wywołały kolejne gromiące spojrzenia sąsiadów.

Annie zacisnęła ręce na krawędzi fotela. Zbierało jej się na kichanie. O Boże, naprawdę zaraz kichnie... Zmarszczyła nos i w tej chwili rozbrzmiały pierwsze tony.

Ożeż... Annie poczuła, że marszczy brwi i zagryza usta. Co za moc! Głębokie basowe tony, ten sam motyw podejmowany przez różne instrumenty, wciąż na nowo, przedzielany momentami ciszy. Czuła, że drży. Melodia wprost paliła jej uszy, w brzuchu wibrowało. Złapała się na tym, że ścisła kurczowo siedzenie. A odruch kichania zniknął.

Dwadzieścia minut później wybuchła burza oklasków. Annie ocierała oczy. Polly zwróciła się ku niej.

– No i?

– To było dobre. To było... dobre. – Najlepsze, co w życiu słyszała.

– Masz ten moment z *Pretty Woman*? Przykro mi, że nie mogę cię nigdzie zabrać prywatnym odrzutowcem, ale ma to tę dobrą stronę, że nie musisz uprawiać ze mną seksu za pieniądze. – Głos Polly był jak zwykle donośny i dwoje starszków za nimi cmoknęło z dezaprobatą.

Muzycy poprawiali się na stołkach, szykując się do następnej części, gdy wtem salę wypełniły głośne dźwięki *Like a Virgin* Madonny. Annie rozejrzała się w poszukiwaniu źródła muzyki – czyżby to, nie daj Boże, jej telefon? Nie, to był telefon Polly. Wszyscy na nie patrzyli. Nawet członkowie orkiestry spojrzeli z irytacją.

Polly spokojnie, bez pośpiechu znalazła komórkę i wcisnęła „zakończ”, przedtem jednak Annie zobaczyła na ekraniku imię: Tom.

Spojrzała na Polly szeroko otwartymi oczami, ona jednak tylko się roześmiała.

– Zdaje się, że za chwilę nas stąd wyrzucą. Chodź, kupimy sobie jakieś churro i przejdziemy się wzdłuż Tamizy. – I przepchnęły się do wyjścia, czując na sobie ciężar dezaprobaty pięciuset osób. Jednak Annie nie przejmowała się tym aż tak, jak kiedyś by pomyślała.

Dzień 18

ZNAJDŹ CZAS NA POGAWĘDKĘ

Czego ty słuchasz? – spytała Sharon, stając przy biurku Annie.

Annie pośpiesznie zdjęła słuchawki. Wciąż na nowo odtwarzała Vaughana Williamsa. Patrzyła przez okno na ponure, oświetlone jarzeniówkami otoczenie biura, a w głowie huczała jej muzyka.

– Niczego – mruknęła.

– Nie używamy w biurze słuchawek. A jakbym cię potrzebowała?

Annie mogła zauważyć, że Syed ma na głowie słuchawki przez całe dni i chodzi w nich nawet do kibelka. Ale powiedziała tylko:

– Po prostu pomachaj do mnie, jak będziesz mnie potrzebować. Albo napisz mejla.

Sharon z powrotem usiadła na swoim miejscu. Zatrzeszczało jej przy tym w kolanach.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Jaki sens być w biurze, jeśli muszę do ciebie mejlować? To antyspołeczne i tyle.

Ale Annie prawie jej nie słyszała, bo dalszy ciąg zatonął w łkaniu skrzypiec i naprawdę już jej to nie obchodziło.

Dzień 19

PRZYGARNIJ ZWIERZAKA

Zobacz! Śliczny, prawda?

Annie opuściła wzrok ku stopom Polly w srebrnych połyskujących pantoflach na grubej platformie. Miało się niemal wrażenie, że usiłuje się z nich wydobyć, tak jakby chciała jak najprędzej chodzić po ziemi jak ludzie normalni.

– Pies!

– Szczeniak. – Polly schyliła się i wzięła na ręce wijącą się u jej stóp płataninę łapek. Najwyraźniej był to bokser – miał tępy, zadarty nosek i ciemne, wilgotne oczy i wydzielał silną woń mokrego futra. – Nazywa się Buster.

– Ale skąd go...

– Och, po prostu obudziłam się i przypomniało mi się, o czym zawsze marzyłam.

– O pchłach? O wściekliwości?

– O ślicznym szczeniaku. Więc kupiłam od jednego faceta na Gumtree. Nic łatwiejszego.

– Hm... a ile...?

– Ojejku, osiemset funtów czy jakoś tak. – Polly całowała szczeniaka i robiła do niego głupie miny, a ten popiskiwał radośnie.

Osiemset funtów. To była prawie cała jej miesięczna pensja... Powstrzymała chęć przewrócenia oczami.

– Poll... czy ty sobie zdajesz sprawę, że to jest szpital? Przyniosłaś psa w miejsce, gdzie jest pełno chorych.

– W porządku, na pewno się niczym nie zarazi.

– Polly! A jak w ogóle udało ci się go tu wkręcić?

– Przeszmuglowałam go w torbie. – Ton Polly był teraz obronny. – Pomyślałam, że może trochę ludzi rozweseli. Tu jest tak depresyjnie.

– Owszem, na neurologii jest depresyjnie, ale spójrz tylko na niego.

Buster, wijąc się w rękach Polly i wybałuszając oczy, robił teraz siusiu na posadzkę korytarza. Zabawne – miała kolor siuszków.

– Ups – powiedziała Polly.

– Idę po doktora Maksa – zdecydowała Annie.

Kłęczał przed automatem do sprzedaży słodczy. Rękę włożył głęboko do środka, a na twarzy miał wyraz gorączkowej koncentracji.

– Co się dzieje?

– Ćśśś! To bardzo delikatny manewr... aha! – I wyciągnął zwycięsko rękę, w której dzierzył batonik KitKat. – Jeden zero, ręce chirurga kontra cholerna złodziejska maszyna. – Dostrzegł spojrzenie Annie. – Zapłaciłem za niego! I nie

wyszedł. A nie mam nic na lunch.

– Ja pana nie oceniam. Potrzebuję tylko pańskiej pomocy.

– A co się stało? – spytał, rozsiewając drobiny czekolady.

Powiedziała. Twarz mu się wyciągnęła.

– Słusznie. Nie ma zgody. Niech mnie pani do niej zaprowadzi.

Dziesięć minut później doktor Max zaprowadził nadąsaną Polly na rezonans magnetyczny, zrobiwszy jej uprzednio kazanie na temat wszelkich rodzajów infekcji, jakich źródłem może być szczeniak. Teraz na czworakach wycierał kałużę moczu za pomocą niebieskiego szpitalnego papieru toaletowego. Buster przycupnął lękliwie pod ścianą.

– Może pomóc? – zaproponowała nieśmiało Annie.

– Nie. Gotowe. Cholerni nieodpowiedzialni pseudohodowcy... Traktują psy jak maszyny do rozmnażania. Biedny maluch nie jest gotów na odłączenie od matki, niech pani patrzy, jaki jest wystraszony.

– Dlaczego ona...?

– Brak zahamowania. – Przysiadł w kucki i westchnął. – To zły znak, Annie. To znaczy, że guz ją zjada. Te fragmenty mózgu, które odpowiadają za kontrolę impulsów i sąd... Wie pani, jak się maluje aerografem, za pomocą maleńkich punkcików? To właśnie dzieje się teraz w jej mózgu.

Annie skinęła głową. Ścisnęła ją w gardle.

– Przedwczoraj tańczyła w fontannie.

– No widzi pani? Utrata kontroli. Niedobrze.

– Ale ona tak dobrze wygląda. Jest wesoła, niemal bez przerwy.

Cmoknął.

– To nie wesołość, to euforia. Występują też zaburzenia pamięci i zmiany nastroju, które nazywamy emocjonalną labilnością.

– Ale...

– Annie, to nie jest motywacyjny filmik pod hasłem „wykorzystaj życie najlepiej jak się da”. To jest uszkodzenie mózgu. To właśnie pani ogląda, nie co innego.

– Ja też tańczyłam w fontannie.

Krzaczaste brwi uniosły się lekko.

– Nie wygląda pani na taką, co lubi tańczyć w fontannie.

– I nie jestem taka. W sumie to nie wiem, jak to się stało. Chyba myślałam, że powstrzymam ją w ten sposób przed zrobieniem czegoś, co by było naprawdę przesadne.

Pokiwał głową.

– Ma pani na nią dobry wpływ. Nie licząc tańca. Wygląda na to, że... że to odwraca jej uwagę od tego, co się dzieje. Utrzymuje ją w równowadze.

– Czyli jest gorzej.

– Tak. I będzie coraz gorzej. Och, Annie... pani płacze?

– Po prostu... – Przygryzła wargi pod naporem łez. – Ten biedny szczeniak, zabrany od matki... To okropne.

Stał niezręcznie, trzymając w ręce kłęb mokrego papieru.

– Niech pani da spokój, Annie. Dość mamy łez na tym oddziale.

– Prze-przepraszam... Czy Buster będzie mógł wrócić na jakiś czas do swojej mamy?

– Spróbuję zwrócić go jutro. Już ja temu hodowcy powiem, co o nim myślę... Na razie piesek może zostać w moim gabinecie, poszukam mu kuwety.

– Może bym pojechała jutro z panem do tego hodowcy?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie idzie pani do pracy?

– Jutro sobota.

– Ach tak, tracę już rachubę czasu. – Uśmiechnął się, oczy mu złagodniały. – Pod warunkiem, że to pani go zboksuje. Muszę zachować te ręce chirurga, żeby mogły nadal czynić cuda. Ma pani dobry prawy sierpowy?

– Potrafię sobie poradzić w razie czego. Wychowałam się na osiedlu komunalnym.

– Och, w takim razie nalegam, żeby pani ze mną pojechała.

– To nie w porządku ze strony doktora Zrzędy, że mi zabrał Bustera – narzekwała Polly, gdy w jakiś czas później szły powoli do wyjścia. Polly przystawała, żeby pomachać temu i owemu dłonią, pogadać.

– Hej, Paul, jak tam kolano? Następnym razem nie przejmuj się tak w sądzie! Mercy, zrobiłaś sobie fryzurę? – Sprzątaczkę, pracownicy administracji, lekarze, pielęgniarki – wyglądało, że zna wszystkich. – Spokojnie potrafię zająć się psem – podjęła. – Nie ma prawa mówić, że nie potrafię.

– Jak ty zdołałaś poznać tych wszystkich ludzi? – spytała Annie, gdy Polly pomachała kolejnej portierce.

– Och, od paru miesięcy spędzam połowę życia w szpitalu. Czekanie na rezonans, pobieranie krwi, chemia... Naprawdę wykorzystałam uspołecznioną służbę zdrowia, jak tylko się da.

Annie też spędziła w szpitalu mnóstwo czasu, a nie знаła z imienia ani jednej osoby. Zanim poznała Polly, zawsze siedziała z nosem w książce albo próbowała odpowiadać w smartfonie na służbowe mejle, w poczuciu winy, że nie jest w pracy.

– A znasz doktora Maksa? – spytała, starając się, by brzmiało to swobodnie, co jej kompletnie nie wyszło.

– Tego gościa, co mi grzebał w czaszce? Tak, niewątpliwie znam jego pracę.

– Aha... a jak z nim jest? No wiesz... czy jest... – Poczowała, że się rumieni. Nienawidziła tego. U niej nie był to delikatny odcień różu, raczej eksplozja czerwieni przypominająca rozgnieciony pomidor. – Czy jest żonaty albo coś?

Chodzi mi o to, że on praktycznie mieszka w szpitalu.

Polly zaczęła się śmiać.

– Annie, ty łasiczko... Wpadł ci w oko doktor Zręda?

– Nie, skąd. Po prostu zastanawiałam się nad życiem prywatnym lekarzy.

Tak ciężko pracują. – Nie nosił obrączki, ale może to ze względu na higienę?

– Annie i Max siedzieli pod drzewem...

– Óóóó! – Annie rozejrzała się z przestrachem.

– Nie wiem, czy jest żonaty. Podejrzewam, że z pracą. Ale Annie, my nie mamy czasu na miłość, musimy zająć się życiem! Chociaż on mi chce odebrać wszelkie przyjemności.

Annie przypomniała sobie radę doktora Maksa: pomagać jej zachować równowagę.

– Polly, to przykre z tym psem, faktycznie. Ale przecież jest tyle innych przyjemności. Co byś chciała zrobić jako następną?

– Prawdę mówiąc, to, na czym mi najbardziej zależy... tylko żebyś mnie za to nie znienawidziła... to żeby zmienić twój wizerunek.

Annie jęknęła.

– Naprawdę? Przecież to taki banał... Czy naprawdę coś istotnego się zmieni, jak się umaluję?

Polly wzięła ją pod ramię. Miejmy nadzieję, że nie miała na ręce szczyknięcych siuszków...

– Rozumiem, co masz na myśli. Wiem, że to trochę protekcyjnalne zmieniać komuś wygląd. Ale jest tyle możliwości pod tym względem! Tyle ciuchów, tyle kolorów włosów, tyle rodzajów makijażu... A ja niemal przez całe życie, aż do teraz, nosiłam wciąż takie same rzeczy. Kostiumy, proste sukienki bez rękawów. Dżinsy, dżinsy i jeszcze raz dżinsy. Legginsy. Zawsze taka sama kredka do oczu, Barry M. Właśnie dlatego próbuję teraz wkładać bez żadnego porządku wszystko, co mam w szafie. A ty zawsze ubierasz się na czarno?

Annie spojrzała na swój strój: spodnie i szarą koszulę, którą nosiła do pracy.

– Tak jest wygodniej. Oszczędzam rano trochę czasu. – Ale wiedziała, że to wymówka. Kiedyś przecież lubiła ciuchy, prawda? W ciąży kupowała sobie tyle różnych ubrań. Lubiała swoją zmieniającą się sylwetkę, obietnicę tego, co miało nadejść.

– Fajnie by było – namawiała ją Polly. – Jak myślisz, dlaczego się tak ubieram? – Wzięła w dwa palce sukienkę, którą dziś miała na sobie, krótką różową z falbankami, a do tego pomarańczowe rajstopy. – Nie zostało mi wiele czasu, Annie. Może nigdy więcej nie włożę spódnico-spodni ani kowbojek. Muszę to zrobić teraz albo nigdy. No więc jak – dołączasz do mnie? Pamiętaj, jeśli się nie powiedzie plan A, to jest jeszcze dwadzieścia pięć innych liter alfabetu do wyboru.

– Czy ty mnie bierzesz na kartę raka?

– Myślałam, że to jasne.

Co mogła na to powiedzieć? Polly umierała – jej rak był rzeczą realną. Przynajmniej tyle mogła zrobić – zacząć się głupio ubierać.

– Okej. Może byś do mnie przyszła? Mogłybyśmy, bo ja wiem, pomalować sobie paznokcie czy coś.

– Cudownie. Przyniosę brownie.

– Nie mamy dziewięciu lat – mruknęła Annie. – To nie jest nocleg u koleżanki, kiedy... Ojej. – Stanęła jak wryta.

– Annie? – Polly obejrzała się na nią. – Strasznie zbladłaś. Co jest?

Uciekać. Schować się. Szybko. Szybko! Ale nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Jak skamieniała wpatrywała się w siedzącego w barku mężczyznę. Nie widziała, co pił, ale wiedziała, co to może być. Latte plus jedna łyżeczka cukru. Pół łyżeczki, jeśli starał się zrzucić wagę. Miał na sobie dżinsy i zieloną koszulkę polo, ramiona były opalone i silne.

Jego krzyk z korytarza: „Annie, dzwoń po pogotowie!” Grzebanie w pościeli za telefonem, wybieranie numeru drżącymi palcami, panika...

– Annie? – Polly pomachała jej dłonią przed oczami. – Co z tobą? – Głos miała jasny, przenikliwy. Annie wróciła do siebie i skulona, szybko przemknęła obok barku. Polly w swoich niepraktycznych butach szła wolniej, zatrzymała się też na chwilę, żeby pozdrowić jakiegoś młodego lekarza.

– O, cześć, Kieran. Masz dziś nockę? Pamiętaj, żeby spróbować tych suplementów, co ci mówiłam. Znakomicie stymulują melatoninę.

Annie opadła na krzesło, pokryte zielonym plastikiem. Przez pęknięcia wylaziła gąbka. Wokół rozbrzmiewały odgłosy szpitalnego życia, skrzypiały koła wózków, popiskiwały monitory, postukiwały pośpieszne kroki. Jedni kończą życie. Inni zaczynają.

– Co się dzieje? – spytała Polly.

– Po prostu... po prostu zobaczyłam kogoś, kogo dawno nie widziałam.

– Kogo? Dawno zmarłego ojca? Dawną miłość? Bo coś cię naprawdę zaszokowało.

– Nie, nie, wszystko dobrze. Po prostu... nie jadłam obiadu. Chyba lepiej pójde do domu.

I ze spuszczoną głową, zasłaniając twarz szalikiem, szybko ruszyła do wyjścia. Choć nie sądziła, by ją zauważył, nawet gdyby przeszedł obok jawnie. Była pewna, że w ogóle o niej nie myśli.

Dzień 20

PODNIĘŚ SOBIE ADRENALINĘ

Czy to tu? – spytała Annie nerwowo.

Byli w samochodzie doktora Maksa, który, podobnie jak jego właściciel, nie był zbyt elegancki: miał rysy i wgniecenia, a na tapicerce piach i jakieś okruchy, w których Annie rozpoznała resztki batonika Toffee Crisp. Zaparkowali koło złomowiska w Deptford. W pobliżu nikogo nie było. Pomiędzy spalonymi samochodami widniały kupy gruzu, a z niewielkiego przenośnego baraku sączyła się piosenka Rihanny.

– Tu go Polly dostała, tak powiedziała. – Doktor Max wydał coś w rodzaju warknięcia. – Nie mogę uwierzyć, że dotarła tu sama. Czasem mi się wydaje, że to dziewczę jest stuknięte, czy ma raka mózgu, czy nie.

– Mam wejść do środka? – Buster, u jej stóp, popiskiwał cicho, żując samochodową matę.

– Wejźdźmy oboje. Nie jestem pewien, na ile tam jest bezpiecznie – zażartował, nawiązując do tego, co mówili o boksowaniu, ale Annie była niespokojna. Wysiadła z Busterem za pazuchą. Wokół panowała głucha cisza, zakłócana jedynie przez radio i pobrzękiwanie rdzewiejącego metalu na wietrze.

– Halo! – zawołała. Żadnego odzewu.

Doktor Max podszedł do kabiny. Tył koszuli wyszedł mu ze spodni.

– Halo, halo! Jest tam kto?

Drzwi zaskrzypiały i z kabiny wyszedł groźnie wyglądający mężczyzna. Wycierał ręce w szmatę. Był w czarnej, bardzo obcisłej kamizelce, obnażone ramiona miały grubość pnia drzewa.

– Czego chcecie? – zabelkotał niewyraźnie.

– Hm... dzień dobry – powiedziała nerwowo Annie. – Moja przyjaciółka kupiła wczoraj od pana tego psa, ale nie może go zatrzymać... wie pan, ma raka.

– To nie mój problem.

– On jest o wiele za młody, żeby go zabierać od matki – zaatakował doktor Max. – A w ogóle gdzie jest matka?

– Sprzedałem ją.

– Na litość boską... Ma pan chociaż licencję hodowlaną? Powinien pan się wstydzić, kolego.

Facet przestąpił z nogi na nogę, mięśnie mu zafalowały. Annie przytuliła Bustera i zaczęła się cofać. Czowała przez sweter szybkie bicie jego serca, do wtóru jej własnego.

– Doktorze, może powinniśmy...

– Nie zamierzam się bać. Oni tu łamią prawo!

Facet zagwizdał, jakby przywołując psa, i z kabiny wyszło w milczeniu dwóch innych. Annie zamarła.

– Yyy... doktorze...

– ...to, co tu widzę, to skandal, zgłoszę pana do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. I żądam pełnego zwrotu pieniędzy, które zapłaciła moja pacjentka!

– Doktorze Max! – Annie cofała się już w stronę samochodu. – Chyba powinniśmy się stąd zabierać!

Ale Max stanął już w pozycji do walki. Był solidnie zbudowany, ale gdzie mu tam do trzech mięśniaków, którzy go otaczali! Annie mignął w wyobraźni przerażający obraz: doktor Max leży na ziemi z twarzą zbitą na czerwoną miazgę. Taka miła twarz...

– Proszę pana! – zawołała do prowodyra szajki. – On jest po prostu zirytowany, bo moja przyjaciółka ma raka. On jest lekarzem!

Mięśniak milczał, ale przechylił głowę na bok i słuchał.

– To dobry lekarz – ciągnęła. – Pomaga tylu ludziom. Niech go pan nie bije... on jest chirurgiem, musi uważać na ręce!

– Lekarz?

– Tak. Słowo honoru, i tak ciężko pracuje!

– Annie, ja tu jestem!

– Ćśśś! – Rzuciła mu piorunujące spojrzenie. – To co, może po prostu idziemy, zabieramy psa i więcej do tego nie wracamy?

– Chrzanić to, ja nie zamierzam uciekać, ja...

– Zamknij się, Max! – wrzasnęła w panice.

Jeden z facetów podszedł. Był jeszcze większy, niczym największa matrioszka, w której mieszczą się pozostałe. Trzymał ręce za metalową sprzączką pasa i Annie nie wiedziała, co nastąpi. Czy uderzy nią Maksa? Facet tymczasem opuścił spodnie.

– Widzi pan to? Co to jest?

Doktor Max zamrugał. Na owłosionym tyłku mężczyzny widniało jakieś znamię

– Yyy... to znamię.

– Złośliwe?

– Nie umiem powiedzieć. – Doktor Max zmrużył oczy. – Na moje oko jest okej, o ile w ostatnim czasie się nie zmieniło.

– To stare.

– Powinien to panu obejrzeć dermatolog, ale na razie nie widzę specjalnego powodu do niepokoju.

Facet zapiął z powrotem pas i cała trójka wymieniła wymowne spojrzenie. Prowodyr poszedł do kabiny i wrócił z garścią zatłuszczonych banknotów.

– Połowa – mruknął. – Nie mogę wziąć psa z powrotem. Nie mam gdzie go

trzymać.

– Zabierzemy go – pośpieszyła ochoczo Annie. – Przez jakiś czas może być ze mną. Wszystko w porządku, naprawdę. – Choć jak będzie trzymać szczeniaka na dziesiątym piętrze, nie miała pojęcia. Jedyne co wiedziała, to że muszą się stąd zabierać, bo inaczej będzie musiała zeskrobywać Maksa z chodnika. – Proszę – syknęła. – Jest pan potrzebny pacjentom. Jest pan potrzebny Polly.

– Dałbym radę tym facetom.

– Wiem. Na pewno by pan dał. Ale może byśmy się stąd zabrali?

Wciąż zaciskając pięści, niechętnie pokiwał głową.

– Naprawdę może się pani zająć tym szczeniakiem? Ja bym go wziął, ale nigdy nie ma mnie w domu. To niedobre dla takiego malucha.

– Oczywiście że mogę. To co, idziemy?

W końcu się odwrócił i Annie pomknęła do samochodu tak szybko, że z łatwością wygrałaby w szkole bieg na sto metrów, zamiast, jak to bywało w rzeczywistości, przybiec jako ostatnia. Buster, przytulony do niej, niepomny niczego, wywiesił różowy jęczyzek.

– Wygląda, że załatwiła sobie pani psa – rzekł doktor Max, włączając silnik.

– Jedziemy. Trzeba znaleźć jakiś sklep z artykułami dla zwierząt.

Dzień 21

ZMIENŃ SWÓJ WIZERUNEK

Czy jest pani gotowa na zbliżenie, pani Hebden?

– Absolutnie nie. Ale może lepiej wejdz. – Annie otworzyła drzwi Polly, ubranej jak z plakatu rekrutacyjnego z czasów drugiej wojny światowej: szaroniebieski kombinezon, czerwona szminka, szal na głowie. Sama Annie miała na sobie spodnie od piżamy i bluzę z kapturem. Bluza miała z boku coś zaschniętego i kruszącego się – zdaje się, że była to owsianka. Może Polly ma rację, że powinna coś zrobić ze swoim wyglądem.

– Pomóż mi z tym, co? – Polly walczyła z ogromną walizką. – Ojej, mój dzidzius! – Padła na podłogę obok Bustera, pozwalając, by lizał ją po twarzy.

– Jesteś pewna, że powinnaś to robić?

– Oj, ty też nie powinnaś. Ale ja i tak umieram. Więc się przynajmniej pomiziam z tym kochanym maleństwem.

Annie pomyślała, że kochane maleństwo przesadza. W nocy z dziesięć razy wstawali z Costasem i zjeżdżali z Busterem na dół, żeby „zrobił siusiu”, choć Costas musiał być na nogach o piątej rano. Pomimo to rano zauważyła parę podejrzanych kałuż i musiała otworzyć wszystkie okna, żeby wywietrzyć odór, i teraz w mieszkaniu było jak w lodowni. Na szczęście Costas przyjął szczeniaczka z entuzjazmem i zwracając się do niego, mówił o sobie „tatuś”, co martwiło Annie. Przecież Buster nie mógł zostać na stałe.

Na widok walizki poczuła niepokój.

– To nie będziemy po prostu... no wiesz, robić sobie pedikiuru i oglądać *Orange is the New Black*?

Polly się roześmiała.

– Nieźle, nieźle, Hebden. Znasz moje motto. Mierz wysoko albo siedź w domu.

– Właśnie jestem w domu – mruknęła, ale wiedziała, że na próżno. I gdyby miała być wobec siebie w stu procentach uczciwa, to fakt – była troszkę podekscytowana, widząc, jak Polly wyciąga z walizki najróżniejsze tkaniny. Sztuczne futra. Jedwabie. Gładkie i we wzory. Czerwone, zielone, fioletowe.

Polly przyjrzała się jej krytycznie.

– Masz rację, najpierw baza. Kiedy ostatni raz robiłaś coś ze swoimi stopami?

Dziesięć minut później Annie, wśród wielu protestów, siedziała okręcona ręcznikiem, mocząc nogi w misce z mydlinami, a jej damskie fragmenty zostały potraktowane nadzwyczaj palącym kremem. Buster tymczasem żuł w kącie jej pantofle. Próbowwała tłumaczyć, że jej brak dbałości o urodę to postawa

feministyczna, ale Polly tylko uniosła nieistniejące brwi.

– Doprawdy? A może raczej chodzi o to, że od lat nie pozwalałaś, żeby ktoś się do ciebie zbliżył?

– Jedno i drugie – przyznała chmurnie Annie. Teraz patrzyła, jak Polly podchodzi do niej, trzymając w rękach coś, co przypominało taśmę klejącą.

– Co to jest?

– Nic. O Chryste, a co to takiego?

– Co... auuuu! – Polly jednym ruchem przykleiła jej coś do nóg i równie szybko oderwała. – Matko Boska! Co to było?

– Wosk, a co by innego. Dawaj, lecimy dalej. Im szybciej, tym lepiej.

– Nienawidzę cię – mruknęła Annie. A nie był to jeszcze koniec. Jej stopy zmuszono do uległości, paznokcie u nóg zostały przycięte, a u rąk – opiłowane.

Polly wciąż kręciła głową.

– Jak mogłaś doprowadzić paznokcie do takiego stanu? Przecież patrzyłaś na nie, ilekroć kładłaś ręce na klawiaturę?

Annie miała ochotę powiedzieć, że bardzo łatwo jest coś takiego ignorować. Wystarczy, że człowiek zamknie oczy albo spojrzy na coś innego i powie sobie, że w sytuacji, w jakiej się znajduje, nie ma żadnego znaczenia, że paznokcie są obgryzione, a skórki czerwone i pełne zadziorów. Ale nie mogła, bo twarz jej zasmarowano przypominającą gips maseczką i bała się oddychać w obawie, że wszystko popęka. Czuła dyskomfort w całym ciele, które dotąd spoczywało w pokoju i zaniedbaniu, a teraz nagle każdy jego fragment był atakowany, pozbawiany owłosienia, polerowany i nawilżany.

– Nie chodzi o urodę – perorowała Polly. – Jest sto najróżniejszych sposobów, żeby znakomicie wyglądać. Chodzi o to, żeby o siebie dbać. Jeśli masz tłuste włosy, a ręce są czerwone i popękane, to jak możesz się dobrze czuć?

Właśnie regulowano Annie brwi, kiedy drzwi się otworzyły. O nie... Costas! Liczyła, że zostanie dziś na noc... Był w roboczej koszulce i emanował wonią kawy, ale uśmiech miał szeroki.

– Polly!

– Cześć. – Cmoknęli się z Polly. – Przerabiam na nowo twoją śliczną współmieszkanekę.

Costas klasnął w ręce.

– Moje siostry też tak robią. Zawsze malowałem im paznokcie!

I po kolejnych dziesięciu minutach Annie, głęboko zawstydzona, leżała i patrzyła w sufit, a Polly tymczasem malowała jej paznokcie u rąk złotym opalizującym lakierem, a Costas u nóg – srebrnym. Fakt, że jej praktycznie nastoletni współmieszkaniec klęczał pomiędzy jej kostkami, nie był bynajmniej czymś, o czym zawsze marzyła... Buster przyglądał się wszystkiemu z uwagą, przekrzywiając głowę.

– Mam nadzieję, że niedługo koniec? – spytała Annie. – O dziesiątej lecą *Chirurdzy*, a...

– Do końca daleko – ucięła Polly. – Jeszcze włosy, makijaż i ciuchy. Costas, pozwól, że spytam... jak myślisz, co Annie powinna nosić?

– Szerokie spódnice – odparł bez namysłu. – Jest... jak wy to nazywacie... pulchna, więc potrzebne jest jej... no wiesz. – Powiódł dłońmi w powietrzu z dala od bioder. – Szerokie spódnice. A tu obcisło – położył stulone dłonie na chudej, umięśnionej piersi.

– Cudownie! – Polly z entuzjazmem pokiwała głową, pozostawiając na palcach Annie niekontrolowane maźnięcia. – Jak suknia na bal maturalny. Świetny pomysł! A oprócz tego coś jak spódnica ołówkowa i bluzka, plus wysokie obcasy.

– A nie obcisłe czarne spodnie – mruknął pośepnie Costas, tak jakby już kiedyś o tym z Polly mówili. Annie pomyślała, że to trochę za wiele ze strony faceta, który nosił koszulki tak obcisłe, że niemal widać było, co jadł na śniadanie (zwykle był to proteinowy szejk).

– Słyszę cię – powiedziała surowo.

Polly zignorowała to i zerwała się na równe nogi.

– Teraz przez pięć minut się nie ruszaj. Ubierzemy cię.

Czerwona jedwabna spódniczka z falbaniastą halką. Obcisły sweterek z krótkim rękawem, jak te z lat pięćdziesiątych.

– Oprzyj się na mnie. – Polly wsunęła jej stopę w czerwony pantofel na szpilce. – Teraz druga. – Szpilki były wysokie, nigdy nie miała czegoś takiego na nogach i ledwie była w stanie w nich kuśtykać.

– Nie dam rady w nich chodzić! Jak niby mam przejść na szpilkach przez to bagno koło stacji w Lewisham?

– Annieeee! W takim stroju nie chodzi się pieszo! W takim stroju zamawiasz taksówkę, która podwozi cię pod drzwi restauracji, a ty, unosząc po królewsku głowę, wślizgujesz się z wdziękiem do wnętrza.

– Nie stać mnie na taksówki. I nie chodzę do restauracji. – W każdym razie już nie chodzi.

Polly przewróciła oczami.

– To na specjalne okazje. Kiedy warto się wysilić. Nie wiesz?

Annie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zdarzyła się jej w życiu podobna okazja. Nawet w dniu ślubu Mike powiedział, że do USC mogą w sumie podjechać własnym autem. Dom zabrał całą kasę, jaką mieli, i nie było sensu płacić ekstra.

– Do biura tego nie mogę nosić, wyśmialiby mnie.

– Jasne że nie możesz. Dlatego mamy inne opcje. Costas!

Costas, w maleńkim toczku z woalką, zaczął prezentować zestawy.

– Niezobowiązujące popołudniowe wyjście. – Były to kozaki, zamszowa spódniczka mini i czarny sweterek z wycięciem. – Pokaż swój biust, Annie!

Kolejny ozdobny gest, kolejny zestaw.

– Wieczorna randka. („Aha, uważaj”, mruknęła pod nosem Annie). – Tym razem była to sukienka do pół łydki o falbaniastych rękawach, śliczna, musiała przyznać, a do tego skórzana ramoneska.

– Żeby nie było tak słodko – wyjaśnił Costas. – Że niby taka z ciebie, grrrr, ostra laska.

Annie nie przypominała sobie, żeby ktoś ją kiedykolwiek określił jako „ostrą laskę”.

– Dzień na wyścigach. – Kwiecista sukienka o szerokich ramiączkach, spódnicy w kształcie litery A i obcisłej talii, z przewagą żółci i różu. – Oczywiście do tego wielki kapelusz. I wysokie obcasy.

– Nigdy w życiu nie byłam na wyścigach – poskarżyła się Annie. – A co mam nosić w zwykłe dni? Do pracy? Do szpitala?

– Jutro włóż tę czerwoną sukienkę – poleciała Polly. – I kurtkę też. A kozaki, jeśli masz, nie dłuższe niż do pół łydki. Włosy wysoko w koński ogon. Czerwona szminka. Pokażę ci.

Włosy Annie zostały nakręcone na grube wałki. Miała wrażenie, że została podzielona na kawałki, każdy kawałek zmieniono, po czym złożono z powrotem, jak wtedy, kiedy pierze się kolejno połówki firanek. Ale jaki to ma sens, jeśli w środku człowiek pozostaje taki sam?

W jakiejś chwili Costas spojrział na swój zegarek Casio.

– Na mnie pora. Wychodzę! – Było wpół do dziesiątej.

– Ach, znowu być młodą – westchnęła Polly. – Kiedyś uwielbiałam chodzić w sobotę wieczór do klubów gejowskich. Baw się dobrze, kochanie!

– Mogę iść w tym toczku?

– Proszę cię bardzo. Wyglądasz w nim rewelacyjnie. I wiesz co, marnujesz się przy tej kawie. Ty naprawdę znasz się na ciuchach.

Wzruszył ramionami.

– To tak na razie, zanim znajdę coś lepszego. Cześć, Polly, cześć, Annie. Ostra laska! Grrrr. – Przykucnął, żeby pocałować Bustera w czołko pomiędzy ciemnymi ślepkami. – Pa, pa, słodziaku. Nie martw się, tatuś rano wróci i zabierze cię na siusianie.

Annie miała nadzieję, że się zanadto nie przywiąże do psa.

– Będziemy musieli to wyjaśnić – mruknęła i zaczęła zbierać naręcza ciuchów, rejestrując wzrokiem błysk złota na paznokciach. – A swoją drogą, skąd to wszystko wzięłaś? Bo to na pewno nie twoje. – Polly była o wiele szczuplejsza niż Annie i ze dwadzieścia centymetrów wyższa.

– Mam koleżankę stylistkę, Sandy. Całe pokoje ma wypchane ciuchami, to po prostu nie-sa-mo-wi-te. Powiedziała, że możesz sobie wziąć, co chcesz, ona dostaje tego całe samochody od firm, które liczą, że którąś z jej klientek celebrytek

sfotografują w ich ciuchu paparazzi.

– Dzięki. – Bynajmniej nie miała zamiaru nosić tych ciuchów. Można się pobawić w przebierankę, ale poddawać się wyświechtanemu pomysłowi, że nowy wizerunek to nowe życie? No nie.

Polly siedziała na krześle, tak jakby nagle opuściła ją wszelka energia.

– No dobra. To może byś mi teraz powiedziała, co to było wczoraj?

Annie, ze słomkowym kapeluszem w ręce, zamarła.

– Yyy... że co?

– No ten facet, przed którym wczoraj uciekałaś.

Annie zacisnęła dłonie na rondzie kapelusza.

– Wcale nie uciekałam.

Polly przez chwilę milczała.

– Annie. Jak nie chcesz mi mówić, to okej, ale nie kłam, dobrze? To ma coś wspólnego z tym, dlaczego tu mieszkasz i dlaczego do spółki z Costasem, tak?

– Mieszkam tu, bo nie mogę kupić mieszkania i nie mogę płacić w pojedynkę czynszu, i nie mogę wynająć nic lepszego.

Polly przypatrywała się własnym paznokciom.

– Dużo w tym zdaniu rozmaitych „nie mogę”, moja kochana Ponuraczko.

Annie cisnęła kapelusz na walizkę z siłą większą, niż zamierzała.

– Wiesz co? Moje życie nie zawsze było takie jak teraz. Po prostu... Mam zły okres, rozumiesz? Kiedyś lubiłam ciuchy. Stroiłam się, jak wychodziłam, nosiłam dzinsy z ładnymi bluzkami i wysokie obcasy, i dbałam o włosy, i kupowałam czasopisma na temat urządzania wnętrz, i piekłam ciasta, i projektowałam własne meble. Wszystko! I miałam kiedyś ładny dom... naprawdę ładny, uwielbiałam go. Ale to wszystko było z Mikiem.

– A Mike to...?

Annie westchnęła. Nie cierpiała tego fragmentu swojego życia. Nie cierpiała tego, jak ludzie na nią patrzą, kiedy usłyszą tę historię.

– Był moim mężem.

– Jesteś rozwiedziona! No no. A może zginął w jakimś okropnym wypadku? O Boże, przepraszam, jeśli zginął.

– Nie, ma się doskonale, o ile wiem, i nadal mieszka w naszym domu. Z Jane.

– Mike i Jane, imiona jak z książki dla dzieci. A Jane to...?

– Była moją najlepszą przyjaciółką. Od czasów, kiedy miałyśmy po pięć lat.

Annie-i-Jane. Szkoła podstawowa, szkoła średnia, odwiedziny u Jane na uniwerku, wspólna podróż pociągiem po Hiszpanii, Jane jest druhną Annie na jej ślubie. Aż do dnia, kiedy Mike wrócił do domu i rzekł: „Annie, muszę ci coś powiedzieć”. Zapamiętała tylko strzępy tej rozmowy, była w szoku. „Zakochałem się... Nie miałem zamiaru... Nie chciałem cię skrzywdzić...”

– Ach, już łapię. – Polly się rozpromieniła. – Ten facet w szpitalu to był Mike?

– Tak.

– A co on tam robił? Jest chory?

– Nie wiem. – Mógł być inny powód, dla którego tam go spotkała, ale był tak straszny, że nawet nie chciała o tym myśleć.

– Przepraszam, to musiało być okropne, ale ja tak lubię fajne łzawe historie. Mąż cię porzucił dla twojej najlepszej przyjaciółki! I co było dalej? Pobrali się?

Zamiast odpowiedzi Annie wyjęła z kieszeni telefon. Weszła na Facebooka i chwilę szukała, po czym otworzyła zdjęcie uśmiechniętej blondynki, która trzymała w ręce kieliszek z jakimś różowym koktajlem. Nos też miała zaróżowiony – rzadko używała filtrów słonecznych, o co Annie stale jej dokuczała.

Polly zajrzała.

– Jane Hebden. To jego nazwisko? Nie wróciłaś do nazwiska Clarke?

– Nie. – Nie bardzo wiedziała dlaczego. Może myślała, że wystarczająco dużo już straciła? W pewnym sensie na złość, żeby nie wymazywać wszelkich śladów ich małżeństwa. Jane i tak zabrała wszystko inne.

– I wciąż jesteście znajomymi na Facebooku, z nią i z nim? Czyli możesz oglądać ich zdjęcia i torturować siebie samą?

– Hm... tak. – To było prawie jej hobby, śledzenie ich w sieci.

– No dobrze. – Polly wstała, co najwyraźniej kosztowało ją trochę wysiłku. – Muszę ci to oddać, Annie, to faktycznie kaszana. Coś jeszcze? Tylko ostrzegam, lepiej się nie bierz za raka. To moja działka. Nie próbuj mnie pobić w konkurencji „najtragiczniesz historia świata”.

Przez chwilę Annie myślała, czyby jej nie powiedzieć o wszystkim – krwi na pizamie Mike’a, niebieskich świateł pogotowia w oknach salonu, własnym krzyku, dochodzącym z jakiegoś miejsca w głębi niej – ale nie mogła. Mówić o tym w głos? – chyba tego nie zniosła.

– Gówniana praca, gówniane mieszkanie, rozwód, niedołączna matka. To wszystko.

– No tak. – Polly schyliła się, żeby pomóc jej pozbierać rzeczy, szyfony, koronki, jedwabie i skóry. – Dobrana z nas para, Annie, co nie? Ja umieram, a ty pewnie chciałabyś umrzeć.

– Chciałam... troszeczkę.

– Nie mam ci za złe. To potężna gównoburza. Pytanie jednak... co zamierzasz z tym zrobić?

– Co masz na myśli?

– No cóż, dla mnie jest za późno. Mogę starać się cieszyć moimi stoma-czy-ileś-tam dniami, ale więcej nie dostanę. A ty wciąż masz przed sobą całe życie. Co masz zamiar z nim zrobić? Pamiętaj, nie o to chodzi, żeby liczyć dni –

chodzi o to, żeby dni się liczyły.

Annie milczała. Pytanie było dla niej przerażające. Złość i ból nadały kształt jej życiu, tak jak perła formuje się wokół ziarenka piasku w muszli ostrygi. Choć nie była już Annie, żoną Mike'a i matką Jacoba, to była Annie, która nienawidzi Jane i Mike'a. Którą potraktowano okrutnie i niesprawiedliwie. Która była wściekła i zawzięta, i nie wybaczała. Kim będzie, jeśli pozwoli, by to wszystko odeszło?

– Poważne pytania – rzekła Polly. – Co byś powiedziała, gdybyśmy teraz wypily filiżankę herbaty i obejrzały coś w telewizji?

– Bardzo chętnie – odparła Annie z wdzięcznością.

– Ale jutro, droga Annie, wkładasz czerwoną sukienkę i malujesz się tą szminką, tak jak ci pokażę, i czeszesz się ładnie, i robisz coś pozytywnego w kierunku zmiany tego wszystkiego. Zgoda?

Annie skinęła głową. Łatwiej było po prostu się zgodzić; już się tego nauczyła.

– Pozwól, że zmyję ten makijaż, a potem pójde zaparzyć herbatę.

Pomimo wesołości w głosie Polly wyglądała na wyczerpaną. Oczy miała podkrążone na zielono i nie miało to nic wspólnego z makijażem.

– Okej. To ja może na sekundę zamknę oczy.

W łazience Annie długo szukała mleczka do demakijażu. Już tak dawno nie używała niczego poza natłuszczającą pomadką do warg... Wreszcie znalazła, ale przy okazji zauważyła w szafce coś innego. Opakowanie tabletek nasennych z napisem „Maureen Clarke” na wierzchu. Przepisano matce te tabletki, kiedy zaczęły się pierwsze objawy, a Annie je schowała, bo któregoś dnia mama wzięła pięć i za każdym razem zapomniała, że wzięła.

Przypomniał jej się tamten czas. Wszystko stracone, w ich domu mieszka mąż z jej najlepszą przyjaciółką. Przychodzi policja. „Obawiam się, że znaleźliśmy pani matkę”. Matka szła ulicą w nocnej koszuli, nie wiedząc, kim jest ani gdzie się znajduje. Ona, Annie, stała wtedy w łazience i patrzyła na to pudełeczko. Wymacywała palcami pigułki w pokrytych srebrną folią pochweczkach i wyobrażała sobie, że je wyjmuje, jedną po drugiej, i połyka. Kładzie się spać i nie budzi się więcej do tego miazdzącego bólu, który zdawał się ją przygniatać. Nie zrobiła tego, rzecz jasna – była potrzebna matce – a mimo to ich nie wyrzuciła. Dotknęła teraz delikatnie pudełeczka, po czym zamknęła drzwiczki z powrotem.

W pokoju Polly spała, oddychając miarowo. Buster, z jednym uchem w górę, a drugim w dół, delikatnie pochrapywał w jej ramionach. Przykryła ich oboje kocem, usiadła na kanapie i przerzuciła kanały, aż znalazła *Chirurgów*. Gdyby tak w szpitalu Lewisham było tylu urodziwych ludzi, co w Seattle Grace... No, oczywiście, był przystojny, sztywny doktor Quarani. I doktor Max, zgryźliwy i rozchełstany, ze szczeciną na brodzie i w nieprasowanych koszulach. Może mimo wszystko włoży jutro tę czerwoną sukienkę? Jak dalej będzie chodzić w czerni, to

ktoś ją w końcu weźmie za przejście dla pieszych i się po niej przespaceruje...

Dzień 22

POFLIRTUJ Z KIMŚ

Annie?

Annie obejrzała się. Stała właśnie przy barku kawowym, gdzie kupowała sobie na śniadanie latte z miodem i słodką bułeczkę. Niewiele rzeczy oprócz tego było w stanie ją wyciągnąć z łóżka w ciemny, zimny poranek.

– O, dzień dobry, doktorze Max. – Podniosła filiżankę z kawą, na próżno usiłując ukryć ociekającą syropem drożdżówkę.

Doktor Max sprawiał wrażenie, jakby nie spał całą noc. Niebieski strój chirurga miał pognieciony, a włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby włożył palec do kontaktu. Mimo to na jego widok poczuła ciepło w żołądku, rozchodzące się po całym ciele aż do czubka głowy i koniuszków palców u nóg.

– Wygląda pani jakoś inaczej. – Zmarszczył brwi. – Coś pani zrobiła?

Annie, zgodnie z instrukcją, była w czerwonej sukience, skórzanej kurtce i długich butach. Włosy, po nakręceniu wczoraj przez Polly, nadal były w lokach, związała je więc w koński ogon.

– Och, po prostu... Polly pracowała wczoraj nad moim wizerunkiem.

Przewrócił oczami.

– Słowo daję, ta kobieta... Czy wy obie macie po dwanaście lat? Co było nie tak w pani poprzednim wizerunku?

Choć niechętnie się do tego przyznawała, ale tego ranka wyszła z domu lekkim, elastycznym krokiem, czując, jak loki podskakują jej na głowie niczym sprężyny. Costas, który w chwili, gdy wychodziła, wracał właśnie rozpromieniony z clubbingu, na jej widok znowu wydał „grrrrr”, co wzięła za dobrą monetę. A tu proszę, doktor Max patrzy na nią jak należy.

– Sukienka – orzekł w końcu. – Na tym polega różnica?

– Tak, jest nowa.

– Przyjemna. To znaczy, przyjemny kolor. To znaczy...

Annie poczuła, że policzki zalewa jej purpura.

– Nie napiłby się pan kawy? – zaryzykowała. – Ja właśnie mam zamiar coś zjeść przed pracą.

– Hm. Okej, mogę sobie zrobić pięć minut przerwy. Za godzinę mam operację mózgu, a jestem taki zmęczony, że mogę zasnąć w trakcie, z rękami w otwartej czaszce.

– Brzmi strasznie.

– Normalka. To nie biuro, gdzie pracuje się od dziewiątej do piętej.

Zamówił potrójne espresso i wyjął wytarty portfel, ale Annie zamachała ręką.

– Ja zapłacę. Choć tyle mogę dla pana zrobić. Mama czuje się teraz znacznie lepiej. – Pomimo że nowy wizerunek Annie skomentowała tak: „Ładna sukienka, Sally, pożyczysz mi na tańce?” Sally to była jej przyjaciółka z młodości, wyciągnięta z zakamarków pamięci sprzed czterdziestu lat.

Usiedli przy niewielkim, lepkiem stoliku w kolorze złych wiadomości. Doktor Max wychylił swoje espresso paroma łykami.

– To dobrze, ale wie pani, że to może nie być trwałe. Próby Samiego są jak dotąd pomyślne, ale działanie leków ma swoje granice.

– Wiem. Ale cieszę się, że nie próbuje przynajmniej rzucać krzesłami.

Max miał zmęczone oczy.

– To niełatwe, wiem. A co z panią? Dba pani o siebie? Wystarczająca ilość snu i tak dalej?

– Staram się... Chociaż ciężko z tym w sytuacji, kiedy muszę być każdego dnia i w szpitalu, i w pracy, nie mówiąc już o pomysłach Polly. A do tego teraz Buster nie daje mi spać...

– A właśnie, jak tam się ma nasz dzidzius?

– Jak dotąd pożarł mi pięć książek, trzy pary butów i całe awokado. Ze skórą. – Nie wspominając już o podróżach windą tam i z powrotem przez całą noc w daremnym usiłowaniu, by uniknąć kałuż na podłodze.

– Hm... Nie może go pani trzymać bez końca, wie pani o tym. Kto go dogląda, kiedy jest pani w pracy?

– Tak, wiem. Musiałabym zatrudnić kogoś do wyprowadzania. – Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby jej budżet wytrzymał taki wydatek. – Ale Polly jest z nim taka szczęśliwa...

Max dopił kawę i wstał. Annie ukryła uśmiech: na zaroście został ślad po kawie.

– Niech pani nie pozwala, żeby panią zdominowała. Wiem, że jest urocza i zabawna, ale trzeba pamiętać, że jej mózg się kurczy, prawda? Niekoniecznie zawsze będzie racjonalna.

– Cóż, ja przez długi czas byłam chyba troszkę zbyt racjonalna... jeśli wie pan, co mam na myśli. Więc to nie problem.

Westchnął.

– Niestety, jeśli mnie by się kiedykolwiek zdarzyło odstępstwo od racjonalności, ludzie umieraliby w sensie dosłownym.

– Ma pan w ogóle czasem wolne? To znaczy... hm... dużo jest pracy?

– W tej chwili jest tylko dwóch neurologów i ledwie nadążamy. Nie płacą nam za pracę na okrągło, ale jeśli odmówimy, to tak jak mówię, ludzie będą umierali.

Zjadła ostatni kawałek bułeczki, odnotowując na nim ślad po szmince. To dlatego zwykle nie zwracała sobie głowy makijażem.

– Muszę iść. Obowiązki wzywają.

Sprawdził zegarek.

– Mnie też. Pacjent czeka. W czasie kiedy gadaliśmy, otworzono mu czaszkę.

A ona... co na nią czeka? Przekładanie jakichś papierów, wykonanie paru telefonów? Jak niewiele znaczy jej praca... Wstała.

– Cóż, to dziękuję jeszcze raz za pomoc dla mamy. I powodzenia z tym mózgiem.

– A ja dziękuję za kawę. – Znowu się jej przyjrzał. – Tak, to chyba ta sukienka. Ładna.

W autobusie Annie siedziała obok jakiejś nastolatki, z której słuchawek sączyła się dość głośna, pulsująca muzyka. Normalnie cmokałaby i wdychała, myśląc o dziewczynie najgorsze rzeczy. Dziś jednak tak jej to nie przeszkadzało. Z mamą było dość dobrze, ona miała na sobie ładną sukienkę i wypila z doktorem kawę. A nie było jeszcze nawet dziewiętej... Zaczęła się zastanawiać nad swoim zwykłym porządkiem dnia. Od dwóch lat było tak samo. Wstawała, szła do zagrzybionej łazienki, zjadała miseczkę musli, wrzucała na siebie coś czarnego. Wychodziła. Czekala na autobus, wdychając i przestępując z nogi na nogę, jeśli się spóźniał. Jechała w tłoku, zwykle na stojąco. Docierała do pracy i otwierając kodem drzwi, czuła, że odechciewa jej się żyć, bo choćby podróż była nie wiem jak okropna, była rajem w porównaniu z siedzeniem w biurze. Siadała przy biurku. Włączała komputer. Odpowiadała na mejle. O pierwszej lunch. Zjadała przy biurku kanapkę, śledząc na Facebooku Mike'a i Jane. A jakby tak dziś zrobiła coś innego niż zwykle? Zmieniła się?

Dziewczyna zdjęła słuchawki i przepychała się obok Annie w stronę drzwi.

– Ładna sukienka – rzuciła mimochodem.

– Dziękuję!

Jeszcze długo po tym, jak dziewczyna wysiadła, Annie miała uśmiech na twarzy.

Kiedy dojechała na miejsce, zauważyła obok przystanku ciastkarnię. Równie obskurna z zewnątrz jak całe otoczenie, słała w przestrzeń woń karmelu i czekolady. Pod wpływem impulsu weszła.

Dziesięć minut później, trochę zażenowana, dotarła do pracy. Ktoś musiał za nią wybrać kod, bo niosła w rękach wielkie białe pudełko drożdżówek.

– Dzięki!

– Ma tam pani coś dobrego? – Mężczyzna wskazał na pudełko. Przypomniała sobie, że on chyba pracuje piętro wyżej. Czasem go widywała, jak wychodził na papierosa i palił na deszczu.

– Drożdżówki. Hm... chce pan jedną? – Serce jej zabiło. Na pewno ją wyśmiej, pomyśli, że jest jakaś głupia.

- Poważnie?
- Oczywiście. Mam ich mnóstwo.
- Dziękuję! – Uśmiechnął się, choć dotąd zawsze go widziała apatycznego i przygnębionego. – Duża buźka. To co, kolejny dzień zasuwania na przodku, co?
- No. – Z uśmiechem zatoczyła wymownie oczami i mężczyzna ruszył do windy, a ona przeszła obok recepcji. Recepcjonistka patrzyła poządliwie.
- Drożdżóweczkę? – zaproponowała Annie.
- Och, nie, odchudzam się.
- Trudno, to może innym razem.

Kiedy weszła do siebie, Jeff wychodził właśnie z kuchni z kawą w tym co zawsze kubku, z logo jakiejś firmy software'owej.

- Dzień dobry.
- O... cześć, Annie. – Głos miał bezbarwny. Czy i ona zawsze wyglądała równie ponuro, jak wszyscy inni w tym budynku? – Jesteś... – Obrzucił ją spojrzaniem. – Jakaś specjalna okazja?
- Och, nie. Przyniosłam trochę drożdżówek. Chcesz jedną?
- Jeff zamrugął.
- Ojejku... Coś takiego. A masz dosyć?

– Jasne. – Czując na sobie wzrok wszystkich obecnych, zaniósła bułeczki na centralny stół, gdzie sortowali pocztę. Jakie to deprymujące... Wiedziała, że większość z nich uważa ją za aspołeczną, niezyczliwą i przesadnie drobiazgową, jeśli chodzi o wydatki. – Hm... przyniosłam trochę drożdżówek, jakby ktoś chciał... – Urwała, nagle przekonana, że wszyscy na pewno są na jakiejś bezglutenowej diecie.

Ale Jeff podszedł i wybrał bułeczkę z kremem waniliowym.

– Dziękuję, Annie. Dzięki temu będę w stanie przetrwać trzygodzinną naradę w sprawie budżetu. – Po czym poczęstował się Syed, a za nim Fee.

Annie podeszła do biurka i włączyła komputer.

– Witaj, Sharon. – Co jej szkodzi spróbować dalej działać według zasady „inaczej niż zwykle”.

Sharon, mrużąc oczy, obserwowała cały incydent z bułeczkami. Reszta biura rzuciła się na nie jak sępy.

– Niezbyt to zdrowe – zauważyła. I to mówiła ona, która na lunch zawsze zamawiała dwie porcje frytek, jedną do zjedzenia od razu, a drugą do podjadania przez całe popołudnie! – Tak czy inaczej, twoja robota czeka. Kolejne piętnaście minut do grafiku.

Annie westchnęła i odłożyła na bok myśl, by uczynić biuro trochę miłszym miejscem. Nawet jeśli wyczyści do połysku kuchnię i przyniesie przekąskę, będzie musiała walczyć z ciężarem apatii, cięższym niż wór kamieni. Z faktem, że ani jedna osoba w tym budynku nie ma ochoty tu być. Bo kto by miał, zamknięty w

pozbawionym światła pudle, otoczony ludźmi, których nie lubi, pośród kurzu i rumowisk, nagromadzonych przez lata tumiwisizmu?

Wzięła pierwszą fakturę. Kiedyś, z początku, prawie że lubiła tę pracę. Jej uporządkowanie, to, że pozycje się tak ładnie sumują, przyciskanie klawiszy, by ludzie dostali zapłatę, tworzenie przejrzystych arkuszy liczb i faktów. To, że co miesiąc dostaje kopertę z pieniędzmi, bycie dorosłą. Z czasem jednak to codzienne przychodzenie do pracy zaczęła odczuwać jak śmierć. Jakby nie mogła oddychać, jakby każdy centymetr skóry pokrywał kurz, syf i ludzkie przygnębienie. Śmieszne, ale to biuro było naprawdę bardziej dołujące niż szpital, gdzie ludzie przychodzą po złe wiadomości. Może dlatego, że w szpitalu stają twarzą w twarz z nieszczęściem, a nie ignorują je z oczami wlepionymi w monitor.

Odgłosy biura wokół niej zlały się w jedno: klekotanie klawiszy, buczenie kopiarki, brzęczenie słuchawek Syeda, który słuchał epizodów podcastu programu QI. I znowu przyszła jej do głowy myśl: musi być coś więcej niż to. Musi.

Dzień 23

SPOTKAJ SIĘ Z DAWNYMI PRZYJACIÓLKAMI

Dzień dobry. – Matka już nie spała, siedziała na łóżku jak królowa, założywszy ręce na piersi.

– Cześć, mamó. Jak się dziś masz?

– Bardzo dobrze, dziękuję – odparła matka uprzejmie. – Kim pani jest, kochanie?

Duch w Annie upadł. Nawet nie zdawała sobie sprawy, iż miała nadzieję, że...

– Jestem Annie.

– O, zabawne, moja córka też ma na imię Annie. Może za jakiś czas przyjdzie mnie odwiedzić.

Z naprzeciwka nadchodził doktor Quarani. Annie szybko otarła ręką oczy.

– Dzień dobry, pani Clarke – rzekł, wkładając długopis do kieszonki białego wykrochmalonego kitla. Ciekawe, czy ma w domu żonę, która robi całe to pranie...

– Jak się pani dziś czuje?

Annie lubiła, że zwraca się do matki per „pani”. Wiele pielęgniarek nazywało ją „Maureen” albo „kochanie”, a nawet „Mary”. A matka tak zawsze przestrzegała form grzecznościowych!

– W porządku, dziękuję, panie doktorze. – I scenicznym szeptem dodała: – Ta pani przysłała mnie odwiedzić.

– To miło z jej strony. – Ujął puls matki i zanotował coś na karcie. – Wszystko dobrze, pani Clarke. Pani życiowe funkcje się stabilizują i nastąpiła znaczna redukcja tych momentów niepokoju i pobudzenia.

– Nadal mnie nie poznaje – szepnęła Annie, przelękając łzy.

– Przykro mi. Możliwe, że w tej sprawie nic nie uda nam się zrobić, jak pani wie.

– Przystojny pan jest, panie doktorze – zauważyła na głos matka. – Skąd pan pochodzi?

– Jestem Syryjczykiem, proszę pani.

– Boże, to tak strasznie daleko! Przystojny z niego chłopak, prawda... przepraszam, jak pani na imię, mówiła pani? Jak pani myśli, czy on ma żonę?

Annie się zaczerwieniła.

– Mamó, nie możemy tak mówić o lekarzach w ich obecności.

– Nie ma problemu. – Doktor Quarani uśmiechnął się i stał się jeszcze przystojniejszy. – Przyjdę później jeszcze raz, żeby panią zbadać. Do widzenia, pani Hebden.

Kiedy odwrócił się, żeby odejść, Annie usłyszała głośny stukot obcasów i

wiedziała, że to Polly. Dotąd starała się trzymać matkę z dala od nowej przyjaciółki – nie zniosłaby, gdyby ktoś jeszcze miał zobaczyć, jaka słaba i pogubiona jest mama, i nie wiedziałyby, jak wytłumaczyć tę przyjaźń. Za krótko trwała i za krucha była, by można ją było w ogóle tak nazywać.

– Czeeeeść! – Polly ją uścisnęła. – Gdzie byłaś? Szukałam cię. Znowu mi skanowali mój stary mózg. Założę się, że ma więcej fot, niż kiedykolwiek miała moja twarz. Witam, jestem Polly. – Wyciągnęła rękę do doktora Quaraniego.

Uścisnął ją grzecznie.

– Pacjentka doktora Frasera, tak?

– O tak, to ja. Dziewczyna z Guzem Mózgu. – Nagle ścisnęła go za nadgarstek, a Annie aż się skrzywiła ze skrępowania w jej imieniu. – Fitbit? Uprawia pan sport?

Cofnął rękę.

– Trenuję do Maratonu Londyńskiego. Startujemy w nim z doktorem Fraserem.

– Naprawdę? Ja biegłam w nim pięć lat temu, jakby pan potrzebował jakichś wskazówek co do treningu, to...

– Proszę mi wybaczyć, muszę iść. Do zobaczenia, pani Clarke.

Polly odprowadzała go wzrokiem.

– Wolalabym, żeby wszyscy nie myśleli o mnie jako o pacjentce Maksa. To mój mózg, a nie jego. Kto to był?

– Lekarz mamy, doktor Quarani.

– Zdecydowanie najładniejsza rzecz, jaką oglądałam w ścianach tego szpitala.

– Po-llyyy! – jęknęła Annie. – Przestań. On jest dość serio. A poza tym jest żonaty. Chyba.

– Wie pani – odezwała się głośno matka – prawie każdy tutejszy lekarz jest obcokrajowcem. Niektórzy mówią, że to źle, ale powiedzcie, kto by robił całą tę robotę, gdyby nie oni? Dzięki Bogu, że przyjeżdżają!

– Muszę się z panią zgodzić, pani Clarke – rzekła Polly. – Bez nich marny byłby nasz los, prawda?

Annie pomyślała o doktorze Maksie, wprawdzie Brytyjczyku, ale także żyjącym tu z dala od domu. Dlaczego on tu przyjechał do pracy, dlaczego walczy codziennie z wrogiem, którego nie sposób zobaczyć ani dotknąć?

Polly nachyliła się nad matką i powiedziała głośno i wyraźnie:

– Miło mi panią poznać, pani Clarke. Jestem przyjaciółką Annie.

Maureen znowu rozejrzała się niepewnie po sali, wyraźnie zdezorientowana. Dla Annie był to cios w serce.

– Ach, Annie, mojej córki? Powinna tu niedługo być. Nigdy mnie nie odwiedza, pewnie jest bardzo zajęta przy tym swoim mężu.

Annie unikała wzroku Polly. Nie chciała współczucia.

– Mamo, chyba ci się troszkę pomieszało. To ja jestem Annie.

– Niechże pani da spokój. Annie to moja córka. Znam moją córkę, chociaż mnie nie odwiedza. Chciałabym, żeby przyszła. Chciałabym, żeby mi przyniosła winogron – dodała płaczliwie. A przecież kiedy Annie przyniosła jej parę razy winogrona, usłyszała, że nie warto wyrzucać pieniędzy w błoto.

Pogłaskała matkę po rękę, notując z przykrością, że skóra naciągnęła się przy tym i nie skurczyła z powrotem. A przecież mama miała zaledwie niespełna sześćdziesiątkę. Jak to się stało, że jest taka stara, taka bezradna?

– Óóóó, mamu. Spokojnie. Wszystko jest w porządku.

Na twarzy matki znowu pojawiła się niepewność. Zamrugowała.

– Mogłaby mi pani pomóc, panienko? – zwróciła się do Polly. – Wie pani, czekam na Andrew.

– Kto to jest Andrew? – Polly spojrzała na Annie.

Matka zachichotała jak nastolatka.

– Andrew to mój przyjaciel. Wie pani, niedługo mi się oświadczy, czuję to. Jak myślisz, Sally? Oświadczy się, prawda?

Sally to była Annie.

– Oczywiście że się oświadczy – powiedziała z westchnieniem. – Ale może byś teraz trochę odpoczęła?

Polly spojrzała na nią pytająco. Annie wymówiła samymi ustami: demencja, po czym zwróciła się do matki:

– Annie na pewno niedługo przyjdzie, Maureen. I na pewno przyniesie ci dużo winogron. – Wstała. Musiała stąd wyjść. Była jakaś granica tego, co można znieść jako dzienną dawkę.

Polly wyszła za nią na korytarz.

– Annie...

– Zostaw. – Głos jej drżał. – Wiem, że masz pytania, ale nie mogę. Nie teraz. Proszę.

– Andrew to twój ojciec?

– Tak. Czasem mama nie pamięta, że ją zostawił trzydzieści pięć lat temu. Wydaje jej się, że nadal są razem i się kochają.

Minęła długa chwila. Annie wpatrywała się w nakrapiane linoleum pod własnymi stopami i usiłowała się nie rozpłakać.

– Nie musimy o tym mówić, jeśli nie chcesz – powiedziała w końcu Polly. – Właściwie to cię szukałam, bo mam ci coś do pokazania.

– Dokąd idziemy?

– Do biblioteki medycznej. Nie wiedziałas, że mają tu taką? Możesz sobie skserować artykuły z gazet i tak dalej. Rozumiesz, cały czas prowadzi się mnóstwo nowych badań. Bywa, że w tym kraju nie stosuje się najnowszych sposobów

leczenia ze względu na koszty.

Polly zapukała w szklane, osłonięte żaluzją drzwi jakiegoś niewielkiego pomieszczenia. Otworzyła im ładna kobieta w różowym szalu na głowie.

– O, cześć, Polly. Mam dla ciebie te kserokopie, o które prosiłaś.

Annie cofnęła się. Serce jej waliło. Czy to jakiś trik? A może zbieg okoliczności? Może Polly nie zdaje sobie sprawy... Ale nie, najwyraźniej sobie zdawała.

– Cześć, Zarah. A ja ci w rewanżu przyprowadziłam niespodziankę. Zobacz, kto tu jest!

Zarah spojrzała na nią i zamrugwała.

– Annie! O matko... skąd się tu wzięłaś?

– Moja mama choruje. A ty... pracujesz tutaj?

– Tak... od zeszłego roku. – Kiedyś Annie by o tym wiedziała, bo Zarah o wszystkim jej mówiła. Ale od dwóch lat się z nią nie widziała. Odkąd wszystko się zawaliło.

– Powinnyście nadrobić stracony czas – nastawała Polly, uśmiechając się niczym Cilla Black z *Randki w ciemno*. – Annie jest tu prawie każdego dnia, Zar. Dziwię się, żeście dotąd na siebie nie wpadły.

Nawet gdyby wpadły, to Annie uciekłyby innym wyjściem.

– Hm... jak się zorientowałaś, Polly, że myśmy się znały? – Starła się mówić zwyczajnym głosem.

– Gadałyśmy z Zar i wspomniała, do jakiej szkoły chodziła. Świat jest mały, co?

– Nie bardzo, chodziłyśmy do szkoły o jakieś sto metrów stąd. – Nadal lekki ton. Nic się nie stało. Zmusiła twarz do uśmiechu.

– Mimo wszystko to znak – ciągnęła Polly. – Bywacie tu obie, więc musiałyście się spotkać. Macie swoje numery, prawda?

– Mój jest taki sam, jak był. – Głos Zarah też był spokojny, niczego nie ujawniał. Annie unikała jej wzroku.

– Hm... mój też.

– Super, w takim razie możecie do siebie esemesować. – Polly nieustępliwie ścisnęła Annie za ramię. – Do zobaczenia, Zarah!

Kiedy wyszły, Annie się wyrwała.

– Nie rób tego.

– Czego?

– Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji bez mojej wiedzy. Mogłaś mi po prostu powiedzieć, że ona tu pracuje.

– A ty byś poszła i pogadała z nią? Bo wszystko między wami jak najlepiej?

– Może bym i poszła.

– Wydaje mi się, że gdyby wszystko było dobrze, to już byś wiedziała, że

twoja przyjaciółka pracuje w tym szpitalu.

– Ona nie jest... To znaczy, kiedyś byliśmy...

– A co się stało? – Polly sprawiała wrażenie prawdziwie zainteresowanej. Jednym skokiem przysiadła na kontuarze recepcji, mając nogami w zielonych balerinkach od Mary Jane.

– Proszę pani, tu nie wolno... – zaczęła recepcjonistka. – Ach, to ty, P! – rozpromieniła się. Annie nigdy jej dotąd nie widziała. Polly naprawdę znała tu wszystkich.

Zaczerpnęła tchu.

– Słuchaj, wiem, że starasz się pomóc, ale jest powód, dla którego nie jesteśmy już z Zarah przyjaciółkami.

– To znaczy?

Annie otworzyła usta – i zamknęła je. Nadal nie była gotowa.

– Przestań mnie zmuszać! – wybuchnęła. – Już ci powiedziałam o ojcu. Po prostu... nie jestem taka jak ty, jasne? Nie potrafię... nie potrafię się otworzyć.

– Okej. Nie musisz mi mówić. Ale na litość boską, Annie, tracisz sto procent szans, których nigdy nie podejmujesz. Taka prawda.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy... napisz SMS-a do tej swojej cholernej przyjaciółki. Idź z nią na kawę. Co się niby stanie?

Dzień 24

SPEŁDŹ CZAS Z DZIEĆMI

Annie! Jak miło cię poznać! – Jeszcze nie zdążyła wejść, a już ogarnęła ją uściskiem Milly, przyjaciółka Polly. Miała szykowną, ciemną fryzurkę tuż za ucho, z fioletowymi pasemkami, i odsunięte z czoła ciemne okulary, choć było już ciemno. – Wchodź, wchodź, już wszyscy są.

Annie pociągnęła za nią, już żałując, że nie została w domu. Polly zorganizowała w końcu spęd przyjaciół i nalegała, żeby Annie też przyszła „ją wesprzeć”, ale zaczęła się czuć, jakby to ona potrzebowała wsparcia, nie Polly.

Stała w drzwiach kuchni, jej wysnionej kuchni, dzierząc w rękach butelkę wina. Wyglądało to jak scena z jakiegoś katalogu – piękni, stylowi ludzie, Polly, George, ich rodzice, Milly, mąż Milly, Seb, w trendowych okularach i kaszmirowym blezerze, i inna przyjaciółka Polly, Suze (bujne blond włosy, manikiur w kolorze nieba, obcisłe dzinsy). Nie mogłaby czuć się bardziej nie na miejscu, choćby się starała. Czerwona sukienka i kozaki wydawały się zbyt wysilone, wiedziała też, że nie podkreśliła oczu tak jak trzeba. Chciała uciec, ale Polly już się poderwała i objęła ją ramieniem.

– Hej, ludzie, to jest Annie, moja przyjaciółka ze szpitala.

To jej przypomniało wymioty i lzy, i linoleum. Słabo pomachała ręką.

– Cześć. – Czują się tak niezręcznie, że ramiona niemal stykały się jej z przodu. George posłał jej życzliwy uśmiech, ale nawet to nie pomogło. Był jednym z tych ludzi: wyluzowanych, pewnych siebie, zajefajnych.

Valerie, matka Polly, miała na sobie jakąś stylową sukienkę-koszulkę, okulary o lekko przydymionych szklach i świeżo umyte i wysuszone włosy.

– Witaj, kochanie, miło cię znowu widzieć.

Annie poczuła ból w sercu. W porównaniu z matką Polly jej mama była starszą, choć de facto była młodsza. Nawet kiedy dobrze się czuła, nie ubierała się tak jak Valerie – uważała, że kupowanie nowych rzeczy to strata pieniędzy, skoro przecież może sobie uszyć sama. To nie było fair. Dlaczego jej matce przypadła w udziale tak niewielka część? A teraz nawet i to straciła? I nawet nie pamięta, że wieki temu rzucił ją mąż?

Valerie gestem skierowała Annie w stronę stołu.

– Może usiądziesz koło George’a? Zauważyłam, że się dobrze dogadujecie.

– Mamo... – George zmarszczył brwi.

– Przypomnij mi, Annie, jesteś wolna, tak?

Zapadła niezręczna cisza.

– Cóż, tak, ale...

– Mamo. – W twarzy George pojawiło się napięcie. – Mówiliśmy o tym,

prawda? Po prostu daj spokój.

Annie stała, zmieszana. Polly ścisnęła ją za ramię i szepnęła:

– Nie przejmuj się. To nie takie straszne.

Łatwo jej mówić... Czy ona nie widzi, że nie każdy potrafi rzucać się na życie, chwycić je pełnymi garściami, że nie każdego można zmusić do spotkania z dawną przyjaciółką, z którą się nie rozmawiało dwa lata, nie każdego stać na taniec w fontannie, nie każdy lubi brać udział w przyjęciu pełnym nowych ludzi, gdy nie wie się nic o sztuce ani muzyce, ani ciuchach?

Wszyscy się do niej uśmiechali. Tak jakby była ubogą krewną, o którą trzeba się zatroszczyć.

– Słyszałam, Annie, że zaadoptowałaś psa Polly? – zwróciła się do niej Suze.

– Hm... po prostu na razie się nim zajmuję. – Co oznacza, że to ona jest tą, której szceniak zjadł pantofle, która nie może spać po nocach, a w domu ma kałuże siuśków.

– George mógłby ci w tym pomóc, kochanie – wtrąciła Valerie, stawiając na stole koszyk z domową focaccią. – Uwielbia zwierzęta.

George i Polly wymienili spojrzenia. Annie, zła, wpatrywała się w ceramiczną podkładkę pod talerz. Nie rozumiała, o co tu chodzi.

Po czym wszystko stało się sto razy gorsze. W holu rozległ się łomot, jakby szarży kawaleryjskiej, a potem upiorne wycie, i Annie zamarła ze strachu. Dzieci... Tu były dzieci! Dlaczego nikt jej nie uprzedził? Do pokoju wtargnęło dwoje blond maluchów, jedno w różowej sukience, drugie w koszulce w paski i džinsach.

– Mamo, Harry zrobił kupę w ubikacji!

– Mamo, a Lola mnie uderzyła. Powiedz jej, żeby poszła do kąta!

Annie, skamieniała z przerażenia, patrzyła, jak przypadają do Milly i każde łapie ją za nogę. Milly westchnęła bezradnie.

– Powiedzcie Annie „dzień dobry”, dzieciaczki.

Zwróciły ku niej buzie, zaciekawione, tak jakby chciały do niej podejść. Annie nie była w stanie. Po prostu nie potrafiła. Te noski jak guziczki, te kręcone jasne włosy, maleńkie buciki... Ile one mają lat? Trzy, cztery? Bliźniaki. Nie, to nie do zniesienia.

– Ja...

Na szczęście Polly chyba zrozumiała.

– Pozwólcie, że wyjdziemy z Annie na chwilkę. Mamy coś do obgadania. Tajemnica szpitalna. – I popchnęła ją w stronę drzwi wychodzących na patio. Ogarnął je chłód i cisza ogrodu.

– Przepraszam, po prostu... to było trochę za wiele, wszyscy na raz. – Annie rozpaczliwie starała się opanować.

– Nie mam ci za złe. – Polly z jękiem padła na ogrodowe krzesło. – Te dzieciaki są okropnie męczące. Nie wiem, jak Mill to wytrzymuje. Jak pójda, to

chyba przez tydzień nie wstanę z łóżka.

– Mmm. – Annie usiadła obok niej, wytarłszy uprzednio krzesło rękawem.

– Wiesz, może to i dobrze, że nigdy nie miałam dzieci. Wyobraź sobie, o ile ciężiej byłoby teraz, z tym wszystkim.

– A chciałaś?

– Nie wiem. Zawsze uważałam, że będę je mieć. A ty, jak rozumiem, chcesz mieć dzieci?

– Mmm.

– Ale wciąż to odkładałam. Mówiłam sobie, że spróbuję, jak będę miała trzydzieści trzy lata, potem trzydzieści cztery, trzydzieści pięć... I co? – już za późno. To śliczne maleństwo zawinięte w kocyk nigdy się już nie pojawi. Nikogo po sobie nie pozostawiam.

Pauza. Annie już teraz wiedziała, że nie ma co wyrażać współczucia. Polly tego nienawidziła.

– Ale może to i lepiej – powtórzyła Polly. – Wszystkie te wrzaski, i to, że człowiek nie może pójść sam do wygodki, i czekolada – podniosła rękę – na twoim zakieciku Chanel z lat sześćdziesiątych... Ja przynajmniej mogłam coś robić. Podróże, praca i... no wiesz. A Milly tak się zmieniła! Zawsze była taka rozrywkowa, ostatnia wychodziła z baru, zawsze na bieżąco z najnowszymi wiadomościami, a teraz nawet czasem nie wie, którego dzisiaj. Mnie też się to oczywiście zdarza, ale to dlatego, że rak zjada mi mózg. Może macierzyństwo to właśnie coś takiego. Rak.

Annie zacisnęła zęby.

– Są tacy, co marzą, żeby mieć takiego raka. Jestem pewna, że Milly jest szczęśliwa.

– Bo ja wiem. Byłabyś szczęśliwa, jakby cię dziecko obrzygało i musiałabyś dziesięć razy z rzędu oglądać *Świnkę Peppę*?

– Ja byłam – warknęła i natychmiast tego pożałowała.

Polly przyjrzała się jej. W ogrodzie już pociemniało.

– Ciekawa byłam, kiedy masz zamiar mi powiedzieć.

– Nie miałam takiego zamiaru.

Znowu cisza. Z domu dobiegały dziecięce głosy, to głośniejsze, to cichsze. Nigdy nie dane jej było słyszeć, jak synek mówi, ale gaworzył i gruchał, wydawał różne dźwięki radosne jak mydlane bańki. Polly czekała.

– Domyślałam się, że ma to coś wspólnego z Mikiem i Jane? – powiedziała w końcu.

– Mniej więcej.

– Widzisz? Wiedziałam, że jest coś więcej. Annie, ty naprawdę chcesz mnie zepchnąć z najwyższego podium w zawodach o najbardziej łzawą historię!

Annie odetchnęła głęboko.

– No więc wiesz już, że się rozwiodłam, że moja mama jest nieuleczalnie chora i że przyjaciółka zabrała mi męża. Chcesz usłyszeć o leczeniu niepłodności?

– Jasne.

– Przed Jacobem miałam trzy poronienia. Jedno w trzecim tygodniu. Krew była wszędzie – na dywanie, w łóżku, u mnie we włosach, na pizamie Mike’a. Drugie w dziesiątym – wykryto śmierć płodu podczas USG i miałam łyżeczkowanie macicy. A ostatnie w piątym miesiącu. Musiałam urodzić, choć było o wiele za wcześnie. To było straszne.

Polly chwilę milczała.

– A potem przestałaś próbować?

Annie pokręciła głową. Drżącą ręką wyskubywała z rajstop niewidoczne pyłki.

– Hm... Mike chciał przestać. Ale ja... nie mogłam. Więc spróbowałam jeszcze raz. Skłamałam, że wzięłam pigułkę. Był wściekły... Ale tym razem wyglądało, że wszystko okej. Jacob urodził się w terminie. Zdrowy.

– Śliczne imię – zauważyła Polly.

– No. Zawsze mi się podobało. A potem... – Kurczowo zaczerpnęła tchu. Pomimo upływu czasu wciąż na wspomnienie zaciskało się jej gardło. – Któregoś ranka Mike poszedł go obudzić. Myśleliśmy, że przespał całą noc. Byłam taka szczęśliwa! Odtąd wszystko będzie lepiej, myślałam. Bo dotąd nie sypiał dobrze; lecieliśmy z nóg. I to był ten moment szczęścia – przez zasłony przebijało słońce, a ja pomyślałam... pomyślałam, że życie jest wspaniałe. Ale kiedy Mike zobaczył małego, był... zimny. Mike nie chciał, żebym widziała, ale wdarłam się przemocą do jego pokoju i... i już był siny, i... wezwaliśmy karetkę, ale... był już martwy. Śmierć łożeczkowa, powiedzieli. Po prostu. To się zdarza. – Choć biczowała się, szukając przyczyny. Może było mu za zimno? Albo za gorąco? Może złapał jakąś infekcję, a ona nie zauważyła? Znowu wzięła głęboki oddech. – Rozpadłam się na kawałki. Tak jakbym przestała zdawać sobie sprawę, kim jestem. Nie wiedziałam, czy przeżyję. Nie spałam, nie jadłam. Nocami leżałam na podłodze w jego pokoju i wylałam jak pies. Nie myślałam. Przez dwa miesiące nie zmieniałam ubrania. A Jane... cóż. Była moją najlepszą przyjaciółką. Cały czas była przy mnie i mnie pocieszała. Pomagała. Tyle że nie mogła do mnie dotrzeć, nikt nie mógł, więc zamiast mnie pocieszała Mike’a. I za jakiś czas powiedział, że bardzo mu przykro i że nie chciał tego, ale się kochają. Pewnie dlatego, że ona się jakoś ubierała i nie płakała non stop, i nie stawiała oporu, kiedy chciał usunąć pościel z łożeczka dziecka, jedyne, co po nim zostało...

Znowu odetchnęła głęboko. Powiedziała to. Powiedziała i nic się nie stało. Z pokoju znowu dobiegły głosy: Lola prosiła o ciastko. Na drzewie wciąż ćwierkał jakiś ptak. Od strony rzeki dochodziły syreny statków, niskie, żałobne, niczym pieśń wieloryba.

Po chwili Polly sięgnęła po dłoń Annie i poklepała ją lekko, jakby przekazując jakiś niewidzialny przedmiot.

– Masz.

– Co? – spytała Annie drżącym głosem.

– Moją kartę raka. Na tę chwilę wygrałaś.

– Tak?

– Kurczę, jasne że tak. To jest... nawet nie wiem, co powiedzieć.

– Coś takiego. Chyba pierwszy raz w życiu.

– Wiem, wiem... Może wyślijmy w tej sprawie komunikat do prasy. – Obie zaśmiały się krótko, choć śmiech był podszyty łzami. – Annie... Co ze mnie za... Boże. Przyprowadziłam cię tu, z tymi dziećmi... Nic nie wiedziałam, przysięgam! Wiedziałam, że coś jest, ale nie to. Chryste.

– Nie przepraszaaj. Umówmy się, okej? Przepraszamy tylko wtedy, kiedy to nasza wina. – Spojrzała na Polly, mrużąc oczy. – Czyli takie było dotąd twoje życie, tak? Rozmowy, bo ja wiem, o quinoa i o prawach człowieka, i weekendowe wyjazdy do domku w Norfolk?

– Chyba tak. Musieliśmy wyglądać w twoich oczach na kupę pretensjonalnych dupków.

– Nie. Tylko po prostu... gdybyśmy się spotkały wcześniej, nie miałybyśmy ze sobą nic wspólnego.

– Może i nie. Na pewno – przyznała Polly. – Ale teraz się spotkałyśmy... i nie wiem, czy dałabym radę bez ciebie, więc nie masz wyjścia, Annie. Jesteś jedyną osobą, która mnie kiedykolwiek pobiła w zawodach na najbardziej łzawą historię. Niech cię licho.

– Ciebie też – odparła Annie. Ujęła zimną rękę Polly i uściśnęła ją lekko. Siedziały tak jakiś czas w ciemności, patrząc na sunące rzeką światła i na roztaczające się wokół miasto, gdzie nieustannie biło osiem milionów serc.

Dzień 25

PODZIEL SIĘ CZYMŚ

Annie! Znowu pani jest? Może pani sobie czasem darować odwiedziny. Nikt pani tego nie weźmie za złe, a mama... cóż, sama pani wie, pewnie nie zauważy. – Doktor Max znowu stał przy automacie ze słodyczami z twiksem w każdej ręce.

– Wiem. Prawdę mówiąc, spotykałam się z przyjaciółką. – Dziwnie brzmiało w jej ustach to słowo... Dawno go już nie używała. – Czy to pański lunch?

Rozjaśnił się.

– Automat przez pomyłkę wydał mi dwa! To karma za wszystkie te moje ciężko zapracowane pieniądze, które połknął ten pomiot szatana. – Spojrzał na nią.

– A... może chce pani jeden?

– A pan nie chce?

Poklepał się po brzuchu.

– Ostatnio odżywiam się wyłącznie cukrem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem normalny posiłek.

– To może... – Annie zdała sobie sprawę, że o mało co nie zaprosiła go na kolację. – Hm... dobrze, w takim razie biorę tego twiksa. Zjem po lunchu.

– Lunch... – powiedział z nostalgią. – Kiedyś jadałem lunch. W kantynie jest wtedy sądny dzień. Oczywiście, jak się pracuje w szpitalu, to zawsze jest sądny dzień. Jak nie szefostwo chce twojej krwi, to pacjenci.

– Pan przez cały czas wytacza z ludzi krew – zauważyła.

Odwinął swojego twiksa i za jednym zamachem pożarł jedną pałeczkę.

– Chodzi o krew metaforyczną, Annie. Słowo daję, ten szpital mnie wykańcza. W tej chwili czeka w kolejce dziesięcioro ludzi, żebym im zrobił tomografię i na tej podstawie mógł im powiedzieć, czy mają raka. To nie w porządku.

– Może moglibyśmy jakoś pomóc? Wie pan, jakaś impreza fundraisingowa czy coś. Doktor Quarani startuje w Maratonie Londyńskim. – Widziała go po drodze, jak robił okrążenia wokół szpitala, z twarzą zaciętą i posępną. – Myślałam, że pan też?

– Ja tylko chciałem schudnąć i nabrać formy – powiedział obronnie. – Nie wierzę w fundraising na usługi publiczne. O, rządowi by się to podobało, żebyśmy całą kasę na szpital czerpali, cholera, z jakiejś wyprzedaży starzyzny. Powinni odpowiednio subsydiować Narodowy Fundusz Zdrowia z naszych podatków, a nie wyprzedawać go swoim nadzianym kumplom z lecznictwa prywatnego. To hańba, Annie, ot co. Ale tak czy siak, do zobaczenia, muszę lecieć, żeby zajrzeć komuś do czaszki. – W głosie miał furję, ale odchodząc, pomachał jej wesoło. Nie potrafiła go rozgryźć.

W kantynie pełno było ludzi, lekarzy i rodzin pacjentów, i chwilę zajęło, zanim spostrzegła Zarah. Dziś miała na głowie szal niebieski w motylki, obramowany błękitnymi cekinami. Annie wolałaby, żeby zaproponowała na spotkanie jakieś miejsce, gdzie nie byłyby widziane przez licznych szpiegów Polly, ale Zarah miała tylko krótką przerwę, a że Annie i tak bywała tu codziennie, miało to sens.

– Cześć.

Zarah nie była przy stoliku sama i w pierwszej chwili Annie pomyślała, że będą musiały dzielić go z przypadkową osobą. Ale zaraz rozpoznała, kto to jest.

Zarah przyłapała jej spojrzenie.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, Annie. Po prostu pomyślałam, że mamy do pogadania wszystkie trzy.

– To prawda – powiedziała ta druga kobieta, wysoka i atrakcyjna. Miała na sobie czerwoną, obcisłą sukienkę-tubę, a włosy w lśniących falach. – Cześć, Annie.

Annie przełknęła ślinę.

– Cześć, Miriam.

Miriam spojrzała jej w oczy, szczerze i uczciwie, tak jak zawsze. Czasem była nawet zbyt otwarta. Właśnie dlatego nie rozmawiały ze sobą od tak dawna.

– Jak się masz? Zar mówi, że z twoją mamą niedobrze.

– Tak, jest... – Nie, nie była w stanie tłumaczyć. – Jest tu na oddziale. A jak Jasmine?

Miriam przez chwilę sprawiała wrażenie zaskoczonej, tak jakby się nie spodziewała, że Annie pamięta imię jej córki. Ale Annie oczywiście pamiętała. Wiedziała wszystko o Jasmine, kolejnym dziecku, które było dla niej stracone, ale tym razem z jej własnej winy.

– W porządku.

– Przepraszam za... wszystko.

– Masz na myśli jej urodziny?

Annie, wpatrując się w zatłuszczony blat, skinęła głową.

– Nie powinnam była w ogóle przychodzić. Nie byłam do tego gotowa. Tylko po prostu nie chciałam... ci odmawiać. – Dlatego zmusiła się do przyjścia i na widok wszystkich tych rocznych maluchów umazanych tortem z płaczem uciekła, a kiedy Miriam za nią wyszła, odepchnęła ją, dosłownie odepchnęła, zatrzasnęła za sobą drzwiczki samochodu i odjechała, zostawiając Mike'a na chodniku. Często się zastanawiała, czy zostawiłby ją, gdyby nie tamta scena. Czy to nie w tamtej chwili postanowił odciąć się od przeszłości i uciec od tego chodzącego kłębka nieszczęścia, jakim się stała.

Miriam westchnęła.

– Annie, tamto przyjęcie nie ma znaczenia. Jas nawet go nie pamięta. Ale ty się od nas kompletnie odcięłaś. Od wszystkich, nie tylko od Jane.

Na dźwięk tego imienia Annie odruchowo zacisnęła zęby.

– Rozumiem, że nadal jesteście jej przyjaciółkami.

Zarah i Miriam wymieniły spojrzenia.

– Annie... twoimi też – powiedziała błagalnie Zarah. – Strasznie mi cię brakowało... zawsze do ciebie pierwszej dzwoniłam, jak miałam kryzys. Pamiętasz? Nigdy nie wpadałaś w panikę, zawsze potrafiłaś mi dodać ducha, jeśli nie udało mi się randka albo samochód nie chciał zapalić, albo miałam zgryz z rodzicami... Nie chciałam zrywać naszej przyjaźni, tylko po prostu ty nie chciałaś nas widzieć. Nie chciałaś widzieć nikogo. A Jane... czuje się okropnie, naprawdę.

– Nie na tyle, żeby tego nie zrobić.

– Zakochali się – tłumaczyła Miriam. – Myślę, że to naprawdę miłość. Ale wiem, że to dla ciebie straszne... To nie tak, że jesteśmy po jej stronie.

Tak właśnie to czuła, kiedy Mike w końcu wyznał, do kogo odchodzi, a ona w szoku zadzwoniła do Zarah. Kiedy jej powiedziała, co się stało, usłyszała ciszę. A więc wszyscy już o tym wiedzieli, ona, Annie, dowiedziała się ostatnia. Spakowała się więc, wyprowadziła i odtąd do żadnej się nie odezwała, aż do teraz. Co za syf... Za jednym zamachem zniknęło wszystko – dziecko, dom, mąż, przyjaciółki.

Poczuła na dłoni dotknięcie i podniosła oczy. Miriam uśmiechała się do niej. I pierwsza łza upadła na brudny stół.

– Prze... przepraszam.

– To okropne, co się stało, An – szepnęła Zarah. – Okropne... Chciałyśmy być przy tobie. Ale ty zniknęłaś.

Annie pokręciła głową, strząsając łzy.

– Nikt nie mógł mi pomóc. Nie było sensu.

Zarah pokiwała głową.

– Cóż, to może teraz, kiedy kurz troszeczkę opadł... Może mogłybyśmy się znowu spotykać, tak jak kiedyś? Mam na myśli nas trzy. – Annie czuła, jakie to dla nich musiało być niezręczne, kiedy jedna z ich czwórki odebrała męża drugiej. – Nie przypuszczam, żebyś... Ale wiesz, ona naprawdę czuje się okropnie. Zwłaszcza teraz, gdy...

Urwała. Znowu wymieniły z Miriam spojrzenie.

– Czuje się okropnie – powtórzyła Zarah.

I powinna.

– Nie mogę jej wybaczyć. Po prostu nie mogę. – Z trudem mówiła przez ściśnięte gardło. Było za wcześnie, wszystko było zbyt świeże. Widok ich dwu przywołał tyle wspomnień... Wspomnień dawnej Annie, która miała przyjaciółki, a nawet była rozsądna. Tej, do której zwracały się pozostałe dziewczyny, kiedy zdradził je chłopak, szef był zanadto wymagający albo ciasto nie chciało urosnąć. Tamta Annie umarła wraz z Jacobem.

Wstała, odsuwając z hałasem krzesło.

– Muszę iść. Przepraszam. Dzięki za... Dzięki. Będzie miło, jak się znowu spotkamy. Niedługo. Teraz muszę iść.

I znowu uciekła. Wybiegła na korytarz, pomalowany na wszystkie odcienie nieszczęścia, które tu królowało.

Dzień 26

ODZYSKAJ HOBBY

Często tu przychodzisz?

Annie pokręciła głową.

– Czasem nie jestem w stanie. – Co z niej za człowiek, żeby nie odwiedzać grobu własnego dziecka? – Po prostu... po prostu to zbyt bolesne – rzekła. – I zawsze się obawiam, że mogę wpaść na Mike'a.

– Rozumiem. To gdzie to jest? – Polly obróciła się wokół własnej osi, patrząc na rozległy miejski cmentarz. W dzinsowych ogrodniczkach i tenisówkach Converse w kwiatki wyglądała jak reklama Abercrombie & Fitch.

– Trzeci rząd na lewo.

Wiedziała dokładnie. Trafiłaby tam przez sen – i rzeczywiście czasem jej się śniło, że stoi nad jego grobem. Szuka go. To już dwa lata, ale wciąż się zdarzało, że budząc się, spodziewała się usłyszeć jego płacz. Powinna była wiedzieć, tamtego ranka, kiedy był cicho... Nie wiedziała, czy kiedykolwiek sobie wybaczy tę króciutką chwilę ulgi, kiedy myślała, że po prostu przespał całą noc, ten ulotny moment szczęścia. Gdyby tak zajrzała do niego szybciej, gdyby się wcześniej przebudziła... Stłumiła tę myśl. Wiedziała, że jeśli dalej będzie to ciągnąć, to rozmaite „gdyby” ją zabiją.

– To tu.

Przejął ją wstyd. Co za nieład... Nieduży szary kamień z napisem: JACOB MATTHEW HEBDEN niemal całkiem zarastały chwasty, a słoik po dżemie, w którym ostatnim razem postawiła kwiaty, był przewrócony. Tkwiły w nim suche badyle i trochę zielonej wody.

– Matthew – przeczytała Polly. – Po kim miał to imię?

– Po ojcu Mike'e.

– Hm. Jego, nie twoim.

Annie wzruszyła ramionami.

– Po co miałabym nazywać mojego syna po kimś, kogo nie oglądałam na oczy? A nawet jeśli, to tego nie pamiętam.

Polly przykucnęła na trawie.

– Nigdy nie próbowałaś go odszukać, przez tyle czasu?

– Nie wiedziałam, od czego zacząć. Nawet go nie pamiętam, miałam parę dni, jak odszedł.

– Biedna ta twoja matka. To musiało być trudne.

– No. Chyba był trochę nieudacznikiem. Zawsze wiedziałam, że chcę tego w życiu uniknąć. Co za ironia, że i mnie mąż opuścił, no nie? Może to dziedziczne?

Polly cmoknęła.

– Mam nadzieję, Annie, że nie spodziewasz się, że będę się nad tobą użalała.
– Nie, nie. Nie potrzebuję go. Ale to dziwne, kiedy mama mówi czasem o nim tak, jakby nadal z nią był. W jakimś sensie musieli być szczęśliwi.

– Czasem myślę tak o moich rodzicach.

Annie zmarszczyła brwi.

– Twoi rodzice wyglądają na autentycznie szczęśliwych!

– Pozory czasem mylą, Annie. Ale słuchaj! Żadnego użalania się. Przyszliśmy tu dla Jacoba, żeby go z miłością powspominać.

Annie schyliła się, żeby wyrwać chwast.

– Chyba... chyba Mike też tu za często nie przychodzi. Na pewno myślisz, że jestem okropna.

Polly przez chwilę milczała.

– Wiesz, jak byłam mała, umarł mój dziadek. Skremowano go, a popioły zostały rozsypane po morzu – uwielbiał żeglować. Spytałam mamę, jak go będziemy odwiedzać, skoro nie ma grobu. Odpowiedziała, że grób to nie jest miejsce, gdzie człowiek jest – to tylko miejsce, gdzie chodzimy, żeby go wspominać. Jestem pewna, że ty nie potrzebujesz żadnej pomocy, żeby wspominać Jacoba.

Annie pokręciła głową, starając się pokonać ściskanie w gardle.

Polly, krzywiąc się, schyliła się i rozesała sobie pod kolana fioletowy szal z paszminy.

– Damy sobie radę, spokojnie. Wypielimy, uporządkujemy.

Annie pożałowała, że nie zabrała jakichś narzędzi ogrodniczych. Stare zostały w domu, w którym mieszkają teraz Mike i Jane, o trzy kilometry stąd. Ukłękła. Na pewno będzie miała plamy z trawy na kolanach dżinsów, ale co tam. Zapomniała już, jak pachnie wiosenna ziemia, jej subtelna wilgoć...

– Masz. – Polly podała jej małą łopatkę i grabki, które wyjęła z torby.

– Skąd je wzięłaś?

– Och, to mamy. Nigdy ich nie używa, ma ogrodnika. Ale teraz mogą się przydać, wiesz.

Przez jakiś czas pracowały w milczeniu. Z dala dobiegały słabe odgłosy miasta. Jedyjni ludzie, jacy byli na cmentarzu, porządkowali grób po przeciwnej stronie alejki. W jakiejś chwili Annie podniosła głowę: Polly pełła zawzięcie, na policzku miała ślad ziemi. Jakie to dziwne – piele grób swojego dziecka z tą kobietą, której parę tygodni temu w ogóle nie znała.

– Wiesz, powinnaś im przebaczyć – odezwała się cicho Polly.

Annie nie potrzebowała pytać, kogo ma na myśli.

– Nie potrafię.

– Wiem. To, co zrobili, to świństwo, więcej niż świństwo. Ale... to ty cierpisz z powodu niewybaczenia. To ty je wszędzie ze sobą dźwigasz, dzień za

dniem.

Annie przez chwilę w milczeniu wyrywała chwasty.

– Mało brakowało, a rozwaliliby mnie.

– Wiem. Ale nie rozwalili. Wciąż istniejesz.

Prawie... Zdarzało się przez te dwa lata, że nie była pewna, czy da radę. To wrażenie, kiedy trzymała synka w ramionach, równie lekkiego jak dawniej, ale zimnego i sztywnego. Dzień, kiedy wprowadziła się do małego, zawilgoconego mieszkania, rozejrzała się i pomyślała: jak to możliwe, że tak upadła. Dzień, kiedy zadzwoniła policja z wiadomością, że znaleźli matkę, niewiedzącą, gdzie jest i co robi, a ona zdała sobie sprawę, że oto traci kolejnego bliskiego człowieka, że dzieje się to na jej oczach, tak jakby za mało było dotychczasowej żałoby. Z trudem żyła, właściwie prawie nie żyła – i w tej sytuacji to, co zrobili Mike i Jane, wydawało się nie do wybaczenia. Odpowiedziała więc standardowo, tak jak na większość sugestii Polly:

– Pomyślę o tym.

– Ta-dam!

Annie spojrzała podejrzliwie na żonkile w rękach Polly.

– Skąd je wzięłaś?

– Po prostu rosły. Nikt nie zauważy różnicy, wierz mi. Śliczne, prawda? – Przyjrzała się żółtym trąbkom, wystrzelającym śmiało pomiędzy płatków, i zielonym łądogom broczącym sokiem. – Strasznie lubię to, jak się odradzają każdej wiosny, wychodzą z martwej, wychłodzonej ziemi, właśnie wtedy, kiedy człowiek zaczyna myśleć, że zima będzie trwać zawsze. Chyba tego będzie mi brakowało najbardziej. To znaczy... nie wiem, czy będę o tym wiedziała. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę wiedziała, że przyszła wiosna, czy po prostu... zniknę. Mogę postawić dla Jacoba?

Umyły słoik i napełniły go świeżą wodą z publicznego kranu. Choć raz Annie doceniła instytucję, w której pracowała. Nigdy nie myślała, że są po to, aby uzupełniać braki w życiu ludzi, odbierać śmieci, naprawiać dziury w jezdni, dbać o parkową zieleń. Polly wstawiła kwiaty do słoika i przez chwilę układała, tak by wyglądały jak najładniej.

– No. To dla ciebie, Jacob. Miło cię poznać.

Annie stała w milczeniu.

– Mogę powiedzieć coś dziwnego? – spytała po chwili.

– Zawsze.

– Nie sądzę, żeby mnie słyszał. Staralam się w to uwierzyć, jak go straciłam... To strasznie boli, jak pomyślę, że go nigdy więcej nie zobaczę. Ale wydaje mi się, że po prostu zniknął. Chyba dlatego nie przychodzę tu za często. Kiedyś przychodziłam z mamą... ona wierzy w to wszystko... ale byłoby okrutne przypominać jej teraz, że odszedł. Nawet nie wiem, czy ona w ogóle pamięta, że

miała wnuka.

Polly wzruszyła ramionami.

– Chyba tak naprawdę nie jesteśmy w stanie zrozumieć śmierci. Czasem sobie wyobrażam, jakby to było – podejść do kogoś w metrze czy na ulicy, poklepać go po ramieniu i powiedzieć: przepraszam, czy zdaje pan sobie sprawę, że pan umrze? Może nie dziś, nie jutro, ale któregoś dnia. Wszyscy ci ludzie, którzy biegają jak kot z pęcherzem, na spotkanie, do Pret à Manger, na siłownię... Ciekawe, co by było, gdyby nagle do nich dotarło. Rzuciliby wszystko i zrobili tę jedną jedyną rzecz, o której zawsze marzyli? Skok ze spadochronem. Porzucenie pracy. Powiedzenie temu komuś, że się podoba.

Annie rzuciła jej spojrzenie.

– Lepiej żeby to nie był doktor Quarani.

– A jednak on jest wspaniały. Taki surowy...

– Na biurku ma zdjęcie żony.

– To może być siostra.

– Po-llyyy! – Annie nie była pewna, czy do Polly dotarło, że umiera. Jak ona może flirtować, robić plany, nawet zawierać przyjaźnie, skoro jej życie ma bliski termin ważności? – Może to niemożliwe – żyć, będąc nieustannie świadomym, że się umrze. Trudno znaleźć motywację, żeby umyć podłogę i w ogóle.

– Mnie nadal zdarza się pomyśleć, że muszę odnowić ubezpieczenie samochodu albo kupić zimowy płaszcz, zanim wykupią wszystkie przyzwyczajenia – odparła Polly. – Potem sobie przypominam... ale nie mogę, wiesz? Nie da się nie myśleć o przyszłości. – Dźwignęła się z trudem. – Tak czy siak... Kolejna rzecz, o jakiej nie musisz myśleć, kiedy umierasz, to żeby odstawić cukier. Właściwie to na odwrót, zaczęłam go znowu używać. To co, masz ochotę na gorącą czekoladę i ciastko?

Annie jeszcze raz spojrzała na niewielki grobek. Było teraz porządniej, najgorsze chwasty zostały wyrwane, a trawa przystrzyżona. Jacob nie pozostawił swojego śladu w świecie. Był tak krótko, zanim ich opuścił. Ale dla niej, dla Mike'a, dla jej matki – i, jeśli ma być uczciwa, również dla Jane – krótkie, nic nieznaczące życie Jacoba pozostanie na zawsze takie samo.

Pewnie kryła się tu gdzieś jeszcze jakaś głęboka myśl, ale zbyt przytłoczona była, aby ją odkopać, a Polly, wyraźnie blada, padła na trawę i Annie wiedziała: to znaczy, że jest wyczerpana.

– Jasne – powiedziała. – Idziemy na ciastko.

Dzień 27

ZMIENŃ POŚCIEL

Annie! Ktoś będzie u ciebie nocował?

Annie prychnęła.

– Jakbyś zgadł. – Przez cały czas, odkąd mieszkali z Costasem, nigdy nikt nie został u niej na noc. Wiedziała, że u niego czasem ktoś bywa, ale zawsze wymykali się przed świtem, pozostawiając jedynie te cholerne włosy pod prysznicem.

– To dlaczego...? – Costas stał w drzwiach, wskazując na rozrzucone po podłodze sztuki pościeli. Buster, w jego ramionach, lizał go różowym języczkiem po twarzy.

– Tylko nie puszczaj psa na podłogę, ja po prostu zmieniam pościel – ostrzegła. W miejsce dawnej, szarawej, powlekała nową, turkusową w różowe kwiaty.

– On niczego nie będzie jadł, to dobry piesek, prawda, maluszku? Tak, jestem dobrym pieskiem! Bardzo dobrym pieskiem! W takim razie, Annie, dlaczego to robisz?

– Oj, po prostu przyszedł czas na zmianę. Na to, żeby zadbać o to, jak się mieszka.

Spała w tej pościeli, odkąd się tu wprowadziła, załamana i pozbawiona jakiegokolwiek własności. Wszystkie ładne rzeczy zostawiła w domu i wróciła do dawnego życia. Kupiła najtańszą pościel, jaką mogła znaleźć, szorstką i nieprzyjemną w dotyku, i prała ją o wiele rzadziej, niż powinna.

Costas uniósł kciuki.

– Brawo, Annie. To ja idę.

Miał na sobie obcisłą srebrzystą koszulkę. Annie uśmiechnęła się do niego wyrozumiale.

– Miłego.

Może i jemu powinna kupić nową pościel? Bądź co bądź, nie było zbyt miło w tym pokoju wielkości pudełka, który nazywał domem... Poklepała i wygładziła kołdrę i podziwiając efekt, wróciła myślą do tego, co powiedział. Gdyby, w jakimś równoległym i zupełnie nieprawdopodobnym świecie, ktoś miał jakimś cudem ujrzyć jej sypialnię, przynajmniej nie spali się ze wstydu.

Jeszcze poduszka. Schyliła się i w poszukiwaniu poszewki wysunęła najniższą szufladę. Coś zaszeleściło. Bibułka... I Annie za późno przypomniała sobie, co tu schowała. Jej najcenniejszy skarb.

Była to jedyna rzecz jej synka, jaką zachowała. Wszystkie pozostałe były kupione w sklepie i każdy mógł takie mieć, ale ten kremowy sweterek zrobiła na

drutach jej matka, dziergając pracowicie przed telewizorem przez dwa miesiące. Guziczki były w kształcie główek owieczki. Przyłożyła go do twarzy i wciągnęła jego woń. Ze środka wypadła nieduża plastikowa tabliczka z nazwiskiem: JACOB MATTHEW HEBDEN. Jego szpitalny identyfikator.

I znowu tam była. W swoim dawnym łóżku, wczesnym rankiem. Mike przynosi jej Jacoba do karmienia, małe ciało wślizguje się pomiędzy nich. Dziecko, które stworzyli. Cud. Zazwyczaj kiedy myślała o tamtych czasach, zaciemniał je gniew, który czuła. Ale przecież Mike też to wszystko stracił. Nawet jeśli miał teraz Jane, to gniew nie oślepił Annie na tyle, by nie zdawała sobie sprawy, że nie może to wynagrodzić tego wszystkiego, co było. Nic nie może tego wynagrodzić. Mike był jedynym człowiekiem, który naprawdę rozumiałby, co to dla niej znaczy – trzymać w rękach ten małeńki sweterek i wspominać dziecko, którego już w tym sweterku nie ma. Może, bądź co bądź, to coś znaczy.

Westchnęła. Cholerna Polly... Choćby się człowiek nie wiem jak starał, trudno było zachować odporność na tę jej irytującą pozytywną postawę wobec wszystkiego.

Dzień 28

PRZEBACZ KOMUŚ

Chyba zmieniłam decyzję. Może dajmy spokój?

– Jedziemy, jedziemy. Znasz takie powiedzenie? Rozgoryczenie jest jak trucizna, którą pijesz w nadziei, że zabije kogoś innego. A ty, moja kochana Annie, wypijałaś jej już hektolitry.

Annie nachmurzyła się. Lubiła swoją truciznę. Była jak mocna kawa, ciemna, stymulująca, dająca napęd. A mimo to siedziała oto w aucie, które Polly pożyczyła od Milly. Volvo.

– Skoro to takie ważne, to czemu nie jedziemy w twojej sprawie? Założę się, że i ty masz kogoś, na kogo jesteś wściekła i powinnaś mu przebaczyć.

Polly skrzywiła się.

– Jeszcze nie jestem gotowa.

– Ja też nie jestem.

– Twoja sprawa dłużej trwa. I wierz mi, mój „ktoś” to naprawdę ostatni sukinsyn.

– To ty twierdzisz, że powinniśmy ludziom wybaczać, pozbyć się trucizny i tak dalej. – Annie spojrzała na Polly. – Czy ten, komu nie umiesz wybaczyć, to Tom? – zaryzykowała. – Wprawdzie nie mówiłaś mi dotąd, kim jest Tom...

Polly znowu się skrzywiła.

– Powiedziałaś, że nie jestem gotowa. I tak czy siak, dziś chodzi o ciebie. O sobie pomyślę później. Dawaj, to doskonały czas. Widziałaś się z dawnymi przyjaciółkami, powiedziały, że Jane czuje się okropnie... To przeznaczenie.

– Żadne przeznaczenie. To ty się wtrąciłaś. Jakbyś nie zorganizowała tej zasadzki, to nawet bym się z Zarah nie spotkała.

– Prędeż czy później byś na nią wpadła.

Annie westchnęła. Nie było sensu protestować.

– Okej. Ale tylko z nimi porozmawiam. Nie potrafię im wybaczyć. Jeszcze nie. – I chyba nigdy.

Po chwili milczenia Polly rzekła:

– Tom to naprawdę wielki skurwysyn. Wierz mi.

– Muszę. – Nie lubiła prosić, ale czy Polly nie ufa jej na tyle, żeby powierzyć jej jakiś sekret? Ona wiedziała o niej wszystko. Troszkę to było nie w porządku, z rakiem czy bez. – Możesz prowadzić, tak? – spytała podejrzliwie, gdy Polly wrzuciła bieg.

– Oczywiście, że mogę! To w którą stronę mam jechać?

– W prawo, potem druga w lewo. Uważaj, gdzie... Jezu! – Skrzywiła się, gdy Polly gwałtownie skręciła. – A teraz cały czas prosto.

Pamiętała drogę do domu tak dobrze, że trafiłaby z zamkniętymi oczami. Ulica Kwiatowa 175, Ladywell. Nawet adres brzmiał obiecująco... To był kiedyś jej dom. Od początku czuła, że to przeznaczenie – od chwili, gdy Mike zadzwonił, cały podekscytowany, i powiedział, że znalazł idealny dom, i po pracy pojechali go obejrzeć. Dłonie pociły im się z wrażenia, gdy trzymając się za ręce, oglądali czarno-białe płytki w holu i kępy żonkili w ogródku – ulubione kwiaty Annie. Próbowwała go nawet nazywać Żonkilowym Domkiem, ale Mike uważał, że to niemądre, a listonosz miał kłopoty ze znalezieniem adresata. Był jej, gdy w sklepie z antykami znaleźli skórzaną sofę Chesterfield i gdy wyszlifowali do białości deski podłogi za pomocą wielkiej, huczącej maszyny, którą w tym celu wypożyczyli. I był jej, gdy wrócili z Jacobem ze szpitala, w nosidełku, z którego wзираła jego białoróżowa niczym płatek róży twarzyczka...

Ale teraz nie był jej. Był Jane. Jane i Mike'a.

– A jak ich nie ma w domu?

Polly wzięła zakręt, omal nie przewracając latarni.

– Jest niedziela, oczywiście, że będą w domu. Będą montować meble z Ikei i wypróbować przepisy Jamiego Olivera, jak wszystkie pary z przedmieścia.

– Dzięki za przypomnienie. I uważaj na drogę! Jezu! – Nieduży terier o mały włos uniknął śmierci pod kołami samochodu. – Kiedy ty właściwie dostałaś prawo jazdy?

– Wiele lat temu. Uspokój się, dobrze? Ja mam raka, wypadek samochodowy mi niestraszny.

– Ale ja nie mam!

– Przestań się chwalić! Słuchaj, po prostu powiesz cześć i że chciałaś pogadać, bo już tak dawno nie rozmawialiście, i że ci przykro z tego powodu, i że pora wszystko naprawić i zapomnieć o przeszłości. A potem ich uściskasz.

– Na pewno tak nie zrobię. Pomyślą, że dołączyłam do jakiejś sekty albo coś.

– I faktycznie dołączyła, pomyślała, wspomniawszy ostatnie parę tygodni. Do sekty Polly. – A poza tym wcale mi nie jest przykro, żeśmy stracili kontakt. To wyłącznie ich wina.

– Annieeeee! To nie jest w duchu pojednania. Musiałaś zrobić coś, czego żałujesz.

Annie pomyślała o długich, pełnych złości mejlach, które wysyłała do nich obojga, kiedy wypila za dużo wina. Pisała w nich, że ich nienawidzi i ma nadzieję, że złapią wirusa ebola.

– Hm... nie wiem.

– W takim razie powiedz po prostu, że im wybaczasz. To największy prezent, jaki możesz im podarować.

Ale Annie im nie wybaczyła. I kiedy znalazły się w okolicy, która była kiedyś jej, kiedy zobaczyła znajome uliczki i sklepy, poczuła, że wciąż buzuje w

niej gniew. Ale przyjechała aż tu, przedsięwzięła coś, wiedziała też, że nie będzie mogła przyjaźnić się z Zarah i Miriam, jeśli przynajmniej nie spróbuje pogadać z Jane.

– Skręć tutaj. Ostatnia uliczka w lewo. Sto siedemdziesiąt pięć. Sto siedemdziesiąt pięć!

Polly minęła uliczkę. Annie zobaczyła, że mruży oczy, i błysnęła jej straszna myśl.

– Czy ty jesteś ślepa, czy co?

– Wszystko ze mną w porządku!

– Polly!

– Okej, okej. Mam trochę problemów ze wzrokiem. Bob naciska na nerw wzrokowy, to wszystko.

Annie na chwilę przymknęła oczy.

– Jezu. Z powrotem ja prowadzę. Dobra, to tutaj.

– Śliczny! Uwielbiam wykuszowe okna. A ta dachówka!

W zimowe dni Annie lubiła przycupnąć w którymś z tych okien i śnić na jawie. Wyobrażała sobie, że Jacob też tak przycupnie, jak będzie starszy, i będzie czytał książkę albo oglądał film. A może i inne dziecko, albo dwoje... Nie ma ich, tak samo jak nie ma Jacoba.

– Szkoda, że już tu nie mieszkam. No dobrze, miejmy to za sobą. Idziesz ze mną?

Polly pokręciła głową. Zaparkowała jednym kołem na chodniku.

– Zostanę. Posłucham sobie Magic FM. Życie jest za krótkie na Radio Three. Szkoda, że o tym nie wiedziałam wcześniej.

Co ona powie? A jak ją wyrzucą? Idąc ścieżką, obejrzała się nerwowo: Polly rytmicznie poruszała głową w takt muzyki. Z dziwną mieszanką satysfakcji i żalu odnotowała, że skrzynki z kwiatami, które tak starannie pielęgnowała, zarosły chwastem. Podniosła rękę, żeby zadzwonić, i przerwała w pół gestu. Znowu obejrzała się na Polly, która opuściła szybę, i łomot Backstreet Boys dochodził aż tutaj.

– Karta raka! – wrzasnęła Polly. Annie skrzywiła się i wcisnęła dzwonek.

Długo nikt nie odpowiadał. Już zaczęła na nią spływać gigantyczna ulga, gdy wtem po drugiej stronie drzwi rozległy się kroki.

– Idę! – usłyszała głos Jane. Głos, który kiedyś słyszała codziennie, jeśli nie bezpośrednio, to przez telefon, gdy przeprowadzały wiwisekcję chłopaków, stosunków w pracy, planowanego wesela Annie i fabuły ostatniego odcinka *Chirurgów*.

To był upiorny pomysł... Ale było za późno, bo Jane już otwierała drzwi, i Annie nie wiedziała, na co patrzeć najpierw. Na dawną najlepszą przyjaciółkę, starszą o dwa lata, odrobinę zszarzałą, w spodniach od piżamy i rozciągniętym

swetrze – czy na balon pod swetrem, na którym Jane złożyła rękę z połyskującą ślubną obrączką. O Boże. Dlaczego nie wzięła pod uwagę takiej możliwości?

Jane była w ciąży.

Jakie to dziwne – wejść do domu, który kiedyś był jej, a teraz nie jest... Meble w salonie i niemal wszystkie książki na półkach były te same, ale na telewizorze stało ślubne zdjęcie Jane, a nie Annie. Pan młody był ten sam. Ale było dużo bardziej nieporządnie – Annie miała kiedyś hysia na punkcie ładu, choć dziwnie było to wspominać – a teraz wszędzie stały kubki po kawie i leżały porzucane gazety. Była też mata na podłodze, najwyraźniej dla dziecka – w motylki, ptaszki i kwiatki, miała udawać ogród. Szykują się na dziecko, ich dziecko... Mike'a i Jane. Kiedy przemówiła, jej głos był jak cieniutki lód na rzece łoż.

– Nie wiedziałam.

Jane wyglądała na porażoną.

– Nie. Staraliśmy się, żeby nic nie było w sieci, na wypadek... Mówiłam Mike'owi, żeby ci powiedział. Ale... no wiesz.

Staraliśmy się... My. To był dla Annie nóż w serce.

– Przepraszam, że tak wpadłam bez uprzedzenia.

Jane próbowała pozbierać niektóre czasopisma.

– Czy przyszłaś... hm... przyszłaś coś zabrać?

– Nie, skąd. – O Boże, jak to wytłumaczyć... – Mogę na chwilę usiąść, Jane? Po prostu chciałam pogadać. Możemy?

Jane przez chwilę milczała i Annie ze wstydem wspomniła ostatni raz, kiedy tu była, dzień, w którym opuściła ten dom, złorzecząc obojgu. Jeszcze na ścieżce wrzeszczała, że Jane jest złodziejką mężów, a Mike plugawym oszustem.

– Dobrze – powiedziała w końcu Jane. – Chyba już czas. Może byś...? – wskazała w stronę sofy.

To była ta sama sofa, pokryta śliczną czerwoną skórą o niby-popękanej fakturze. Annie za nią zapłaciła – a teraz jedyna sofa, jaką miała, to była ta z okropnego skaju, kupiona w sklepie charytatywnym Brytyjskiej Fundacji Serca. Starła się nie mieć tego za złe, siadając. Mike był tak przygnębiony przy rozstaniu, że chciał jej oddać dom z całą zawartością, ale zbyt dumna była, żeby wziąć choćby pensa. Kiedy się wprowadziła do wynajętego mieszkania, nie miała nawet łyżeczki, tak zdecydowana była pozostawić to wszystko za sobą.

– Herbaty?

– Hm... nie, dziękuję. – Nie była pewna, jak długo Jane pozwoli jej zostać, kiedy zacznie mówić. – No więc... pewnie się dziwisz, czemu...

– Troszkę to niespodziewane, rzeczywiście. – Jane schyliła się, żeby podnieść brudny kubek, kryjąc twarz we włosach. Nadal były blond, ale odrosty przy skórze ujawniały więcej siwizny. Kiedy to Jane siedziała na tej sofie, Annie

była zarumienioną, szczęśliwą gospodynią, szykującą się do narodzin swego dziecka. Był to jedyny okres w jej życiu, kiedy w głębi serca nie czuła się zazdrosna o Jane – która, bądź co bądź, wychowała się z rodzeństwem, w przyjemnym domu, i miała ojca – i kiedy czuła się w zgodzie z sobą i światem.

Jane była dawniej jakby trochę zagubiona, za każdym razem miała na ustach imię innego mężczyzny, łzy chwytały ją za gardło, kiedy mówiła. A Annie zawsze była gotowa jej wysłuchać, podsuwała chusteczki do nosa i tuliła. Zabawne... Kiedy Jane w końcu przestała się skarżyć na swoje życie uczuciowe, Annie pomyślała, że wreszcie się pogodziła z tym, że jest singlem, i ruszyła naprzód. A ona rzeczywiście ruszyła – z Mikiem.

– No cóż – rzekła Annie. – Chyba ostatnio... sporo się nad sobą zastanawiałam.

– O.

– I pomyślałam, że przyjdę i cię zapytam... spróbuję zrozumieć, co się stało. Z tobą i ze mną... i... z nim.

– Widziałaś się z Zar i Miram, tak?

– Tak. Powiedziały, że ty... że czujesz się okropnie.

– Annie, czuję się tak okropnie, że mało nie umrę. Ale musisz wiedzieć, że ja tego nie planowałam. Mike i ja...

Annie się skrzywiła. Ona też kiedyś tak mówiła: Mike i ja. Mój mąż, Mike.

– ...ty i on byliście... po prostu załamani, i ja też, a potem ty się zamknęłaś, nie było z tobą żadnego kontaktu, a on po prostu potrzebował z kimś pogadać, i zanim się zorientowałam, byliśmy... a teraz jestem... cóż.

– Widzę. – Annie wpatrywała się w wypukłość. – Jak dawno...?

Jane położyła obie ręce na brzuchu, gestem, który Annie tak dobrze знаła.

– Siódmy miesiąc. Jakoś tak.

Dziecko musi być już w pełni uformowane, ma zaciśnięte piąstki i stópki. Jacob też takie miał, maciupcie jak myszki, w niebiesko-zielonych skarpetkach. Wszystko bezpieczne, przytulne, pastelowe.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Wiem, że nie zrobiłaś tego celowo – powiedziała (choć nie była o tym do końca przekonana). – Ale ja straciłam wszystko. Dziecko, męża, dom... i ciebie. Nie mam nic, Jane.

Jane unikała jej wzroku.

– Wiem. Przepraszam. Tak mi przykro z powodu Jakeya... wiesz, jak go kochałam. Nie mogłam się po tym pozbierać.

Annie o mało nie wrzasnęła: „nie wymawiaj jego imienia!” Ale ugryzła się w język. Jane była cudowną chrestną matką, odwiedzała ich co tydzień, robiła setki rozczulających fotek.

Jane pociągnęła nosem.

– To musiało być dla ciebie potworne. Nawet trudno mi to sobie wyobrazić. Ale to, co się stało z nami... to był przypadek, nie planowałam tego. Po prostu się zakochałam. Wiem, że to było samolubne. Po prostu bardzo go kochałam... i nie wiedziałam, co robić.

– Jesteście szczęśliwi? – spytała. Niedługo będzie ich nie dwoje, lecz troje... Czy będą używać pokoju Jacoba? Zamałują te kaczuszki i misie, którymi ona go przyozdobiła?

Jane zawahała się, po czym ze skrucłą pokiwała głową.

– Myślę, że tak, mimo wszystko. To znaczy, jestem dość wykończona, źle się czuję... – Urwała, jakby uświadomiwszy sobie, do kogo mówi. – Przepraszam. Pewnie nie masz ochoty słuchać, że trudno być w ciąży.

– Pamiętam. – I mieć dziecko też jest trudno. Łatwo było czasem o tym zapomnieć, tak silna była tęsknota za tym, żeby mieć synka z powrotem. Samo wspomnienie tego, jak nosiła go po tym pokoju, o trzeciej nad ranem, o czwartej, a on wrzeszczał jej prosto w ucho, mocząc szyję łzami i smarkami, wydawało się zdradą... Ogarnął ją głęboki smutek.

– To nie twoja wina, co się stało z Jakeyem. Ale wiesz – to, co zrobiłaś, to była ta ostatnia kropla, która przepełniła kielich. To mnie ostatecznie załamało.

Jane wydała jakiś dźwięk, przypominający prychnięcie, i Annie zobaczyła, że płacze, z brzydko zmiętą twarzą. Jej własna rzeka łez falowała niepokojąco pod powierzchnią lodu. Ale nie, ona i Jane nie będą płakały, objawszy się uściskiem, i nie staną się na powrót przyjaciółkami.

– Bardzo, bardzo przepraszam – wyszlochała Jane. – Tak mi cię brak. Zrobiłam taką potworną rzecz.

Serce Annie było tak ciężkie, że ważyło chyba tyle co wiadro wody.

– Chyba już pójdę. – Nie mogła tu zostać dłużej, w tym ślicznym domu, który był kiedyś jej. To było tak cholernie niesprawiedliwe, że Jane ma jej dom, jej męża, a teraz i dziecko. A ona, Annie – nie ma nic. Przez moment wyobraziła sobie inny świat, w którym Jane jest w ciąży z kimś innym, nie z jej eksmężem. Jakżeby się cieszyła z jej szczęścia! Utrata tego wszystkiego – nie tylko Jacoba, ale i Jane, a do tego to dziecko, które ma przyjść... wszystko to ścisnęło jej serce jak cęgami. Czy można sobie wyobrazić, że będzie kiedyś tak po prostu uczestniczyć w ich życiu? Przychodzić na urodziny dziecka, przysyłać prezenty?

Spojrzała w sufit.

– Czy używasz... czy będziesz używać jego pokoju?

– Nie ma innego. – Jane zagryzła wargi. – Przepraszam. Powinniśmy się przeprowadzić, tylko że wiesz – ceny domów, i...

– W porządku. – Oczywiście że będą go używać – gdzie indziej mają położyć dziecko? A jednak to bolało, piekło jak otwarta rana.

Ruszyła do drzwi – i w tej chwili otworzyły się ze skrzypnięciem. W

drzwiach stał Mike. Ręka z kluczem zamarła w pół ruchu, niemal komicznie, wpółotwarte usta zastygły w wyrazie „och”.

Annie jednym spojrzeniem ogarnęła jego twarz i sylwetkę. On też się postarzał – linia włosów się cofnęła, a brzuch pod koszulką polo i dżinsami uwypuklał się bardziej niż kiedyś.

– Annie? – W rękach trzymał wypchane płócienne torby Waitrose. A więc w końcu zapamiętał, aby używać wielorazówek.

– Cześć, Mike.

Zwrócił twarz w stronę Jane.

– Kochanie, czy...

Kochanie. To było jak pchnięcie nożem. Patrzyła na ich milczącą rozmowę, taką, jaką i ona kiedyś z nim prowadziła.

„Czy ona znowu zrobiła scenę?”

„Nie, wszystko w porządku”.

Nie była w stanie znieść kolejnego emocjonalnego starcia. Zmusiła usta do uśmiechu, a przynajmniej do uniesienia kącików.

– Muszę iść. Dzięki za rozmowę, Jane. Gra... – Słowo uwięzło jej w gardle.

– Gratulacje. Pa.

Zostawiła ich w drzwiach, dwoje, a wkrótce już troje, rodzina. Kiedy szła ścieżką, dobiegł ją głos Mike’a:

– Jakaś wariatka w samochodzie, o tam, śpiewa z radiem megamiks z *Grease*.

Dzień 29

ZRÓB ODSTRZAŁ NA FACEBOOKU

Brawo! – zawołała Polly, kiedy Annie, nieco nadąsana, pokazała jej telefon do kontroli. – Oboje usunęłaś?

– Oboje.

Ale nie czuła się z tym dobrze. Były z Jane przyjaciółkami na długo przed epoką Internetu, na długo, zanim dostały okres i zaczęły się interesować chłopakami, zanim umiały zawiązać sznurowadła u butów. A teraz usunęła ją na dobre... Nie mogła się pozbyć uczucia, że wszystko mogło się ułożyć inaczej, gdyby poczekała jeszcze z rok czy dwa. Może gdyby Polly jej nie zmusiła do działania, zanim była gotowa... ale nie. Ten most stał w ogniu, ludzie wrzeszczeli i skakali z niego do rozszalałej, wzburzonej wody. Nie było sensu rozpatrywać różnych „a gdyby”.

Siedziały w szpitalnej kafejce. Polly ścisnęła ją za ramię.

– Chodź, kupię ci ciastko. Jak myślisz, czy doktor Q miałby też ochotę, jak skończy biegać? Widziałam go wcześniej, jak robił kolejne rundy wokół szpitala. Jest taki szczupły, no nie?

Annie zmarszczyła brwi.

– Polly.

– To tylko ciastko!

– Oczywiście. Tak czy siak, stop z ciastkami, bo dostanę cukrzycy typu drugiego i wyląduję w tym szpitalu razem z tobą, i nie będziesz już mogła grać swoją kartą raka.

– Dobra, dobra. Zabierajmy się stąd, bo widzę doktora Zrzęde, a muszę go unikać. Powiedział, że potrzebna mi jest biała laska, bo źle widzę! Możesz sobie wyobrazić? Ja i biała laska! Nie jestem ślepa.

Annie spojrzała w stronę kontuaru. Doktor Max kupował coś, co wyglądało na poczwórne espresso. Pomachała mu. Ciekawe, czy jest na Facebooku, pomyślała leniwie.

Dzień 30

SŁUCHAJ

Annie odetchnęła głęboko. Pisała tego mejla już po raz piąty i zaczynało się to robić śmieszne. To tylko pięć słów! Może kliknąć „wyślij” i już? Ale jeśli odbiorczyni go wyśmieje albo zignoruje, albo przeforwarduje do wszystkich innych? Ręka zawisała nad myszą, sparaliżowana. Co by na to powiedziała Polly? Coś bez znaczenia, na przykład że musi być ciemno, żeby zobaczyć gwiazdy, na pewno. Mnóstwo tych motywujących sloganów dotyczyło astronomii, Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

Westchnęła i kliknęła. „Może pójdziemy dziś na lunch?” Zapatrzyła się w blat biurka. To będzie niezręczne. O czym one będą rozmawiały? Zakładając, że ona się zgodzi. Choć raczej nie. Kiedy jednak odważyła się podnieść głowę, Fee entuzjastycznie kiwała głową.

– Co za miły pomysł, Annie. Zawsze jem przy biurku, nie odrywając się od pracy.

– Wiem. Ale przecież nam za to nie płacą, prawda?

– Masz rację. I w ogóle nie wiedziałam o tym miejscu. – Siedziały na metalowych krzesłach przed kioskiem kawowym obok parku, jedząc bułeczki z bekonem i pijąc kawę ze styropianowych kubków. Fee przymknęła oczy i wystawiła twarz do słabego wiosennego słońca. – Lepiej się tu czuję. Dzięki, Annie.

– Wszystko... wszystko w porządku? – spytała nieśmiało. Nie chciała być wścibska, ale Fee ostatnio nie była sobą. Od co najmniej miesiąca nie próbowała zabrać ich wszystkich na karaoke.

– Och, wiesz... w domu mam trochę kłopotów. Moja partnerka, Julie, przechodzi zapłodnienie in vitro, a to kosztuje fortunę. A na dodatek w pracy coś przebakują o redukcjach... Pewnie jestem trochę nerwowa w związku z tym wszystkim.

– O, to przykre. Wiem, że to trudny czas, kiedy się próbuje. – Niby pchnięcie nożem mignęło jej wspomnienie, jak Mike ją błaga: „Proszę, Annie, dajmy sobie spokój z próbami, to cię zabija...” Pociągnęła łyk kawy, starając się ukryć skrzywienie.

– Czuję się taka bezradna. Może to ja powinnam to robić? Ale ona jest młodsza i ma to większy sens... – Fee urwała. – Musisz myśleć, że jestem okropna, Annie. Wyciągam to wszystko, a ty przecież przesłaś swoje...

– Och, masz na myśli... mojego synka? – Wszyscy oczywiście wiedzieli, choć nikt o tym nigdy nie wspominał. Nie chodziła wtedy do pracy miesiącami, czuła się tak, jakby miała umrzeć z bólu. – Szczerze, nie przeszkadza mi to. Przez

całe wieki nikt się do mnie słówkiem nie odezwał na temat swoich dzieci ani ich do mnie nie przyprowadzał. Czułam się jak trędowata. – Tak jakby śmierć dziecka była zaraźliwa albo coś. – Tak że spokojnie, chętnie posłucham.

Przez następne pół godziny słuchała, jak Fee opowiada o swoim stresie, o tym, że Julie sypia w osobnym pokoju i że ogołociły swoje konta bankowe, i jak Fee się martwi, że może stracić pracę... Jakie to dziwne, pomyślała Annie, choć raz nie być tą, która ma załamkę. Tak jakby wciąż mogła być kimś, kto pomaga ludziom.

Dzień 31

TAŃCZ, JAKBY NIKT NIE PATrzyŁ

Ale czy ty powinnaś to robić, Poll? To znaczy, czujesz się na tyle dobrze?

– O czym ty mówisz, mam się doskonale! – Polly już tańczyła w rytm muzyki, gdy ludzie dopiero się przebierali, ściągali swetry, ujawniając obcisłe legginsy i koszulki bez rękawów. Annie objęła się ramionami. Miała na sobie tyle warstw, że nie sposób było powiedzieć, czy jest kobietą, mężczyzną czy Honey Monsterem.

– To będzie koszmar – orzekł George, wychylając duszkiem butelkę dietetycznej coli. Miał cienie pod oczami, emanował z niego lekki odór wódki. – Nie cierpię, kurna, takich hipisowskich numerów. Przynajmniej kiedy nie jestem pod wpływem.

Tym razem Annie się z nim zgadzała. Obejmowanie nieznajomych i ocieranie się o nich pewnie jest fajne, kiedy człowiek jest najarany, ale nie o szóstej rano w środę, kiedy jest się trzeźwym jak świnia. Zdjął ją strach. Robiła, co mogła, żeby unikać kontaktu wzrokowego, udawać, że do tego nie dojdzie, ale za parę minut warsztaty tańca kontaktowego się zaczną i będzie musiała macać innych ludzi, pozwalać im, żeby obejmowali ją w talii – o ile ją znajdą... – i dotykali jej ręk i nóg, a może nawet twarzy... i... o Boże.

Chwyciła go za ramię.

– Nie mogę tego zrobić. Po prostu... naprawdę nie mogę. Nie umiem tańczyć, nienawidzę, jak mnie dotykają, i po prostu naprawdę, naprawdę nie mogę. Przepraszam.

– Nie przepraszaj mnie, jadę na tym samym wózku. – Przeciągnął dłońmi po zmęczonej twarzy. – Nienawidzę tańczyć na trzeźwo. Nienawidzę obcisłych rzeczy. Nienawidzę się uśmiechać.

Inni uczestnicy promieniowali zdrowiem, uśmiechali się szczerze do siebie, witali się uściskiem z prowadzącym. Annie wycofała się w możliwie najdalszy kąt. W brzuchu pulsowało przerażenie.

– O Boże. Nie mogę.

– Czemu ja naprawdę nie chodziłem na siłownię, zamiast udawać, że chodzę? – jęknął George, wciągając mięśnie brzucha. – Myślałem, cholera, że geje są szczupli i napakowani. A ci goście tutaj są tacy... zdrowi!

Polly zbliżyła się do nich, wirując. Choć była szczupła, nie była zdrowa. Widać było jej słabiutkie włosy pod chusteczką, wystające kości i zmęczoną cerę. Już teraz dyszała, a jeszcze nawet nie zaczęli. Annie i George wymienili szybkie spojrzenia.

– Będzie fantastycznie. Wy też dołączycie, prawda?

– Jasne! – potwierdziła radośnie Annie.

– Już nie mogę się doczekać! – George się uśmiechnął i wystawił w górę kciuki. Kiedy Polly się odwróciła, zrobił minę do Annie. – Chodźmy... Jakoś to przetrwamy i pewnie zarobimy milion ekopunktów^[1]. Idziemy?

– Idziemy... – zgodziła się niechętnie Annie, myśląc, że dobrze jednak mieć sprzymierzeńca, choćby z nieoczekiwanej strony.

– A teraz bierzemy partnera czy partnerkę za ramiona... i patrzymy głęboko w oczy jemu czy jej!

Partnerem Annie był w tej chwili mężczyzna w średnim wieku o nieświeżym oddechu i rozwianych siwych włosach.

– Będzie łatwiej, jeśli naprawdę się na to otworzysz, Anna.

– Jestem Annie. – I kto mu dał prawo uważać się za prymusa i pouczać innych?

– I popychaaamy... – zawodziła śpiewnie instruktorka, smukła rudowłosa dziewczyna zwana Talią, która wyglądała, jakby lycra została namalowana sprejem na jej szczupłych udach i łydkach. Człowiek o Nieświeżym Oddechu silnie pchnął Annie.

– Miałaś pchnąć – powiedział życzliwie.

– Pchnęłam – jęknęła Annie.

– No, no. Naprawdę, Anna, powinnaś popracować nad swoim mięśniem czterogłowym. Mogę ci zasugerować świetną siłownię...

– I zmiaaaaana partnera!

– Cześć! – Annie uchyliła się przed nieuchronnym przybiciem piątki. Nie przybijała piątki. Z zasady.

George złapał ją za ramię. Oczy miał okrągłe.

– Ratunku! Właśnie dopiero co musiałem włożyć jakiejś kobiecie głowę między nogi. Nie robiłem tego, odkąd przyszedłem na świat!

Popatrzyli na Polly, która wirowała, objając się o innych ludzi. Turkusowy szal powiewał jak sztandar. Oddychała ciężko i Annie podejrzewała, że nie widzi zbyt dobrze.

– Wszystko z nią w porządku? – spytała George'a.

– Nie wiem. Jeśli chodzi o wzrok, to uprawia totalny denializm. Chodź. – Ruszyli, tańcząc, w stronę Polly. – Hej, Poll! Może byś odpoczęła parę minut?

– Nie potrzebuję... odpoczynku – wydyszała.

– Jasne, ale nas zawstydzasz. Daj nam z Annie trochę czasu, żebyśmy się podciągnęli, co?

– Dobrze – zgodziła się i szybko usiadła na najbliższym krześle. Położyła rękę na plecach i skrzywiła się z bólu. – Tylko dla was.

– Trzymaj się mnie – mruknął George do Annie. – Będziemy udawali, że to wszystko robimy.

I tak przez najbliższe pięćdziesiąt minut wirowali, stękali i toczyli się po podłodze, i wyrzucali w górę ramiona, wchłaniając energię wszechświata. Annie robiło się coraz goręcej w tych warstwach ubrania, które na sobie miała, wreszcie poczuła, że pot jej spływa po plecach. George był irytująco blisko, czasem czuła jego drapiący zarost, w uszach miała rżenie jego oddechu. Ile czasu upłynęło, odkąd była z kimś tak blisko w sensie fizycznym? Na pewno nie zdarzyło się to od czasów Mike'a. Twardo patrzyła w podłogę, na sfatygowane maty do jogi, wydzielające słabą woń potu, i próbowała odliczać sekundy, jak podczas bolesnego i upokarzającego zabiegu medycznego. A miała bogate doświadczenie w tej sprawie... I wreszcie przyszedł koniec. Wyjęła głowę spod pachy George'a, która wydzielala woń, jakby ktoś wylał tam cały pojemnik olejku zapachowego.

– Chyba... skończone – wydyszała, zaledwie mogąc w to uwierzyć.

– Naprawdę? – wystękał George.

– Czeeeeść! – zawołała radośnie Polly, podchodząc. Wyglądała na zmęczoną, ale szczęśliwą, na bladej twarzy miała ciemne koła rumieńców. – To było super! Szkoda, że nie spróbowałam tego już dawno temu. Czułam się taka... połączona.

Annie czuła się jak w zatłoczonym metrze – wtłoczona przez całą godzinę w krocza innych ludzi. Z tą różnicą, że tu każdy się na ciebie gapił i natarczywie uśmiechał.

– Zawsze to jakieś doświadczenie – zaryzykowała.

George był bardziej uczciwy.

– Jezu Chryste, Poll. Lepiej żebyś naprawdę była umierająca, bo ja tu nigdy więcej nie przyjdę. Nigdy! Będą mi potrzebne całe miesiące terapii, żeby się wyleczyć z tego „doświadczenia”.

Polly machnęła ręką. Obrażanie się było jedną z tych rzeczy, na które uznała, że nie ma czasu, tak samo jak na martwienie się o kalorie, stanie w kolejce i przejmowanie się tym, żeby wyglądać cool. Narzuciła sweter na chude ramiona, przy czym Annie zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Ale głos miała jasny.

– Może pójde z kimś na smufi z konopi, a wy? Macie ochotę?

George i Annie spotkali się oczami.

– Muszę iść do pracy – powiedziała szybko Annie.

– W weekend?

– Hm... przecież to środa, Poll.

– Naprawdę? Ach tak, dla mnie to ostatnio bez różnicy. A ty, brat?

– Mam ważne przesłuchanie... prawdopodobnie.

– Do czego?

– Hm... nie wiem – wymyślił na poczekaniu George. – Agent zapomniał mi powiedzieć, cha cha.

– Dobra. – Polly machnęła ręką. – To co, zobaczymy się niedługo?

– Jutro. Pamiętasz?

– Oczywiście że pamiętam. Jejku, zachowałam jeszcze trochę władz umysłowych i cielesnych! To do zobaczenia.

Kiedy wyszli, Annie znowu spojrzała na George'a i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Jezu – wykrztusiła. – Mam wrażenie, że byliśmy bardziej śmieszni niż te zajęcia.

– Nigdy więcej nie pójdziemy. Choćby błagała. Umowa stoi?

– Stoi – zgodziła się. – Naprawdę masz przesłuchanie?

– Skąd. Tak jak teraz, to nawet na przesłuchanie policyjne nie mam szans. No, chyba że ktoś by poszukiwał kandydata do roli bitego męża.

Annie zamilkła. Podejrzewała, że za tym podbitym okiem – teraz już niemal uleczonym – kryje się coś więcej, ale nie śmiała pytać.

Przewiesił torbę przez ramię i wsadził ręce do kieszeni kamizelki.

– To cześć, Annie. Do zobaczenia jutro, na kolejnych, jeszcze śmieszniejszych wyglupach mojej siostry. – Nachylił się i pocałował ją w policzek.

Annie zaczerwieniła się. Gdyby nie Polly i jej szaleństwa, nigdy by nie miała okazji choćby porozmawiać z kimś takim jak George – zgryźliwym, przemądrzałym. No, chyba żeby zadzwonił z pretensjami o zbyt wysoki podatek od nieruchomości... A oto jest tutaj, wcześniej rano, zarumieniona i roześmiana, i ma jeszcze przed sobą godzinę, zanim będzie musiała znaleźć się w pracy. Pora kupić gdzieś latte, i może croissanta, i posiedzieć chwilę w wiosennym słońcu. Pomyślała o rozciągającym się przed nią mieście, o Sharon i Jeffie, i Fee, ściśniętych w tym zatęchłym biurze w Lewisham, i odetchnęła głęboko. Było w tym coś zbliżonego do zadowolenia.

Dzień 32

ZOSTAŃ WOLONTARIUSZKA

To jeszcze gorsze – warknął George. – To znaczy... spójrz na mnie.
– Świetnie ci w tym. Ten żółty kolor znakomicie pasuje do białek twoich oczu.

George spojrział ze złością na Polly.

– Powtarzam, gdyby nie to, że i tak już umierasz...

Annie wzięła do ręki swój kostium.

– Jak rozumiem, George ma być Wielkanocnym Króliczkiem, a my?

– Kurczaczkami oczywiście. Odlotowymi kurczaczkami.

To tłumaczyło te puchate żółte sukienki i pomarańczowe rajstopy... Przynajmniej będzie miała nakrycie głowy z dziobem, co, miejmy nadzieję, pozwoli ukryć jej tożsamość.

George wciąż narzekał na swój kostium, uszyty z bladożółtego futerka, z obwisłymi uszami.

– To upokarzające. Pamiętaj, że jestem w Equity^[2].

– Pomyśl o tym jak o aktorskim numerze – naciskała Polly. Udało jej się sprawić, że jej kostium kurczaczka wyglądał jak z haut couture. – No, idziemy. To naprawdę ważne.

Annie i George wymienili znaczące spojrzenia.

– Ty przynajmniej nie wyglądasz jak kluchowata gurlaska – pocieszyła go. – Masz rolę do zagrania.

– Pfff... A jaki jest cel tej mojej roli?

– Dać wielkanocne jajka biednym maluchom na oddziale dziecięcym – rzekła Polly surowo. – Które nie mogą wychodzić na zewnątrz, bo są takie chore, że to by je zabiło.

– Dobra, dobra. – Poprawił uszy. – Mam zamiar zagrać to tak, jakbym był Wielkanocnym Królikiem, któremu przepadła główna rola we *Wzgórzu Królików* z powodu kontaktu z miksomatozą^[3], i kompensuje to sobie, wnosząc głębię i patos nawet do tego występu.

– Jak tam sobie chcesz. Jajka już pochowaliśmy po oddziale, więc będziecie tylko musieli pomóc dzieciakom je znaleźć i być mili, i tak dalej. Dacie radę?

– Tak – mruknęli Annie i George.

– O, królik Bugs! – O nie. Szkocki akcent... Doktor Max, dziś w koszuli i krawacie, wymiętych tak samo jak jego zmęczona twarz, zbliżał się, a wraz z nim doktor Quarani, staranny jak zawsze.

– Cześć, doktorze Zrzędo! – zawołała Polly. Okręciła się i dodała niby swobodnie: – O, cześć, doktorze Quarani.

– Dzień dobry – odparł. Grzecznie, ale z dystansem. Polly wydłużyła się mina. – Jak pani matka, pani Hebden?

– O wiele lepiej, dziękuję. Ostatnio jak przyszłam, to rozwiązywała krzyżówkę w gazecie. Już od miesiący nie była w stanie tego robić.

– Interesujący kostium. – Doktor Max popatrzył na Annie. Zaczerwieniła się i obciągnęła puchatą sukienkę.

– To dla dzieci – powiedziała.

– Naprawdę? A może dla dorosłych, żeby się lepiej poczuli sami ze sobą? Mam nadzieję, że te kostiumy zostały wysterylizowane. Naprawdę, Polly, niektóre z tych maluchów są uczulone.

Polly przewróciła oczami.

– Niech pan przestanie się czepiać! Będzie super.

– Wybacz, ale czepianie się to mój zawód. Czyste ręce, wszyscy. Jeżeli nie wolno im jeść, to znaczy, że nie wolno im nic jeść. Nie dawać im czekolady. Jeżeli mają mieć ograniczony kontakt, to nie przytulać ich ani nie brać na ręce. Domyślam się, że byłoby wam miło, ale to je naprawdę może zabić. Jasne?

– Dołączy pan do nas, doktorze Quarani? – spytała niewinnie Polly.

– Zajmuję się raczej starszymi pacjentami.

Doktor Max zerknął na niego.

– Sami jest poważnym lekarzem. Wątpię, żeby chciał być kojarzony z dorosłymi ludźmi przebranymi za zwierzęta gospodarskie.

– Królik nie jest zwierzęciem gospodarskim! – Polly poprawiła sobie dziób.

– Niech pan z nami idzie, dzieciaki są naprawdę urocze!

– Muszę iść. Pora na obchód. – I oddalił się śpiesznym krokiem, manipulując po drodze przy pulsometrze na przegubie.

Doktor Max zmarszczył brwi.

– Mówię serio, Polly. Zostaw Samiego w spokoju. I uważaj z tymi dzieciakami. Są wrażliwe na sierść.

– Idzie pan z nami? – spytała Annie.

Pokręcił głową.

– Muszę zbadać pacjenta z guzem mózgu. To nie jest...

– ...praca od ósmej do piątej, wiemy. – Polly znowu przewróciła oczami. – To już naprawdę pańskie porzekadło.

– No cóż, napisz petycję do rządu, żeby zwiększyli fundusze, jeśli chcesz, żeby coś się zmieniło. Ale bawcie się dobrze.

Zabawne, jak on zawsze potrafi sprawić, że czuje się głupia i lekkomyślna, nawet jeśli stara się pomóc... Annie znowu obciągnęła sukienkę. Polly wystawiła za odchodzącym język.

– Nie przejmuj się doktorem Zrządą. Idziemy.

Drzwi rozsunęły się z lekkim szmerem i Annie, rozsmarowując na dłoniach

żel dezynfekujący, poczuła dziwne zdenerwowanie. Z dorosłymi chorymi sobie radziła. Przynajmniej rozumieli swoją sytuację... Ale co powiedzieć małemu dziecku, które może umrzeć, zanim jeszcze zdążyło trochę pożyć? Dobrze chociaż, że nie będzie tam niemowląt. Nie poradziłaby sobie z chorymi niemowlętami.

Na sali było sześć łóżeczek i z każdego wyzierała twarzyczka. Na końcu sali z plastikowego namiotu wyglądał chłopczyk z nadzieją w oczach. Annie z trudem przełknęła ślinę. Spróbowała się uśmiechnąć. Kolory były tu żywsze, ale jakby przez to straszne. Żółć – umierająca nadzieja, róż – beznadziejna miłość.

– Cześć wszystkim! Wita was Wielkanocny Królik i odlotowe kurczaki! – Polly wbiegła do sali, machając skrzydłami. Cisza.

– Są troszkę nieśmiałe – powiedział pielęgniarz, dobrze zbudowany młody człowiek, na którego identyfikatorze widniało imię Leroy. – Cześć, Polly.

– Cześć, słodziaki. – Cmoknęli się z Leroyem w policzek.

Annie spojrzała na George'a, unosząc brwi. Jak to możliwe, że Polly zna wszystkich?

– To jest Leroy, który w zasadzie prowadzi tę salę, a to Katie, pediatra. – Była to młoda kobieta w lekarskim kitlu, z piegami i warkoczykami, wyglądająca na dwanaście lat.

– Cześć. Czy doktor Max przeprowadził kontrolę pod kątem infekcji? Wiem, że to przykre, ale niektóre z nich są bardzo chore.

– A... to znaczy, co im jest? – George patrzył na jedno z dzieci, z zabandażowaną głową.

Kate podeszła i zaczęła wskazywać je kolejno stetoskopem.

– Bilal ma płyn w mózgu. Amy ma dziurę w sercu; niedługo będzie miała czternastą operację. – Była to dziewczynka uczesana, jak Kate, w mysie ogonki, w różowym kombinezoniku. Wyglądała najwyżej na trzy lata. – Matty choruje na łamliwość kości; to jego dziesiąte złamanie. – Chłopczyk, grający w Gameboya, obie nogi miał w gipsie. – Matty! – Zrobiła gest, by zdjąć słuchawki, i Matty zdjął, choć niechętnie. Kate ruszyła wzdłuż sali. – To Anika... ma guza mózgu.

– Pestka – orzekła Polly z tym swoim zbijającym z tropu uśmiechem, jaki miała zawsze, gdy mówiła o swojej chorobie. – Każdy wymawia słowo „rak” w taki sposób, jakby musiał je szybko przełknąć, bo zaraz go zabije – szepnęła do Annie. – Jakby to był Voldemort. Ja tylko próbuję czegoś innego, to wszystko.

Kate podeszła do dwojga ostatnich pacjentów.

– To jest Roxy. Ma piętnaście lat, a zachowuje się na pięćdziesiąt, uważa, że nie powinna być w sali dziecięcej.

Roxy była nastolatką o gotyckim wyglądzie, w czarnym swetrze i legginsach, z łysą czaszką owiniętą czarnym szalem. Brwi miała namalowane czarną kredką. Cmoknęła.

– Wszystko słyszę, wie pani. A to jest obciach.

– Tak, Roxy, wiem, że wszystkiego nienawidzisz. A ten w namiociku to Damon. Biedny dzieciak urodził się praktycznie bez systemu immunologicznego.

Annie starała się nie okazać przerażenia.

– Czyli... stale musi być w namiocie?

– Przygotowujemy go do przeszczepu komórek macierzystych, więc nie możemy ryzykować infekcji. Nawet jego rodzice muszą, niestety, rozmawiać z nim przez ściankę.

Annie poczuła, że coś ją ciągnie za pióra. Spojrzała w dół i zobaczyła Amy, najmłodszą z dzieci.

– Czy to Wielkanocny Królik? – spytała dziewczynka nieśmiało.

– Tak, oczywiście! Hm... a może on chciałby teraz z wami porozmawiać?

Niemal widziała, jak George dopinguje się w duchu, by wejść w rolę.

– Cześć, dzieciaki! Jestem Wielkanocny Królik! Wiem, że wszystkie tutaj troszkę kiepsko się czujecie, więc przyszedłem, żeby poprowadzić polowanie na Wielkanocne Jajka. No, to zobaczymy, co się wam uda znaleźć!

– Profesjonalista – mruknęła Polly.

Annie nie uwierzyłaby, że sześcioro dzieci, w tym jedno w namiocie, potrafi narobić tyle zamętu. Jajka zostały schowane pod łózkami, w szafce na leki, w stolikach nocnych, w kieszeni białego kitla Kate. Nawet Roxy się przyłączyła i popychała wózek Matty'ego, żeby i on mógł wziąć udział w poszukiwaniu. Polly rozmawiała z Aniką.

– Wiesz, że jesteśmy mózgowymi bliźniaczkami?

Anika spojrzała nieśmiało.

– Ja mam taką niedobrą kulę w głowie.

– Ja też. – Polly uniosła przybranie głowy, żeby pokazać jej ogolony fragment czaszki.

Kate trąciła Annie.

– Chyba Bilal potrzebuje, żeby mu troszkę pomóc. Odrobinę kręci mu się w głowie po operacji.

Bilal, z połową twarzy zasłoniętą bandażami, ostrożnie macał krawędź regału z zabawkami. Choć „zabawki” to było za dużo powiedziane – leżało tam parę kolorowych pudełek do układania, lalka z jednym okiem i pluszowe zwierzaki z wyłazającą ze środka gąbką. Troszkę jak same dzieci...

– Cześć – powiedziała, potwornie zdenerwowana. Nie miała doświadczenia z dziećmi starszymi niż dwa miesiące. – Hm... nazywam się Annie. A ty jesteś Bilal?

Wlepił w nią oczy.

– Ile masz lat, Bilal?

– Pięć.

Wyglądał na takiego małego i takiego chorego.

– Wiesz co, chyba tam coś jest z tyłu. W tych pudełkach.

Wsadził rączkę do środka i wyjął nieduże jajko, zawinięte we fioletowe sreberko. Mała buzia, taka mizerna i blada, rozjaśniła się.

– Od Wielkanocnego Królika!

– Tak, zostawił ci jajko. – Spojrzała na Kate, by potwierdziła, a ona pokiwała głową. – Może byśmy zjedli kawałek?

Kiedy Bilal umazał sobie buzię czekoladą, Annie rozejrzała się po sali. George „woził” Amy po podłodze na swojej pazurzastej łapie. Polly, z Aniką rozwijającą jajko ze sreberka u stóp, rozmawiała z Roxy, robiąc gest stosowania ołówka do oczu. Jej brwi też prawie nie istniały na skutek chemioterapii. Matty rozmawiał z Damonem, pokazywał mu jajka, które znalazł, a Damon wyglądał przez szybkę. Był blady i bez włosów, ale miał na sobie szlafrok z *Gwiezdnych Wojen*, a nad łóżkiem wisiała lekka szabla... Czy Jacob też by to lubił, gdyby żył? Czy musiałyby się nauczyć wszystkiego o Szturmowcach, o futbolu, o Lego?

Zamrugła. Spod białego zawoju bandaży patrzył na nią Bilal.

– Hej, już wiem – powiedziała, starając się, żeby to brzmiało wesoło. – Załóżę się, że mógłbyś włożyć na ten bandaż jakąś fajną czapkę. Polly, masz jakąś czapkę w torbie?

– Oczywiście! Nie ruszam się z domu bez czapki. Sekundkę.

Pogrzebała w swojej ogromnej wzorzystej torbie i wyciągnęła wełnianą obcisłą czapeczkę.

– Może ta? Najfajniejsza ze wszystkich, jakie mam. – Włożyła ją chłopczykowi na głowę, cofnęła się o krok i przyjrzała mu się krytycznie. – O nie! Za czadowo w niej wygląda. Nie możemy mu na to pozwolić, prawda, Annie? Kradnie mi cały mój styl!

Annie włączyła się do zabawy.

– Ojejku, Polly. Jasne, że wygląda fajniej niż ty, ale to jeszcze nie powód, żebyś była zazdrosna!

Bilal zachichotał. Czapeczka była na niego za duża, ale kryła ostrą biel bandaża i sprawiała, że bardziej przypominał normalne dziecko, choć mizerne i noszące w biały dzień trykotową piżamkę.

Podszedł George, poprawiając królicze uszy, żeby sterczały. Był zaczerwieniony i uśmiechnięty.

– Wiecie co? One chcą, żebym przychodził częściej, może co tydzień. Podobno mają tu cały wieszak różnych kostiumów. Kto by pomyślał, że Wielkanocny Królik to będzie moja przełomowa rola! Muszę teraz iść i przygotować się do roli klauna Coco.

Annie i Polly spotkały się oczami i wybuchnęły śmiechem.

– Teraz już będzie nie do zniesienia – orzekła Polly. – A ty, Annie? Czy dziecięcy oddział dał ci jakąś życiową lekcję? Nauczyły cię, co naprawdę ma

znaczenie?

– Tak daleko jeszcze nie zaszłam. – Annie obejrzała się na ubogą półkę z zabawkami. – Ale może mam pomysł, co mogłybyśmy zrobić jako następne.

Dzień 33

ZORGANIZUJ SIĘ

Okej, no więc Milly ogarnia media społecznościowe i sprawy online – mówi, że mam sobie tym nie zawracać głowy, ona zrobi wszystko co trzeba, żeby był sukces. Suze ogarnia PR i prasę. Doktor Max zamierza załatwić sprawy ze szpitalem...

– Naprawdę? – przerwała Annie. – Myślałam, że on nie wierzy w fundraising.

– A, coś najwyraźniej sprawiło, że zmienił pogląd – rzuciła niewinnie Polly.

– Nie mam pojęcia, co by to mogło być, a ty, Annie?

– Też nie – odparła pośpiesznie. – Ja mogę załatwić bilety, zbiórkę pieniędzy i tak dalej. Musimy też stworzyć stronę fundraisingową, na wypadek gdyby ludzie chcieli wpłacać online.

– Dobry pomysł. Będzie super.

Annie nie była taka pewna. Ilekroć myślała o tym, co planują, miała takie samo uczucie jak wtedy, gdy jako dziecko weszła na najwyższą zjeżdżalnię na placu zabaw: wstyd się było cofnąć, ale zjazd jawił się jako totalnie przerażający.

Dzień 34

UWOLNIJ W SOBIE ARTYSTĘ

Co to ma być?

– Jak to co? Dziecko. No wiesz, jedno z tych, którym chcemy pomóc.

Annie przyjrzała się twórczości Polly.

– Dla mnie wygląda jak niedźwiedź.

– Niedźwiedź?

– No. Ludzie pomyślą, że zbieramy pieniądze na Misia Paddingtona.

– No dobra, dobra. Nie dostałam się na akademię, i to dlatego wylądowałam na historii sztuki. Ale przynajmniej mam odwagę próbować.

Annie poklepała ją po ramieniu. Dziś Polly znowu była w ogrodniczkach, a reszkę włosów miała związaną jedwabnym szalem. Musiała jej to przyznać: o tym, jak się ubrać na daną okazję, wiedziała wszystko.

– W porządku, powiemy ludziom, że to dzieci malowały. Może mimo wszystko powinnaś wziąć tę białą laskę?

Polly na moment wydeła wargi, po czym złapała pędzel i prysnęła na Annie niebieską farbą. Kropla upadła na dzinsy. Annie, zaskoczona, przez chwilę się na nią gapiała, po czym wsadziła palec do pojemnika z farbą i w odwecie prysnęła na Polly. Trafiło ją w twarz i Annie na sekundę zmartwiała: może zrobiła jej krzywdę? Ale Polly wybuchnęła śmiechem i ponowiła atak.

– Och, na litość boską – cmoknął z dezaprobatą doktor Max, który właśnie przechodził. Jakoś często „właśnie przechodził”, jak na człowieka tak zajętego jak on. – Czy wy macie po dwanaście lat, czy co?

Tak, tak właśnie się czuje w towarzystwie Polly, zdała sobie sprawę Annie. Jest młoda, znalazła nową przyjaciółkę, wszystko jeszcze przed nimi, nowe, świeże, ekscytujące... Tyle że to nieprawda. Podała Polly chusteczkę.

– Masz, wytrzymaj się. Przepraszam. Może ja bym skończyła ten obrazek, co?

– Okej – zgodziła się Polly, zaskakująco skwapliwie. – Ja sobie przez chwilę posiedzę, o tam.

Annie patrzyła, jak przyjaciółka z wysiłkiem podchodzi do krzesła, z twarzą ściągniętą bólem, i lęk ścisnął jej serce.

Dzień 35

POMÓŻ KOMUŚ

Annie stała pod drzwiami Costasa z ręką zamartłą o parę centymetrów. Buster węszył pod drzwiami, nieprzywykły do tego, że są zamknięte. Powinna zapukać. Wiedziała o tym. Ale nigdy dotąd tego nie robiła, wolała esemesować albo zostawiać bierno-agresywne karteczki (właściwie to nie była pod tym względem o wiele lepsza od Sharon). Zza drzwi dobiegł kolejny szloch. Nie było wątpliwości – Costas płakał.

– Może powinniśmy zostawić mu trochę przestrzeni – szepnęła do Bustera.

Piesek przekrzywił głowę i cicho zaskomlił.

– Dobrze, dobrze, niech będzie. – Westchnęła i delikatnie zastukała. – Costas?

Momentalnie ucichło.

– Tak? – usłyszała po chwili.

– Hm... wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście! – Zabrzmiało to jak parodia jego zwykłego beztroskiego tonu.

– Posłuchaj... ja słyszę. Wiem, że coś się stało.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Costas w swojej zwykłej służbowej koszulce. Twarz miał czerwona i opuchnięta.

– Co się stało?

Jak dziecko otarł twarz ręką.

– Nic ważnego.

– Nie, to nie jest nic ważnego.

– To w pracy – powiedział przygnębiony. – Wiesz... byłem w kuchni i tańczyłem sobie pod Magic FM. Leciła moja ulubiona piosenka.

– Jaka? – Tak jakby nie wiedziała.

– Mariah Carey oczywiście. I weszli tacy faceci, wiesz, co dostarczają nam kubki... i zaczęli się ze mnie śmiać. I powiedzieli brzydkie słowo. – Zniżył głos do szeptu. – Pedał.

– Okropne. Przykro mi, Costas, ale to prymitywy. Nie przejmuj się.

– Nie myślałem, że tu tak będzie. Myślałem, że tutaj to normalne być gejem.

– Twarz znowu mu się skurczyła, odetchnął spazmatycznie. Wyraźnie był o krok od tego, żeby rozszlochać się na nowo. – A do tego jedyne, co robię, to parzę kawę. Chciałem pracować w modzie. To dlatego przyjechałem do Londynu. W Atenach nie ma mody. A tymczasem uczę się tylko robić wzorki na latte.

– Wiesz, to też nie jest takie złe.

Znowu odetchnął głęboko, założył wyrzeźbione na siłowni ramiona na piersi.

– Tęsknię za domem, Annie. Tęsknię za matką i siostrami. Są tak daleko... Odjechałem od nich taki kawał drogi i nic nie osiągnąłem. Rysunek na kawie i to wszystko. – Pociągnął nosem. – Prze... przepraszam, Annie. Wiem, że to drobiazg w porównaniu z tym, że twoja przyjaciółka jest chora i twoja mama, ale... smutno mi.

I przez cały ten czas był za ścianą, a ona nie potrafiła go usłyszeć, ogłuszona własną tragedią.

– Bardzo mi przykro, Costas. Wiem, że to boli.

Skinął głową. Po twarzy znowu spłynęły mu łzy.

– W porządku. Wszystko będzie dobrze. Po prostu... na chwilę się załamalem. Przynajmniej mamy szczeniaka. Chodź, malutki. – Wziął pieska na rękę, a ten zaraz zaczął zlizywać mu łzy. Costas zachichotał. Niedługo będą musieli się psa pozbyć, nie może tu z nimi zostać na zawsze... Ale jak to zrobić?

Annie spojrzała na zegar. Druga po południu. Zamierzała spędzić dzień w łóżku w towarzystwie swoich ulubionych fikcyjnych lekarzy (zamiast myśleć o ulubionym realnym).

– Słuchaj, a może byśmy wyszli? To mieszkanie jest takie przygnębiające, nic dziwnego, że jesteśmy zdołowani. Zaproszę cię do pubu na tradycyjny niedzielny lunch, co ty na to? Możemy nawet zabrać Bustera, jakbyś miał ochotę.

Dzień 36

ZADBAJ O FRYZURĘ

Naprawdę, Annie, pora im powiedzieć do widzenia.

– Ale jestem do nich przywiązana!

– I na tym polega problem. – Polly nachyliła się i ujęła garstkę słabych ciemnych włosów Annie. – Obcięcie włosów ma wymiar symboliczny. Pozwalasz, żeby przeszłość odeszła, uwalniasz się... przypomnij sobie Dalilę i Samsona albo Roszpunkę braci Grimm. Albo Britney Spears.

– Na pewno nie ogolę sobie głowy!

– Obetnij tylko o parę milimetrów, na litość boską! Skoro masz publiczny występ, to musisz być pewna siebie.

Na myśl o występie poczuła ucisk w żołądku. Dlaczego ona się na to zgodziła?

– Ojejku, no dobrze. Ale tylko parę milimetrów.

Ale jak wiadomo, „tylko o parę milimetrów” oznacza w żargonie fryzjerskim „ściny wszystko”. W godzinę później Annie ujrzała się w lustrze z włosami ledwie tuż za ucho, ułożonymi za pomocą suszarki w miękkie ciemne fale.

– Powinnyśmy też położyć kolor. – Polly gestem właścicielki przegarnęła jej fryzurę palcami. – Może by tak...

– Nie ma mowy. – Annie uchyliła głowę. – Spójrz tylko na mnie! Jestem zupełnie innym człowiekiem.

– I o to chodzi! – Polly wystawiła kciuki. – Żegnajcie, włosy pełne negatywnej energii, witaj, nowa fryzuro! Szkoda, że ja tak nie mogę. Jedno dmuchnięcie suszarki i wszystkie kłaki mi wypadną.

– Moje wcale nie miały w sobie negatywnej energii. To tylko... włosy. – A teraz leżały na podłodze.

Przyjrzała się sobie. Podwinięta poniżej uszu fryzurka nadawała jej twarzy kształt serca. Miała na sobie jedną z sukienek, jakie wmusiła jej Polly, zieloną w łączkę, a na nogach tenisówki Converse. Wyglądała okej. Jak człowiek normalny. Dostrzegła w lustrze uśmiezek Polly.

– Dobra, po prostu obcięłam włosy i to wszystko. Nic się nie zmieniło.

– Jesteś pewna? – spytała Polly.

Dzień 37

ODDAJ COŚ

Gdzie chcesz mieć te spluwy, Annie?

Annie, skołowana, zajrzała do notatek na podkładce.

– Hm... to chyba do numeru z *Facetów i laleczek*. Jak zdołasz znaleźć jakichś ludzi przebranych za gangsterów, to daj im, dobrze?

– Okej. – Zarah, która pomagała przed kulisami, oddaliła się śpiesznie.

Annie była jak w gorączce. Dziesiątki ludzi podchodziły do niej z pytaniami. O dziwo, na większość z nich umiała odpowiedzieć, bo jakoś, na przekór wszystkiemu, udało im się zmontować ten koncert fundraisingowy w niecały tydzień.

Zaplanowały go najprościej, jak się da, ściągając jako wykonawców piosenek i skeczy – obok znajomych aktorów George'a, występujących w teatrzykach na West Endzie – również personel szpitala. Annie była zdumiona, że pomimo tak niewielkiego wyprzedzenia czasowego tak wielu ludzi chce pomóc, a zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy zaczęli kupować bilety bogaci członkowie rady szpitala i ich kolesie. Sprzedaż wciąż rosła.

Dawni klienci Polly z różnych korporacji, z czasów, gdy pracowała w PR, chcąc pomóc, rezerwowali całe rzędy miejsc.

– Karta raka – tłumaczyła. – Wszyscy mnie żałują, więc mogę prosić, o co tylko zechcę.

Impreza zaczynała nabierać rozpędu. Suze znała wszystkich w mediach. Costas z radością wybierał kostiumy, wypożyczone od koleżanki Polly, tej stylistki, i od amatorskiej grupy teatralnej, do której należała Valerie. Mąż Miriam, elektryk, załatwił oświetlenie. A Annie ogarniała całość: tworzyła arkusze kalkulacyjne, delegowała zadania, zarządzała kasą.

Stała nawet przed radą szpitala – złożoną z naprawdę imponujących mężczyzn i kobiet – i wytłumaczyła im swój pomysł. Wieść szybko się rozeszła, przekazywana przez pacjentów, ich rodziny, wszystkich, którzy znali Polly. Teraz spodziewali się około setki widzów, którym mieli zaprezentować coś w rodzaju rewii, którą udało im się naprędce sklecić. Annie robiła wszystko, żeby o tym nie myśleć, bo jeszcze zwymiotuje z nerwów na pierwszy rząd. Jak do tego doszło, że ona, Annie Hebden, Annie Clarke, robi coś takiego???

Polly... Odpowiedzią była Polly.

– Annie! – Z przeciwnego końca szpitalnej auli nadchodził doktor Max, mrużąc oczy, by lepiej ją widzieć w ciemności. – Nowa fryzura?

– No tak. – Niepewnie dotknęła włosów.

– Tak myślałem. Bardzo... powabna. – Schylił się i podniósł z podłogi duże

żółte pióro. – Widzę, że ściągnęła tu pani nawet Wielkiego Ptaka, żeby zagrał w przedstawieniu.

– Och, to pewnie którejs z dziewczyn, które będą tańczyć burleskę.

– To będzie i burleska? Wie pani, że będą członkowie rady, niektórzy bardzo szacowni i wiekowi?

– Polly powiedziała, że to w dobrym guście. Żaden striptiz. Kiedyś robiła PR dla jakiegoś kabaretu czy coś.

– Rozbieranie się w takt muzyki? To brzmi jak słownikowa definicja striptizu. Nie żebym się znał. – Przeciągnął ręką po włosach, znowu je czochrając. Wyglądał jak zawsze na zmęczonego, ubranie jak zawsze miał zmięte. Czy on kiedykolwiek patrzy w lustro? Jak to możliwe, że można robić operacje mózgu, a równocześnie nie potrafić prawidłowo zapiąć guzików przy koszuli? – Domyślam się, że to pomysł Polly. A tak w ogóle, gdzie ona jest?

– Tak naprawdę pomysł był mój. A Polly jest tam – wskazała ręką drabinę, na której szczytce stała Polly i rozwieszała światełka.

Doktor Max zazgrzytał zębami.

– Na miłość boską... Ona się do tego nie nadaje, Annie! Mówiłem pani. Powinna odpoczywać!

– Ona nie chce odpoczywać! – Annie starała się nie podnosić głosu. – Wie, że nie zostało jej wiele czasu, i nie chce go spędzić w szpitalnym łóżku. Jasne?

– Wiem, wiem. Ale niech mi pani wierzy, będzie jeszcze potrzebować siły. Jak przyjdzie czas.

Zimny dreszcz przeszedł ją na te słowa, ale strząsnęła go.

– Zamiast jęczeć, doktorze, może by pan lepiej pomógł? Próbujemy zebrać pieniądze na wyposażenie sali dziecięcej. Żeby kupić im zabawki i tak dalej.

Niechętnie wetknął poplamiony kawą krawat w zapięcie koszuli i schylił się, żeby przenieść parę pudeł, które zastawiały scenę.

– Wszystko to bardzo chwalebne, Annie, ale czego te dzieci naprawdę potrzebują, to właściwego finansowania służby zdrowia. Czasu na badania. Pielęgniarek i lekarzy, którzy nie leczą z nóg i nie są zdemoralizowani.

Dotknięta, sama schyliła się po pudła. Myślała, że on jest po jej stronie, skoro pomógł jej przekonać radę.

– Po prostu próbuję coś zrobić.

– Wiem. Wiem, że stara się pani pomóc. Ale doprawdy – w taki sposób? Wszyscy miło spędzą czas i pójdą do domu, zadowoleni z siebie. Obawiam się, że to tylko sposób na to, żeby uniknąć stawiania twardych pytań. Tych naprawdę ważnych. Ale proszę robić swoje. Zaszkozić raczej nie zaszkodzi.

Proszę robić swoje... Jakby poklepał dziecko po głowie. Spojrzała na niego z gniewem.

– Przynajmniej się staram. Nie jestem naukowcem ani lekarzem, ale umiem

robić rzeczy małe, no więc robię. Jasne?

Podniósł rozpostarte dłonie w geście skruchy.

– Annie, ja nie miałem zamiaru...

– Zostawmy to. – Przeniosła spojrzenie na trzymaną w ręce podkładkę, kryjąc twarz.

– Ależ to doktor Zrzęda! – zawołała Polly, balansując na drabinie. – Przyszedł nam pan powiedzieć, że narażamy swoje zdrowie i bezpieczeństwo, czy coś w tym stylu?

– Ty na pewno, na tej drabinie i w tych pantoflach. Czy ty stamtąd kiedykolwiek zejdziesz, kobito?

– Za minutkę. – Przyjrzała się pilnie pętli światełek i spróbowała je przytwierdzić taśmą klejącą. Trwało to chyba wieki. Doktor Max obserwował ją.

– Podać ci pomocną dłoń?

– Jasne że nie, to tylko taśma... o szlag! – Sznur światełek spadł na podłogę, robiąc zwarcie. Doktor Max spojrzał na Annie z wyrazem „a nie mówiłem”.

– Polly! – zawołała. – Potrzebna mi twoja pomoc. Hm... tancerkom burleski zabrakło... lakieru do włosów. Możesz zejść?

– Och, no dobrze. – Doktor Max rzucił się, by podtrzymać drabinę, i Polly, w srebrnych szpilkach i zwiewnej różowej sukience, chwiejnie zeszła.

– Nie jestem inwalidką – warknęła.

Ale na nią wyglądała. Była strasznie chuda, Annie teraz to zobaczyła. Jeszcze chudsza niż przed paroma tygodniami. Jak można schudnąć tak szybko? Sukienka na niej wisiała, ciało gubiło się w warstwach szyfonu. Mimo to nadal się uśmiechała.

– To co z tym lakierem... o Boże!

– Pollllyyyyy! – rozdarł powietrze przenikliwy dwugłos. Do auli wbiegły Milly i Suze, obie na wysokich obcasach, obie w obcisłych dżinsach, strzelając fotki iPhonami.

– Kto to jest? – Doktor Max patrzył, oszołomiony, jak się zbliżają z wycelowanymi w niego aparatami, niczym jednostka SWAP w jakiejś scenie kryminalnej.

– To moje przyjaciółki! Z PR Platoon. – Polly pomachała im powitalnie. – O Jjjezuuuu! Przyszłyście! Pozwólcie, że was przedstawię. To mój neurolog, doktor Max, a to Milly i Suze. Te kobiety praktycznie zawojowały wszystkie media w Wielkiej Brytanii.

Rzuciły się na niego.

– O rany, uwielbiam pański look. Szlachetny a znękany. Można prosić o parę słów do kamery, tak na szybko?

– Yyy, drogie panie...

– O Jezuu, Szkot!!! Jeszcze lepiej! Myślę o radiu. Dzwon do Sunila z Today!

Ich palce nieprzerwanie stukały w telefony.

– Strona fundraisingowa działa jak wściekła, P – powiedziała Milly. – Jest wszędzie na Facebooku, Twitter pęka od udostępnień. „Telegraph” chce wywiad.

– Zamierzam zadzwonić do Ivany z „Guardiana”. Z życia wzięte, troska o człowieka itede. Oni uwielbiają takie rzeczy.

Milly złapała Polly za podbródek.

– Błada jesteś, dziecinko. Zaraz przyjdzie fotograf, mogę cię troszkę podkreść?

Suze strzelała foty doktorowi Maksowi, próbując rozmaitych ujęć.

– Chirurga też. Te cienie niech zostaną, ale rozjaśnij troszeczkę nos i...

– Szanowne panie! – ryknął. – Nie będę udzielał żadnych wywiadów, nie będę się malował! Mam kupę papierkowej roboty, chorych pacjentów do zbadania, pooperacyjne rany do kontroli. Nie mam czasu na takie rzeczy!

– Uwielbiam ten gniew – westchnęła Suze. – Może by się dało go okiełznać? Myślę o wiadomościach na kanale czwartym. Zadzwonię do Liama.

– Pieniądze płyną. – Milly pomachała telefonem. – Twitter szaleje. Ale potrzebujemy jakiejś osobistej historii, Polly. Tak żeby ludzie mogli się utożsamiać. Może szybki wideopamiętnik?

– To są pieniądze – zwróciła się Polly do Maksa. – Nie potrzebuje pan nowego tomografu? Aparatu do rezonansu magnetycznego? Tak żeby ludzie nie musieli czekać tak długo na diagnozę i żeby mógł pan być może wykryć raka wcześniej?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Ale bez makijażu. To warunek.

– Super! – Zabrały go na bok, nieustannie poklepując go po ramieniu, gadając i robiąc zdjęcia.

Polly westchnęła.

– Te dwie potrafią zawojować cały świat. Chyba nie powinnam była ich wpuszczać do środka.

– To twój rak. Możesz kogoś nie wpuścić, jeśli tego chcesz.

Polly się roześmiała.

– I za to cię lubię, Annie. Żadnych nacisków, żeby myśleć pozytywnie, organizować maratony dla amatorów czy pisać na blogu długie posty o tym, jak się czuję.

– Wydawało mi się, że tak właśnie chcesz?

– Na moich warunkach. A nie dlatego, że się tego ode mnie oczekuje.

– Ale dziś musimy udawać, że jesteśmy całe szczęśliwe i pozytywnie nastawione, i wierzymy, że to ma znaczenie? – Bez względu na to, co mówi doktor Max.

– Musimy. Tyle że, obawiam się, możemy mieć mały problem.

Annie poczuła skurcz paniki.

– Co jest?

Polly spojrzała na zegarek.

– Wiem, że on robi konferansjerkę i tak dalej... ale czyś ty w ogóle widziała dzisiaj George'a?

Pod czarną koszulką bez rękawów Annie oblała się potem. Za kulisami było pełno ludzi, komiccy powtarzali swoje numery, tancerki się rozgrzewały, śpiewacy ćwiczyli gamy, ktoś nawet żonglował czteropakami. Ale George'a, który miał prowadzić cały wieczór, nie było śladu.

– Zadzwoń do niego!

– Dzwoniłam. – Polly zbladła jeszcze bardziej. – O Boże... Na pewno dostał pietra. Już tak się zdarzyło, wiesz, jak miał szansę na West Endzie – miał grać żołnierza w *Miss Saigon*. Wylali go po pierwszym wieczorze. Założę się, że jest z tym cholernym Calebem. Zabiję drania!

– Jego dawny chłopak? – spytała Annie, ale Polly nie słuchała. – Słuchaj, może jest jakieś wyjaśnienie. Może utknął w korku albo...

– On jeździ metrem! – Polly zaczynała tracić nad sobą kontrolę, czego nigdy dotąd u niej nie widziała. – Nie, nic z tego nie wyjdzie. Wszystkie te media... sprawimy im zawód, Annie. I dzieciom. I szpitalowi. To się nie uda.

„To się nie uda”. Annie poczuła gulę w gardle. Oczywiście że nie potrafi tego pociągnąć. Po co w ogóle próbowała? Nie należy do ludzi, którzy potrafią wpływać na bieg rzeczy. Jest człowiekiem, który potrafi tylko płynąć bezwolnie z nurtem, a czasem trzeba go holować... Wtem poprzez zgiełk własnych myśli dobiegł ją jakiś odgłos.

– Co to?

– Co? – Polly zaciskała dłonie tak mocno, że zbieleły jej kostki.

– Coś jakby... płacz. – Tak, była pewna! Rozejrzała się błyskawicznie po ciasnym korytarzyku i szarpnęła drzwi nieczynnej toalety. Na sedesie siedział George w pokrytym cekinami czerwonym kostiumie konferansjera. Twarz miał ukrytą w dłoniach, ramiona mu się trzęsły.

– Co się stało? Co ci jest? – Rzuciła się ku niemu, ale Polly się nie ruszyła.

– Pokaż twarz – powiedziała zimno.

Pokręcił głową.

– George! Pokaż mi twarz!

Georg powoli podniósł głowę. Annie jęknęła. Lewe oko, skroń i policzek to był jeden wielki siniak, we włosach miał krew.

– To on? – spytała Polly.

George tylko pokiwał głową. Polly zaklęła.

– Tym razem dzwoniemy na policję. Tak? Obiecałeś!

– Nie mogę występować – powiedział George cicho, głosem, jakiego Annie

dotąd u niego nie słyszała. – Widzisz, w jakim jestem stanie.

– Ale musisz! Musisz!

George zaszlochał.

– Zobacz, co mi zrobił. A ja... ja go kochałem. Widzisz, za co on mnie ma? Jestem... jestem nikim. Zerem. Wielkim tłustym zerem. On jest wielką gwiazdą telewizji, a ja... jedna porażka.

Annie nagle skojarzyła. Oczywiście, Caleb. To on był tym facetem w tym programie o weterynarzu.

– Wróciliście do siebie? – spytała Polly. W jej głosie była wściekłość.

George pokręcił ze wstydem głową.

– Nie chciał mnie. Po prostu... czasem się widywaliśmy. A teraz... – Znowu płacz chwycił go za gardło. – Przepraszam. Przepraszam, Poll... Chciałem, żeby dziś do mnie przyszedł. Żeby zobaczył, że mi się wiedzie. Więc zadzwoniłem i... widać, jak było.

Polly uklękła przed bratem.

– Posłuchaj, George. Nie jesteś zerem. To on powinien się wstydzić. Powinni go zamknąć. Ale jesteś moim bratem i potrzebuję cię w tej chwili. Naprawdę. To twój wielki wieczór. Ale chodzi o coś więcej – możemy dziś zebrać tysiące. Możemy pomóc tylu ludziom, którzy są chorzy tak jak ja. Możemy wykrywać raka wcześniej, dawać ludziom szansę... Patrz. – Sięgnęła do torby. – Gdzie on jest, gdzie on jest... aha. – Wyciągnęła kapelusz dnia. – Na szczęście dziś to jest fedora. Włóż go na bakier, znajdziemy kogoś, kto cię podreperuje... ten śliczny pielęgniarz Leroy gdzieś tu jest... a potem odrobina makijażu i nic nie będzie widać. Obiecuję ci. Będzie ciemno.

Przełknął z takim wysiłkiem, że odgłos dobiegł nawet do Annie, która stała o parę kroków.

– Przedstawienie musi się odbyć – usłyszała własny głos. – Jasne?

George podniósł się chwiejnie. Kiedy zwrócił się do światła, siniak stał się jeszcze wyraźniejszy, aż się skrzywiła.

– Nie włożę fedory. – Pociągnął nosem. – Nie jestem, kurna, jakimś bojownikiem o prawa mężczyzn. Poszukaj mi czegoś innego i daj mi najbardziej przypakowanego pielęgniarza, i najlepszą osobę od make-upu, jaką mamy, i spróbujemy pojechać z tym koksem.

– Załatwione. – Polly wyciągnęła rękę. – Chodź ze mną. Nie mamy za wiele czasu.

– Annie?

Annie się obejrzała. Na korytarzu stał doktor Max.

– Wszystko dobrze?

Annie miała odwróconą uwagę, obserwowała tancerki, których pióra niebezpiecznie zbliżały się do światełek.

– Wiem, że pan uważa, że to głupie, ale to naprawdę nie pomaga, jeśli pan bez przerwy krytykuje i...

– Nie uważam, że to głupie. Nie powinienem był tego mówić... przepraszam.

Spojrzała na niego.

– W porządku, to nie moja sprawa – ciągnął. – Ale... zrobiła pani dobrą robotę. Wspaniałą robotę, zwłaszcza że w tak krótkim czasie. Będzie dobrze, jestem pewien.

– Tak? – Nagle wypłynęła na wierzch jej własna panika. – No nie wiem, bo naprawdę nie mieliśmy za dużo czasu i wyszła taka trochę zbieranina, i ma pan rację, że przyjdą ważni ludzie... a George się załamał, i niedługo wejdą na scenę półnagie tancerki... o Boże. Ma pan rację, nie powinnam była się za to brać.

– Hej, chodź no tutaj. – Niezręcznie wyciągnął ku niej krzepkie ramiona. – Wszystko będzie dobrze. Uspokój się. Oddychaj głęboko.

Nieoczekiwanie znalazła się w jego objęciach. Sznur od stetoskopu uwierał ją w policzek. Doktor Max ją obejmował. Ona obejmowała doktora Maksa. Odsunęła się odrobinę, oszołomiona, i jego twarz była teraz bardzo blisko jej. Jakby w transie, uniósł rękę, jedną z tych zręcznych rąk chirurga, i pogłaskał ją po policzku.

– Będzie dobrze, Annie. Obiecuję.

– Ja...

Czy on ma zamiar ją pocałować? Nie, skąd. Jest lekarzem Polly, i za parę minut zacznie się przedstawienie, i nikt jej nie całował od lat, i w ogóle dlaczego miałyby mu się podobać? Ale jej nie puszczał.

Moment trwał. Patrzyła mu w oczy. Przemknęła myśl o Mike'u, o Jane. Wciąż miała serce rozkrwawione jak kawał mięsa. A jeśli go pocałuje i się w nim zakocha, i znowu zostanie skrzywdzona? Chyba by tego nie przeżyła. Ale czy nie powinna podjąć ryzyka? Był taki miły. Pachniał mydłem i kawą. Obejmujące ją ramiona były takie silne.

– Annie!

Szlag. Za nimi stała Polly ze zmarszczonymi brwiami.

– Co wy robicie?

Doktor Max odstąpił o krok i odchrząknął.

– Annie nie czuła się dobrze. Po prostu troszkę nerwów, myślę.

– Możemy zacząć.

Ogarnęła się.

– Świetnie, super. Ja po prostu...

– Hm, to ja może... – Doktor Max ruszył przed siebie, szurając nogami.

– Okej. – Patrzyła, jak się oddala.

– Jesteś gotowa? – Polly wciąż miała zmarszczone brwi.

– Przepraszam. Tak, tak, jestem. Zaczynamy.

Później Annie pamiętała tę noc jak przez mgłę. Cekiny, światła, śmiech i westchnienia widowni, oklaski. Odgłos stepowania na scenie auli, która dotąd znała tylko pokazy slajdów o chorobach. Miejsce pełne śmierci, śmierci i jeszcze raz śmierci, a oni napełnili je życiem, głośnym, jasnym, migotliwym. Przynajmniej na scenie. Za kulisami było troszkę mniej efektownie: bez kostiumów, makijażu, bez scenicznych partnerów.

Annie miotała się ze swoją podkładką, niemal nic poza nią nie widząc. Pod koniec ociekała potem, była pewna, że ma na plecach wielką mokrą plamę, strasznie bolały ją nogi. Teraz słyszała finałowe oklaski: George znowu stanął na podium i coś mówił. Był na scenie cały wieczór, uśmiechnięty, dowcipkujący, w pełni panujący nad sytuacją. Nikt by nie uwierzył, że to ten sam mężczyzna, który płakał w toalecie... Łatwo jest grać, zdała sobie sprawę Annie. Ciekawe, jak będzie dalej. Czy zerwie z Calebem, tak jak chciała Polly? A może wciąż będzie do niego wracał po więcej? Wiedziała, że to nie takie proste – natychmiast zostawić kogoś, kto cię skrzywdził.

Na chwilę się wyłączyła. Teraz dobiegły ją słowa:

– Panie i panowie, pracownicy i pracownice szpitala, rodzice, pacjenci! Zrobiliśmy dziś coś wspaniałego. Wliczając wpłaty online, zebraliśmy niewiarygodną kwotę – sześćdziesiąt tysięcy funtów!

Rozległo się zbiorowe „yyyh!” Annie opadła szczęka. Jak to? Tak dużo?

Za George’em rozjarzył się ekran i pojawiła się na nim strona fundraisingowa. Założony cel został przekroczony o setki razy.

– Aby wyjaśnić, dlaczego te pieniądze są potrzebne, chciałbym teraz państwu przedstawić prawdopodobnie najbardziej irytującą pacjentkę w historii tego szpitala – moją siostrę Polly!

Grzmot oklasków. Annie rozejrzała się wokół siebie, po czym zobaczyła Polly wychodzącą na scenę z przeciwległego skrzydła kulis. Poruszała się powoli, tak jakby bolały ją plecy, ale machała rękami i uśmiechała się. Milly i Suze w pierwszym rzędzie wstały, gotowe filmować całe przemówienie i puścić je w sieci.

– Cześć! – zawołała Polly. Annie słyszała chrypkę w jej głosie, musiała mieć wyschnięte gardło. – Nie będę was długo trzymać, bo jestem pewna, że chcielibyście już iść do domu. – Co oznacza, że to ona potrzebuje pójść do domu. – Parę miesięcy temu, w tym szpitalu, zdiagnozowano u mnie raka mózgu. – Szmer współczucia. Polly przebiła się przezeń – Annie była pewna, że ją irytuje. – Wiem, wiem, to brzmi okropnie – i chyba jest okropne – ale uczciwie mogę powiedzieć, że wcale nie jestem dzielna, wcale nie jestem wspaniałą pacjentką. Dzielni i wspaniali są na tej sali – i nie tylko na tej sali, bo niektórzy właśnie pracują, zmieniają cewniki dożylnie, podłączają kroplówki, aktualizują karty pacjentów, przynoszą chorym pić, sprzątaję sale operacyjne.

Polly rozejrzała się po widowni, spojrzała na tłumek pracowników po bokach i w przejściach, i uśmiechnęła się pomimo wyczerpania.

– Kiedy dawniej myślałam o tym, że mogłabym umrzeć, to bynajmniej nie w Lewisham. Raczej na jakiejś tropikalnej wyspie, może w tragicznym wypadku łodzi motorowej, w wieku dziewięćdziesięciu lat. – Śmiech. – Ale teraz, kiedy to się dzieje, czuję, że naprawdę mam szczęście. Jeśli już muszę umrzeć, to nie umiem sobie wyobrazić lepszego miejsca na to niż tutaj, gdzie opiekują się mną właśnie ci ludzie.

Annie podniosła drżącą rękę, żeby otrzeć twarz. Czy doktor Max tu jest? Miała nadzieję, że to słyszy... Ale pewnie nie, pewnie manipuluje teraz przy czyjejsz czaszce albo walczy z automatem do sprzedaży, albo pije to swoje straszliwe potrójne espresso. Miała nadzieję, że nie będzie na nią zły po tamtym... po tej dziwnej chwili. Może zresztą wcale nie zamierzał jej pocałować. Niby dlaczego, skoro w szpitalu pełno jest pięknych kobiet, które tak samo uważają go za dar niebios dla neurologii? Jakie to wszystko trudne...

Nagle zdała sobie sprawę, że wszyscy patrzą w jej stronę. Cofnęła się głębiej w cień. Polly przywołała ją gestem.

– Więc tak jak mówię, wszelkie uznanie za to, że zostało wymyślone i powołane do życia to wspaniałe wydarzenie, należy się jednej osobie. Kochani, podziękujmy mojej przyjaciółce Annie!

O Boże. Musi wejść na scenę. O Jezu. A jest spocona i włosy ma w nieładzie. Ruszyła naprzód, oślepiąca przez reflektory. Wrażenie setek twarzy, które cię obserwują. Wszyscy klaszczą. Polly popchnęła ją w stronę mikrofonu. O Boże... Musi coś powiedzieć! Na nowo oblała się potem.

– Ekhm... dobry wieczór. – Szlag, to jest nagrywane! – Tak naprawdę to nie tylko moja zasługa. To zasługa wszystkich, którzy wzięli udział w imprezie, którzy rozpowszechniali wiadomość o niej, którzy wpłacili datek w ramach zbiórki online, którzy kupili bilety... Ale chcę powiedzieć, że Polly ma rację. Nawet w moim względnie zdrowym życiu ten szpital jak dotąd pomógł mi najpierw mieć dziecko, potem przysłał karetkę, żeby próbować je ratować, kiedy umarło. – Zarejestrowała wrażenie na twarzy George'a. Nie wiedział. – Pomogli też mojej matce, kiedy nie pamiętała, kim jest ani gdzie jest. I pomaga mojej przyjaciółce Polly. Więc... chcę po prostu powiedzieć... że wszyscy w jakiejś chwili potrzebujemy pomocy ze strony szpitala. Jeśli jeszcze się wam to nie przydarzyło, to zdarzy się w przyszłości. Dlatego proszę, wspierajcie szpitale. Wszystkie. Nie pozwólcie, by padły. Po prostu... proszę. Nie jesteśmy w stanie bez nich żyć. Całkiem dosłownie.

Cofnęła się, drżąc od przyływu adrenaliny. Za dużo powiedziała. Poszła w politykę.

Ktoś wszedł na scenę, wziął od niej mikrofon, mówiąc coś poprzez burzę oklasków. Kogo to oklaskują? Chyba ją...

– Dobrze powiedziane – mruknął doktor Max. Zdążył się wcześniej oporządzić, miał nową koszulę i krawat i zwilżył swoje sprężynki, żeby tak nie sterczały. – Jeśli nie chce pani czegoś jeszcze dodać – a to, co było, było świetne – pozwoli pani?

Cofnęła się. Świetne... Powiedział, że było świetnie! Doktor Max odkrząknął.

– Dobry wieczór wszystkim. Jestem tu głównym neurochirurgiem. To, co powiedziała przed chwilą Annie, to powód, dla którego przychodzimy tu wszyscy codziennie do pracy. Nie przychodzimy dla pieniędzy czy prestiżu... choć jest zabawnie, kiedy ktoś próbuje cię pozwać... – Nerwowy śmiech. – Ale obiecałem, że nie będę wygłaszał tyrad. A że właśnie przegrałem zakład, zaśpiewam teraz państwu piosenkę.

I zaczął śpiewać, niskim, dźwięcznym głosem. Przez chwilę Annie nie rozpoznawała piosenki. Coś o potykaniu się i ambicji... O Boże, śpiewał piosenkę Dolly Parton, *9 to 5!* Żart, prywatny żart. Śpiewał powoli, tęsknie, niemal jak balladę, potem przyspieszył, jeszcze bardziej, w końcu ludzie poderwali się z miejsc, zaczęli przytupywać, pokrzykiwać i śpiewać razem z nim, aż wreszcie jego głos ścichł i powoli zamilkł. I gdy Annie myślała, że nie może się już wydarzyć nic bardziej surrealistycznego, na scenę wszedł kobziarz, w kompletnym góralskim stroju, i zagrał linię basową na dudach. Rozpoznała w nim jedną z pielęgniarek z OIOM-u. Znowu oklaski, znowu śpiew. Annie spojrzała na Polly, niemal zwijającą się ze śmiechu. Jakie to krzepiące – ta radość, beztroska, życzliwość, ulga! Uśmiechnęła się do niej, a Polly oddała jej uśmiech.

I w tej chwili twarz jej się zmieniła. Później Annie określi to tak, że jakby cień przemknął po twarzy przyjaciółki. Cień w długim czarnym płaszczu. Twarz Polly jakby się zapadła. Annie rzuciła się ku niej, ostatnie oklaski tymczasem cichły, doktor Max dziękował wszystkim. Jeszcze biegła, gdy pod Polly ugięły się nogi. Dopadła jej i złapała w chwili, gdy przyjaciółka osuwała się nieprzytomna na ziemię.

Dzień 38

ODWIEDŹ CHORA

Co z nią?

George tylko pokręcił głową. Wyglądał, jakby nie spał całą noc. Kiedy Polly upadła, odesłali wszystkich do domu, mówiąc, że potrzebuje odpoczynku, ale Annie ze zmartwienia też prawie nie spała, a rano przyjechała pierwszym autobusem.

Spojrzała na wielkiego pluszowego misia, którego przyniosła, i poczuła się jak głupia. Starła się uniknąć mówienia rzeczy w stylu „wszystko będzie dobrze”, bo przecież z Polly na pewno dobrze nie będzie.

– Coś mówią? – spytała.

– Ani słowa. Max mnie unika. A mama i ojciec... – Westchnął ciężko. – Doprowadzają mnie do szału. Wejdź, co? Może przestaną przy tobie.

Annie weszła za nim do separatki. Polly leżała na łóżku, podłączona do rozmaitych maszyn. Monitor serca. Tlen. Kroplówka. Wątłe ciało gubiło się w pościeli i szpitalnej koszuli. Annie dostatecznie często bywała w szpitalu, żeby wiedzieć, że im więcej podłączeń do rozmaitych urządzeń, tym gorzej sprawy się mają.

Valerie i Roger, siedząc po przeciwnych stronach łóżka, kłócili się po cichu.

– Mówiłem ci, że nie powinniśmy jej pozwolić, żeby się włóczyła. Ona jest chora, Valerie!

– Ona tego chciała. I przecież było z nią dobrze.

– Absolutnie nie było z nią dobrze! Czemu nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy? Polly umiera, George jest... jaki jest, i...

– Jest po prostu zagubiony, Roger! Sam nie wie, czego chce. A zresztą kto to mówi! Tak się wstydziłam wczoraj wieczorem... musiałam wzywać taksówkę, bo nie byłeś w stanie prowadzić, i...

– Przyszła Annie – powiedział głośno George. Oboje przywołali na twarz sztuczny uśmiech.

– O, jak to miło. Wejdź, kochanie.

Annie pozostała w drzwiach.

– Nie będę przeszkadzać. Chciałam się tylko dowiedzieć, co z Polly.

Oczy Valerie były błyszczące od łez, głos napięty.

– Wczoraj wieczorem zemdląła, ale nie wiemy... nie wiemy, czy to przejściowe, czy może coś więcej. Ale wciąż mamy nadzieję, naturalnie! Pewnie była po prostu zmęczona.

Roger cmoknął.

Drzwi się otworzyły i wszedł doktor Max, energiczny i potargany. Czy on w

ogóle był w domu? Wątpliwe.

– Cześć wszystkim. – Prześliznął się spojrzeniem po niej i po misiu, którego trzymała.

– Pójdę już – powiedziała. – Nie będę przeszkadzać. – Po wczorajszym nie wiedziałyby, jak się wobec niego zachować.

George złapał ją za ramię i lekko uściskał.

– Myślę, że Polly będzie cię potrzebować, Annie.

Zawahała się, ale została. Max chrząknął i umieścił w uchwycie zdjęcie rentgenowskie.

– W porządku. To rentgen jej płuc. Widzicie to białe?

Annie już wiedziała, co znaczy „białe”. Znaczy, że jest niedobrze. Znaczy: o szlag. Znaczy, że z Polly jest gorzej.

– Guz – powiedział cicho George.

– Tak. Drugi, w płucach. To wyjaśnia tę zadyszkę i ból w plecach, który usiłowała ukryć od paru tygodni. – Spojrzał na Annie, a ona ze skrucną wspomniła Polly balansującą na drabinie.

– Czy można... czy jest coś jeszcze...? – spytała Valerie łamiącym się głosem.

– Radioterapia powinna sprawić, że guz się trochę skurczy. Ból się zmniejszy, będzie mogła oddychać. Ale nic za darmo. A ona jest słaba.

W przerwach pomiędzy słowami, w milczeniu ich czworga – pięciorga, wliczając nieprzytomną Polly na łóżku – Annie odczytała sens tego, co mówił. Zaczęło się. Początek końca. Powinna coś zrobić, ruszyć się, powiedzieć.

– Ja... – Wszyscy zwrócili się ku niej. Wcisnęła misia Maksowi w ramiona. – Nie powinno mnie tu być. Przepraszam. Przepraszam. – Pchnęła drzwi i wybiegła na korytarz. Ten szpital. Pełen śmierci i straszliwych wiadomości, i rzeczy nieprzyjemnych, bez końca, bez końca... Kiedy ona doczeka się jakichś dobrych wiadomości? Kiedy przydarzy się jej coś normalnego, jak miłość, lekcje zumbi czy wyjazd na wakacje?

– Annie, niech pani zaczeka! – Odwróciła się. Swoim długim, sprężystym krokiem szedł za nią doktor Max. Wciąż trzymał w ramionach misia, jakby nie wiedział, co z nim zrobić.

– Nie mogę tu być, nie mogę, to niesprawiedliwe, ona jest taka młoda i taka pełna życia... to niesprawiedliwe... Dlaczego nie może pan czegoś zrobić? Dlaczego nie może jej pan wyleczyć? – Przełknęła łzy hysterii. – Przepraszam. Cholera... Przepraszam.

– Nie ma sprawy – powiedział łagodnie. – Tylko psy panią tu słyszą.

– Prz... przepraszam.

– Annie... chciałbym móc coś zrobić. Chiałbym zwalczyć tego skurwysyna. Wykorzystałem już wszystkie dostępne środki. Chemię. Naświetlanie. Operację.

Lekarstwa. A on wraca. Zrobiłem już wszystko, co mogłem.

– Wiem. Przepraszam... Przepraszam, że to powiedziałam. I przepraszam...

– Chciała dodać: przepraszam za wczorajsze, ale czy naprawdę było jej z tego powodu przykro? Była w pomieszeniu.

– Och, każdy to mówi w jakimś momencie. Ale my nie jesteśmy cudotwórcami, Annie. Jesteśmy tylko ludźmi.

Otarła twarz ręką.

– To... to jest to, prawda?

– Niezupełnie. – Głos miał łagodny. – Ale... tak, to początek.

– Och.

– To było od początku nieuleczalne, Annie. Nie ma na to lekarstwa. Może za parę lat, jeśli badania się powiodą, będziemy dysponowali czymś jeszcze w takich przypadkach jak ten. Ale tak jak teraz, dla Polly nigdy nie było żadnej nadziei.

To się wydarza. To się wydarza. Polly umrze.

– Czy ona... czy już nie ma czasu?

– Niech pani zachowa troszeczkę nadziei, Annie. Odrobinę. Może uda się ją na chwilę wyciągnąć. To byłby ostatni zryw. Zobaczymy. – Zawahał się, a ona zapragnęła rzucić się mu w ramiona. Tak strasznie potrzebowała, żeby ktoś ją objął, przytulił. A czy był ktoś poza nim? Nawet matka nie wiedziała, kim jest.

On się jednak zawahał i ona też, i wreszcie powiedział:

– To ja już pójdę.

Wsparła się o ścianę i zapłakała. Nad Polly, nad sobą, nad Jacobem i matką, ale przede wszystkim dlatego, że nadzieja, jeśli już pozwolimy jej zapuścić korzenie, okazuje się tak cholernie opornym chwastem.

Dzień 39

MIEJ NADZIEJĘ

Ale niech się pan po prostu zapozna z badaniami, proszę!

Głos doktora Maksa był spokojny.

– Zapoznałem się, Polly. To należy do mojej pracy – śledzić wyniki najnowszych badań.

– No więc! Leczenie komórkami macierzystymi daje dobre rezultaty...

– W bardzo ograniczonym zakresie. W przypadku określonego typu raka, którego ty nie masz. A dwoje pacjentów zmarło na skutek tych prób. Jeszcze bardzo daleko do stworzenia z tego jakiejś dostępnej formy terapii. Dwa lata najmniej. Przykro mi. Ty nie masz tyle czasu.

– Ale ja... podpiszę, co pan chce! Zgodzę się na leczenie tytułem próby, zanim metoda będzie gotowa. Mogę być królikiem doświadczalnym! – Głos jej się załamał.

Annie nie mogła tego znieść. Wstała ze swego posterunku koło łóżka Polly, żeby wyjść, ale po drodze wpadła na George'a, który właśnie przyszedł z torbą przekąsek z Waitrose. Wiedziała, że Polly nie będzie w stanie nic z tego jeść, ale oni wciąż próbowali przynosić jej różne rzeczy, kusić jej apetyt, żeby powrócił.

– Co jest? – szepnął, widząc jej twarz.

– Po prostu... – machnęła ręką w stronę drzwi – nie mogę tego słuchać. Przepraszam. To okropne.

– ...nie mogę ci na to pozwolić. Rada etyki zawodowej nigdy się na to nie zgodzi.

– Dobrze, w takim razie pojedę gdzie indziej! Na pewno w Stanach Zjednoczonych to stosują albo gdzieś indziej, albo...

– Polly. – Głos doktora Maksa był tak surowy, jak nigdy jeszcze u niego nie słyszała. – Proszę, postaraj się zrozumieć. Możliwe, że gdzieś tam jakiś szpital zaoferuje ci terapię komórkami macierzystymi w zamian za ciężką kasę, tysiące i tysiące funtów. Nie ma dowodów, że to ci może pomóc, a w mojej opinii nie jesteś zdolna do podróży transoceanicznych. Potrzebowałabyś ode mnie listu, a ja ci go nie dam.

– Dlaczego?

– Bo to cię zabije.

– Ja i tak umieram, do kurwy nędzy! Dlaczego nie da mi pan szansy?

– Dałem. Dałem ci wszelkie szanse, jakie były dostępne. Ta terapia – o ile kiedykolwiek stanie się terapią – jest za daleko jak dla ciebie. Nic więcej nie da się zrobić, Polly. Przykro mi.

Odgłos szlochu.

– Ja po prostu potrzebuję jeszcze trochę czasu. Proszę. Odrobinę!

– Ja... Chryste, Polly. Przykro mi.

Annie i George odskoczyli spod otwieranych drzwi, starając się wyglądać jakby nigdy nic.

– ...no i wiesz, w kantine jest dzisiaj dzień burrito... – zagadał George, niby ciągnąc poprzednią myśl. Doktor Max uniósł krzaczaste brwi.

– Domyślam się, że wszystko słyszeliście.

– Moooooże...

– Wyperswadujcie jej to, proszę. Czy ona przez cały ten czas miała nadzieję? Że jest jakaś terapia last minute, którą jej wyszukamy?

Annie pomyślała o czasopismach, które czytała Polly, o tym, jak jej matka liczyła na akupunkturę, zioła i pozytywne wizualizacje.

– Myślę, że ona tak jakby... nie przyjmowała tego do wiadomości. Nie potrafiła tego przyjąć. – Tak, teraz to widziała. Polly powtarzająca wesoło: „Umieram”. „Zostały mi trzy miesiące życia”. Jakby grała jakąś rolę, tak naprawdę w to nie wierząc.

– Jezu. To dlatego tak dobrze się trzymała... Posłuchajcie. Gdybym uważał, że można coś jeszcze zrobić, zrobiłbym. Ale nie ma żadnej metody. Żadnej cudownej terapii. Im szybciej to zaakceptuje, tym lepiej.

George się trząsł.

– My wszyscy chyba myśleliśmy... wszyscy chyba wierzyliśmy, że coś jest...

Zza uchylonych drzwi dobiegło spazmatyczne łkanie. Polly, optymistyczna, radosna Polly w końcu się załamała.

– Naprawdę nic nie ma? – nie ustępował George.

– Nic – odparł doktor Max. – Przepraszam, muszę sprawdzić stan innego pacjenta. Do zobaczenia. – I odszedł ciężkim krokiem.

George przygryzł wargi.

– Jezu, Annie... Co ja zrobię? Co ja powiem rodzicom? Mama uprawia totalny denializm.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Nadal się trząsł.

– O Boże. I co ja powiem Polly? Jak w ogóle mam z nią rozmawiać, teraz, kiedy wiemy... Co ja mam jej teraz powiedzieć?

– Hm... – Annie kręciło się w głowie. – Może zacznij od tego dnia burrito?

Spojrzał na nią w szoku, po czym wybuchnął śmiechem. Pół śmiechem, pół łkaniem. Tak jak oni wszyscy ostatnio.

– O Boże. O kurwa, Jezu. Ona umiera, Annie. Ona naprawdę umiera.

– Wiem – powiedziała Annie, czując, jak i w nią zapada ta prawda i ciągnie w dół, niczym ołowiane kule u nóg.

George przetarł twarz rękami, rozciągając skórę.

– To znaczy oni wcześniej mówili, że sprawa jest beznadziejna, ale chyba w to nie wierzyliśmy albo... Przecież ona tak dobrze wyglądała. Widziałaś ją. Dobrze wyglądała, nie?

– Tak, dobrze. Ale wiesz... może ona też próbowała przekonać siebie samą. Że jeśli będzie się zachowywała jak zawsze, to jej to nie dopadnie. – A teraz dopadło. Annie zdała sobie sprawę, że ona też zamykała oczy. Ta zadyszka. Ból pleców. Ta potworna chudość, którą zauważyła wtedy wieczorem.

George wciąż szukał u niej odpowiedzi, jak małe dziecko, które nieustannie pyta: dlaczego? dlaczego? dlaczego?

– Myślisz, że on ma rację? Naprawdę nie ma już żadnej możliwości?

– Myślę... – W końcu korytarza dostrzegła doktora Maksa, z irytacją walącego pięścią w automat do sprzedaży. – Tak, myślę, że ma rację. Wiesz co, zostawmy ją na chwilę samą. Z różnymi rzeczami będzie się teraz musiała oswoić.

Dzień 40

BĄDŹ SZCZERA

Dziś nie chce nikogo widzieć. – Doktor Max zamknął za sobą drzwi separatki Polly i pokręcił głową.

– A tak dobrze wyglądała – powtórzyła Annie, zdając sobie sprawę, że to bez sensu. Tak jakby jakaś uparta część mózgu wciąż uparcie obstawała przy tym, że Polly nie może umrzeć. Raptem parę dni temu biegała, śmiała się... Jak to możliwe, że zostało jej tak mało czasu?

Przegarnął rękami włosy, które stanęły dęba.

– To rak, Annie. Ona tego nie przyjęła do wiadomości. Tak to działa. Umysł w pewnym sensie z początku broni nas przed akceptacją czegoś takiego. Ludzie potrafią długo, bardzo długo funkcjonować na autopilocie. Nadzieja umiera ostatnia. – Wsadził ręce do kieszeni białego kitla. – Do zobaczenia.

Tak, to stało między nimi, jakaś niezręczność, po tym, co zaszło tamtego wieczoru. A ona tak go potrzebowała.

– Doktorze... – spróbowała. – Ja przepraszam... za tamto. Wie pan. Przed koncertem.

– Och. – Spojrzał na własne stopy. – To nic takiego, Annie. Po prostu wyglądało, że pani bardzo potrzebuje, żeby ktoś panią przytulił. Nic się nie stało. Na razie.

Patrzyła w ślad za nim. Deszcz chłostał szyby, a ona zdała sobie sprawę, że tam, po drugiej stronie drzwi, Polly umiera, naprawdę umiera i naprawdę ich zostawia. A oni, wszyscy, którzy zostają, będą musieli znaleźć jakiś sposób, żeby ciągnąć to wszystko dalej.

Dzień 41

WYJDŹ NA DWÓR

Gdzie mnie zabieracie? – spytała Polly nadąsana. – Nie wolno mi opuszczać tego więzienia.

– Doktor Max powiedział, że na pół godziny możesz wyjść. – George popychał wózek, a Annie szła z tyłu, obładowana torbami.

– Nie chce mi się wychodzić. Jesteśmy w Lewisham, tu jest okropnie.

– Chodź! Możesz się zdziwić.

Wyszli na tyły szpitala. Minęli porodówkę i poradnię przyszpitalną, przeszli przez mostek i nagle przed ich oczyma roztoczyła się rozległa zielona przestrzeń z wijącą się przezeń rzeczką.

– Co to jest?

– Ladywell Fields – wyjaśniła Annie. – Często tu bywałam. Tu jest pięknie.

– Mieszkali z Mikiem niedaleko stąd i było to ulubione miejsce Jacoba. Pomimo że zdawali sobie sprawę, że tak naprawdę jest za mały, żeby mieć coś ulubionego.

– Hm. Coś zmieniałaś śpiewkę, Promyczku.

George i Annie wymienili spojrzenia. Wyglądało, że będzie trudniej, niż myśleli.

– No chodź. – George nachylił się i dźwignął Polly z wózka. – Obejmij mnie za szyję. Odrobinę mocniej.

Ledwie była w stanie się go uchwycić słabymi ramionami.

– Jak byłeś mały, to ja cię nosiłam. A teraz ty nosisz mnie. Kiedyś upuściłam cię na głowę, naprawdę. To chyba wiele wyjaśnia.

Rozłożyli na trawie koc, który przyniosła Annie, i ułożyli na nim jedzenie.

– Spójrz – zachęcał George. – Twój ulubiony roquefort! Jest też szynka, oliwki i wszystkie inne piknikowe łupy.

– Nie mogę tego jeść, muszę uważać na infekcje. – Siedziała zgarbiona, okryta swetrem, i smarowała dłonie żelem dezynfekcyjnym. – Jestem jak ciężarna, tyle że nie jestem w ciąży i nigdy nie będę. Jestem za to w ciąży z wielkim guzem.

– Słuchaj, P... – zaczął George. – Wiem, że to pogorszenie, ale...

– Ja umieram. Można powiedzieć, znaczne pogorszenie, a jakże.

– Nic się nie zmieniło – zauważyła Annie cicho. – Powiedziałaś mi to już w pierwszej chwili, jak się poznałyśmy.

Polly zapatrzyła się na koc, w wesołych odcieniach błękitu i różu. Świeciło słońce, w pobliżu dzieci brodziły w rzeczce, piszcząc, gdy muł wyłaził im pomiędzy palców. Widok był pogodny i jakoś niewłaściwy.

– Wiem. To było tak, jakby... jakbym wiedziała o tym w głowie, ale nie w sobie w środku. Myślałam, że zrobię te sto dni, a potem pomyślę o reszcie, a do

tego czasu może wynajdą jakąś nową terapię albo coś... ale jest za późno. Mój czas się skończył.

– To jeszcze nie koniec – pośpieszył George. – Doktor Max powiedział...

– Doktor Max. Jaki z niego pożytek? Co on w gruncie rzeczy dla mnie zrobił? Dwa miesiące temu czułam się znakomicie, a teraz – spójrz na mnie. Ledwie mogę się sama wysikać. – Skrzywiła się, jakby walczyła z płaczem. – Co ja zrobię? Co ja teraz zrobię?

– To co dotąd – odparła Annie. – Bo co innego możesz zrobić?

– Ale jaki to ma sens? Zostało mi tak mało czasu.

– Mówiłaś, że chcesz pomóc ludziom. Mnie już pomogłaś, Poll. Możesz zrobić jeszcze więcej. Milly mówi, że ta historia z mediami społecznościowymi nabiera rozpędu, mnóstwo ludzi komentuje i...

– Media społecznościowe... Jakie to ma znaczenie? Nigdy nie zobaczę nikogo z tych ludzi. Guzik ich obchodzi, czy żyję, czy umarłam.

Annie podsunęła jej przed oczy telefon.

– Przewiń. Dalej.

Polly czytała.

– To wszystko są te donacje?

– No. Tylko wczoraj setka. I zobacz, oni wszyscy też komentują. Ludziom naprawdę zależy, Poll. Nawet jeśli to złudzenie, że cię znają. Twoja osoba ma dla nich znaczenie. Zobacz, zaczęli nawet sami zamieszczać posty o własnych studiach.

George przewinął stronę w tył.

– Ktoś napisał, że w ramach szczęśliwego dnia posprząta łazienkę, możesz uwierzyć? Ci ludzie cię potrzebują, P. Pokaż im, co to znaczy się zabawić.

– My cię potrzebujemy – dodała Annie. – Widziałaś, co mam dziś na sobie?

– Widziałam – mruknęła Polly niechętnie. – Co, zgubiłaś się po drodze na koncert na cześć zespołu ABBA? Naprawdę, Annie – frędzle?

Spod dławiącego tumanu rozpaczy błysnęła na chwilę dawna twarz Polly. Doktor Max miał rację – to jeszcze nie koniec.

– W porządku – powiedziała Polly po chwili. – Spróbuję. Nie wiem, czy dam radę, ale spróbuję. Pod warunkiem że i ty coś dla mnie zrobisz, George.

– O nie, drugi raz na te tańce nie pójdę. No chyba że dostanę stosowną dawkę jakiegoś twardego narkotyku.

– Nie o to chodzi. Chcę, żebyś się przeciwstawił mamie. Powiedz jej raz na zawsze, że jesteś gejem i w związku z tym nie ma mowy, żeby między tobą a Annie coś miało być.

– Ona na to liczy? – Annie poczuła, że się czerwieni.

George westchnął.

– Wciąż robi jakieś aluzje, że niby tak znakomicie do siebie pasujemy. Po

prostu... to znaczy ona wie, naprawdę. Nieraz próbowałem jej powiedzieć. Tylko że ona nie chce wiedzieć. Wciąż liczy, że jak spotkam właściwą dziewczynę, to się ustatkuję, kupię dom w Surrey, bmw...

Annie patrzyła to na jedno, to na drugie.

– Ale... wasi rodzice są tacy luzacy. Chyba nie mają nic przeciwko gejom?

– Och, po prostu... mamie się tylko wydaje, że jest taka liberalna, ale tak naprawdę to chce, żeby wszystko było idealnie jak na obrazku. Cudowna szczęśliwa rodzina, uzupełniona o śliczne wnuczeta. Dopóki Poll była zdrowa, nie na mnie spoczywał obowiązek rozmnożenia się.

– A teraz, kiedy wiadomo, że ode mnie wnuka nie dostanie – podjęła Polly – przyszła kolej na Georgiego. Ona nie jest tak naprawdę homofobką, tylko po prostu George gej nie pasuje do obrazu jej wymarzonej rodziny.

– Podobnie jak syn aktor, któremu się nie powiodło – dodał George z krzywym uśmiechem.

– Mój Boże – mruknęła Annie. – Wasza rodzina jest dobra w zaprzeczaniu.

– Cóż, niedługo straci jedno dziecko, więc to się powinno skończyć – zauważyła Polly. Zapadło krótkie milczenie. – To co, powiesz jej, Georgie? Życie jest za krótkie, żeby kłamać. Wiem coś o tym.

– Okej. A żeby pociągnąć ten wątek, masz zamiar w końcu zadzwonić do Toma?

Polly zmarszczyła brwi.

– Przestań, George.

– Zasługuje na to.

– Na nic nie zasługuje. Dalej, wracamy.

Annie już teraz wiedziała, że nie ma co pytać, kim jest Tom. Zresztą miała już całkiem niezły pomysł.

Wracając, zobaczyli samotną sylwetkę w kostiumie z lycry, okrążającą szpitalny kompleks.

– Doktor Quarani! – krzyknęła Polly. – Hej, doktorze!

Był to jednak nie tyle krzyk, co słaby skrzek, i doktor Quarani nie usłyszał. Wkrótce zniknął, pozostawiając po sobie jedynie kurz.

Dzień 42

ZRÓB COŚ DUCHOWEGO

Niesamowite. Widziałeś tutaj Bowiego?

Odgłos gwałtownego kaszlu.

– O tak. Bywał tu regularnie, a jakże. Pozdrów go tam w górze, jak go spotkasz, dobrze?

– Co ty, na pewno mnie zamuruję z wrażenia na widok takiej gwiazdy.

Polly podniosła wzrok i dostrzegła Annie, stojącą niezręcznie w drzwiach. Na krześle koło łóżka Polly siedział starszy mężczyzna w czarnej jedwabnej piżamie. Był bardzo chudy. Annie zamrugła, starając się nie gapić.

– Hej, z tobą znacznie lepiej! – zauważyła. Polly sprawiała wrażenie pozbieranej, w niczym nie przypominała szlochającego kłębka nerwów, jakim była w poprzednich dniach.

– Z lekka. Dion, to moja przyjaciółka Annie.

Niezręcznie wyciągnęła rękę.

– Cześć.

Dion wstał, co zajęło mu chwilę. Pod piżamą ostro rysował się zarys jego grzbietu.

– No to cię zostawiam, moja śliczna. Pielęgniarka przyniesie mi niedługo leki, a nie chcę tego przegapić, bo to laleczka. – Przesłał Polly dłonią pocałunek. Mijając Annie, szybko zamotał jej wokół szyi różowy szal, tak że przypominał komin. – O, tak. Teraz wygląda dużo szykowniej.

– Hm... dziękuję.

Polly poklepała krzesło. Wyglądała okropnie – ciemne sińce pod oczami, szara twarz. Teraz było widać, jakie rzadkie ma włosy. Ale się uśmiechała.

– Dion pracował przy projektowaniu kostiumów w teatrze Old Vic. Na temat strojów wie wszystko.

– A dlaczego tu jest? – Annie usiadła, odnotowując, że miś, którego przyniosła, siedzi na monitorze serca Polly.

– O, to fascynująca historia. Jest czwartą osobą w Wielkiej Brytanii, u której wykryto AIDS. W roku osiemdziesiątym trzecim. Wyobraź sobie!

– Jejku, i jeszcze żyje?

– Tak jakby. Wirus zaczyna mu atakować mózg i dużo zapomina. Wszyscy jego znajomi już umarli, w tym dwóch jego chłopaków, kto tylko chcesz, wszyscy nie żyją. Możesz sobie wyobrazić?

– To smutne. – Nastrój Polly najwyraźniej znowu poszybował w górę niczym balon. Annie czekała, żeby usłyszeć dlaczego.

– To znaczy... możesz to sobie wyobrazić, żeby żyć tak jak ja w tej chwili,

każdego dnia myśląc, że to ostatni, tylko że przez trzydzieści lat? On nie ma żadnych oszczędności. Teraz obcięli mu świadczenia i nie ma nawet na czynsz. Żadnej rodziny, większość przyjaciół nie żyje. – Polly poklepała książkę na nocnym stoliku. – Dał mi to, żebym przeczytała: *Człowiek w poszukiwaniu sensu*. To napisał ten gość, co był w Auschwitz, i tam zginęła jego żona i krewni, a on i tak mówi, że można być szczęśliwym w każdej sytuacji. Że cokolwiek by się działo, zawsze możemy kontrolować naszą reakcję na to, wewnątrz nas. Wierzysz w to, Annie?

– Oczywiście. – Nie wierzyła. Są pewne rzeczy, z którymi nie sposób sobie poradzić.

– A widziałaś stronę fundraisingową? Tyle komentarzy od ludzi robiących różne pozytywne rzeczy! Ja też to muszę dalej pociągnąć. Cokolwiek się ze mną będzie działo. Muszę pociągnąć te sto dni. Ale utknęłam tutaj. Nie mogę opuścić szpitala, dopóki nie zmniejszą mi tego nowego guza. Wiesz, że mam podniecającego nowego guza? Temu zamierzam dać na imię Frank.

– Aha. Rozumiem. Słuchaj, George i ja możemy robić te sto dni, jeśli ma to dla ciebie znaczenie. Costas też.

– Naprawdę? – Polly uniosła miejsce, gdzie kiedyś miała brwi.

– Oczywiście. To znaczy, jeśli chodzi o mnie, to dopóki nie będę musiała się zadawać z jakimiś morskimi zwierzętami.

Polly roześmiała się, co zmieniło się w atak kaszlu.

– Dobra, po prostu... zadzwonię do Seaworld... i powiem, żeby cię skreślili. Naprawdę zrobilibyście to dla mnie? Posłuchaj, jak byście to sfilmowali, to znaczy siebie w akcji, moglibyśmy to zamieścić na stronie fundraisingowej. Milly twierdzi, że to podbija oglądalność. To dobrze, no nie? To by miało jakieś znaczenie. Jakiś rodzaj... spadku.

Annie pomyślała, co by było, gdyby Polly całkowicie zrezygnowała ze swojego planu. Jego energia zdawała się być jedyną rzeczą, która trzymała ją w kupie.

– Oczywiście. Słuchaj, nie zostanę długo, przepraszam. Ostatnio opuściłam bardzo dużo godzin pracy, a muszę jeszcze zobaczyć się z mamą.

– O, to może pójdę z tobą?

– Ale trzeba cię przewieźć na łóżku.

– Nie! Zawiesz mnie w wózku. Proooooo! Tak się tutaj nudzę!

– No okej, jeśli uważasz, że wycieczka na oddział geriatryczny to coś fajnego.

– W moim świecie to się równa nocy spędzonej na clubbingu.

– Przestań starać się wzbudzić współczucie. Czy mam zawołać pielęgniarkę?

– Nie, nie, one są zajęte, muszą ratować ludzkie życie i te rzeczy. Damy sobie radę.

Annie pomogła Polly wstać z łóżka, a potem z wielkim szuraniem przenieść się na stojący w kącie wózek. Była taka lekka, że pewnie mogłaby ją wziąć na ręce i zanieść.

– Dokąd, panienko? Tym razem nie jadę na południowy brzeg, nie o tej porze.

– Czy Uber ma opcję wózka inwalidzkiego? Może powinnam ją zorganizować na łożu śmierci?

Annie wtoczyła wózek do windy i pojechały na geriatrię. Kiedy pchała skrzypiący pojazd korytarzem, Polly kiwała głową wszystkim, których znała: przystojnej rejestratorce z pediatrii, kobiecie o macierzyńskim wyglądem, która popychała wózek z książkami, recepcjoniście z działu dokumentacji. Można się przyzwyczaić do wszystkiego, naprawdę. W szpitalu można się zacząć czuć jak w domu. Obcą osobę można zacząć odbierać jak przyjaciółkę. A matkę... cóż, matka może się stać kimś obcym.

– Śpi – rzekł doktor Quarani, zagradzając im drogę. Sala była spokojna, jedyną oznaką, że są tu pacjenci, były maleńkie wzgórki na łóżkach. Zabawne, że pod koniec człowiek tak się w sobie kurczy.

– Wszystko dobrze?

– Myślę, że tak. Zanim zasnęła, myślała, że jestem Omarem Sharifem, ale poza tym...

– O Boże – jęknęła Annie, upokorzona. – Strasznie przepraszam...

– Ależ nie ma sprawy. Wyglądało, że jest jej dość miło mnie poznać. Zaprosiła mnie na brydża.

– Ej, tu trochę niżej jest moja twarz – odezwała się Polly ze swojego wózka. Spojrzał w dół.

– Dzień dobry, panno Leonard. Czy pani powinna znajdować się poza łóżkiem? O ile wiem, ma pani drugiego guza i ma leżeć w oczekiwaniu na radioterapię.

Polly wydłużyła się twarz.

– Robi pan ze mnie jakąś roślinę czy coś. Nie mogę wyłącznie leżeć. Muszę coś robić.

Zmarszczył brwi.

– Czy doktor Fraser wie, że pani wstała?

– Och, jestem pewna, że wie. Na jakimś poziomie. Ale tak czy siak, dość o mnie. Jak się pan ma? – Annie przysięgłaby, że Polly próbuje zatrzepotać rękami, chociaż ich nie miała. Wsparła policzek na rękę, tej, w której nadal miała cewnik.

– Jestem dosyć zajęty. – Wyciągnął rękę w stronę telefonu oddziałowego. – Chyba naprawdę powinienem porozmawiać z doktorem Fraserem...

– Och, proszę to zostawić. Zaraz będzie zrzędził. Niech mi pan opowie coś o sobie. Ma pan tu jakąś rodzinę czy...?

Annie odwróciła wzrok. To było po prostu żenujące.

– Rodzinę? Nie. – Spojrzał na zegarek. – Panno Leonard...

– Proszę mi mówić Polly. Nie jestem obrończynią w sądzie. Jeszcze nie, cha cha. A w Syrii? Ma pan tam rodzinę, czy...

Doktor Quarani zatrzasnął trzymaną w ręce kartę pacjentki.

– Pani wybaczy. Muszę panią poprosić o powrót na swój oddział. Pielęgniarki będą chciały pobrać pani krew i jak pani nie będzie, przyczyni im to dodatkowej pracy. Pani Hebden, stan pani matki jest w tej chwili stabilny. Sugeruję, żeby pani odpoczęła, zajęła się pracą i przyszła jutro. – I zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie.

Polly odprowadzała go spojrzeniem.

– Warte odnotowania: chyba mamy nowego zawodnika o tytuł najbardziej zręczącego lekarza roku.

Annie pchnęła jej wózek.

– Poll, naprawdę... co to było? Czy ty z nim flirtowałaś?

– A jak tak, to co? To, że jestem w szpitalu, nie oznacza, że jestem martwa w środku.

– Ale on jest lekarzem, a ty...

– Co ja? Jestem chora? Annie, na litość boską, wiem, że jestem chora. To wszystko, czym dla ciebie jestem?

Annie zacisnęła zęby i popchnęła ją szybciej. Trudno kłócić się z kimś, kto znajduje się przed nami, odwrócony tyłem.

– Wiesz, że to nieprawda. Po prostu... to niewłaściwe, to wszystko.

– A jak ty flirtujesz z doktorem Zrządą, to fajnie?

– Ja z nim nie flirtuję.

– Och, doktorze Max, niech mi pan pokaże jeszcze jakieś zdjęcia mózgu! Och, doktorze Max, ktoś naprawdę powinien panu prasować koszulę i przyrządzać uczciwe posiłki!

– Wcale tak nie mówię! – Ich sprzeczka zwracała uwagę ludzi: zaczęli już na nie popatrywać. Annie popchnęła wózek szybciej. – Wracasz do łóżka. No, chyba że chcesz, żebym się przekonała, czy ci nie dadzą jakiegoś dozoru za niewłaściwe zachowanie, czy coś w tym stylu.

– Mam guza mózgu, wolno mi – oświadczyła Polly, zakładając na piersi chude ręce.

– Czasem trudno powiedzieć, czy to guz, czy twój charakterek.

– Urocza jesteś. O, do diabła! Doktor Max! Zawracaj, zawracaj! Schowajmy się tam! Szybko!

– Ale to...

– Już!!!

Annie skręciła wózkami w bok i zamknęła za nimi drzwi.

Rozejrzała się wokół. Były w cichym, ciepłym pomieszczeniu, przez witrażowe szybki sączyło się światło. Kaplica! Jedyne miejsce w szpitalu, gdzie konsekwentnie nie chciała pójść, pomimo że matka prosiła, żeby ją tam zabrać. Po prostu nie mogła. Zacisnęła dłonie na gumowych uchwytach wózka.

– Dalej, Poll, jedziemy.

– Dlaczego? Posiedźmy tu chwilę. Tu tak miło i spokojnie.

Znowu spóźni się do pracy... Niechętnie zaparkowała wózek i usiadła na ławce. Nie miało się wrażenia, że to część szpitala. Prawie nie było słychać odgłosu biegających nóg, a zapach środka dezynfekcyjnego przytłumiła woń kadzidła.

Polly przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Odkładałam dotąd ten kawałek, jeśli mam być szczerą.

– Jaki kawałek?

– Ten, kiedy zwracamy się do Boga czy Allaha, czy mistycznego kosmosu, czy jak tam chcesz to nazwać. Kiedy szukamy furtki.

Czy Polly znowu osuwała się w zaprzeczanie, szukała cudu?

– Furtki?

– Bo tym przecież jest religia, prawda? Sposobem na to, żeby nie akceptować faktu, że umrzemy i na tym koniec. Żeby uniknąć konfrontacji z tym, że kiedy człowiek umiera, to po prostu... znika.

– Czy tak właśnie myślisz? – Rozmawiały półgłosem.

Polly wpatrywała się w ołtarz. Światło z witrażowego okna barwiło jej twarz na niebiesko.

– Tak zawsze myślałam dotąd. I nie chciałam tego zmieniać tylko dlatego, że mam raka. Myślę, że cała ta historia z tym szczęśliwymi dniami... że przyczyną było to, że chciałam, aby moje życie coś znaczyło teraz, a nie jak umrę.

– Twoje życie coś znaczy. Musisz o tym wiedzieć, Poll. Już teraz wpłynęłaś na tyłu ludzi.

– Naprawdę? – Polly przeciągnęła ręką po głowie i skrzywiła się na widok garści złotych nitek, jakie zostały jej w dłoni. – Jezu, rozpadam się. Czy to już to, Annie? Czy jeszcze kiedykolwiek stąd wyjdę?

– Oczywiście że wyjdiesz – powiedziała Annie, starając się, żeby jej głos brzmiał przekonująco. – To po prostu... chwilowe pogorszenie.

– Czasem chciałabym, żeby już było po wszystkim. To straszne, prawda? To znaczy, mama i tato, i nawet doktor Zręda robią, co mogą, żebym żyła, a tymczasem są dni, kiedy chciałabym móc powiedzieć „stop”. Skończcie z tymi wszystkimi igłami i rurami, i pompowaniem we mnie trucizny. Pozwólcie mi pojechać w jakieś przyjemne miejsce, gdzie jest słońce i przystojni kelnerzy mogą mi przynieść do basenu mai tai, i będę się tam mogła po prostu wyśliznąć. Chyba nie mam ochoty umierać w Lewisham, Annie. Bez obrazy – wiem, że to dzielnica

bardzo dynamiczna i ma jedne z najniższych podatków w Londynie, ale mimo wszystko to nie Bali, prawda?

– Mimo wszystko nie – przyznała Annie. – Chociaż czy Bali będzie miało Crossrail^[4]?

– O szlag. Będzie mi brakowało Crossrail. Tyle rozwałki, a ja nawet nie będę się mogła, kurna, przejechać tą pieprzoną linią! Ups, pardon za przekleństwo. – To ostatnie skierowane było w stronę ołtarza. Odpowiedzi nie było. Polly wydała długie, drżące westchnienie i zdecydowanym gestem położyła dłonie na chudych udach. – Dobra. No więc robimy tak. Jeszcze nie umieram – miałam przyobiecane sto dni i jeszcze ich nie dostałam. Więc teraz mi się polepszy, a przynajmniej będę mniej umierająca, a potem wychodzę stąd i robimy coś fantastycznego. Nie zamierzam tu siedzieć i czekać na śmierć.

– To już jakiś plan. Ale teraz lepiej się połóż, bo inaczej nie będziesz w stanie nas rozstawiać po kątach, i co wtedy zrobisz?

– Będę was rozstawiać po kątach do ostatniego tchu, droga Annie Hebden *née* Clarke. A teraz odwieź mnie do łóżka.

Wyjeżdżając z kaplicy, zderzyły się z doktorem Maksem, który sprawdzał kartę pacjenta w dyżurce pielęgniarek.

– Jesteś! Na miłość boską, Polly, myśmy już niemal wysłali za tobą ekipę poszukiwawczą na miasto!

– Modliłam się – rzekła nabożnie Polly. – Modliłam się za pana, doktorze, żeby miał pan siłę wykonywać cierpliwie swoje obowiązki i żeby nigdy nie opuścił pana dar wybaczenia. – I przeżegnała się ostentacyjnie.

– Co za kobita. – Max pokręcił głową. – A pani się dziwię, Annie – zbeształ ją.

– Przepraszam, doktorze. Już ją wiozę z powrotem.

Po drodze słyszała, jak Polly mruczy pod nosem:

– Och, przepraszam, doktorze, jestem baaardzo niegrzeczną dziewczynką... a może mi pan powie, co pan ma pod kiltem?

– Im wcześniej cię podłączą do respiratora, tym lepiej – mruknęła Annie, zatrząskując za nimi drzwiami.

Dzień 43

PRZEJEDŹ SIĘ KOLEJKĄ GÓRSKĄ

Annie przystanęła w korytarzu z bukietem żółtych róż w ręce. Skądś z bliska, z naprzeciwka izolatki Polly, dochodziły jakieś głosy. Aha, to znowu Valerie i Roger syczą na siebie nawzajem.

– Twoja córka umiera, Roger, a ty nawet na jeden dzień nie możesz zostawić telefonu w domu?

– To praca, Valerie! Ktoś tu nadal musi zarabiać pieniądze. A jak Polly będzie potrzebowała opieki specjalistycznej? Nie chcę, żeby moje dziecko cierpiało ból czy niewygodę, a Bóg świadkiem, że od roku nie zarobiłaś ani pensa.

– Cały ty! Praca jako wymówka, żeby nic nie robić w domu, i tak od czterdziestu lat. Ale to nie ten przypadek, jasne? Ona cię potrzebuje w domu! Nie w biurze czy w pubie, czy jak popijasz whisky zamknięty w swoim gabinecie...

– Chryste, Valerie... Czy ty naprawdę zawsze musisz tak samo? Myślisz, że to takie miłe dla Polly – słuchać, jak matka wydziera się jak przekupka?

Poczuła na ramieniu dotknięcie. Odwróciła się: to George.

– Przepraszam, że przeszkadzam – szepnęła.

– To tak od dawna. W domu jest okropnie. Nic tylko: pif-paf, pif-paf.

– Powinnam stąd iść. Przyniosłam kwiaty... możesz je zanieść Polly?

George pokręcił głową.

– Zostaw je u pielęgniarek. Udaje nieprzytomną, ale tak naprawdę ma się nieźle. Po prostu nie może już wytrzymać ich kłótni.

– To co masz zamiar zrobić?

– No wiesz, ty i ja dostaliśmy instrukcje.

– Jakie? Lada moment muszę być w pracy.

– Zadzwoń, że jesteś chora.

– Ale ja nie mogę, ja...

– Proszę, Annie. Muszę to zrobić. Nie mogę tu siedzieć bezużytecznie, patrzeć, jak umiera, i słuchać, jak rodzice się kłócą. A Polly nalega. Wiem, że to głupie, te całe sto dni, ale wygląda, że to dla niej dobre – dać jej nadzieję. A jak nie nadzieję, to cokolwiek. Powód, żeby się nie poddawać. Żeby budzić się rano.

Annie myślała tak samo. Spojrzała na zegarek – ósma.

– Co to za instrukcje?

George pokazał jej jakąś kartkę. Annie spojrzała.

– Poważnie?

– No. I chce, żebyśmy to sfilmowali. Bo sama nie może pójść. To co – możesz zadzwonić, że jesteś chora?

Annie nie cierpiała takich rzeczy. Wiedziała, że jej głos jako rzekomo chorej

zabrzmi totalnie nieprzekonująco.

– Jestem najgorszą aktorką na świecie.

– Ale jesteś też szczęściarą. Masz pod ręką słynnego aktora, nie? – George wyciągnął rękę. – Daj mi telefon. Kogo mam poprosić?

Annie znalazła numer.

– Sharon Horton. Powiedz, że mam nerwowe załamanie albo coś w tym stylu.

Musiała wpychać pięść do ust, żeby się nie roześmiać, kiedy dzwonił.

– Chodzi o to, Sharon... mogę panią nazywać Sharon? Dziękuję. Ma pani taki miły głos, Sharon. No więc... wygląda na to, że musimy zatrzymać panią Hebden na obserwacji. Tak, w szpitalu. Ma tu matkę i chorą przyjaciółkę, stale jest przy nich zajęta i wygląda, że się przepracowała. Tak, chyba nerwy. – George wahał się pomiędzy głosem Noela Cowarda^[5] o szlachetnej tonacji a luzackim londyńskim cockneyem. – Na pewno zdaje sobie pani sprawę, Sharon, o czym mówię. Słyszę to w pani głosie. Ja? Jestem szefem zespołu pielęgniarstwa, nazywam się Kent Brockwood. Wie pani, bardzo tu wszyscy podziwiamy panią Hebden. Jest taka dzielna, a przy tym tak pełna godności! To dziękuję, Sharon, wszystkiego dobrego.

Wyłączył telefon i z ozdobnym gestem wręczył go z powrotem Annie. Zaklaskała bezgłośnie, naśladowując mimiką owację.

– Tony Award^[6] dla tego pana.

– Staram się.

– Skąd pan w ogóle jest, Kent? Kent... jak? Brockwood?

– Z Irlandii, o rzut beretem od Letterkenny. Zobaczysz, teraz przez parę dni da ci spokój. Po powrocie możesz demonstrować szlachetne cierpienie, a jak będziesz miała szczęście, to cię odeślą do domu.

Odesłanie do domu byłoby ostatecznym zwycięstwem. Człowiek podjął wysiłek, żeby dotrzeć do pracy, ale że zanadto źle się czuł, żeby móc wykonywać obowiązki, mógł ją bezkarnie opuścić.

– „Ma pani miły głos, Sharon” – powtórzyła Annie i zachichotała. – To było piękne... To co – idziemy do Thorpe Park?

– Idziemy do Thorpe Park. Powiedziała, że po drodze powinniśmy zabrać Costasa.

Annie spojrzała w stronę, skąd dochodziły głosy Rogera i Valerie. Nadal się kłócili, tylko teraz ciszej.

– Może powinniśmy...

– Nie, po prostu wyjdźmy. Szczęściara z tej Polly. Przynajmniej może sobie zagrać bycie w śpiączce.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, George podniósł rękę, żeby złapać taksówkę. Annie złapała go za ramię.

– Nie posuwasz się za daleko? Może pojedźmy pociągiem?

– Polly dała mi kupę gotówki. Chce, żebyśmy miło spędzili dzień. A poza tym wyobrażasz sobie, jak się rozjaśni ta jego buźka, jak go wsadzimy do eleganckiego czarnego wozu?

Wsiedli do komfortowego wnętrza i zatrzasnęli za sobą drzwiczki. Ponure, deszczowe Lewisham zostało na zewnątrz. Annie przyjrzała się George'owi.

– Lubisz go, prawda?

– Greka Zorbę? Jest uroczy. Za fajny na to miasto.

– Podoba ci się?

– To dzieciak. A poza tym co to za praca – spienianie mleka przez cały dzień?

– Daj spokój – upomniała go Annie. – On naprawdę ciężko pracuje. Stara się jak może.

George zrobił skruszoną minę.

– Wiem. Po prostu... on jest taki radosny, no nie? I przez to mam poczucie winy. Jest zupełnie sam, z dala od rodziny, pracę ma gównianą, żadna kariera. A jest taki pogodny. Słoneczny. Pomimo że w pracy ma nieciekawie.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Ojejku... Bo okazało się, że chodzimy na tę samą siłownię.

– To ty chodzisz na siłownię? Myślałam, że to taka wymówka wobec rodziców, żeby wyjść z domu.

– Tak, ale pomyślałem, że pora zacząć się dopasowywać do stereotypu geja. Niedługo idziemy razem na koncert Barbry Streisand. Ale wszystko jedno, on jest dla mnie za młody.

– Ma dwadzieścia dwa lata. A ty dwadzieścia dziewięć. A poza tym, kiedy ty wyszedłeś z szafy? Dwie minuty temu?

Wzruszył ramionami.

– Wciąż siedzę w bardzo ciasnej i niewygodnej szafce. Jak widziałaś, moja matka ma wielki problem z tym, że jej synus miałby się zadawać z jakimiś gejami w skórach i damskich szmatach. Przynajmniej tak ich sobie wyobraża... A o co ci chodzi?

– Czyli Costas może uchodzić za starszego od ciebie, jeśli chodzi o gejowski staż. Nie uważasz? Wiesz, tak jak z wiekiem psa.

– Och, ale ja już jestem naprawdę wiekowy.

– Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia osiem i ani dnia więcej – zażartowała i szturchnęła go łokciem. – Co by Polly powiedziała? Chwytaj dzień! Skacz z klifu! Siusiaj na wietrze! I tak dalej.

Westchnął.

– Może i tak. Ale na razie, kiedy jest ta sprawa z Polly i kiedy próbuję trzymać się z dala od Caleba, po prostu fajnie jest mieć przyjaciela, wiesz?

Uśmiechnęła się do niego. Wyobraziła sobie, jaki szczęśliwy będzie Costas, kiedy się dowie, że czeka go wyjście i rozrywka.

– Oj, wiem, wiem.

– Gotowi?

– O Boże. Pochoruję się.

– Nie powinienem był jeść tej waty cukrowej. – Costas był blady.

Kolejka górską – z tych szczególnie przerażających, bo dodatkowo poruszała się na boki – powoli windowała ich w górę, w górę, w górę... Annie też pochłonęła frytki, burgera i mleczny koktajl i teraz czuła, jak przewracają się jej w żołądku. Nie miała osiemnastu lat. To będzie miało swoje skutki. Ludzie w dole, na ziemi, wydawali się tacy mali. Tacy odlegli.

– Jedziemy! – zawołał George. Zaczynali nabierać prędkości. Annie pobiegały kostki palców: z jednej strony ścisnął jej rękę Costas, z drugiej George. W wolnej ręce George unosił telefon, przymocowany za pomocą paska.

– W prawo! – ryknął, przekrzykując narastający łoskot maszynerii. – Szerokie uśmiechy i nie kląć... o kurrrwa! O kurrrwa! Jezu Chryste! To konieeeeec!

Dzień 44

POTWIERDŹ SWOJE CELE

O k....! O k....! Jezu Chryste! To konieeeeec!

George zajął Polly przez ramię na ekranik iPada.

– Prawie mnie nie słyhać przez te biip, biip, które wstawiła Suze.

– Musiała – wyjaśniła Polly. – Filmik robi oszołamiającą karierę w internetach. Już w tej chwili dziesięć tysięcy wyświetleń na YouTube. A na stronie fundraisingowej dzięki niemu ruch jak szalony.

– Naprawdę? – George zerknął. – Może powinienem podlinkować moją stronę castingową?

– Taak, i będziesz znany jako ten, no... brat tej dzielnej Polly Leonard, co ma raka, ale się nie daje, jak on się nazywa... ten, co tak kłął w kolejce górskiej. Chcesz?

George pokazał jej język.

– To było coś potwornego. No nie, Annie?

– Później zwymiotowałam – przyznała się. – Widać mnie na tym wideo? Nie sądzę, żeby w pracy uwierzyli, że jazda najokropniejszą kolejką górską w Europie to lek na moje nagłe nerwowe załamanie.

– Będzie dobrze – pocieszyła ją Polly. Wyglądała o wiele lepiej – siedziała w łóżku, wsparta o poduszki, z policzkami zaróżowionymi od śmiechu. – Przecież nikt w pracy nie wchodzi do Internetu, no nie?

– Tylko na stronę *Życia na farmie* na Facebooku. Ale może lepiej pójde – ogarnęła się Annie. – Nie mogę się znowu spóźnić.

Wspominając filmik z kolejki górskiej, Annie nie mogła powstrzymać uśmiechu. To było takie głupie. I takie śmieszne.

– Wygląda pani na szczęśliwą – usłyszała zgryźliwy głos ze szkockim akcentem. Przy automacie do sprzedaży znowu stał doktor Max i wpatrywał się weń, jakby między twiksami a bounty miała się kryć jakaś potężna wiedza.

Annie zawstydziała się. Nie powinna się uśmiechać, kiedy Polly umiera.

– Nie może się pan zdecydować, który batonik wybrać?

– Hm? A. Tak. Właśnie pacjent mi umarł na stole.

– O Boże! Przepraszam...

– Miał dziesięć lat. Nie mogłem mu nijak pomóc, cholera, guz był strasznie duży. – W szklanej ścianie automatu widziała odbicie jego twarzy, zmęczonej i pełnej zawodu.

– Przynajmniej pan próbował – powiedziała nieśmiało.

– Próbowałem. Próbowałem i przegrałem. – Wstrząsnął się i zaczął przyciskać klawisze, dopóki nie wypadł mars. – Chyba pójde. Do zobaczenia,

Annie.

Wychodząc, zobaczyła na przystanku Jonny'ego, tego bezdomnego. Przyłapał jej wzrok, a ona wstydziła się odwrócić spojrzenie.

– Dzień dobry.

– Cześć. Kłopoty?

– Moja przyjaciółka jest poważnie chora.

– Przykro mi to słyszeć – odparł grzecznie. Z podartych rękawiczek wystawały mu palce, brudne i pokaleczone.

– Hm... może mogłabym coś dla pana zrobić? – powiedziała zakłopotana. – Czegoś pan potrzebuje?

Popatrzył na rzeczy, stanowiące jego żałosny dobytek, na kartonowe pudełko, na którym siedział, żeby je uchronić przed przemoknięciem.

– Jacuzzi byłoby niezłe. – Roześmiał się jej w twarz. – Naprawdę, nie musi mi pani nic dawać. Po prostu spędzam tu czas, inaczej niż wszyscy. Jest w porządku.

– Dobrze, to dziękuję. – Autobus właśnie podjechał, więc wsiadła. Kiedy ruszał, wyrzała przez okno i patrzyła na oddalającą się samotną postać Jonny'ego, siedzącego na ziemi na kartonowym pudle.

Dzień 45

BĄDŹ GŁUPIA

Gotowi? Start!

– Jesteś pewna, że to bezpieczne?! – krzyknęła Annie.

Polly i jej współzawodnik zignorowali ją i pomknęli przed siebie na wózkach, szaleńczo pracując rękami. Przejechali całą długość korytarza i zahamowali z piskiem przed wózkiem z pościelą. Przechodząca pielęgniarka upuściła stos nocników, klnąc jak szewc.

Doktor Max, wściekły, wystawił głowę ze swego szafkowego gabinetu. Włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Mogłem się spodziewać, że to ty, Polly. Ale Ahmed? Miałem cię za mądrzejszego.

– Przepraszam, panie doktorze – powiedział pokornie Ahmed. W piżamie Action Mana, z kompletnie łysą czaszką, miał siedemnaście lat i tętniaka w mózgu, który w każdej chwili mógł pęknąć.

– Nie słuchaj go, Ahmed. Jesteś postrachem oddziału neurologii! Szybszy niż kula armatnia. – Polly wyciągnęła rękę, żeby przybić mu piątkę.

Ahmed z uśmiechem wycelował w jej dłoń i chybił – jednym z objawów ubocznych jego stanu była utrata percepcji głębokiej. Doktor Max napotkał wzrok Annie, stojącej w głębi korytarza. Wzruszyła ramionami. Wszystko to był pomysł Polly – wielki pięciobój oddziału neurologii. Następną konkurencją miało być toczenie nocnika z użyciem mopa jako kija. Doktor Max przewrócił oczami, ledwo dostrzegalnie się uśmiechnął i wycofał się do swojej pakamery.

Dzień 46

ZBIERAJ PIENIĄDZE NA CEL CHARYTATYWNY

Może ciasteczko? – spytała francuska pokojówka. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i owłosione kolana.

Annie zmrużyła oczy.

– Czy to pan, Yusuf? – Yusuf, częściej znany jako doktor Khan, był szefem oddziału kardiologii w tym szpitalu.

– Tak, to ja. Mamy Dzień Pomysłowego Stroju. Wszyscy biorą udział w zbiórce pieniędzy – jedni pieką ciasteczka, inni się przebierają...

– Rozumiem. – Wrzuciła do koszyka piątaka i wzięła parę ciasteczek, polukrowanych w różowe fale. Dostyc podobne do tego, które dała jej Polly tego pierwszego dnia... – Czy to przypadkiem ma coś wspólnego z Polly?

Pieniądze w związku z tamtym wydarzeniem fundraisingowym wciąż napływały i Polly była zdeterminowana, by zebrać tyle, żeby starczyło na nową maszynę do rezonansu magnetycznego.

– Czy w ogóle trzeba pytać?

– Słuszna uwaga. To co jeszcze się dzieje? – wybełkotała poprzez ciasteczko. Lukier miał smak truskawkowy, cukier dawał przyjemnego kopa.

– Sprzedajemy na aukcji niektórych radiologów, pielęgniarki z intensywnej opieki neonatologicznej tańczą kongę... aha, niektóre osoby z personelu, te owłosione, woskuje się w kantine...

– Naprawdę? Hm... to znaczy które osoby?

– Chyba najbardziej owłosione. Ja też mam się temu poddać, ale uważam, że owłosienie to część mojego kostiumu.

Annie dotarła w samą porę. Doktor Max, bez koszuli, leżał na jednym ze stołów pokrytych niebieskim szpitalnym papierem. Plecy, podobnie jak wszystko inne, miał rzeczywiście mocno owłosione.

Zobaczył ją.

– Och, na litość boską. Co pani tu robi? Nie ma pani domu, żeby do niego pójść?

– A kto twierdził, że nienawidzi tych głupich fundraisingowych imprez?

– Ja. Nienawidzę ich każdą cząstką mojej istoty. Prawie tak, jak będę nienawidził tego woskowania.

– Och, to prawie wcale nie boli.

– Naprawdę? – Podniósł z nadzieją głowę.

– Nie, to boli jak cholera. – Odstąpiła na bok, bo podeszła jedna z pielęgniarek z chirurgii – przyzwyczajonych do pozbawiania pacjentów owłosienia przed operacją – i przykleiła do jego nawoskowanych pleców długi pasek gazy, po

czym szybko oderwała. Jego wycie było prawdopodobnie słyszalne aż na trzecim piętrze, gdzie Polly bez wątpienia z ukrycia kierowała całą akcją.

Annie spojrzała na zegarek.

– Chciałabym zostać i popatrzeć, ale muszę iść do pracy.

– Będą zdjęcia – mruknął ponuro. – Cholerna Polly.

Przed geriatrią doktor Quarani wykonywał sprinty tam i z powrotem, za każdym razem resetując fitbita.

– Nie dołącza pan do fundraisingu? – spytała Annie.

– Nie mam czasu. Mam tylko pięć minut pomiędzy jednym a drugim okrążeniem. – I pobiegł, licząc pod nosem, tylko załopotwały za nim poły białego kitla. Każdy miesiąc miał napięty i pod kontrolą.

Po zakończeniu wizyt Annie znowu poszła na przystanek. Jonny był w tym samym ubraniu. Musi mieć tylko jeden zestaw, pomyślała i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jakie to głupie. Gdzie miałby trzymać pozostałe? Poza tym miejscem dosłownie nie miał gdzie się podziać.

– Cześć – powiedział. Przewrócił stronę książki Terry'ego Pratchetta.

Wskazała na nią nieśmiało.

– Też to czytałam. Dobrze.

– O, tak. Przynajmniej można się pośmiać. Jak się pani dzisiaj ma?

– W porządku.

Porównując się z nim, nie mogła powiedzieć inaczej. Miała dom, przyjaciół i znajomych, pracę. Gdyby tak mogła zrobić coś dla niego...

– Hm... Miałby pan ochotę na ciastko? – spytała niezręcznie, wyciągając ku niemu papierową torebkę. Ciastko to drobiazg w porównaniu z innymi sprawami, ale pierwsze spotkanie z Polly nauczyło ją, że mimo wszystko to jest coś.

Dzień 47

POZNAJ NOWYCH LUDZI

Wyglądasz o wiele lepiej.

Polly uśmiechnęła się do siebie w lusterku, które ustawiła jej Annie.

– Prawda? Cała ta rakowa bladość nie za dobrze mi robiła na karnację. Podaj no mi cień do oczu.

– Który? – Annie otworzyła ogromną kosmetyczkę Polly i podsunęła jej pod nos.

– Opalizujący zielony. Mam dzisiaj opalizująco zielony nastrój. – Zamknęła oczy. – Ty mi połóż. Moje nadgarstki nie są takie mocne jak kiedyś. Ale nie rozpowiadaj tego, dobrze? Nie chcę, żeby chłopaki się dowiedzieli.

– Polly... Naprawdę chcesz, żebym ja to zrobiła? Jestem w tym beznadziejna.

– Musisz się nauczyć. Nie będzie mnie tu zawsze, żeby ci robić makijaż i wybierać ciuchy. Chociaż ten zestaw mi się podoba. Pozwól, niech się przyjrzę.

Annie z zakłopotaniem cofnęła się o krok, by Polly mogła podziwiać jej spódniczkę z zamszu i długie buty, a do tego pasiasty biało-granatowy sweterek.

– Fajne. Bardzo fajne. Już nawet nie jestem ci potrzebna.

– Ćśśśś. – Annie nie chciała teraz rozmawiać o końcu. Nie dziś, kiedy Polly miała kolory na policzkach – i to nie tylko na skutek obfitego użycia rózu. Nie teraz, kiedy wyglądała lepiej, nawet jeśli był to tylko kolejny okrutny trik raka. – No. Mam nadzieję, że spodoba ci się look typu „drag queen w trakcie chemii”, bo tak cię właśnie umalowałam. Potrzebuję jeszcze paru lekcji makijażu, zanim... – I ugryzła się w język, bo przecież Polly nie wybierała się na wycieczkę czy coś w tym stylu. Jak trudno było, pomimo ciągłego przypominania sobie samej, przyjąć i zrozumieć fakt, że z tej ostatniej podróży już nie wróci... I że to było w zasadzie tuż-tuż. Może nie dziś, może nawet nie w tym miesiącu. Ale niedługo.

Drzwi otworzyły się i wionęło wonią Chanel.

– Kochanie, jak... o, cześć, Annie.

– Cześć, Valerie. Właśnie robimy Polly na piękność.

– To dobrze. George chyba gdzieś tu jest. Na pewno zechce się z tobą zobaczyć.

Annie tylko kiwnęła głową. Najwyraźniej George nie porozmawiał jeszcze z matką.

– Przyniosłaś mi znowu te antyrakowe zioła, Ma? Bo muszę ci powiedzieć, że smakują jak końskie siki – powiedziała wesoło Polly.

– Hm... Polly, kochanie, masz gościa. – Valerie miała na sobie kardigan do kolan, świeży makijaż i lśniące włosy, ale zarazem wyglądała na wyczerpaną. To

się odbijało na wszystkich.

– Kogo? Milly? Mówiłam jej, że na razie już żadnych filmików na temat raka. Wyłącznie rzeczy pozytywne. Strona fundraisingowa chodzi znakomicie sama z siebie – wczoraj dwadzieścia tysięcy wejść!

– Nie, nie Milly. Hm. Myślę... myślę, że podczas tej wizyty powinnaś być sama, kochanie.

Annie zrozumiała aluzję.

– I tak już powinnam iść. – Zaczęła pakować kosmetyczkę. Polly wysunęła rękę z pościeli i złapała ją za ramię.

– Nigdzie nie pójdziesz. Zostajesz tutaj i już. No, chyba że to Ryan Gosling z wizytą, a, w takim razie, kochana, jesteś uprzejmie proszona o zamknięcie drzwi z tamtej strony, i to niezwłocznie.

Valerie wykręcała dłonie. Westchnęła, wreszcie cofnęła się o krok i trzymając drzwi otwarte, powiedziała do kogoś stojącego z tamtej strony:

– Wejdz. Ja się nie wtrącam. – I cofnęła się, a w jej miejsce pojawił się ktoś, kogo Annie nigdy dotąd nie widziała. Mężczyzna, w garniturze, który w oczywisty sposób był drogi, żaden tam poliester. Lśniące półbuty. Czerwony krawat. Wysoki, przystojny w stylu modela z wybiegu, z krótkimi ciemnymi włosami. Potężne ramiona i klata, wypracowane na siłowni.

Polly, wciąż ściskając Annie za ramię, wlepiła w niego oczy. Kolor powoli odpływał z jej twarzy, pozostawiając jedynie warstewkę makijażu, niby jakiś żart.

– O kurwa.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna. Głos miał schrypnięty. – Czy ty... O Chryste... wyglądasz... Nie miałem pojęcia!

– Wszystko ze mną w najlepszym porządku. Co ty tu robisz, do diabła?

– Co ja... Chryste. Masz pojęcie, jak ja się martwiłem? Dopóki nie zobaczyłem tej twojej cholernej strony fundraisingowej, nawet nie wiedziałem, czy żyjesz!

Annie próbowała się wyszarpnąć i wyjść, ale Polly uczepliła się jej ze wszystkich sił.

– Nie idź!

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Poll. Porozmawiaj ze mną, proszę. Proszę! Nie możesz tak po prostu rzucić takiej bomby i się zabrać.

– Mogę zrobić, co tylko chcę. Mam raka – wycodziła zduszonym głosem.

I w tym momencie powściągnany gniew wybuchnął pomiędzy nimi, jakby ktoś cisnął granatem.

– Raka! Nie chodzi o raka, chodzi o ciebie. Zawsze robiłaś dokładnie to, czego chciałaś. Malowanie domu. Wyjazd z kumplami na wakacje. A ja? Może i ja bym czegoś chciał?

Annie zwracała głowę to w stronę jednego, to drugiego. Kto to jest? Co tu się dzieje?

– Guzik mnie obchodzi, czego chcesz! – Zabrzmiało to jak warknięcie, tak jakby Polly wykorzystywała resztki sił i głosu. – Zabieraj się stąd i tyle! Nie masz żadnego prawa! Nie chciałeś mnie, więc nie będziesz stał przy moim łóżku, jak będę umierać. Mam od tego innych ludzi!

– Aha, jakąś świruskę, którą dopiero co poznałaś!

Annie zamrużyła. To chyba lekka przesada?

– Annie jest moją przyjaciółką i jest przy mnie, w przeciwieństwie do niektórych...

– Tak jakbyś dała mi jakiś wybór!

– Zamknij drzwi, Annie – poleciła Polly drżącym głosem.

– Yyy... słucham? – wyjąkała.

– Zamknij za nim drzwi. Wyrzuć go. Nie mam siły zrobić tego sama, a nie mogę już tego słuchać.

No tak. Czyli ma wyrzucić za drzwi faceta o wzroście metr osiemdziesiąt cośtam, wyćwiczonego na siłowni, który patrzy na nią, jakby była czymś brzydkim na chodniku!

– Hm... przepraszam, Polly nie wolno męczyć, więc gdyby pan mógł...

– Kim pani jest, do diabła? Kto pani dał prawo? Posłuchaj, ja naprawdę muszę z tobą porozmawiać! – zwrócił się do Polly. – Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić.

– Mogę – powiedziała Polly cicho.

Annie uniosła podbródek.

– Ona chce, żebym tu była. A nie chce, żeby pan był. Więc... – Otworzyła mu drzwi. – Tak jak mówiła Polly, będzie pan łaskaw zamknąć drzwi z tamtej strony, i to jak najszybciej.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Annie obwisły ramiona. Ufff... A więc naprawdę to zrobiła.

– Jezu. O co tu chodzi?

Polly miała szarą twarz. Z trudem dyszała.

– Dziękuję. Jesteś... cudowna.

– Wszystko dobrze?

Skinęła głową. Wątlymi ramionami wstrząsał atak kaszlu.

– Założę się, że do tej pory nie zdarzyło mu się, żeby go skądkolwiek wyrzucili.

– A... zamierzasz mnie oświecić, kto to jest?

Polly westchnęła. Opadła na poduszki i zamknęła opalizujące zielone powieki.

– Uch. To jest... – Znowu porwał ją kaszel.

– Polly, powiedz mi. Inaczej to nie fair.

– Dobra! Boże, niech złapię oddech... To jest... Annie... to był Tom. Mój mąż. – Twarz jej się zmięła i Annie zdała sobie sprawę, że Polly płacze.

– Okej – westchnęła, kiedy już mogła mówić. – Wszystko ci opowiem, ale tylko dlatego, że i ty mi o sobie opowiedziałas i nie mamy przed sobą żadnych sekretów.

– Jakież mamy.

– Dobra, wszystko jedno. Ale muszę to powiedzieć jednym ciągiem, bez przerywania, okej? Nawet bez mówienia: Boże, to okropne, albo: biedna jesteś, czy coś tym stylu. To się po prostu wydarzyło. Nie jest to żadna tragedia ani żadna spektakularna historia, ani nawet ważna. Po prostu mi się to zdarzyło. – Oddech wciąż miała kurczowy. – Nie mogę spędzić reszty życia na opłakiwaniu tej sprawy. Nie mam na to czasu.

– Racja – odparła Annie. – Nie powiem ani słowa. Począwszy od tej chwili.

Usiadła na pomarańczowym plastikowym krześle, a Polly znowu odchyliła się na poduszki.

– Okej. Rozdział pierwszy. Jak u większości ludzi, moja diagnoza raka wyskoczyła nagle, nie wiadomo skąd. Aktywne życie. Coś takiego nie może mi się zdarzyć. Byłam... cóż, widzisz, jaka jest Suze i ten typ ludzi. Ma apkę w telefonie, żeby wiedzieć, jakie spodnie którego dnia, a Milly ma grafik seksu z mężem na sześć miesięcy naprzód. Ja też byłam taka. Wcześniej wstać, smufi z jarmuzu, blackberry w kolejce, prasa, prasa, prasa. Robiłam PR dla mnóstwa najrozmaitszych rzeczy. Joga. Medytacja. Weekendy w Kornwalii i Val d’Isere. Sztuki, wystawy, najnowsze restauracje, gdzie jedzenie dostajesz w minihamaku i tak dalej. Takie było moje życie. A do tego miałam męża. Przystojnego, bogatego – pracuje w City, rzecz jasna, jest brokerem na giełdzie. Można by nawet powiedzieć, że poślubiłam mojego ojca – mężczyznę, który zawsze pracował nawet jeszcze więcej niż ja. Mknęliśmy przed siebie jednokierunkową autostradą, która prowadziła do jednego, może dwojga superstarannie zaplanowanych dzieci i letniego domu w Devon, przy czym ja przerzuciłabym się na tryb wolnego strzelca, a on zgarniałby premie.

Annie kiwała głową, starając się nadążyć. Polly oddychała ciężko, dłonie miała zaciśnięte w pięści.

– I nagle się okazało, że jestem chora. Po otrzymaniu wyników byłam w domu i ćwiczyłam rolę dzielnej dziewczyny chorej na raka, która się nie poddaje – wiesz, szlachetny wyraz twarzy, te rzeczy. Kompletnie nie przyjmowałam niczego do wiadomości, rzecz jasna. Możesz mnie ganić? A potem, cóż – życie mi się zawaliło. Niemal słyszałam ten odgłos, wiesz? Rumor, łoskot, trzask.

– Wiem. Co się stało?

– Opowiem ci.

Czy to drzwi? Tak, wrócił. Jezu, czemu ona się tak denerwuje? Wygładziła sukienkę na kolanach. Po powrocie ze szpitala wzięła długi, długi prysznic, aż skóra jej się zaróżowiła i zaczęła piec, a potem włożyła ulubioną sukienkę, tę w gałązki słoneczników. Złapała się na tym, że obsesyjnie przegarnia włosy palcami.

Tom stał w holu w swoim garniturze Saville Row i lekko zgarbiony, wpatrywał się w zasmarowany ekranik telefonu.

– Dzwoniłaś do hydraulika? Ta cholerna toaleta nadal przecieka. Co ty tam robisz?

Nie wiadomo dlaczego, zapaliła nawet świecę zapachową – może uznała, że wreszcie nadszedł moment wart tego, żeby zapalić Jo Malone o zapachu mimozy i kardamonu za czterdzieści osiem funtów. Siedziała w salonie w ładnej sukience, umalowana, zamiast swoich zwykłych spodni do jogi i narciarskich skarpet. Może jak będzie ładnie wyglądać, to wszechświat zda sobie sprawę, że to nie ta osoba. Znadto była zajęta na takie rzeczy. Miała zamówienia na długo naprzód, aż do Bożego Narodzenia. „Rusze się wreszcie, nic tam po tobie”.

Spojrzał na nią przelotnie.

– Nawet jeszcze nie zaczęłaś robić kolacji? Jestem głodny.

– Wychodziłam. – Jakaś część jej myślała: Jak mu powiem, to strasznie się zmartwi. – Możesz tu przyjść? – Spokojnie. Z godnością. Być ponad takie drobiazgi jak przeciekający klozet czy spóźniona kolacja.

Otworzył drzwi. Pognieciona koszula, przekrzywiony krawat. Siwiejące włosy na skroniach.

I pomyślała: jak to się stało? Jak do tego doszło, że tak się nawzajem pogubiliśmy?

– Co jest? Muszę wziąć prysznic, podróż jak zwykle była okropna.

– Miałam dzisiaj wizytę. Pamiętasz? – Mówiła mu, ale w przelocie, i wiedziała, że nie zapamiętał. Bo to przecież miało być nic ważnego. Każdego boli głowa, nawet jeśli to było codziennie, nawet jeśli po drodze do szpitala nie potrafiła w pociągu odczytać tablicy z nazwami stacji. O mały włos nie odwołała tego rezonansu, bo spotkanie z klientem od płatków śniadaniowych się przedłużało... Pewnie po prostu musi sobie załatwić okulary albo pić więcej wody, albo się lepiej wysypiać, albo brać nurofen, albo akupunkturę, albo posprzątać dom, albo rzucić pracę i zacząć pisać bloga na ten temat.

– Ach. – Poczucie winy szybko ustąpiło miejsca obronie. – Powinnaś mi była przypomnieć. – Tom nie zdawał sobie sprawy, jak ostre są te bóle ani że przedwczoraj, wychodząc z domu, zapomniała włożyć buty. Nie był zmartwiony. Jeszcze nie.

– Nie ma sprawy. – Siedziała opanowana i majestatyczna. Puls jej łomotał, jakby była wręcz podniecona. Tym oczekiwaniem na moment, który roztrzaska ich życie.

– Kochanie... – zaczęła. (Nigdy tak do niego nie mówiła, ale wydawało się, że to pasuje do jej nowego, szlachetnego „ja”). – Coś mi znaleźli. W mózgu. Te bóle głowy...

– Co? – Oczy już mu pobiegły w stronę telefonu. Z chęcią przydeptałaby go i zmiażdżyła. Słuchaj mnie, ty samolubny skurwysynu, kiedy do ciebie mówię z taką godnością.

– Uważają... że nie wygląda to dobrze.

Jego twarz.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że mam guza mózgu.

– Szlag. Naprawdę? Jak to?

Więc wypowiedziała parę słów: giejak złośliwy w czwartym stadium. Bardzo agresywny... szybki wzrost...

– Szlag. Szlag. Poll, musi być coś...

– Będą próbować. Chemii i tak dalej. Ale lekarz nie miał wielkiej nadziei. Wyglądał... posepnie. – To właściwe słowo, uznała, na określenie tego gderliwego specjalisty, który ją przyjmował. Posepny.

– O kurwa. – Tom złapał się za głowę rękami, do których miał chirurgicznie przyszyty telefon. – Jestem... Szlag. Szlag! Dlaczego teraz?

– Czy kiedykolwiek jest dobry czas?

– Przepraszam. Muszę... – I wyskoczył z pokoju. Może po prostu był tym przytłoczony, bólem, miłością. Czekala. Odezwał się brzęczyk jej własnego telefonu i wzięła go do ręki. Myśląc: jak ja o tym powiem innym? Wiadomość na Facebooku? Grupowy czat poprzez Whatsapp?

SMS był od niego. O treści: „Szlag złe wiadomości ona jest chora. Poważnie chora myślę. Muszę to jakoś poukladać”.

Najwyraźniej pod wrażeniem tej wiadomości pomylił się i wysłał tekst niewłaściwej osobie. To pewnie miało być do matki.

I być może byłaby to przegapiła, nie zdałaby sobie sprawy, co się dzieje, bo mimo wszystko była przecież troszkę rozkojarzona. Gdyby nie podjął wysiłku, nie wykonał milowego kroku, którego nigdy już teraz nie wykonywał wobec niej: „Kocham cię”.

Wrócił, wciąż z telefonem w ręce. Widać było, że płakał. Koszula wyszła mu ze spodni.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. Czy to... czy to prawda?

Wzięła do ręki swój telefon. Wciąż krążyła po orbicie wokół planety raka. Spokojna. Pełna godności.

– Kogo kochasz, Tom? – Bo wiedziała, że nie ją. Wiedziała to od dawna, dotarło to do niej w tej chwili.

Twarz zapadła mu się jak wilgotny papier.

– *O szlag.*

– No, no – rzekła Annie, gdy Polly zakończyła żalną opowieść o tym, jak wróciła do domu z diagnozą raka, a Tom pomyłkowo przysłał jej SMS-a przeznaczonego dla kobiety, z którą miał romans. – Przepraszam. Wolno mi powiedzieć „no, no”?

– Wolno. Nie chciał mi powiedzieć, ale zagrałam kartą raka (bardzo użyteczna karta) i w końcu przyznał się, że:

Tak, widuje się z inną kobietą.

Kobieta ma na imię Fleur.

Tak, kiedy mówił „widuje się”, miał na myśli „sypia”.

Tak, myślał o tym, żeby mnie zostawić.

Tak, Fleur ma dwadzieścia parę lat.

Jest nauczycielką jogi i tańca interpretacyjnego.

Poznał ją na siłowni, gdzie chodził, bo ja go do tego zachęciłam.

Annie powoli kiwała głową.

– Czyli że go po prostu zostawiłaś?

– Bez słowa. Jeśli życie jest za krótkie, żeby nie palić świecy Jo Malone, to tym bardziej jest za krótkie, żeby się przejmować uzależnionym od iPhone'a mężem, który mnie zdradza. Więc sobie poszłam, zamieszkałam z powrotem z rodzicami i przez mniej więcej dwa tygodnie wypłakiwałam sobie oczy. Nawet w związku z tym głupim rakiem tak nie płakałam. Czy to nie głupie?

– Absolutnie nie. Czasem nasz mózg nie potrafi ogarnąć tego, co najważniejsze. Tak jakby to maskuje, żeby nas chronić. Ja kiedyś płakałam trzy godziny, bo nie mogłam znaleźć lewego buta.

– Słyszałam – podjęła Polly – że zaledwie się wyprowadziłam, natychmiast wprowadził ją. Milutko, co? – Urwała, rżęząc z wysiłku. – No. To wszystko.

– Hm... Czy wolno mi teraz wypowiedzieć mój werdykt?

– Jasne, możesz mówić. Moje biadolenie zakończone.

– Ja... Jezu, Poll.

– Ale może lepiej nie mów, jaki ze mnie dzielny żołnierz.

– Nie mam zamiaru. Mam zamiar powiedzieć: dobra robota. Wygrałaś w konkurencji „najbardziej łzawa historia świata”. We wszystkim musisz być najlepsza, prawda?

Z ulgą usłyszała, że Polly śmieje się poprzez kaszel.

– Lepiej, żebyś w to wreszcie uwierzyła, Hebden.

– Czyli... tamtego dnia, kiedyśmy się poznały, kiedy wydawałaś się taka radosna...

– Czuję się podle, Annie. Właśnie rozstałam się z mężem i wykryli u mnie raka.

– To dlaczego?...

Polly się uśmiechnęła. Annie rozpoznała ten uśmiech, który mówił: aha, zobacz, czego cię nauczyłam.

– Oczywiście, miałam ochotę być wściekła, smutna, zniecierpliwiona... tak jak ty, moja najdroższa Annie... Ale zostało mi tak mało czasu. Pomyślałam: a co będzie, jeśli po prostu, mimo wszystko, postaram się być szczęśliwa?

– I to działa?

Polly rozpostarła ramiona, ukazując wszystkie rurki i monitory, wyniszczone ciało, łysiejącą czaszkę.

– Wyglądam żałośnie?

– Cóż, nie, ale...

– Szczęście to stan umysłu, Annie.

Annie nie mogło się pomieścić w głowie. Ta Polly, którą poznała przy recepcji czterdzieści siedem dni temu... była świeżo po tym, jak i jej życie legło w gruzach? Nie mogła uwierzyć.

Polly odchyliła się na poduszki.

– Mam nadzieję, że notujesz sobie te złote myśli. Spodziewam się przynajmniej czterech pamiętników o życiu ze mną, jak odejdę.

Dzień 48

KONTEMPLUJ ŚMIERTELNOŚĆ

Dzień dobry, przyszedłem się zobaczyć z...

– W tej chwili jest zajęta – mówiła zrezygnowanym tonem Annie. W zasadzie była teraz niepłatną sekretarką Polly.

Gapie zaczęli przychodzić nazajutrz po tym, jak Polly została przyjęta na oddział. Dawne przyjaciółki, przypadkowi znajomi, ludzie, z którymi była kiedyś na jakimś kursie, poznała ich przelotnie na wakacjach albo randkowała z ich bratem. Przynosili jej winogrona – Polly żartowała, że mogłaby zrobić ze swojego pokoju sklep owocowo-warzywny – czekoladę, kwiaty albo wielkie karty ze słoniami z kreskówki, które trzymały przy posiniaczonych głowach woreczki z lodem. Polly kazała je Annie wyrzucać do spalarni toksycznych odpadów.

– Na litość boską, mam guza w mózgu, a nie na czole. Co jest z tymi ludźmi?
– Ale zawsze ich przyjmowała. Annie nie wiedziała dlaczego.

Najnowszym gościem była bardzo chuda kobieta w średnim wieku, ubrana w zszarzały granatowy skafander. W rękach ścisnęła torbę z juty.

– Kogo mam zapowiedzieć? – spytała Annie, natknąwszy się na nią na korytarzu. Może jak się to wszystko skończy, dostanie pracę jako recepcjonistka? Doświadczenie: pomagała umrzeć bardzo popularnej narcystycznej przyjaciółce.

– Nazywam się Emily.

– Emily...?

– Och, ona już będzie wiedziała, o kogo chodzi. – Zawsze tak się im wydaje.

– Ale tak na wszelki wypadek... wie pani, ona jest bardzo zmęczona.

– Kiedyś pracowałyśmy razem. Byłam kierowniczką biura.

Annie przeszedł dreszcz. Przypomniała jej się Sharon.

– Byłyście w kontakcie?

– Och, nie. Zobaczyłam ją w sieci i od razu wiedziałam: to Polly! Polly, dziewczyna od PR! I chciałabym jej to dać. – Wyjęła coś z torebki – marnie wydrukowaną broszurkę pod tytułem *Wylecz się jedzeniem*. Annie poczuła idącą od niej woń paczuli i potu. – Rozumie pani, wciąż jeszcze jest czas, ale trzeba zacząć natychmiast.

– Czas na co? – W Annie obudziła się czujność.

– Żeby przejść na weganizm. Zawsze jadła dużo tej wykwintnej chudej szynki, prawda? I piła za dużo, i dodawała mleka do kawy... Ale jak pokaże jej pani tę broszurkę, to wyleczy się postem i ziołami, i...

Annie udała, że się uśmiecha.

– Dziękuję, Emily. Ale wie pani, lekarz pozwolił jej przyjmować tylko określoną liczbę gości dziennie. Na dziś limit wyczerpany. Ale na pewno jej to

przekażę. Bardzo dziękuję. Na razie!

– Nie, nie, musi mnie pani do niej puścić, to naprawdę ważne. A właściwie kim pani jest?

– Jestem Annie. Na pewno to załatwię. Dziękuję.

W tej chwili pojawia się Valerie z papierowym kubkiem herbaty w ręce.

– O co chodzi?

Emily podbiegła i uścisnęła rękę Valerie.

– Na pewno jest pani jej matką! Co za podobieństwo... Dzień dobry, bardzo mi miło, Przyniosłam jej kilka broszur.

– „Ona” ma imię – zauważyła Valerie. – Co to za broszury?

Emily wcisnęła jej jedną.

– Tu jest lekarstwo na jej raka. Bardzo proste. Musi tylko zrezygnować z mięsa, cukru, alkoholu, glutenu i wszystkich używek.

Przez chwilę Valerie czytała broszurkę.

– A pani w ogóle zna moją córkę? Kontaktowałyście się?

– Od paru lat nie, ale dowiedziałam się, co się dzieje, i poczułam, że muszę przyjść! Wie pani, tak łatwo się wyleczyć samemu, bez tych wszystkich okropnych toksyn i trucizn. – Z niesmakiem rozejrzała się po szpitalnym korytarzu. – Oni po prostu ukrywają przed nami prawdę, bo wie pani, interes „wielkiej farmacji”. – Pokazała palcami cudzysłowy w powietrzu, gubiąc parę ulotek.

– Więc pozwoli pani, że powiem wprost. Pani, kompletnie obca osoba, postanowiła przyjść do mojej córki do szpitala, żeby jej powiedzieć, że zachorowała na raka, bo – co? Bo zjadła kiedyś batonik czekoladowy?

– Nie tylko. Mięso, alkohol, produkty mleczne – wszystko to prowadzi wprost do raka. Ale wciąż jeszcze może się uratować! Musi tylko wyjść ze szpitala, zrezygnować z leków i natychmiast zacząć przerywaną głodówkę. – Emily uśmiechnęła się promiennie.

W Valerie się zagotowało. Głęboko nabrała powietrza.

– Jak... jak pani śmie?! Jak pani śmie przychodzić tutaj, gdzie próbują uratować jej życie, i twierdzić, że ona umiera przez... szynkę? Jazda stąd!

– Ale...

– Powiedziałam: jazda, albo wezwę ochronę!

Emily czmychnęła, rzucając po drodze parę zdecydowanie niezwiązanych z zen przekleństw.

– Wszystko dobrze? – spytała Annie roztrzęsioną Valerie.

– Tak. Nie, właściwie to nie. Ci ludzie nie zostawią jej w spokoju! Wszyscy od niej czegoś chcą, uważają, że mogą jej dyktować, co ma robić... To nie do zniesienia.

Ciekawe, czy i ją Valerie też tak widzi... Kto wie, może miałyby rację.

– Może ci coś przynieść? Może byś usiadła?

– Nie, nie, czuję się dobrze. Tylko... tylko nie chcę, żeby Polly mnie widziała w takim stanie. – Ścisnęła kubek tak mocno, że kropelki płynu staczały się po ściance i zbierały w kałużę na podłodze. Valerie nachyliła się, żeby uratować ulotki. Zerknęła na nie. – Taka jest prawda, tak? Nie uratuje jej ani masaż, ani reiki, ani jakaś nowa cudowna kuracja czy coś w tym stylu?

– Chyba nie – powiedziała Annie najłagodniej jak umiała. Kusiło ją, żeby skłamać, powiedzieć, że może w ostatniej chwili pojawi się jeszcze jakiś cud, wiedziała jednak, że takich cudów nie ma.

– Pomyślałam, że może nie zawadziłoby spróbować. Mieć trochę nadziei.

– Może i tak. Ale... ona chyba jest w stanie się z tym pogodzić. I zadbać o to, żeby jak najlepiej przeżyć czas, który jej pozostał.

Valerie przygryzła wargę.

– Annie, dziękuję ci za wszystko, co dla niej zrobiłaś. Nie myśl, że tego nie zauważyliśmy. Wiem, że to niełatwe.

– Och, to nic takiego. Ona zrobiła dla mnie więcej, znacznie więcej.

– A jednak. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Annie zostawiła ją samą – pomyślała, że może Valerie chciałaby trochę popłakać w samotności – i wróciła do Polly, która przyglądała się smętnie otrzymanym ostatnio roślinom. Był to zestaw kaktusów w doniczce z napisem „Oby ci się temperatura nie podniosła”.

– Jak myślisz, co one symbolizują? Moją kolczastą osobowość?

– Może. Masz, to dla ciebie. – Rzuciła jej broszurę na łóżko. – Twoja mama właśnie nie dopuściła do ciebie jakiejś hipiski, ale na pewno wróci. Emily z twojej dawnej pracy.

Polly musiała się zastanowić.

– Boże. Emily weganka? Ta, co ratuje świat, a nie jakieś tam dokumenty? Beznadziejnie radziła sobie z komputerami. Trzy razy straciliśmy przez nią cały serwer.

– Czy oni nie rozumieją, że to wcale nie jest okej przychodzić tu i cię prześladować? – Annie rzuciła się na stojące przy łóżku krzesło.

Polly wzruszyła ramionami.

– Chyba ich to trochę podnieca. Są przerażeni, że mogłoby się to przytrafić także im, i oddychają z ulgą, że to jednak nie oni. Takie podglądactwo. A jak sobie wymyślą, że to pewnie moja wina, czują się bezpieczniejsi.

– Po co się z nimi spotykasz?

– A co innego mi tutaj pozostało? Poza tym jak umierasz, to ludzie naprawdę cię słuchają. To dodatkowa korzyść. Kto wie, może zainspiruję niektórych, żeby zmienili swoje życie i byli szczęśliwi?

– A może po prostu przychodzą się pogapić na twoją łysinę.

– Może – uśmiechnęła się Polly. – Fajnie, że przy mnie jesteś, Annie. Inaczej

zrobiłoby się niebezpiecznie pozytywnie, a tego byśmy nie chciały. Co ja bym bez ciebie zrobiła, ty Psuju?

– Do usług. Dobra, czas na twoją toaletę, Łysoniu.

Dzień 49

POMÓŻ KOMUŚ

O-o-o! Naprzód, doktorze Quarani! Naprzód! – Annie podskakiwała, machając entuzjastycznie rękami. Ponad godzinę czekała, żeby złapać go, jak będzie biegł, szczupły i skoncentrowany. Chyba jej nie słyszał, rwał do przodu. Jego strój do biegania nawet nie był przepocony. Odwróciła telefon tak, żeby Polly mogła go zobaczyć przez Skype’a. – To on!

Wszędzie dookoła przy trasie maratonu cisnęli się do barierki ludzie, wymachiwali banerami, na których wypisano dopingujące hasła, wydawali okrzyki zachęty. Atmosfera była naładowana optymizmem – Annie nawet się martwiła, że jeszcze się nią zarazi. Przeprowadziła ze sobą Bustera na smyczy, a pies szczekał zajadle, ilekroć przechodził ktoś w przebraniu. Annie nie wiedziała, że jak się jest z psem, to ludzie się do ciebie uśmiechają. Krępowало ją to, ale nie mogła powiedzieć, żeby było nieprzyjemne.

Polly nadal wzdychała do doktora Quaraniego.

– Jaki on ma ładny tyłeczek w tej lycrze...

– Polly!

– No co, przecież ma. A gdzie jest doktor Zrzęda?

– Nie wiem... O, patrz, jest! O-o-o!! Dawaj, doktorze Max!

Max zmagał się z ostatnim odcinkiem. Twarz mu tak nabiegła krwią, że wyglądało, jakby za chwilę miał wybuchnąć. Był totalnie zlany potem, logo zarządu szpitala zacierały ciemne plamy. Pomimo gderania oczywiście przez cały czas zbierał fundusze.

– Dawaj, doktorze! – krzyknęła. – Dasz radę!

– Wiesz co, nie wygląda, żeby dał radę. Powiem, żeby szykowali łóżko na oddziale ratunkowym – skomentowała Polly przez głośnik telefonu. Jej metaliczny głos był doskonale słyszalny dla wszystkich wokół.

– Cicho – złajała ją Annie. – Robi, co może. – Pomachała w jego stronę, a on biegł niezdarnie z zajadle ściągniętymi brwiami, rytmicznie pracując ramionami. – Kocham pana, doktorze! Na pewno nie zajrzę panu pod kilt, jak pan padnie!

– Zamknij się, Polly!

Dzień 50

ZREZYGNUJ Z PRACY

Przykro mi, Annie, ale musimy zbadać tę sprawę.

Annie zrobiło się słabo. Wezwano ją do gabinetu Jeffa. Przy stoliku „do pogawędek” siedziała już Sharon z miną, jakby przeżuwała zgniłą sardynkę. Dzisiaj włożyła zestaw numer trzy – za duży sweter w szczeniaczki, cały w sierści prawdziwych psów. Na samą myśl o tym Annie zbierało się na kichanie.

– O co chodzi, Jeff?

Jeff sprawiał wrażenie, jakby poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie.

– Hm. Annie. Przesłano mi mejlem jakiś filmik.

O nie... Żołądek zaciążył jej kamieniem i zadyndał gdzieś w okolicy stóp. Byle nie ten debilizm z Thorpe Park.

– O.

– Czy to ty? – Odwrócił w jej stronę laptop, na którego ekranie leciało wideo z YouTube. Zatrzymał je na klatce z Annie: krzyczała z szeroko otwartymi ustami.

– Trudno powiedzieć – zrobiła unik. – To jest dosyć nieostre.

– Z wiarygodnych źródeł wiem, że to ty. Że poszłaś tam, do parku tematycznego, kiedy rzekomo byłaś na chorobowym.

– Nie wiem, co to za jeden ten jakiś Kent, co wtedy dzwonił – mruknęła Sharon. – Taki był miły i w ogóle...

– Ale nie możesz udowodnić, że to ja. – Starła się mówić lekko i z dystansem.

– Nie. Będziemy musieli wdrożyć postępowanie dyscyplinarne i dać ci ostrzeżenie na piśmie. To potrwa parę miesięcy. Ale gdybyś się przyznała, moglibyśmy się ograniczyć do ustnego upomnienia. Trzy ustne upomnienia równają się jednemu ostrzeżeniu na piśmie. Dwa ostrzeżenia na piśmie oznaczają przesłuchanie...

Annie owładnęło znajome uczucie. Siedzi oto w gabinecie Jeffa, który czuć koktajlami proteinowymi i gorącymi kubkami, i jest besztana, że za mało się uśmiecha, że jest smutna albo że nie chce rozmawiać o cudzych zdrowych dzieciach. Mówiąc krótko, za to, że jest człowiekiem, w miejscu, gdzie chcą ją zmienić w przerabiającego faktury robota. Przygniatała ją świadomość, że nic tu nie będzie w stanie zmienić, tej biurokracji, tych reguł. Nie będzie mogła nawet wyrzucić uschniętych roślin doniczkowych bez instruktażu na temat higieny i bezpieczeństwa... Poczuła, że nie wytrzyma już ani jednego dnia, kiedy rano trzeba będzie podnieść rękę do klawiszy z kodem wejściowym. Ani jednego dnia.

– Nie mogę – usłyszała własny głos.

– Czego nie możesz? Przyznać się? Muszę powiedzieć, Annie...

– Nie. Znieść tego wszystkiego. Jeff... Sharon... Dlaczego my to robimy dzień w dzień? Przychodzimy do tego koszmarne biura... mam nadzieję, że u siebie w domu macie lepiej niż tutaj? Nie śmierdzi starym jedzeniem, nie ma kurzu na biurkach niesprzątanym od czterech lat? Na pewno nie. A jednak większość czasu spędzamy tutaj – więcej, niż nam się za to płaci – i nawet nie lubimy ludzi, z którymi przyszło nam pracować.

Jeff otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale nic nie powiedział. Annie mówiła dalej.

– Jaki to ma sens? Dlaczego codziennie jeździmy tam i z powrotem zapchanym pociągiem, gdzie wszyscy są źli i nieszczęśliwi, i cały dzień siedzimy w jakimś niechlujnym miejscu i jemy podeschnięte kanapki, i pijemy gorące kubki, i ignorujemy się nawzajem, i dostajemy rwy kulszowej, a potem idziemy do domu i siadamy, żeby oglądać programy o gotowaniu, o tańcach i o innych ludziach oglądających telewizję?

– Nie wszyscy śpimy na pieniądzach – parsknęła Sharon. – Niektórym potrzebna jest gotówka.

– Prawda, nie śpimy na pieniądzach. Ale dlaczego mieszkamy tutaj, w Londynie, gdzie pracujemy tylko na to, żeby mieć za co jeździć do pracy i płacić czynsz za koszmarne, zawilgocone mieszkanie na dziesiątym piętrze? Chyba możemy zrobić coś innego ze swoim życiem? Ty, Jeff. Wiem, że masz marzenia: chcesz być ważną figurą w samorządzie lokalnym. Porządnie zarabiać. Przeprowadzić się do Surrey. Oświadczyć się którejś z kobiet w twoim klubie fitness, co ma opaleniznę ze sprayu i powiększony operacyjnie biust. Posłać dzieci do prywatnej szkoły, żeby miały to, czego ty nigdy nie miałeś.

Rozdziawił usta.

– Skąd ty...?

– Ale czy warto? Czy warto zmarnować trzecią dekadę życia, udając, że troszczysz się o grafik posiłków i sposób korzystania z kserokopiarki, i o to, kto podstempluje jakiś papierek? Tylko po to, żeby kiedyś dostać niezłą emeryturę?

– Annie! Muszę cię poprosić, żebyś przestała, to jest bardzo nieprofesjonalne.

– Wiem. Wiem, że jest. Ale wciągnięcie mnie w ten cały bajzel jest jak najbardziej profesjonalne. – Annie miała wrażenie, że spada, ześlizguje się, tak jakby dopadła ją grawitacja i już nie mogła się zatrzymać, choćby chciała. Łęki osaczały ją z wrzaskiem. Skąd weźmie na czynsz? Jak zdoła zapewnić opiekę matce? Za co kupi sobie choćby zwykłą czekoladę? Ale jak powiedziała Polly, kiedy człowiek umiera, umysł się koncentruje. Ona też umierała. Może nie stanie się to za sto dni, jasne, ale kiedyś na pewno. I w tym kontekście – czuła, że spędzenie w tym biurze choćby jednej godziny dłużej to o jedną godzinę za wiele.

– Rezygnuję – usłyszała swój głos. – Nie mogę tu dłużej pracować. Przykro

mi. To nie twoja wina. Hm, może trochę wina Sharon, ale domyślam się, że ona nie potrafi się powstrzymać.

Sharon opadła szczęka.

– Ty bezczelna małpo!

Jeff mocno zamrugał, próbując zachować właściwą postawę.

– Annie, to jest cały proces, jest okres wypowiedzenia i...

– Wiem. Ale jeśli, na przykład, w tej chwili sobie stąd pójdę, czy coś na to poradzisz?

– Ale... referencje... twoja ostatnia wypłata...

– Nic mnie to nie obchodzi. – Jeśli miała spalić sobie życie do fundamentów, dlaczego nie nasaczyć go benzyną? – Więc... powstrzymasz mnie? Jeśli dosłownie w tej chwili wyjdę?

– Nie, ale żeby tak odejść! Normalnie dajemy laurkę, robimy zbiórkę pieniędzy...

– To miłe, Jeff. Ale nie dam rady przez to przejść i udawać, że wszyscy się kochamy, a ty będziesz za mną tęsknił. Muszę zacząć żyć bardziej uczciwie. Więc... cześć.

– Ale... ale...

Annie wstała.

– A tak przy okazji, pamiętasz te redukcje, o których nam bez przerwy przypominasz? Żeby nikt się nie wychylał i żeby zamknąć nam buzie? Może dasz mi prezent pożegnalny? Aha, i chyba byś zwariował, gdybyś pozwolił odejść Fee. Ona jedna tutaj coś robi.

I wyszła. Wzrok jej się mącił, nogi miała jak z waty. O Boże. O Boże! Musi pogadać z Polly... Polly powie, że to super.

Nikt nie podniósł wzroku znad biurka. Wszyscy garbili się przed monitorami, grali w Candy Crush albo przewijali Facebooka. Annie wzięła torbę, płaszcz i wyłączyła komputer. Po raz ostatni się rozejrzała – uschnięta juka w doniczce, tacka z fakturami maźnięta atramentem, kurz wrosły w klawiaturę. Metr kwadratowy ziemi, na którym w ciągu ostatnich czterech lat spędzała znaczną część życia. Ręce się jej trzęsły. Wzięła błyszczące długopisy, hiacynta w doniczce i eleganckie torebki z herbatą, które dostała od Polly. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć – „Cześć wszystkim, mam nadzieję, że jesteście szczęśliwi, mam nadzieję, że też się stąd zabierzecie, no, chyba że się wam tu podoba” – po czym je zamknęła. Bez słowa ruszyła do wyjścia i zatrzasnęła za sobą drzwi po raz ostatni.

– Okej, okej, przestań wznosić te okrzyki. Tak czy siak mnie wywalili. – Annie odsunęła komórkę od ucha.

– Wcale cię nie wywalili – zaprotestowała Polly. – Pokazałaś facetowi język. Wyrwałaś się na wolność! Annie, co za wspaniała wiadomość!

– Naprawdę? Ile razy pomyślę o czynszu, chce mi się rzygać.

– Czynsz! Bez jaj. Coś sobie znajdziesz. Masz jakieś oszczędności, prawda?
– Troszeczkę. – Zawsze coś tam się odłoży, kiedy człowiek nigdzie nie chodzi ani nie kupuje sobie nic ładnego.

– Teraz możesz robić, co chcesz. Łowić księżyc. Nawet jeśli ci się nie uda, to i tak znajdziesz się wśród gwiazd.

– Przecież wiesz, że gwiazdy są miliony kilometrów dalej niż księżyc. To powiedzenie nie ma sensu.

– Mniejsza o to. Nie martw się o pracę. Teraz potrzebny ci jest czas, żeby to wszystko przemyśleć. Ogarnąć. Zrelaksować się.

– Ekhm, ekhm – chrząknęła Annie podejrzliwie. – Jaki plan macie tym razem?

– Szkocja – oznajmiła radośnie Polly. – Annie, wyobraź to sobie! Pasące się na zboczach stada. Majestatyczne szczyty pokryte śniegiem. Kapka whisky pod lokalne małże...

– Pracujesz dla agencji turystycznej czy co?

– Wszyscy jedziemy. Lekarze powiedzieli, że polepszyło mi się na tyle, że można mnie teraz wypisać i zrobić przerwę w chemii, a ja nie mam zamiaru spędzić choćby dnia dłużej w Lewisham. Ty, ja, George, Costas i doktor Zręda. Zatrzymamy się na farmie jego mamy w Highlandach.

– Ale tam będzie zimno! Nie moglibyśmy się wybrać, bo ja wiem, na Barbados?

– Próbowałam. Powiedział, że nie wolno mi latać, nudziarz jeden, i że nie mogę się zanadto oddalić od naszej kochanej służby zdrowia. Ale i tak będzie fajnie. Tam można robić kupę fajnych rzeczy, można siedzieć przy ognisku z bierwion... Będzie wspaniale! Może nawet zobaczymy zorzę polarną? Zawsze chciałam, ale nigdy mi się nie udawało. Nawet jak pojechałam do Norwegii czy na Islandię – zero zorzy. Tym razem się na pewno uda!

Jakby *aurora borealis* we własnej osobie miała się pojawić na jej skinienie! Cóż, przecież ze wszystkim tak było.

– Hm, w porządku. Mój kalendarz zrobił się nagle zupełnie pusty.

– Świetnie! Powiem Zrędzie. Zawiezie nas autem.

Annie miała krótką wizję: płonie ognisko, ona siedzi na futrzanym pledzie, a obok niej doktor Max, z whisky w ręku, w kilcie i...

Nie, Boże jedyny, o czym ona myśli? Przecież nie może się durzyć w jakimś niechlujnie ubranym, zrzedzającym lekarzu, zwłaszcza że trzyma w tych swoich wielkich owłosionych dłoniach życie jej przyjaciółki.

– Aha, i zapakuj trochę ciepłych rzeczy – dodała Polly. – Umiesz jeździć na nartach, prawda?

Dzień 51

ZAPLANUJ WAKACJE

Mamo, mam trochę nowych wiadomości.

Matka poruszała niespokojnie dłońmi na podołku.

– O co chodzi? Jesteś dentystką, kochana?

– Nie, nie jestem... Bolać cię zęby, mamo?

Matka wpatrywała się w przestrzeń gdzieś nad prawym ramieniem Annie.

– To wszystko przez toffi. Sally zawsze je lubiła, ale wyrzywały jej zęby!

– Okej, mamo, ale posłuchaj przez chwilę, dobrze? Wyjeżdżam na parę dni, ale niedługo wrócę. Jadę tylko do Szkocji.

– O, to będziesz mogła pozdrowić Andrew.

Annie zmarszczyła brwi.

– Andrew? Mamo, o co ci chodzi? – Dlaczego nagle zaczęła w kółko o nim mówić? Kiedy Annie podrasła, ojciec był niemal tematem tabu. Wspominano go tylko jako odpowiedź na pytanie, dlaczego Annie nie może pójść na uniwersytet albo pojechać na szkolną wycieczkę narciarską. „Nie śpimy na pieniądzach. Nie stać nas na ptasie mleko”. – Mamo, zrozumiałaś, co powiedziałam?

– Oczywiście – odparła ze złością. – Jedziesz na wakacje.

Matka zawsze wpadała, kiedy wyjeżdżali z Mikiem na urlop. Podlewała rośliny, odbierała pocztę i wtykała nos do szafek. Za każdym razem, kiedy wracali, każda sztuka porcelany była umyta w sodzie oczyszczonej. To było irytujące – Mike zawsze przewracał oczami – ale przynajmniej ktoś o nią dbał. Teraz nie była pewna, czy matka w ogóle zauważy jej nieobecność.

– Zgadza się. Wiesz, wyrzucili mnie z pracy. No dobrze, to ja zrezygnowałam.

– Z pracy? – Popatrzyła na Annie wodnistymi błękitnymi oczyma.

– Przykro mi, mamo. Obiecuję ci, że wszystko będzie w porządku. Po prostu nie mogłam tam wytrzymać ani chwili dłużej.

– Bardzo słusznie. Dlaczego taka młoda dziewczyna jak ty miałaby pracować? Powinnaś być w domu i zajmować się dziećmi.

Annie spojrzała na jej rękę.

– Mamo, czy ty się dobrze czujesz? Wyglądasz na roztrzęsioną.

– Och, żałuję, że nie przyniosłam robótki do dziergania. U tego dentysty kolejka jest taka długa... Wydaje mi się, że czekam już od tygodni!

Odkąd rozpoznano u niej demencję, nie robiła już na drutach, ale wcześniej była ekspertką. Potrafiła dziergać skomplikowane wzory, skarpety, czapki, swetry, wszystko.

– Mogę ci przynieść trochę wełny, jeśli lekarze powiedzą, że możesz mieć

druty do robótek.

Podszedł do nich doktor Quarani.

– Dzień dobry, panie doktorze. Właśnie próbuję mamie powiedzieć, że wyjeżdżam.

– Słyszałem. – Zazaczył coś na karcie. – Doktor Fraser też. To jego pierwszy urlop od pięciu lat. Proszę się nie martwić, pani Hebden. Będę dbał o pani matkę. Nic jej się nie stanie, jeśli przez kilka dni pani nie będzie.

Zwłaszcza że i tak nie ma pojęcia, kim ona jest... Czasem nawet nie pamiętała, że w ogóle ma córkę. Czasem myślała, że Annie ma pięć lat albo osiemnaście...

– Dziękuję, panie doktorze. Doceniam to.

A on – kiedy ostatnio miał urlop? Zawsze był taki opanowany, z dystansem... Trudno było sobie wyobrazić, że w ogóle ma jakieś inne życie.

Dzień 52

KUP SOBIE NOWE CIUCHY

Nie ma mowy – powiedziała stanowczo Polly.

– Ale mnie się podoba! – Annie przyciskała obronnie do piersi bluzę z kapturem. Nosila ją od siedemnastego roku życia.

– Są nastolatki młodsze od tej bluzy. Na litość boską, spraw sobie coś nowego! I nie mów, że cię nie stać, bo od dwa tysiące trzeciego roku nie kupiłaś sobie żadnego ciucha.

Annie zmarszczyła brwi.

– Nie znoszę zakupów. Te przebieralnie zawsze są takie malutkie, a oświetlenie marne i nic na mnie nie pasuje. A zresztą teraz jestem bezrobotna. Muszę oszczędzać każdego pensa. – Polly zostało pewnie raptem parę miesięcy, ale ona będzie musiała sobie jakoś radzić przez całe życie, no i opiekować się matką. Kiedy o tym myślała, czuła się tak, jakby znowu znalazła się w kolejce górskiej.

Polly siedziała na łóżku Annie w miękkim słomianym kapeluszu na głowie.

– Annie – westchnęła – chciałabym, żebyś mnie dobrze rozumiała. Nie mówię, żebyś przepuściła wszystkie pieniądze. Tylko że niektóre twoje ubrania okres świetności mają za sobą. Może ich wymiana dałaby ci jakieś doładowanie? – Popatrzyła wymownie na rozciągnięty czarny top Annie, marszczący się luźno wokół szyi. – Zresztą czy nie będą ci potrzebne jakieś nowe rzeczy na rozmowy kwalifikacyjne?

Rozmowy... Prawda. Annie niechętnie pokiwała głową.

– Chyba tak.

– I słuchaj, skoro czujesz się winna, że wydajesz na siebie pieniądze, kup też komuś prezent. Ja zawsze tak robię. Doprowadzałam tym Toma do szału. Miał więcej skarpetek niż stonoga na zimę. Tak czy owak – wskazała głową kątem – obawiam się, że ta bluza jest nie do uratowania.

Annie zerwała się i wyrwała bluzę Busterowi, któremu jakoś udało się zakraść do pokoju. W minutę zdążył zżuć jej kieszeń.

– Niedobry pies! Nie pożeraj mi ubrań!

– Nie, to wcale nie jest niedobry pies, to dobry piesek, bardzo doobry. – Polly podniosła szczeniaka, przemawiała do niego czule, całowała. – Nie słuchaj tej wstrętnej Annie, wcale nie jesteś niedobrym psem. – Buster zakaszlał i wypluł kawałek materiału.

– Łatwo ci mówić, Polly. Tobie nie zjadł wszystkich butów, prawda?

– Jeszcze jeden powód, żeby kupić nowe. – Polly uśmiechnęła się triumfalnie.

– Niech ci będzie. Ale to o łażeniu po sklepach mówiłam na poważnie.

Polly umieściła Bustera na łóżku – Annie próbowała nie krzywić się na myśl o psiej sierści na jej ślicznej nowej pościeli – i wyciągnęła chudą rękę.

– Daj mi laptop.

– Po co?

– Daj i już.

Annie poddała się i podała jej zakurzony sprzęt. Polly skrzywiła się.

– O akcesoriach porozmawiamy później. Na razie pozwól, że zapoznam cię z rozkoszami dostawy na następny dzień.

Dzień 53

DAJ KOMUŚ PREZENT

No więc kupowałam to i owo dla siebie i pomyślałam... Pasuje?

Na widok kurtki, którą kupiła dla niego w sieci, Jonny'emu odjęło mowę. Z ciepłą podszewką, wodoodporna, wyglądała na ciuch, który przyda się komuś, kto spędza życie na świeżym powietrzu.

– Jest okej? – Zrobiło jej się głupio. Czy to nie protekcjonalność? Może wolałby raczej pieniądze?

Jonny zrobił jakiś nagły ruch i zrozumiała, że płacze.

– Bardzo przepraszam! – zawołała. – Po prostu zauważyłam, że ma pan dziurawą kurtkę i...

– Od dwóch lat nie miałem nic nowego – wyjąkał z trudem. – Aż pachnie nowością... Nie jak z wyprzedaży dobroczynnej albo po starych, albo cuchnące stęchlizną. – Zerwał z siebie noszony dotąd łachman – Annie bardzo się starała, żeby nie zmarszczyć nosa, tak zaśmierdziało – i zapiął nową kurtkę.

– Jak wygląda?

Niebieski materiał tylko podkreślał bladość jego chudej twarzy, mimo to powiedziała:

– Świetnie. Pasuje panu.

– Dziękuję, yyy...

– Annie. Mam na imię Annie.

– Jonny.

– Tak, wiem.

– Dziękuję, Annie.

– Drobiazg. Doprawdy, nic takiego.

W porównaniu z tym, co ona miała, to naprawdę było nic takiego. Straciła pracę, ale nadal daleko jej było do życia na ulicy. Nadal miała przyjaciół. Matkę. Polly.

– Jonny... teraz wyjeżdżam na kilka dni, ale gdyby pan czegoś potrzebował, to da mi pan znać, dobrze? Wiem, że potrzeba panu... wielu rzeczy, jestem pewna, ale...

Pomachał jej, daleki od zażenowania.

– Dam znać. Miłej zabawy, Annie.

Dzień 54

POJEDŹ DOKĄDŚ

Absolutnie, kategorycznie nie ma mowy.

– Ale dlaczego? – zajęczała Polly.

– Bo to mój samochód. Nie puścimy ABBY. Zabraniam.

Polly, która oczywiście siedziała z przodu, odwróciła się do pozostałych. Annie, Costas i George ścisnęli się z tyłu renaulta doktora Maksa, obłożeni rzeczami Polly. Polly podniosła brew pod adresem Annie: ty go poproś.

Annie pokręciła głową.

– No to jaką muzykę lubisz? – spytała go.

Polly pokazała, że wkłada palce w gardło.

– Stary dobry rock. Clapton, Fleetwood Mac. I oczywiście jazz.

George jęknął.

– Boże święty, tylko nie jazz. Może jakieś musicale? Mam na Spotify ścieżkę dźwiękową *Miss Saigon*.

– A może disco? – zapytał Costas trochę niewyraźnie, bo przywalony był kurtką narciarską Polly. – Donna Summer! Frankie Goes to Hollywood! – Buster u jego stóp pisnął na znak, że się zgadza. Max niechętnie zgodził się go zabrać, jeśli będzie siedział na gazecie. „Jakby trochę siusiek szczeniaka mogło samochodowi zaszkodzić” – zauważyła Polly.

George poczochnął Costasowi włosy.

– To takie staromodne. Jesteś słodki.

– Żadnych musicali – oświadczył stanowczo doktor Max. – Wybacz, George. Musiałbym dosłownie zrobić sobie lobotomię, gdybym przez najbliższe dziesięć godzin miał słuchać musicali. – Popatrzył w lusterku na Annie. – Może ty coś wybierzesz? Masz po kolei w głowie.

– Hm... – Annie bardzo się starała, żeby nie spojrzeć na Polly. – Szczerze mówiąc, też uwielbiam ABBĘ.

– Super, zostałem przegłosowany. – Westchnął i dźgnął palcem stereo, z którego zaczęło się wydobywać *Dancing Queen*. Po chwili wszyscy – nawet Max – śpiewali do wtóru, łącząc głosy w cudownej, wznoszącej się melodii, która każdego musiała chwycić za serce. Annie podniosła wzrok i zobaczyła, że Polly ma zamknięte oczy, a na jej ustach pojawił się błogi uśmiech.

Dzień 55

POKONAJ STRACH

Annie patrzyła na procesję narciarzy sunących powoli pod górę na swego rodzaju ruchomym chodniku. Doktor Max nazywał go magicznym dywanem, ale to wcale nie miało w sobie nic z baśni, skrzypiało i trzeszczało w silnie zacinającym śniegu, od którego już zdrętwiała jej twarz. Całkiem jakby wróciła od dentysty.

– To strasznie wysoko. – Powinna była z góry wiedzieć, że ten wyjazd będzie się wiązał z różnymi przerażającymi wyczynami... Cholerna Polly!

– Nie, nie tak bardzo. Nie więcej niż trzydzieści metrów. – Teraz, gdy przekroczyli granicę, jego szkocki akcent był tym wyraźniejszy i mówił weselszym, mniej ponurym tonem. Wyposażył się w praktyczny czarny kombinezon narciarski i był w nim smukły jak wydra. Annie, która oczywiście nie miała żadnego narciarskiego ubrania, głupio się czuła w zwykłych turystycznych spodniach i cienkiej przeciwdeszczowej kurtce. Włożyła ją na tyle swetrów, że jeśli, nie daj Boże, upadnie, to na pewno stoczy się po stoku jak kula. A to przecież jak najbardziej możliwe... Przesząpiła niezdarnie z nogi na nogę, ciężkie narty trzymały się stóp niczym szpony hobbita.

– No nie wiem... Robiłam to dotąd tylko raz, na szkolnej wycieczce, w hali, w Milton Keynes. Jak sądzisz, co ona powie, jakbym się stąd zmyła?

Wcześniej Polly wyklócała się zajądło z Maksem, czy może jeździć na nartach. On twierdził, że jest za zimno, a jej kości są tak słabe, że upadek może ją wykończyć, ale Polly była nieugięta. Nie miała zamiaru umierać bez ostatniego w życiu zjazdu na nartach. Nigdy w życiu nie upadła, będzie się trzymać łagodnych zboczy i robić mnóstwo przerw na gorącą czekoladę. Wygrała oczywiście ona. I oto już sunęła eleganckimi zakosami po oślej łączce, z zaróżowionymi policzkami i w różowym kombinezonie narciarskim, a te blond włosy, które jej zostały, obciskała śliczna czapeczka z pomponem. Wyglądała jak jedna z tych popularnych w szkole dziewczyn, tych bogatych, które na ferie zimowe jeździły w Alpy, a Annie tymczasem siedziała z mamą w domu i oglądała filmy z Doris Day. Z tych, które nawet by się do niej nie odezwały, które wyśmiewały jej nijakie kamizelki i szyte w domu ubrania... A jednak teraz, dwadzieścia lat później, była tu, na zimowym stoku, jako bliska przyjaciółka Polly.

Obok ostro zahamował George, wzbijając tuman śnieżnego pyłu.

– Może by wypróbować tę czarną trasę, co ty na to, Max? – zawołał. Costas, który pochodził z bardziej słonecznych klimatów, oświadczył, że nawet nie będzie próbował. Cekał teraz z Busterem w kawiarni, popijając zaprawioną baileym gorącą czekoladę.

Max spojrzął na Annie, która nadal brnęła do wyciągu, potykając się jak

nowo narodzone źrebię.

– Na razie zostaję tutaj. Polly też już wystarczy! Złamana noga nie przysporzy jej zbyt wielu szczęśliwych dni.

Polly, która właśnie ich mijiała, zjeżdżając kolejny raz, pokazała mu język. Annie wciąż jeszcze nie była na górze. Stała, zmarznięta, na dolnej stacji wyciągu, blokując kolejkę.

– Przepraszam.

Odsunęła się, żeby przepuścić kolejną osobę.

– O Boże, to dziecko ma nie więcej niż cztery lata!

– Tak, rodzice wcześniej wysyłają dzieciaki na stok.

Jaka ona byłaby w tym dobra, gdyby i z nią rodzice wyjeżdżali na narty! A tak zaczynała dopiero teraz... Czowała się jak niezdarne dorosłe niemowlę. Kurczę, to nie w porządku.

– Nie musisz tego robić – rzekł Max, patrząc tęsknie na wysokie stoki, gładkie i białe jak hotelowe prześcieradła. – Polly zrozumie.

– Wcale nie czuję się dzięki temu szczęśliwsza. Boję się jak cholera.

Przesunął własne narty. Zaplątały się w jej, jak stopy splecione rano w łóżku.

– Ze szczęściem, Annie, jest tak, że czasem polega na kontraście. Gorąca kąpiel w zimny dzień. Chłodny napój w upał. To uczucie, kiedy samochód ślizga się na lodzie przez sekundę, a potem wszystko wraca do normy... Trudno coś docenić, jeśli się nie wie, jak jest bez tego.

Annie spojrzała w górę stoku. Wydawał się jej strasznie wysoki, a przecież zjeżdżały z niego maleńkie szkraby na szeroko rozstawionych, krzepkich nóżkach. Odsunęła włosy z twarzy, gogle zaszyły parą na chłodzie.

– Nie chciałbyś wypróbować trudniejszych tras? – zapytała z nadzieją. Gdyby ją zostawił, mogłaby się wymknąć do baru.

– Ach, nie, mogę tam pójść w każdej chwili. Mam czas.

Ale Polly go nie miała. To była najprawdopodobniej jej ostatnia szansa na ostry zjazd. Na to, by poczuć wdzierające się w płuca zimne, czyste powietrze, by usłyszeć rześki chrzęst śniegu pod deskami... A ona, Annie, będzie mogła to robić do końca życia – a stoi tu, przerażona perspektywą zjazdu z oślej łączki?

– Pomożesz mi się wpiąć do wyciągu? – zapytała.

Przywarła do niego, jakby od tego zależało jej życie. Jego dłoniom, cennym dłoniom chirurga groziło chyba, że odpadną... Zeskoczyła niezgrabnie z wyciągu i pobrnęła jak pijana żyrafa, a on cały czas przemawiał do niej uspokajająco:

– O to chodzi. Bardzo ładnie. No to dawaj.

Annie poczuła, że grunt pod nią ślizga się i umyka. Ścisnęła uda z całej siły i zaryła w śnieg.

– O Boże. O Boże!

– Annie? – wydyszał. – Mogę ci coś poradzić? Nie wbijaj się tak mocno, bo

nie ruszysz z miejsca. Jasne?

Przez chwilę myślała, że mówi o życiu, że daje jej inspirującą poradę w stylu Polly. Wreszcie zrozumiała. Ustawiała narty równolegle i poczuła, że ziemia spod niej umyka.

– Stój. Nie jedź!

Pojechała. Ześlizgiwała się – leciała – dopadła ją grawitacja i niosła w dół zbocza, coraz dalej od niego.

– Pług! Pług! – ryczał.

Annie próbowała ustawić nogi w kształt odwróconej litery V, tak jak jej pokazywał. Ale zabrakło jej siły. Zdała sobie sprawę, że za chwilę się przewróci, wymachując niezdarnie kończynami, absolutnie, na sto procent! On już śmigał za nią czarną, rozmywającą się plamą, już był przy niej.

– Pług! Skręć w lewo! W lewo!

Annie przeniosła ciężar ciała na prawą nogę i fakt – skręciła. Ale wprost na niego. Przez moment jego usta ułożyły się w komiczne „o” zaskoczenia i już zwała się na niego całym ciężarem.

– Uuuf!

Leżeli bez tchu na śniegu. Obok śmigały, mijając ich, kilkuletnie szkraby.

– Boże, przepraszam. Wszystko dobrze? Jak twoje ręce?

Leżał pod nią, walcząc o oddech.

– Spokojnie... w porządku.

– Bardzo cię przepraszam. Idiotka ze mnie.

– Ach, Annie. Każdy się przewraca. Tak się człowiek uczy. Możesz wstać?

W tej chwili nadjechała Polly i zobaczyła ich, nadal splątanych na śniegu. Zgrabnie zahamowała.

– Kurczę. Wiecie co, może jedźcie do schroniska?

Annie zaczerwieniła się. Do wstydu, strachu, skrępowania doszło dziwne poczucie winy. Doktor Max z trudem postawił ją na nogach.

– No widzisz. Jechałaś na nartach!

– E tam... upadłam.

– Nie przejmuj się. Na tym polega narciarstwo – jeździ się między jednym a drugim upadkiem. Po prostu po upadku trzeba się podnieść.

– Jak w życiu – powiedziała Annie drżącym głosem. – Tyle że sama nie dałam rady wstać.

– Cóż, w narciarstwie, jak w życiu, czasem ktoś musi nam pomóc. Chodź tutaj. – Otrzeptał jej plecy ze śniegu. – Gotowa do dalszej jazdy?

Spojrzała w dół stoku. Upadek już zaliczyła, więc co złego może się jeszcze stać? W końcu inni też się przewracają, i to wcale nie znaczy, że jest niezdarna, głupia czy niepotrzebna. To znaczy tylko tyle, że... się uczy.

– Pokaż mi, co robię nie tak – powiedziała, wbijając stanowczo kijki w

śnieg.

Dzień 56

OGŁĄDAJ CUDA NATURY

Widzę! Widzę! To na pewno był ogon!

Wszyscy rzucili się na jedną stronę łódki, aż niebezpiecznie zachybotała na wodzie. Annie wparła się w drugą burtę.

Max miał na sobie niebieską kurtkę North Face, teraz pokrytą drobnymi ciemnymi plamkami – padało. Krople osiadły mu na czapeczce i brodzie, której pozwolił wyrosnąć tu, daleko od szpitala. Już robiła wrażenie. To nie był zarost popołudniowy ani poranny.

– Widziałas?

Pokręciła głową.

– Próbowałam nie wypaść.

– Masz. – Podał jej lornetkę, ciężką i zimną.

Popatrzyła przez nią, ale morze było po prostu szarą, niewyraźną plamą.

– Nic nie widzę.

– Pozwól, że ci pokażę. – Nachylił się nad nią. Wstrzymała oddech. – O tam – usłyszała wprost w uchu jego głos. – Bardziej na lewo. Widzisz, jak trzepie tym tycim ogonkiem? To wieloryb przewodnik.

Annie popatrzyła. Nic nie widziała. Tylko szarość, szarość, szarość. I wtem...

– Widzę! – Ruch był tak szybki, że można go było przeoczyć, coś jak błysk pożądania w trzewiach. – A tam... o mój Boże! – Trzy delfiny wynurzyły się z morza i znów się skryły, rozbryzgując strugi wody. Ależ to było szybkie!

Roześmiał się na widok jej zaskoczonej twarzy.

– Bawią się z wielorybami, małe gałgany.

– Dlaczego one tak skaczą?

Odebrał jej lornetkę i okręcił rzemień wokół silnych nadgarstków.

– Po prostu dla zabawy. Ze szczęścia, można by powiedzieć.

– Skaczą z radości – powtórzyła, nie odrywając wzroku od wody.

– A jakże. Chociaż nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie tak chętnie z nimi pływają. To musi być straszne dla tych stworzeń. To inteligentne istoty.

Annie tak energicznie pokiwała głową, że mało nie spadła jej czapka.

– Całkowicie się z tym zgadzam.

– O Boże. Dlaczego wszyscy wyglądacie na takich szczęśliwych? O Boże... To potworne. – George, z szarą jak popiół twarzą, przeszedł, słaniając się, obok nich i wyrzygał się głośno za burtę. Jego pomarańczowa kamizelka ratunkowa fatalnie razila na tle szarej twarzy.

– Ci londyńczycy... – Max pokręcił głową. – Szczury lądowe.

– Ja czuję się świetnie – pośpieszyła Annie, wygodnie zapominając, że samo podejście w pobliże łodzi zajęło jej pół godziny.

– Cóż, może jesteś wyjątkowa – rzucił od niechcienia i podszedł do Polly, która siedziała na leżaku zawinięta w płaszcze i koce. – Nie możesz teraz się przeziębicić, słyszysz? To mogłaby być dla ciebie katastrofa.

Boże, jak jej się podobał sposób, w jaki to powiedział... „Katttasstroooofa”.

Popatrzyła na morze. Znowu dostrzegła delfiny i nieco wolniejsze machnięcie wielorybiego ogona. Szara, sfalowana powierzchnia nie wskazywała, że coś tam w ogóle jest, ale morze pod nimi kipiało życiem, a delfiny tak się z tego cieszyły, że nie były w stanie wytrzymać bez skoku ani sekundy dłużej.

Dzień 57

ZJEDZ COŚ INNEGO

Czym nadziany jest ten haggis? – Costas gapił się na talerz, trącąc widelcem leżącą na nim masę. Z tą półprzezroczystą skórką przypominała guz czy coś takiego, myślała Annie.

– To po prostu jagnięcina – wyjaśnił Max. Żaroodporną rękawicą wyjął z pieca kolejną porcję i położył ją na talerzu Annie. Buster węszył pod stołem, przywabiony wspaniałym zapachem mięsa. – W Grecji jecie mnóstwo jagnięciny, prawda?

– Nie słuchaj go, Costas – skrzywił się George. – To żołądek owcy.

– Żołądek? – Costas zrobił wielkie oczy. – To może zjem tylko te ziemniaki.

– Haggis, neeps i tatties – powiedział Max. – Haggis z rzepą i ziemniakami. Narodowe szkockie danie. Spróbuj odrobinę, zobaczysz, że polubisz.

Polly już skończyła te parę kawałeczków, które była w stanie przełknąć.

– Ja tam wszystko zjem. Życie jest za krótkie, żeby zadzierać nosa.

– Kiedyś zjadłem żywą larwę – powiedział radośnie Max. Właściwie, pomyślała Annie, to był radosny przez cały czas ich pobytu w Szkocji. Może to Londyn robił z niego zrzedę. – Byłem na rocznym stażu w Brazylii. Smakowała jak kokos.

– Blee. – George udał, że rzyga. – Naprawdę cię lubię, doktorze, ale czy gdzieś tu w pobliżu jest pizza z dostawą?

– Najbliższa osiemdziesiąt kilometrów stąd. Spróbuj i już. Annie? – Podniósł sosjerkę z sosem na bazie whisky. Nosił kwiecisty fartuch matki, a włosy, na skutek bijącego z kuchni żaru, miał rozczochrane jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

– Nie wiedziałam, że umiesz gotować. – Podesunęła talerz. Może sos zabije smak owczego żołądka... – Myślałam, że odżywasz się wyłącznie batonikami.

– Ależ tak, bardzo wielu chirurgów gotuje. Rozumiesz, wprawne ręce.

Annie starannie unikała patrzenia na Polly.

– Chyba jesteś przyzwyczajony do patrzenia na wnętrza różnych ciał – mruknął George, dźgając nieufnie widelcem swój haggis.

Polly postukała w jego talerz.

– Zjadaj! Nie bądź grubiański.

Annie dźgnęła swoją porcję. Przyglądał się jej.

– Dalej. Słowo daję, to jest bardzo smaczne. Moje ulubione jedzenie.

Annie przecięła skórkę swojej porcji haggisu. Ze środka wytoczyła się jakaś czarna masa przypominająca ogrodowy kompost. Niepewnie podniosła na widelcu do ust małą porcję... Poczowała pełny, mięsny, korzenny smak.

– To jest naprawdę dobre!

– Mówiłem. Spróbuj z sosem na whisky. Użyłem do niego dziesięcioletniego lagavulina.

– To może mógłbym dostać jakąś grzanekę? – George był pełen żalości nad sobą.

Max ustąpił.

– To jest haggis wegetariański. Też bardzo smaczny. Nawet nie otarł się o żołądek. Przysięgam.

W końcu wszyscy zjedli, co mieli na talerzu, i napili się whisky, albo czystej, albo w koktajlu z limonką, a Max na ten widok kłął i mrucał pod nosem, że są zgrają ignorantów. Przyszła Edna, matka Maksa, maleńka dama z hełmem niebieskawych loków, żeby powiedzieć im dobranoc (sama kładła się spać o dziewiątej, codziennie bez wyjątku). Miała na sobie zapiętą pod szyję różową pikowaną podomkę, i nic dziwnego – poza kuchnią było bardzo zimno.

– No i jak, smakował wam haggis?

– Doskonały – powiedział George, uśmiechając się szeroko. Może jednak uda mu się zostać aktorem, pomyślała Annie. – Już się pani kładzie, pani F?

– Och tak, już bardzo późno jak na mnie. Łóżka macie już pościelone, do każdego włożyłam po butelce z gorącą wodą. Nie będzie wam przeszkadzało, chłopcy, że położycie się razem, prawda? – To ostatnie powiedziała do Costasa i George'a. Polly mrugnęła do Annie z naprzeciwnika.

– Nie musiała pani tego robić, pani F – rzekł uprzejmie George. – Nie chcemy pani sprawiać kłopotu.

– To absolutnie żaden kłopot – zapewniła pani Edna. – Kładźcie się i miłych snów. Maximilian nigdy dotąd nie przywoził tu żadnych znajomych. Serce mi rośnie, kiedy was tu wszystkich widzę.

– Wszyscy poszli? – spytał doktor Max. Właśnie skończyli z Annie zmywać, słuchając przy tym w miłej ciszy radia. Śpiewał do wtóru, kiedy szła piosenka, którą lubił: Eagles, Smokey Robinson, a nawet, o dziwo, ABBA.

– Nic nie mów – rzekł, kiedy słysząc to, uniosła brwi. – W końcu może nie są tacy źli.

Już po wszystkim przeszli do salonu. Buster zasnął przed kominkiem. Łapy mu drgały, kiedy gonił we śnie króliki.

– Polly chyba jest w łazience. – George i Costas powiedzieli coś o „wypatrywaniu zorzy polarnej” i zniknęli. Annie miała spać w salonie na kanapie. Zamierzała posiedzieć przy kominku z kieliszkiem whisky. Pomyślała, że może ją i polubi... Wszyscy wciąż gadali o smaku whisky, o ciepłe, jakie pozostawia i o torfiastym zapachu, który kojarzył jej się z wrzosem i strumieniami w wiosenny dzień.

Zaprosił ją gestem na sofę, na której usiadł.

– Tak będzie okej? Wiem, że w tej chwili jestem w twoim łóżku.

Miała nadzieję, że jej rumieniec będzie można wytłumaczyć żarem kominka.

– W porządku. Właśnie sobie popijam.

Przykucnął przy ogniu i szperał w nim pogrzebaczem, aż pomarańczowy żar buchnął płomieniem. Zapach torfu był taki sam jak w whisky, którą piła, ciepły i czysty, jak świeże powietrze i ziemia. Widziała czubek jego głowy; rozczochrane włosy zaczynały mu w tym miejscu trochę rzednąć. Pewnie wyłysieje na starość... Teraz, przed pięćdziesiątką, jeszcze nie. Ładnie się zestarzeje, będzie miał siwą brodę i... powstrzymała się przed dalszymi wyobrażeniami.

– Miło mi, że ci smakuje – powiedział. – To znaczy, nie tylko whisky, ale w ogóle Szkocja. Prawda?

– Oczywiście. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tu nie byłam. Tu jest tak pięknie!

– Tutaj zawsze moje myśli są klarowniejsze. W Londynie wszędzie jest głośno. Nie tylko na ulicy, ale także w moich myślach, w głowie. Tutaj mogę po prostu... się wyciszyć.

– Rozumiem. Więc... pozwól, że zapytam, dlaczego nie pracujesz tutaj?

Usiadł w kucki, zamieszał okrężnym ruchem whisky w swojej szklaneczce.

– Myślałem o tym. Oczywiście musiałyby to być wielkie miasto i jak dotąd nie znalazła się odpowiednia oferta. A poza tym tam, na południu, jest więcej nowatorstwa. Ale... owszem, myślałem o tym. I wiesz, pobylbym trochę więcej z mamą.

Annie wcale nie chciała, żeby przeprowadzał się do Szkocji.

– W Londynie jest za to więcej... teatrów i w ogóle.

– Jasne. – W zamyśleniu podrapał Bustera po brzuszku. – Kiedy ostatni raz byłaś w teatrze?

– Hm... pewnie jakieś sześć lat temu.

– Ja też. No więc dlaczego tam zostajemy?

– Tam jest moja mama. Tam się wychowałam. Praca... hm, tam była moja praca. Teraz – kto wie...

– Świat otwiera się przed tobą jak ostryga. Nie rozumiem tego wyrażenia. Ostrygi to nic ciekawego, prawda? Brejowate i obrzydliwe.

– Brejowaty i obrzydliwy. To dobre podsumowanie mojego świata. – Ale to się już skończyło, dotarło do Annie. W tej chwili znajdowała się w najpiękniejszej części kraju, na piętrze byli jej dobrzy przyjaciele, w brzuchu miała dobre jedzenie, a u jej stóp siedział dobry, nieporządny mężczyzna. Był tak blisko, że mogła wyciągnąć rękę i pogłaskać go po głowie.

– Annie?

– Hm?

– Zastanawiałaś się nad tym, co będzie... no wiesz, potem?

– Potem? – Z początku nie zrozumiała.

– Chodzi o Polly. Wiesz, ona nadal jest bardzo chora. To chyba... to chyba ostatni zryw, tak mi się wydaje. – Mówił bardzo cicho. – Co wtedy zrobisz?

Westchnęła.

– Nie mam pojęcia. Polly wrzuciła granat w moje życie. Muszę znaleźć nową pracę, jakieś miejsce dla mamy...

– To nie musi być Londyn?

– Nie, chyba nie. Dobrze byłoby znaleźć coś tańszego. Ale muszę też mieć jakąś pracę.

Podniósł szklankę do ust. Był zwrócony twarzą w bok, patrzył w ogień, a ona nagle zrozumiała, że za chwilę powie coś ważnego. Poczula narastające napięcie...

– Cóż, może...

– Nie przeszkadzam? – zawołała od drzwi Polly.

Z Annie uszło powietrze.

– Jasne, że nie. A wy już gotowi do łóżek?

Polly miała na sobie ciepłą piżamę w serduszka. Widać było, jak wychudła, jaka jest mizerna. Ale głowę nosiła wysoko, a oczy jej błyszczały.

– Jeszcze chwila. Max, mogę zamienić słowo z Annie?

– A. Jasne. Pójdę pozamykać furki. Zobaczę, dokąd poszli chłopcy.

Polly usiadła na jego miejscu i wyciągnęła nogi w stronę ognia. Wzięła jego szklankę i wysączyła ją do końca. Ten drobny, bardzo osobisty gest jakoś ubódł Annie.

– Fuj. Nie rozumiem, jak on to może pić.

– W czym rzecz?

– Dobra. Wiesz, że jutro jest nasz ostatni dzień tutaj?

– Przykro mi, ale dłużej nie mogę zostać. Wiem, wywalili mnie z pracy, ale jeszcze jest mama. Poza mną nie ma nikogo.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. – Polly podniosła pustą już szklankę i mrużąc oczy, popatrzyła na pozostawione przez whisky ślady. Max nazywał je z szkocka „nogi”. – A gdyby tak był ktoś inny?

– O co ci chodzi?

– Nie wściekaj się. – Polly uśmiechnęła się promiennie.

– Dobra, spróbuję. O co chodzi?

– Kiedyś powiedziałaś mi o swoim ojcu, że go w ogóle nie znałaś i tak dalej. Pomyślałam, że szkoda. Przecież teraz jakbyś już straciła mamę. Nie chciałam, żebyś została sama. Dlatego to zrobiłam. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

– Co zrobiłaś? – Annie wyprostowała się, spanikowana.

– Nic wielkiego. Szukałam tylko twojego taty – rzuciła od niechcenia Polly.

– Że... co? Polly! Dlaczego to zrobiłaś?

– Jak mówiłam, żebyś nie była sama. Słuchaj, Annie... było nam ze sobą

miło, prawda? Ale ja nie będę przy tobie wiecznie. I co się wtedy z tobą stanie? Wrócisz do mieszkania, do swojej biednej mamy, która cię nie poznaje? Będiesz śledzić online Mike'a i Jane i nigdy nie wychodzić na miasto? Nie chcę, żeby tak było.

– Ja... – Annie odebrało mowę. – Nie jestem dzieckiem, Poll. Potrafię się sobą zająć.

– Potrafisz? Niespecjalnie ci z tym szło, zanim się poznałyśmy.

Ona umiera, ona umiera. Annie zmobilizowała całą swoją cierpliwość.

– A więc... szukałaś mojego taty. I... znalazłaś go?

– A jakże. Nietrudno znaleźć człowieka w spisie wyborców. Właściwie to mieszka niedaleko stąd. Hm, według szkockich miar odległości. – A więc o to chodziło matce, kiedy wspominała o spotkaniu z Andrew... On tu mieszka. Ale... skąd matka o tym wiedziała? Annie poczuła, że puls jej przyśpiesza. – Więc pomyślałam – mówiła dalej Polly – że jutro Max mógłby cię tam zawieźć, a my w tym czasie przespacerowalibyśmy się po mieście. Odwiedzilibyśmy destylarnię i tak dalej. – Nadal promieniała.

– Tak po prostu. – Czyli dostała od niej ojca, którego nigdy nie oglądała na oczy. I nawet nie pomyślała, żeby go szukać.

– Owszem, tak po prostu. Załatwię to z Makssem. Na pewno się zgodzi.

– Na pewno. – Bo w tej sytuacji jedynym problemem był transport.

Polly zmarszczyła brwi.

– O co chodzi? Nie cieszysz się?

Jak jej to powiedzieć? Owszem, mogła jej zmienić wygląd zewnętrzny, mogła ją zmuszać do ciągłych nieobecności w pracy, aż wpadła w kłopoty, mogła ją nakłaniać do uczestnictwa w dziwacznych tańcach czy do przejażdżki kolejką górską. Ale wtrącać się w sprawy rodzinne, tak jakby Annie sama nie potrafiła go odnaleźć?

– Polly – zaczęła. Słyszała, że głos jej drży.

Wtem trzasnęły drzwi i weszli Costas z George'em, wnosząc ze sobą zimowy chłód. Czapki i kurtki mieli przysypane śniegiem.

– Widzieliśmy mnóstwo gwiazd! – zawołał radośnie Costas. – Kasjopeję, Plejady... nazwy wzięte z greki!

– Zgadza się – potwierdził George, też uśmiechnięty od ucha do ucha. – Nie mam najmniejszego pojęcia o gwiazdach, ale kurczę, na dworze jest fantastycznie. Sorki, Poll, ale zorzy polarnej nie było. Co się z wami dzieje, dziewczyny?

Dzień 58

ODNAJDŹ WŁASNE KORZENIE

Dlaczego się zatrzymałeś? – zapytała nerwowo.

Silnik zamilknął, a Radio 2 gwałtownie ucichło.

– Bo... – powiedział Max – ...jesteśmy na miejscu.

Ogarnęła ją panika.

– Jesteś pewien? Nawigacja satelitarna...

– Jestem pewien. To jedyny dom na tej ulicy.

Ulica to było za dużo powiedziane. Była to raczej nieutwardzona droga, przy której stał samotny dom. W oknach już się świeciło. Tego dnia właściwie przez cały czas było ciemnawo. Jechali do tego samotnego domku pod lasem przez cały dzień. Do domu jej ojca... Może.

Annie wytarła zaparowane okienko.

– Chyba będę musiała to zrobić.

– Cóż, żeby tu się dostać, musieliśmy przejechać trzysta kilometrów.

– W zamieci.

– Och, to nie była zamieć, dmuchało ociupinę śniegiem.

Doprawdy, ociupinę dmuchało. Śnieg walił nieustannie, biały, gęsty. Teraz, kiedy stanęli, momentalnie pokrył maskę samochodu. Annie odetchnęła głęboko.

– A swoją drogą, idę o zakład, że go tu nie ma. Pewnie to inny Andrew Clarke. To polskie nazwisko.

– Może – powiedział wymijająco. – Chyba lepiej tutaj zostanę, Annie. Jak będziesz mnie potrzebowała, wyjdź i powiedz.

– Nie zmarzniesz? Jest strasznie zimno...

Popatrzył lekceważąco.

– Cóż to za zimno? Jak zrobi mi się chłodno, włożę płaszcz. – Wyjął książkę.

– *Rivals* Jilly Cooper?

Zmieszał się lekko.

– Wciągnąłem się w to, jak miałem praktyki zawodowe. Prawie się wtedy nie ma czasu na czytanie, więc trzeba znaleźć coś, co można wziąć i odłożyć. I chyba... spodobał mi się ten splendor. Rozumiesz, nikt nie jest umazany wymiocinami ani krwią i nie umierają non stop. – Otworzył książkę. – No, idź już. Nie przeszkadzaj mi w czytaniu. Będą się bzykali w stajni.

Annie otworzyła drzwi. Poczowała uderzenie mroźnego powietrza.

– Boże, co za ziąb...

Śnieg padający na twarz był jak dotyk lodowatych palców. W brzuchu przewracało się jej z nerwów. Co ona robi? Ojciec odszedł, kiedy miała dwa dni. Nie wiedziała, czy w ogóle zmienił jej choć raz pieluszki albo ją wykąpał. Czy ją

kochał, czy też nie mógł się doczekać, kiedy zamknie za sobą drzwi... Matka nigdy o nim nie mówiła, chyba że sugerując, że to z jego winy nie stać ich na ładne rzeczy. Jak ma to zrobić – podejść do drzwi, nacisnąć dzwonek, uśmiechnąć się, przedstawić, a potem porozmawiać z nim o jego nieobecności przez trzydzieści pięć lat jej życia?

Wzięłyby nogi za pas, ale w samochodzie siedział Max, czytał książkę z momentami i czekał na nią. Ruszyła po zwirowym podejździe, już śliskim od śniegu. Otarła śnieg z oczu i nacisnęła dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Spłynęła na nią ulga. Pewnie wyszli, pewnie zostawili włączone światło...

– Słucham? – Drzwi otworzyły się o cal, zabezpieczone łańcuchem. W szparze zamajaczyła kobieca twarz w wielkich okularach.

– Hm... – Annie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie kupujemy u domokrążców. Jest napis...

– Nie, to nie to. Hm. Przepraszam. Nie wiem, jak... – „Annie, oddychaj głęboko. Oddychaj głęboko”. Wyobrażała sobie, jak Polly przewraca oczami. „Annie, mów tak, żebyś nie wyszła na wariatkę”. – Nazywam się Annie Hebden – powiedziała. – To znaczy... Annie Clarke.

Cisza. Spróbowała jeszcze raz.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Ja tylko szukam... kogoś... i pomyślałam, że może tu mieszka.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się szeroko. Kobieta miała około pięćdziesiątki. Ubrana w długi rozpinany sweter i dzinsy, miała wielkie okulary na nosie i długie, nieufarbowane, siwiejące włosy.

– Wejdz.

– Ale...

– Wiem, kim jesteś, kochaneczko. Wejdz, bo śnieg pada.

Zdezorientowana, przeszła za nią do kuchni, rozkosznie ciepłej po tym zimnie na dworze. Na kominku paliły się polana, stół zastawiony był do kolacji okrągłymi szarymi miskami i szklankami w witrażowych kolorach. Kilkunastoletnia dziewczynka kuliła się, nadąsana, przed telewizorem. Oglądała *Countdown* i Annie nagle błysnęła w pamięci scena: matka przed telewizorem, z długopisem, szuka sensu w gmatwaninie liter. Sam fakt, że tu jest, odczuwała jak zdradę.

– Morag, wyłącz to – powiedziała kobieta, pewnie jej matka. Miały takie same długie, jasne włosy i takie same okulary. Dziewczynka nosiła czarny T-shirt z Nirvaną i podarte dzinsy. Patrzyła na Annie. Annie patrzyła na nią.

– Dać ci odrobinę czegoś do picia? Herbatki?

– Hm... Ja nie... – Annie nie miała pojęcia, o co tu chodzi.

– Napij się herbaty, kochaneczko. Dobrze ci zrobi.

– Dobrze. Hm... z mlekiem poproszę.

– Morag, zrób herbatę.

Dziewczynka teatralnie westchnęła i przemknęła do kuchni, żeby włączyć czajnik. Po drodze spojrzała przelotnie na Annie, a ją przebiegł dreszcz. Dziewczynka miała niebieskie oczy. Znajome.

– Usiądź. – Kobieta poklepała kanapę, wygodną i miękką. Annie usiadła. Na telewizorze stało zdjęcie rodzinne w ramce, ale nie mogła mu się dokładnie przyjrzeć, nie wypadało. – A więc przyjechałaś, Annie.

– No tak, ale skąd... Przepraszam – pani jest...?

– Och! Myślałam, że wiesz. Nazywam się Sarah, a to jest Morag.

Morag udawała bardzo zajęta – czytała napis na torebce z herbatą.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego pojawiłam się tu ni stąd, ni zowąd – zaczęła Annie.

– Ależ nie, kochana, szczerze mówiąc, spodziewaliśmy się, że wcześniej czy później się pojawisz. Na pewno musisz być zajęta tam, w Londynie.

Spodziewali się? I skąd ona wie, że Annie mieszka w Londynie?

– Chodzi o to – brnęła dalej – że szukam kogoś, kto nazywa się Andrew Clarke. Czy on... czy on może tutaj mieszka?

Kobieta – Sarah – szybko zamrugnęła. Popatrzyła na Morag i odbyła się między nimi pośpieszna, milcząca rozmowa. Sarah westchnęła i zwróciła się na powrót do Annie.

– Och, kochaneczko. Nie wiesz, prawda?

– Czego nie wiem? – Annie znów poczuła przyływ paniki. Zacisnęła dłonie.

– Cóż... Andrew... twój tato... – Annie poczuła, że chyba zwymiotuje. – Przykro mi, kochaneczko, ale zmarł dwa lata temu.

Annie nie rozumiała. Te słowa wypowiedziane zostały po angielsku, ale ich znaczenie jakoś nie mogło do niej dotrzeć.

– Och – dobiegło z kuchni i Morag wybiegła, krztusząc się łkaniem. Pudełko z saszetkami herbaty wrzuciła po drodze do zlewu.

– Biedne maleństwo – westchnęła ponownie Sarah. – Była tak blisko ze swoim tatusiem.

Jej tatuś. Jej tatuś! Więc to znaczyło, że...

– Przepraszam. Naprawdę nie chciałam... – zaczęła. – Moja przyjaciółka... cóż, powiedziałam przyjaciółka, ale właściwie teraz trochę się na siebie gniewamy... próbowała znaleźć go dla mnie, bo wie, że nigdy się nie widzieliśmy, w każdym razie ja tego nie pamiętam, i dała mi ten adres, a ja przyjechałam i...

– Więc naprawdę nic nie wiesz. Boże święty, kochaneczko, co sobie myślała ta twoja matka? Napisałam, kiedy zachorował. Myślałam, że obie wiecie. Nie powiedziała ci?

– Moja mama nie najlepiej się czuje. Traci pamięć. – Czy matka wiedziała o jego śmierci? Czy dlatego ciągle o nim mówiła? – Ale... czy nie odpowiedziała? –

Annie już nic z tego nie rozumiała.

– Pozwól, że ci wyjaśnię, kochaneczko. Widzę, że naprawdę znalazłaś się w gęstym lesie. Andrew, twój tato, istotnie tu mieszkał. Przyszedł do właściwego domu. A ja jestem – byłam – jego żoną, a Morag jest twoją siostrą. Siostrą przyrodnią. Twój tato zachorował kilka lat temu. Napisałam o tym do twojej mamy. A ona mi odpisała. Mówiła w liście wyłącznie o tobie i że będziesz miała dziecko. Chciała, żeby wiedział.

– Och. – Jacob... Ojciec wiedział o Jacobie...

– Bardzo się cieszył, kochana. Przez wiele lat chciał się z wami skontaktować, odkąd tylko urodziła się Morag, ale myślał... nie wiedział, co powiedziałyby twoja mama. Kiedy odpisała, liczył, że się z tobą zobaczy, zanim... Nie przekazała ci tego?

Annie powoli pokręciła głową.

– Ona już wtedy to miała. Demencję. Może zapomniała, a może... och, nie wiem.

Sarah wyglądała na zdruzgotaną.

– Och, kochaneczko. Przykro mi. Twój ojciec sam nie czuł się wtedy za dobrze. Niewiele czasu mu zostało. Gdyby tylko... no cóż. Nie było ratunku.

Nie wiedziała, co było dalej. Jedyne, co wiedziała, to że potrzebny jest jej Max, jak koło ratunkowe, kiedy tonie się w oceanie. Wstała, rozlała herbatę na beżowy dywan i wybiegła. Pędziła po skrzypiącym żwirze, wymachując histerycznie rękami. Max otworzył drzwiczki, odłożył Jilly Cooper.

– Co...

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, póki nie poczuła na twarzy zimnych kropli. Łzy.

– On nie żyje. Max, on nie żyje. Mój tato nie żyje.

Do Annie wszystko docierało jak przez mgłę. Ciepło ognia na dłoniach, jego trzask. Sarah i Max w kuchni, szepczący do siebie ze szkockim akcentem. Odgłos gotującej się w czajniku wody, szczękanie kubków. Pewnie Max taktownie wyjaśnił tę całą sytuację z Annie, jej mamą i Jacobem. Na dworze ściemniało się – nie będą mogli wrócić, póki pogoda się nie poprawi. Śnieg wirował za oknami, dopóki Sarah nie zaciągnęła zasłon. Annie siedziała z głową w dłoniach. Sarah podeszła i podała jej kubek.

– Pij. Doznałaś szoku.

– Przepraszam. Ja po prostu... nigdy nie myślałam, że go jeszcze zobaczę. Wiedziałam, że odszedł, a potem nagle pomyślałam, że mimo wszystko mogłabym się z nim spotkać, i... już nigdy go nie zobaczę.

– On chciał się z tobą spotkać. Wiedział, że źle wobec ciebie postąpił, kochana. Przez całe lata próbowałam nakłonić go do napisania listu, ale się bał.

Annie odczuła ten cios jak przez mgłę, ale wiedziała, że odcierpi to później.

Z jakiegoś tam powodu matka nie powiedziała jej, że nawiązała z ojcem kontakt, a teraz było już za późno. Właśnie to znaczyła śmierć. Że na wszystko jest za późno. Że nie ma drogi powrotnej. Nic dziwnego, że Polly usiłuje zrobić tyle rzeczy, stać się tyloma różnymi ludźmi, i wszystko na przestrzeni stu dni. Kiedy odejdzie, będzie tak, jakby jej nigdy nie było, a inni będą musieli odwrócić się i brnąć dalej. Przełknęła łyk herbaty, prawie nie czując jej smaku.

– Przepraszam, Sarah. Nie przyjechałabym, gdybym wiedziała.

– Kochana, my chciałyśmy, żebyś przyjechała. Wysłałam do ciebie zaproszenie na pogrzeb.

Pogrzeb jej ojca. Pochowano go, a ona nawet o tym nie wiedziała. Gdyby dowiedziała się we właściwym czasie, mogłaby się spotkać z ojcem. Może przebaczyłaby mu, że uciekł od niej i od Maureen... Tyle uczuć wirowało jej w głowie, że czuła się jakby wśród zamieci. Przynajmniej jedna osoba mogła to zrozumieć. Kiedy Sarah i Max byli zajęci w kuchni – robili kolejną herbatę, żeby w ogóle mieć co robić – do pokoju zakradła się Morag. Oczy miała zaczerwienione.

– Cześć – spróbowała do niej zagadać Annie.

– Hm.

– Przepraszam za to wszystko. Nie miałam pojęcia... nic o tobie nie wiedziałam. Przysięgam.

– Znaczy... jesteś jakby moją siostrą czy coś?

– Chyba tak.

Jakie to dziwne. Całe życie była jedynym dzieckiem, miała tylko matkę, a teraz jest ta dziewczyna, zerkająca na nią kątem oka. Siostra.

– Ile masz lat? – spytała Annie.

– Piętnaście. – Morag spojrzała na nią przelotnie, wyraźnie pokonując opór.

– A ty?

– Jestem o wiele starsza. Trzydzieści pięć. – Więc miała dwadzieścia, kiedy ta dziewczynka się urodziła... Już pracowała, chodziła z Mikiem na randki. Morag mogła być jej druhną na ślubie. Ale nie, to niemożliwe. Te wszystkie „co by było, gdyby” nie miały sensu. Nigdy nie miały.

Morag nachyliła się ku niej.

– To twój mąż? – spytała, zniżając głos. – Albo chłopak czy coś?

– Doktor Max? Och, nie, nie! To jest... – Spojrzała na niego, jak krząta się po cudzej kuchni niczym po swojej sali operacyjnej, bierze kubki, łyżki, totalnie skupiony. Włosy miał wilgotne od śniegu, a polar stary i znoszony.

Musiał poczuć jej wzrok, bo zerknął i bezgłośnie, samymi ustami zapytał: okej?

Próbowała się uśmiechnąć w odpowiedzi, ale nie bardzo się jej udało. Tyle trzeba było wyjaśnić... Że miała męża, ale już nie ma, i że na pewno nie jest nim Max. I nagle do niej dotarło: Jacob też należał do tej rodziny! Był wnukiem jej ojca

i siostrzeńcem Morag, chociaż go już nigdy nie poznają. Na nowo uderzyła w nią świadomość jego utraty i aż odchyliła się nieco w tył, jak od rzeczywistego ciosu.

– To po prostu mój przyjaciel – dokończyła.

Morag przyglądała się jej. Miała takie same oczy jak Annie – niebieskie, uważne. Oczy ich ojca... których nigdy nie widziała. Co jeszcze po nim odziedziczyły? Niezdolność do stabilności w związkach, w pracy, w małżeństwie? Tak przynajmniej opisywała go matka. Ale tu wytrzymał, prawda? Morag miała piętnaście lat. Wytrzymał z nią znacznie dłużej niż ze swoją pierwszą córką.

Wszystkie te uczucia waliły się na nią jak burza. Że ojciec wybrał to inne życie, inną rodzinę, inne dziecko. Że teraz nie miała już nikogo. On nie żył, matka pograżyła się w mroku. I Polly. Wkrótce Polly też nie będzie... Wstała, drżąc.

– Przepraszam – powiedziała, podnosząc głos, bo w czajniku właśnie zagotowała się woda. – Myślę, że powinniśmy jechać.

Sarah miała rozczarowaną minę.

– Och, kochaneczko! Myślałam, że zostanieie na kolację! Możecie też przenocować, jeśli chcecie.

– Nie możemy. Nasza... moja przyjaciółka jest chora, jutro wcześniej rano musimy wyjechać.

– Jesteś pewna? – Max miał przerzuconą przez ramię ścierkę do naczyń. Wyglądało na to, że wziął się do zmywania. – Annie, to nie problem zostać troszkę dłużej.

Czy on naprawdę nie rozumie? Nie zwracając uwagi na wrogą minę, która powróciła na wilgotną od łez twarz Morag, zaczęła się rozglądać za torebką.

– Nie. Musimy jechać. Odwieź mnie, proszę.

Znacznie później, w środku nocy, samochód zatrzymał się przed furtką domu jego matki. Było mroźno i cicho jak makiem zasiał.

Annie była zeszywniała i zziębnięta, bolały ją oczy. Przez całą drogę powrotną, gdy mijali ciemne zarysy wzgórz i zamarzłe rzeki, a reflektory wyławiały z ciemności błyszczące oczy nocnych zwierząt, nie odezwała się ani słowem.

– Wiesz, mogliśmy zostać – powiedział, wyłączając silnik.

Patrzyła na swoje wyziębione ręce. Musiała go rozczarować. Była zimna i niezręczna.

– Tego było trochę za dużo na raz, rozumiesz? Dowiaduję się, że tu mieszka mój ojciec, a zaraz potem, że nie żyje! Mało tego, próbował się ze mną spotkać, tylko że drobiazg – mama nie przekazywała mi jego listów, a ja nie mogę jej zapytać dlaczego, bo uważa mnie za swoją przyjaciółkę ze szkoły. Aha, i mam siostrę, o której nie miałam dotąd pojęcia!

– Wiem. Wiem, że dużo tego było. Ale... one naprawdę się starały. To nie ich wina.

– Owszem. Ale wiesz co? To nie twoja sprawa.

Zamilkł na chwilę.

– Wiem.

– Dziękuję, że mnie zawiozłeś. Tylko że... to nie w porządku. Mogłam go zobaczyć, mogłam go poznać, ale spóźniłam się. Tak to jest w moim życiu. Nic mi się nie udaje.

Odniosła wrażenie, że Max stara się, żeby na nią nie wrzasnąć.

– Annie... wiem, że różne rzeczy ci się przytrafiły, przykre rzeczy... To musiało być dla ciebie okropne. Ale nie tylko ty tak masz, jasne? Polly umiera. Jej rodzina straci siostrę i córkę w wieku trzydziestu pięciu lat. A doktor Quarani – wiesz, że on jest z Syrii? Przyleciał tutaj na wizę pracowniczą, ale reszty jego rodziny nie chcą wpuścić, więc pracuje jak wół, żeby spróbować ich stamtąd wyciągnąć. Jego siostra utknęła w Aleppo z dwojgiem małych dzieci. Ma ich zdjęcie w gabinecie, mogłaś je widzieć. O jego bracie nikt nie słyszał od miesiący. Właściwie jest tu kompletnie samotny, w kraju, gdzie uważa się go za darmozjadę, a on tymczasem pracuje jak szalony, ratuje ludzkie życie.

Jeszcze więcej smutku, jeszcze więcej cierpienia.

– Nie wiedziałam.

– Nie chcę, żebyś miała wyrzuty sumienia czy coś...

– Hm, chyba chcesz.

– Przepraszam. Po prostu takie są fakty.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Annie otarła dłonią oczy, starając się powstrzymać łzy.

– To straszne. Musi się bardzo martwić.

– Takie jest życie. Nie mów Polly, okej? Rozpaplą to na cały szpital albo spróbuje zorganizować jakąś misję ratunkową. A on chce tylko robić swoje.

Annie spostrzegła, że w salonie nadal pali się światło.

– Może wejdźmy? Dziękuję, że mnie podrzuciłeś.

– W porządku. Może pomyślałabyś o skontaktowaniu się z nimi za jakiś czas? Jak sprawy trochę się ułożą?

– Może – mruknęła. Nie wyobrażała sobie, żeby sprawy się kiedykolwiek ułożyły. – Wejdźmy, dobrze? Jestem zmęczona. Ty pewnie też.

Wewnątrz zderzyli się ze ścianą ciepła. Polly leżała skulona na kanapie, opatulona w koc, z czapką narciarską na głowie. Buster spał, posapując, w zgięciu jej ramienia. W pokoju musiało być jakieś trzydzieści stopni, a jej wciąż było zimno... Zły objaw. Kiedy weszli, zatrzepotała niebieskimi powiekami.

– O, jesteście. Jak tam podróż?

– Niezupełnie zgodnie z planem – odparła sztywno Annie.

– Dlaczego? Pogoda? Myślałam, że wszystko będzie dobrze, skoro masz te swoje słynne opoony śniegoowe. – Wypowiedziała te słowa z udawanym

szkockim akcentem.

– Annie ma złe wiadomości – rzekł Max, zamykając drzwi. – Może nie powinnaś...

– Co się znowu stało? – Polly ziewnęła. Naprawdę ziewnęła. Co miało znaczyć to „co się znowu stało”? Czy chciała przez to powiedzieć, że Annie zawsze wynajduje jakieś problemy, powody do smutku?

– Mój tato nie żyje – odparła oschle. – Zmarł dwa lata temu.

– O Boże! Annie, tak mi przykro. Co za pech....

– No. Mam też przyrodnią siostrę, o której nic nie wiedziałam. – Słyszała, że głos jej drży. – Ma piętnaście lat.

Polly rozpromieniła się.

– Ależ to cudownie! Siostra! W takim razie na pewno jesteś zadowolona, że ich wyszukałam. A wcześniej wszyscy na mnie zrzędziliście.

Annie zacisnęła pięści.

– Polly, nie powinnaś była tego robić. To była moja sprawa, jeśli w ogóle chciałabym go kiedykolwiek szukać.

– Nie chciałabyś. Znadto się bałaś, żeby cokolwiek zmienić. Prawda? – zwróciła się do Maksa, który zasuwiał kotary i włączał czujnik przeciwpożarowy.

– Mnie w to nie mieszajcie – odpowiedział krótko.

– A gdybym nie chciała, to co? – odparowała Annie. – To moja sprawa. Nie możesz rządzić całym moim życiem. Nie wolno ci decydować, kiedy przyszedł czas, żebym się spotkała z ojcem czy odnalazła siostrę. Co ja mam teraz z tym zrobić? Mój tato nie żyje, a ona go miała przez całe swoje życie. A ja – przez jeden dzień, i nawet tego nie pamiętam. Jak ja mam sobie z tym poradzić?

Polly zatoczyła oczami. Annie poczuła, że zalewa ją lodowata wściekłość.

– No co?

– Och, Annie... Robisz, co możesz, żebyś była nieszczęśliwa. Było ci smutno, że nie masz rodziny, no i proszę – znalazłam ci siostrę, a ty nawet nie jesteś mi wdzięczna.

– Niczego mi nie znalazłaś! Nie jesteś Bogiem, Polly! Nie będziesz nas wszystkich rozstawiać po kątach!

– Annie, nie krzycz – rzekł rozsądnie Max. – Wszyscy już śpią.

Odwróciła się do niego.

– Ty też tak uważasz! Wiesz, że ona zawsze się wtrąca. Sam mówiłeś, że jest niestabilna! – Cała drżała. Polly tylko na nią patrzyła. – Wyjeżdżam. Jutro z samego rana – usłyszała własne słowa.

– Wszyscy jutro wyjeżdżamy. Nie dramatyzuj, Annie! – powiedziała przeciągle Polly.

– Wyjeżdżam bez was. Wsiądę w pociąg.

– Świetnie. Skoro chcesz, żebym wracała sama, chora...

– Masz brata i swojego lekarza, który przypadkiem wziął sobie wolne od ratowania życia innym, żeby włączyć się z tobą po Szkocji. Bo wszystko zawsze musi się kręcić wokół ciebie!

Wreszcie Polly nie wytrzymała.

– Czy to tak wiele? – Oczy jej błysnęły. – Annie, zostały mi trzy miesiące! To wszystko. Sto dni, żeby zrobić coś z tego, co zawsze chciałam zrobić. Tyle mi zabrał ten rak! Włosy. Godność. Nie mogę jeść, nie mogę spać i nikt na mnie nie spojrzy, chyba żeby sprawdzić, czy przypadkiem za chwilę nie umrę, albo żeby wbić we mnie jakąś igłę. Wszystko mi odebrano, nie mam nic, a ty mi żałujesz tych paru dni? Jezu, Annie. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

Annie głośno przełknęła ślinę. Nie, nie pozwoli, żeby Polly nadal grała kartą raka.

– Przyjaciele nie rozstawiają innych po kątach, jak... jak marionetki.

Polly się roześmiała. Ostro, nieprzyjaźnie.

– Mieszasz przerośnie, Annie. I co by z tobą było, gdybym cię nie rozstawiała po kątach? Tkwiłabyś w pracy, której nie znosisz, nieszczęśliwa, nienawidząc każdego dnia. I użalałabyś się nad sobą, że marnujesz życie. Nawet nie masz pojęcia, jaką szczęściarą jesteś! Ja ci tylko pomogłam.

– To znaczy? – Annie zmarszczyła brwi, ale zaledwie zadała to pytanie, zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź. Link do wideo na YouTube. Jeff nie wchodził na YouTube, zbyt wielkim był pracusiem. Jakie były szanse, że się na to natknie przypadkiem? Ktoś musiał mu podrzucić. – Polly, ty tego nie zrobiłaś! Czyżbyś to ty doprowadziła do wylania mnie z pracy?

Polly wzruszyła ramionami.

– Nie wylali cię, sama zrezygnowałaś. Zresztą ktoś musiał to zrobić. Dostawałaś tam świra. Ja cię tylko troszeczkę popchnęłam.

– Straciłam przez ciebie pracę! Jak mogłaś? Ty... ty... jesteś po prostu nieprawdopodobna. Najbardziej samolubna istota na tej planecie!

– No i dobrze. Taka właśnie chcę być. Przynajmniej mnie ludzie zapamiętają, jak mnie nie będzie.

Annie poczuła na ramieniu rękę Maksa. Nie był to dotyk, jakiego by chciała – łagodny, czuły. Był to dotyk ostrzegawczy.

– Lepiej dajcie już spokój. Idźcie do łóżka. Obie.

– Nie myślcie, że nie zauważyłam. Robicie do siebie słodkie oczy – warknęła Polly. – Pewnie jesteście zachwyceni – umieram jak na wasze zamówienie. Zakochacie się nad moim ciałem. Niby czemu nie? To nie w porządku. Wszyscy inni będą dalej żyli, a mnie nie będzie. Umrę i zniknę!

– Nikt tu nie jest zakochany – powiedział chłodno Max. – Zachowujecie się jak dzieci. Obie. Idźcie teraz do łóżka, a jutro pogadamy.

– Mnie tu jutro nie będzie – oświadczyła Annie, starając się, żeby zabrzmiało

to obojętnie. – Tak jak mówiłam, wyjeżdżam. Mam życie, do którego chcę wrócić, i pracę, której muszę szukać. Przez nią.

Dzień 59

PODRÓŻUJ POCIĄGIEM

Szanowni państwo, przepraszamy za zwłokę, którą spowodowały... hm... krowy na torze”.

Rozległ się głośny jęk.

Annie nie udało się znaleźć w zapchanym pociągu z Edynburga miejsca siedzącego, więc aż do Doncaster siedziała na walizce koło ubikacji. Ludzie potykali się o nią, z każdym oddechem wdychała chlor i siuski. I do czego właściwie wracała? Costas i George zamierzali zatrzymać się w Szkocji jeszcze na parę dni, bo „Buster jest tutaj taki szczęśliwy”.

Wracała więc do pustego mieszkania. Ileż to razy marzyła, żeby Costasa nie było, żeby znalazł się o wiele kilometrów od niej... A teraz będzie jej brakowało jego śpiewu w sąsiednim pokoju. Będzie sama. Tylko ona, mrożona pizza, zestaw DVD, i znów do szpitala, żeby odwiedzić matkę.

Będzie musiała unikać podczas tych odwiedzin Polly; choć wszyscy w tym cholernym szpitalu tak ją kochali, że trudno będzie nie słyszeć jej imienia. To nie było fair. Polly lepiej szło umieranie niż jej życie – popularna, miła, każdego dnia, który jej jeszcze pozostał, sprawiała, że świat stawał się lepszy. Tymczasem ona go niszczyła. Straciła najlepszą przyjaciółkę, męża i syna, a teraz także ojca i przyrodną siostrę. Matka też wkrótce odejdzie, i co z nią wtedy będzie? Osierocona. Rozwiedziona. Bez żadnego oparcia... Czowała, jak narasta w niej fala smutku i beznadziei.

– Coś nie tak, kochana? – Starsza pani spojrzała na Annie znad broszurki z krzyżówkami.

Annie wpatrywała się uporczywie w brudną podłogę pociągu. Wymyśl coś... Alergie. Obieranie cebuli. Ale tu nie było cebuli, więc się poddała. Szloch wydarł jej się z gardła.

– Smutno mi. Po prostu jest mi bardzo smutno.

– Och, kochanie! Co się stało?

Jak miała to wszystko wyjaśnić? Matka, Mike, Jacob?

– Moja... moja najlepsza przyjaciółka umiera – wyszeptwała i rozplakała się na dobre, aż poleciało jej z nosa.

Wszyscy byli tacy mili. Starsza pani – Patricia – powiedziała, że jej najlepsza przyjaciółka umarła przed rokiem („Bóg z nią, przeżyła osiemdziesiąt cztery lata, ale i tak się wściekała, że nie doczeka Wimbledonu”), więc jak najbardziej rozumie, jak musi się czuć Annie. Rekrut z tatuażem na ramieniu ustąpił jej miejsca, a studentka z dredami przyniosła herbatę z wózka restauracyjnego. Nie była w stanie jej pić, bo płakała, a ten gest sprawił, że

rozszołała się jeszcze bardziej.

– Wszyscy państwo... są tacy mili. Dzię...kuję – wykrztusiła.

Bywa, że człowiek trzyma się jakoś wobec znajomych, ale uprzejmość ze strony obcych ludzi nas rozwała.

Dzień 60

PRZYSTOPUJ

Costas nie wracał przez kilka dni. Pierwszy dzień samotności Annie spędziła więc tak:

11.00–13.38 – leżenie w łóżku, gapienie się na wilgotną plamę na suficie, odtwarzanie w głowie rozmowy z Polly.

13.38–14.07 – odtwarzanie w głowie rozmowy z Maksem. Walenie głową w poduszkę, głośne jęczenie.

14.07–15.45 – myślenie o wyjściu do sklepu po jakieś żarcie. I niewychodzenie.

15.45–15.59 – szperanie w szafkach kuchennych, odrywanie kawałków chleba i pakowanie ich do ust, pożeranie całej paczki pistacji Costasa. Rozrzucanie skorupki po podłodze. Znowu płacz, bo on pewnie wkrótce się wyprowadzi, a ona zawsze była dla niego taka podła.

16.00–18.00 – płacz, leżenie na zimnej posadzce kuchni. Znalezienie jednej z obrzydliwie pogryzionych psich zabawek Bustera, lepkiej od śliny, i płacz, bo i dla niego zawsze była podła.

18.00–20.45 – napełnienie wanny wodą, żeby choć trochę poprawić sobie nastrój, po czym leżenie w wodzie i szlochanie, dopóki woda nie wystygła. Szukanie w brudnej lodówce, za spleśniałymi papryczkami, butelki różowego wina. Picie w chłodnej wodzie i szlochanie.

20.45–3.00 – oglądanie starych odcinków *Chirurgów*, znów płacz, kiedy zdarzy się coś smutnego (w przybliżeniu co trzy minuty).

Dzień 61

ROZPOCZNIJ NOWE, ZDROWE ŻYCIE

Nazajutrz: to samo, z wyjątkiem szybkiej wyprawy do sklepu na rogu – koszarnej budy, gdzie mleko zawsze było przeterminowane – po różowe wino, chrupki i lody Ben & Jerry's. Szkoda, że Costas nie zostawił jej Bustera, miałyby chociaż kogo potarrosić za ucho. Chętnie wycierałaby jego siuśki, jeśli miałyby to oznaczać odrobinę towarzystwa, które człowieka nie osądza. Pomyślała, że może by zadzwonić do Polly, oczyścić atmosferę, ale przypomniała sobie jej słowa – „Użalałabyś się nad sobą, że marnujesz życie” – i zrozumiała, że nie da rady.

Dzień 62

KUPUJ W MIEJSCOWYM SKLEPIKU

Wybacz, kochana. Nic nie zostało. Wczoraj kupiła pani ostatnią porcję.

– Co? – Annie rozejrzała się w panice po brudnym sklepie. Śmieciowe gazetki, kiepskie piwo. – Musicie mieć jakieś lody. Chunky Munky? Phish Food?

– Mówiłem, z Ben & Jerry's nic nie zostało. Może Carte d'Or?

– Jaki smak? – Głos Annie zadrżał.

Sprzedawca zajrzał do zamrażarki.

– Waniliowe?

Zagryzła mocno wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. Wychodząc – bez lodów, bo zostało jej jeszcze trochę dumy – zobaczyła w monitorze nadzoru własne odbicie. Rozczochrane, włosy, a w nich coś, co wyglądało na wczepioną skorupkę pistacji. Tłusta cera z pootwieranymi porami. Dzikie, opuchnięte oczy. Uciekła przed sobą samą. Wróciła do domu i weszła z powrotem do łóżka, gdzie prawie godzinę gapiła się na telefon i nic nie robiła. Polly i tak nie będzie chciała z nią rozmawiać. „Użalałabyś się nad sobą, że marnujesz życie”. Kto by chciał się przyjaźnić z kimś takim?

Dzień 63

NAUCZ SIĘ CZEGOŚ NOWEGO

Zobaczysz, będzie fajnie! – prosił Costas.

W końcu wrócił, chwiejąc się pod ciężarem szkockich ciasteczek shortbread i haggisu (najwyraźniej teraz się w nim zakochał) oraz tartanowych jaśków. Buster skoczył z łapami na Annie, a ona tak się rozanieliła, że ucieszył się na jej widok, że o mało się nie rozpląkała, chociaż Busterowi wystarczyłoby do szczęścia kartonowe pudełko.

– Daj spokój, Annie. Chyba nie siedziałaś przez cały czas w domu?

– Nie – mruknęła. – Odwiedzałam znajomych... tutejszych. Nie potrzebuję Polly. Hm... wszystko z nią dobrze?

– Tak jak było. Chyba. – Wzruszył ramionami.

– Nie mówiła przypadkiem, że mogłaby... a, wszystko jedno. Nie zależy mi. Popatrzył na nią ze współczuciem.

– Proszę... Tak bym chciał, żebyś wyszła ze mną dziś wieczór.

– Ale to brzmi koszmarnie. Pewnie roi się tam od hipsterów?

– Co to są hipsterzy?

– No wiesz. Modne typki z klas średnich z brodami, w kraciastych koszulach.

Oczy mu zaświeciły.

– Byłaś tam!

– Nie, nie, ja... mniejsza o to. Ale poważnie, nie mam zamiaru iść na lekcje ukulele. Nie umiem grać nawet na flecie prostym.

– Ale to po prostu zabawa! Uczymy się nut, gramy, śpiewamy i jest miło. Mili ludzie. Miły pub. Miła muzyka. Miły kieliszek wina.

Popatrzyła na niego ze złością.

– Przestań mnie zachęcać. Nie mogę wyjść. Przez trzy dni nawet nie brałam prysznicza.

– Nie żartuj – powiedział Costas, marszcząc nos. Za długo przebywał w towarzystwie George'a... – No chodź, chodź. Tylko na godzinę. Kupię ci duże wino, obiecuję.

– Och, no dobrze – powiedziała nadąsana, ale tylko dlatego, że skończyły się jej herbatniki, a nie zniosłaby kolejnej wyprawy do sklepu po porażce z lodami. – Tylko żeby to był naprawdę duży kieliszek.

Pół godziny później wyszli z domu. Na świeżym powietrzu Annie mrugała oczami jak noworodek. Costas, z jego umiejętnością ubierania się zgodnie z okazją, włożył sweter w pingwiny. Ona wróciła do swojego standardu: czerń i jeszcze raz czerń. Ale przynajmniej się umyła.

– Nawet nie mam ukulele – zauważyła.

– Dadzą. No chodź! Czas na gitarę!

Kiedy wchodzili po schodach do pubu, poczuła dobrze znaną nerwowość, pot na górnej wardze i uczucie, że ma za ciężką głowę, żeby podnieść wzrok. Uciekłyby w drzwiach, ale Costas wepchnął ją i pomachał powitalnie ręką do ustawionych w półkole ludzi. Wszyscy mieli w rękach ukulele.

– Cześć wszystkim! – Costas znalazł miejsca dla nich obojga. – Poznajcie moją przyjaciółkę Annie.

Wpatrując się w przeciwległą ścianę, zdobyła się na coś na kształt uśmiechu. Ktoś włożył jej w ręce niedużą gitarę i postawił przed nią pulpit z nutami.

– Na początek coś przyjemnego i łatwego – powiedział nauczyciel. Miał brodę sięgającą mu do pół piersi. Ciekawe, co by na to powiedziała Polly... Zaraz jednak przypomniawszy sobie, że ze sobą nie rozmawiają, i mocniej przycisnęła instrumencik. Próbowwała odczytać nuty. Oczywiście, było to *Gdzieś ponad tęczę*. Ha! W świecie Annie nie było szczęśliwych niebieskich ptaków ani kłopotów rozpuszczających się jak cytrynowe dropsy. Czuli się jak Zła Czarownica z Zachodu.

– No? Podoba ci się wieczór z ukulele?

– Nie było tak źle – przyznała Annie. Przez dłuższy czas była tak pochłonięta wybieraniem właściwych nut, że prawie zapomniała o całym świecie. – Często tu przychodzisz?

– Kiedy nie pracuję, nie jestem na siłowni, nie ćwiczę koszykówki ani nie uczę się krawiectwa damskiego – odparł radośnie. – W Londynie można robić tyle różnych rzeczy.

– Podoba ci się tutaj? – Jeszcze nigdy nie pomyślała, żeby go o to zapytać.

– Czasem, jak tylko przyjechałem, czułem się samotny. Tęskniłem za siostrami, za mamą i za greckim jedzeniem. Ale w Lewisham jest mnóstwo dobrych kawiarni i mnóstwo fajnych rzeczy do robienia! No i łatwiej być gejem. Ludzie nie mają aż takich przesądów.

Annie nie mogła sobie wyobrazić, jak to jest – przenieść się do innego kraju, kiedy człowiek ma tylko dwadzieścia dwa lata, nikogo nie zna i słabo mówi w miejscowym języku. Popatrzyła na niego. Znał więcej ludzi i robił więcej różnych rzeczy niż ona, która całe życie przemieszkała pod tym samym kodem pocztowym. Musi się bardziej postarać... I postara się.

– Hm... masz ochotę na pizzę czy coś? – zapytała ostrożnie. – Może wzięlibyśmy ją do domu i obejrzelibyśmy jakiś film?

Odkąd tylko razem zamieszkali, utrzymywała mur między sobą a nim. Nie tylko fizycznie, towarzysko też. Nie chciała oglądać z nim telewizji, pójść na drinka, zjeść tego, co przyrządził. A teraz do niej dotarło, że Costas jest jednym z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miała.

Costas rozjaśnił się jak małe dziecko.

– Poproszę z pepperoni. A obejrzymy *Dirty Dancing*?

Dzień 64

WYJDŹ Z SIEBIE

No, Buster, zrób siusiu! Proszę!

Buster uprzejmie pomachał ogonem, ale zaraz pobiegł, żeby obwąchać opakowanie po chipsach. Anna dygotała – narzuciła płaszcz na piżamę, żeby wyprowadzić psa, ale o trzeciej nad ranem było bardzo zimno. Zdeptany kawałek trawy między wieżowcami i za dnia nie był zachęcający, a w nocy po prostu przerażał.

– No, proszę. Zrób siusiu! Błagam... Dostaniesz psi przysmak. Dwa psie przysmaki.

Buster podszedł i polizał ją w stopę. Annie westchnęła.

– Dobra, wracamy.

Wniosła go do windy. Wróciła do ciepłego mieszkania i z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Costas był na nocnej zmianie, szykował się pewnie do robienia kawy dla pierwszych pasażerów. Co za gówniana praca... Annie, teraz bezrobotna, mogła przynajmniej poświęcić cały swój czas na leżenie w łóżku i rozpamiętywanie swojego nieszczęścia.

Nastawiła czajnik. Wiedziała, że będzie miała kłopoty z ponownym zaśnięciem, więc wzięła laptop. Lekko zawstydzona, kliknęła na facebookową stronę Polly, ale od wyprawy do Szkocji nie było nowych wpisów. Powinna zadzwonić... Wiedziała, że powinna. Nie można tak po prostu rozstać się z przyjaciółką, której zostało może parę tygodni życia. Ale za każdym razem, kiedy brała telefon, przypominała sobie, co powiedziała Polly, i tchórzyła. Chybaby tego nie zniosła, że wyciągnie rękę, a Polly nie będzie chciała z nią rozmawiać.

Weszła więc na strony z pracą. Wiedziała, że musi coś z tym zrobić. Przewijając stronę, zauważyła, że wiele ofert dla pracowników działu finansów publikują organizacje dobroczynne. Płacą marnie, ale przynajmniej człowiek czuje, że robi coś pozytywnego. No i musi zacząć myśleć o przyszłości. Kiedy nie będzie Polly. Trudno to sobie wyobrazić, ale życie będzie toczyć się dalej... A ona będzie jego częścią. Kiedy przydreptał Buster i ułożył się w zgięciu jej ramienia, Annie zdążyła już przejrzeć różne oferty i zaczęła myśleć o zaplanowaniu sobie jakiejś przyszłości. Po chwili pokój wypełniło ciche pochrapywanie pieska.

Dzień 65

ODWIEDŹ BIBLIOTEKĘ

Annie pchnęła drzwi, wdychając woń starych książek. Biblioteka była pełna ludzi, którzy szukali schronienia przed deszczem i chłodem. Śmieszne, że tak dawno tu nie była, jeszcze w szkole. Wtedy w każdy sobotni poranek zwykła przychodzić tutaj z mamą. Wybierały książki w kojącej ciszy, po czym szły na kawę z mlekiem i pączka i przeglądały swoje nowe zdobycze. Matka uwielbiała serię Mills & Boon, Catherine Cookson, krwawe, z życia wzięte kryminały, sagi rodzinne i wszystko co grube i podnoszące na duchu. Minęło już parę lat, odkąd była w stanie przeczytać książkę, ale Annie wpadła na nie do końca sprecyzowany pomysł, żeby znaleźć dla niej jakieś wzory do robótek.

Jej wzrok przyciągnęła półka z napisem „Nowe nabytki”, gdzie stała książka zatytułowana *Nauka gry na ukulele*. Costasowi by się to spodobało... Wzięła. A potem spostrzegła dział zatytułowany „Ogrodnictwo”, pięć półek wypchanych książkami na temat sadzenia, robienia grządek, przycinania i planowania ogrodów. Wszystko, o czym kiedyś Annie uwielbiała czytać. Uważała, że własny ogród to oznaka prawdziwej dorosłości. Dosłownie zapuszczanie korzeni, żeby zostać w tym miejscu już na zawsze. Żeby Jacob i jego brat albo siostra mogli się bawić wśród pielęgnowanych przez nią roślin. Teraz nic z tych rzeczy – Mike pewnie zbuduje taras, żeby w kółko zapraszać swoich koleśków od sprzedaży ubezpieczeń na grilla. To nie będzie jej życie. Nie ma już ogrodu, nie ma ziemi, na której mogłaby stanąć i powiedzieć, że jest jej.

Ale przecież ma parapety. Ma doniczki, których nigdy nie wypełniła ziemią. Wzięła pozycję zatytułowaną *Ogrodnictwo na parapecie* i szybko, niemal ukradkiem podeszła do stanowiska bibliotekarzy. Wychodząc z wypchaną książkami torbą, zauważyła przy wejściu jakąś ulotkę. *Partyzantka ogrodnicza. Poprawianie krajobrazu miejskiego*. Długo na nią patrzyła, po czym szybko wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie ulotki.

Dzień 66

POWIEDZ: PRZEPRASZAM

Annie, Annie!

– Mhm... – Powoli się budziła. Co?... Stał nad nią Costas. W jej sypialni?

– Co ty tu robisz?

– Przepraszam! – Cofnął się, podnosząc ręce do góry. – Nie obudziłaś się, kiedy pukałem. Przepraszam, Annie. Ale musisz zaraz wstać.

Ziewnęła szeroko.

– Nic nie muszę. Dzięki Polly nie mam pracy, więc mogę sobie poleżeć.

– Annie, Polly jest chora. Bardzo chora. Wczoraj miała... – Zamachał rękami próbując przypomnieć sobie to słowo. – Pogorszyło się jej. Bardzo.

Annie momentalnie się zerwała.

– Płuca?

– Nie, nie, głowa. George mówi, że wrócił guz głowy. Większy.

Szlag. Powiększył się... Annie odrzuciła kołdrę i natychmiast się zawstydziała, że Costas widzi plamy po herbacie na jej piżamie.

– Bardzo źle?

– Annie, ona nie widzi. Budzi się i w ogóle nic nie widzi. Proszę, musisz iść. Zaraz. – Otworzył jej szuflady, znalazł dzinsy i czysty sweter. – Włóż to.

– Okej. Już idę. Cholera.

Podał jej ubranie.

– Może najpierw prysznic?

W godzinę później, umyta, bez fragmentów chrupek we włosach i ubraniu, gnała za Costasem szpitalnym korytarzem. Ściany nachylały się nad nią i chwiały. To nie może być to. Dopiero co pokłóciła się z Polly – nie urządza się kłótni z kimś, kto wkrótce ma umrzeć. Minęły dopiero dwa miesiące, nie trzy. Jeszcze czas. Jeszcze musi być czas.

W drzwiach do separatki Polly stał Max z kartą pacjenta w rękach i posępnym wyrazem twarzy. Annie zrobiła, co mogła, żeby odsunąć myśli o tym, co mu powiedziała w Szkocji. Idiotka.

– Co z nią?

– Jest stabilna. Na razie. – Nie uśmiechał się. – To jest to, Annie.

– Och, nie. Proszę, nie.

– Przykro mi. Guz znów urósł i naciska jej na oczy. Założyłem przetokę i odprowadziłem trochę płynu, więc widzenie może jej częściowo wrócić, ale... to sprawa tymczasowa.

Rozpoznała ten jego głos – kojący, ale uczciwy. Głos, którym przekazuje się bliskim złe wiadomości. Żołądek jej się ścisnął.

– O Boże. Czy nie mógłbyś...

– Nie. – Włożył z powrotem kartę w ramkę przy drzwiach. – Uwierz mi, Annie. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie ma nic, czego można by jeszcze spróbować.

Costas, u boku Annie, płakał.

– Jak długo jeszcze, doktorze?

– Nie wiem z całą pewnością. Może tydzień, dwa.

– Ale to dopiero sześćdziesiąty szósty dzień. Nie wykorzystała wszystkich dni! – powiedziała głupio Annie.

– Wiem. – Max wyglądał na wymęczonego. – Przykro mi. Jeśli chcesz, możesz wejść. Wkrótce odzyska przytomność. Ale operacja była brutalna, ostrzegam cię. Ona nie wygląda... tak, jak wyglądała.

Jak to możliwe? Widziała ją zaledwie przed tygodniem! Miała ochotę dać sobie w twarz. Jaka ona była samolubna. Waląca się bezytytecznie po mieszkaniu, kiedy mijały prawdopodobnie ostatnie dni Polly... Dlaczego pozwoliła, żeby to się posunęło aż tak daleko? Dlaczego nie waliła w drzwi Polly, nie zmusiła jej, żeby znów zostały przyjaciółkami? Zbliżyła rękę do drzwi i znów cofnęła, w lęku, co może zastać po drugiej stronie. Max kiwnął głową: no, dalej. Pchnęła drzwi.

Polly leżała w łóżku, maleńka, z ogoloną głową, na której widniała jaskrawa czerwona blizna z wystającymi szwami. Annie odruchowo zakryła usta ręką. Costas, który stał obok, pobladł i zaczął się cofać.

– Annie, idę... poszukać George'a. Wysłał mi SMS-a, że jest w kantine. Przepraszam, zostawiam cię na razie.

Przerażona Annie gapiła się na przyjaciółkę. Czapeczka była na nią za duża, opadała jej na malutką twarz. Ręce miała jak szpony, najeżone rurkami, purpurowe od starych i nowych siniaków.

– Co oni z tobą zrobili – szepnęła. Łagodnie położyła dłoń na łóżku, nakrytym, mimo upału, dodatkowymi kocami.

– Jeszcze... nie umarłam – wyrzęziła Polly, nie otwierając oczu. – Annie, czy to... ty? Skądś znam ten zapach chrupek i... rozpaczy.

Annie pociągnęła nosem.

– Cześć, Łysoniu.

– Podoba ci się? Jest bardzo w stylu Sinead O'Connor. Retro. Wszyscy mówią, że... lata dziewięćdziesiąte wróciły do łask. – Otworzyła oczy i skrzywiła się, jakby światło sprawiało jej ból. – Bardzo słabo widzę. Podejdz.

Kiwnęła ręką. Annie usiadła na pomarańczowym krześle i nachyliła się nad łóżkiem.

– Przepraszam, nie miałam czasu, żeby ci coś przynieść. Costas tak to powiedział, jakbyś już była jedną nogą w grobie, więc po prostu przyszedłam.

Polly zakaszlała, zagrzechotały rurki.

– Kazałam mu, żeby ci tak powiedział. Wiedziałam... że będziesz się walała po mieszkaniu.

– Dobra robota, Sherlocku Łysoniu. Więc nie stoisz nad grobem?

– Może... na ścieżce do niego. – Poszukała ręki Annie. Jej była zimna jak lód. – Annie, myślę, że to jest to.

Poczuła gulę w gardle

– Przepraszam... Tak strasznie przepraszam.

– Hej, daj spokój, żadnego przepraszania. Pamiętaj o umowie. Ale... szkoda. Nie udało mi się przerobić wszystkich... dni.

Łzy piekły Annie w oczy.

– Jest okej. I tak miałyśmy ich mnóstwo. Nic z tych rzeczy bym nie zrobiła bez ciebie. Poll... co ze mnie za... Boże. Nie wierzę, że ci to wszystko powiedziałam. Jesteś chora, a ja nakrzyczałam na ciebie, narobiłam zamieszania... koszmarna jestem.

Polly machnęła drugą ręką.

– Daj se siana, jak mówią w... Nowym Jorku. Ja też przepraszam. Posunęłam się za daleko. Po prostu tak się zezłościłam, patrząc na ludzi, którzy... marnują czas, jaki im dano, kiedy ja go już nie mam. Naprawdę... przepraszam za tę sprawę z twoim tatą. I za tę historię z pracą! Co ja sobie... myślałam? To ja jestem koszmarna. Chryste, co z tobą będzie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Właściwie jeszcze tego nie przemyślałam. Rozumiesz, nie mam bogatych rodziców, którzy by mnie wsparli. – Annie westchnęła. – Posłuchaj... Wiem, dlaczego czasem byłam do ciebie w jakimś sensie wrogo nastawiona.

– Nie zauważyłam – wychrypiała Polly. Sarkazm nawet w ostatnich słowach.

– Po prostu – skoro mam być zupełnie szczerą, choć wiem, że stawia mnie to w naprawdę złym świetle – po prostu czasem byłam zazdrosna. Zazdrościłam ci tego wszystkiego, co masz. Wspaniałej rodziny, fajnych rodziców, cudownego domu dzieciństwa i młodości, wszystkich twoich przyjaciół, twojego wykształcenia, ubrań, swobody. Nawet imienia. Polly nigdy nie stoczy się do poziomu urzędniczki w radzie miejskiej czy marnego ekskomunalnego mieszkańca w Lewisham. Wciąż myślałam, jakie to niesprawiedliwe. Wiem, że to okropnie brzmi, skoro masz raka, ale... tak było.

Polly lekko uchyliła jedną powiekę. Oczy wciąż miała bardzo niebieskie, mimo żółtawych, przekrwionych białek.

– Ja tobie też zazdrościłam. Bo masz czas, Annie. Masz czas, żeby zrobić, co zechcesz. I wiedziałam, że dobrze ci się układa z doktorem Zrędą. A kiedy ja chciałam się rzucić na doktora Quaraniego, to patrzył na mnie po prostu... jak na chodzącego guza. Nie jak na osobę. Spanikowałam, że już mnie nie potrzebujesz. Wszystko będzie z tobą okej, jak odejdę. Będziesz miała przed sobą przyszłość. A

ja cię potrzebuję, Annie. Bez ciebie nie dam sobie rady z tym wszystkim.

– Dasz radę. Obiecuję, że będę przy tobie. Przez cały czas, aż będziesz mnie miała wyżej uszu.

– Obiecujesz?

Annie mocniej ścisnęła dłoń Polly.

– Boże, oczywiście, że obiecuję. Będę przy tobie. Aż do... aż do samego końca.

– Dobra, nie dramatyzujmy zanadto. Przecież będziesz mogła pójść do domu, żeby wziąć prysznic i tak dalej.

– E tam, prysznic jest przereklamowany.

– Oto Annie, którą znam. Aha, a tak w ogóle... to, prawdę mówiąc, nie mam na imię... Polly.

– Co???

– Nie przyszłam na świat jako Polly.

– Co takiego? Więc jak się naprawdę nazywasz?

Zakaszłała.

– Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz. Nawet po mojej śmierci, bo przysięgnę na Wielkiego... Potwora Spaghetti, że wrócę i będę cię straszyć.

– Aż tak źle?

– Fatalnie. – Zadrżała, o mało nie wrywając sobie wenflonu. – Naprawdę mam na imię... Pauline. Po jakiejś cioci babci. Zmieniłam je, kiedy miałam pięć lat, nie cierpiałam go od początku..

Annie otworzyła usta. Pauline... Jakaś Pauline mogła łatwo skończyć jako urzędniczka w radzie. Jakaś Pauline mogła mieć nadwagę, być smutna i wariować na tle *Chirurgów*. Jakaś Pauline mógł rzucić mąż i mogła, z całą pewnością mogła mieszkać w koszmarnym mieszkaniu.

– Mój Boże – powiedziała zdumiona. Nie mogła tego ogarnąć. Polly nie urodziła się jako Polly. Polly stała się Polly.

– Jeśli komus powiesz, zabiję cię... gołymi rękami.

– Najpierw ty zginiesz, Pauline.

– To prawda – powiedziała i zaczęła się śmiać, głębokim, bulgoczącym śmiechem. Po chwili dołączyła do niej i Annie.

Dzień 67

POZNAJ PEWNEGO NOWORODKA

O Boże, znowu pobieranie krwi – jęknęła Polly. – Nie lepiej wywalić pośrednika i zainstalować na stałe pompę między moimi żyłami a laboratorium? Przepraszam, Khalid. Wiem, że tylko wykonujesz polecenie tego okropnego doktora Zrzędy.

Ubrany na zielono pielęgniarz uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Nie przyszedłem do ciebie, Polly. – Popatrzył na Annie. – Czy pani Hebden?

– Hm, tak...

– Na położniczym jest inna pani Hebden, prosi panią.

Z początku nie zrozumiała. Mama Mike'a? Wreszcie do niej dotarło. Do Polly też.

– O nie, nie mogła tego zrobić! Tutaj rodzi?

– To najbliższy oddział położniczy. – Annie była zdumiona, że mówi tak racjonalnym tonem. Po wszystkim, co się stało.

– I chce, żebyś przysłała? Jezu! Co za bezczelna baba!

– Hm, wydawało mi się, że twoim zdaniem należy przebaczać i nie wracać do przeszłości?

– Tak, ale są jakieś granice!

Khalid wyglądał na zakłopotanego.

– Mam jej powiedzieć, że nie? Ona jest jakby... ciągle krzyczy.

Annie wstała.

– Poll, to na razie. Zobaczymy się później, okej?

– Porzucasz mnie dla niej? Nie zapomnę ci tego, Hebden. – Udała, że się dąsa.

– To twoja wina. Zrobiłaś ze mnie świętą, która wszystkim wybacza, niczym jakaś Matka Teresa w plastikowych spodniach. Na razie.

– Wciąż krzyczy – mówiła udręczona położna. – Próbowałam jej powiedzieć, że to jeszcze trochę potrwa. Pani jest jej przyjaciółką?

– Hm... tak. – Łatwiej było przytaknąć, niż wyjaśniać. – Więc ma bóle porodowe? – Z pewnością za wcześnie!

– Ledwie się zaczęły. Ale wpadła w histerię. Nie wie pani, gdzie może być Mike? – Spojrzała na podkładkę. – To jej mąż, tak?

To mój mąż. Nawet teraz trudno było pozbyć się tego odruchu.

– Tak. Nie może się pani z nim skontaktować?

– Nie odbiera. Powiedziała, że mieli awanturę i wypadł z domu jak burza. Dziecko miało się urodzić dopiero za miesiąc. Tyle przynajmniej zrozumiałam, bo

bardzo krzyczy.

– Okej. Dziękuję. Mam wejść?

– Jeśli pani chce. Na pani miejscu włożyłabym zatyczki do uszu.

Annie ostrożnie ruszyła korytarzem. Fakt, od razu dobiegło ją gardłowe wycie, jakby jakiegoś rannego zwierzęcia. I tak było rzeczywiście. Jedno, czego się nauczyła ze swoich pobytów w szpitalu, to że pod cienką powłoką forniru, którą błyskawicznie zdiera ból i strach, człowiek niczym nie różni się od zwierzęcia.

Pchnęła drzwi. Jane, oparta o łóżko, ścisnęła dłońmi poręcz. Miała na sobie szpitalną koszulę z dziurą na plecach, przez którą widać było tatuaż. Ten przedstawiający kwiat lotosu, który kazała sobie zrobić w jakiejś melinie w Croydon, kiedy miały po siedemnaście lat. Annie też zamierzała, ale stchórzyła, tak jak to robiła przez całe życie. Aż do teraz.

– Jane. Jane!

– Auuuuuu! Annie, to ty? – Na chwilę przestała wrzeszczeć.

– Chciałaś, żebym przyszła?

– Chodź. Chodź. – Wyciągnęła ręce i złapała Annie w śmiertelny uścisk. – O Boże, boli... Jak ty dałaś radę?

– Dasz i ty. Dostałaś znieczulenie zewnątrzoponowe?

– Nie, ale Jezu! Jakbym miała pęknąć na pół... Gdzie jest Mike? Gdzie jest, kurwa, Mike?

– Nie wiem. – Annie odruchowo pogłaskała najlepszą niegdyś przyjaciółkę po plecach. Przerażona Jane oddychała płytko i z trudem. – Znajdą go. Masz jeszcze mnóstwo czasu. Skąd wiedziałaś, że tutaj jestem?

– Dzwoniłam... do ciebie do domu... Jakiś dzieciak... powiedział, że jesteś... tutaj.

Cholerny Costas. Za grosz nie umie kłamać... No ale skąd miałby wiedzieć, że powinien, skoro mu nigdy nie powiedziała, co się jej przytrafiło?

Jane szlochała.

– Annie, ja umrę. Słowo daję, umrę, i dobrze mi tak... za to, co ci zrobiłam.

– Och, daj spokój, wygłupiasz się. Nie umrzesz. Zaopiekują się tobą jak należy, zobaczysz.

Po twarzy Jane spływały łzy, czoło miała zmarszczone z bólu.

– Ale ty mi przebaczysz? Proszę, Annie, powiedz, że mi przebaczasz. Nie chcę umierać bez twojego przebaczenia.

– Nie umrzesz.

Jane krótko zaszlochała. Annie, masując jej plecy, czuła przyśpieszone bicie jej serca. Jane była przerażona. Annie pamiętała to wszystko aż za dobrze. Ten strach, że się rozpadniesz na kawałki. Że pęknieš. Że to ci zmiażdży ciało i serce, ta cholerna eksplozja czystej miłości. I jak tu się gniewać na Jane, taką wystraszoną, taką spanikowaną, taką cierpiącą?

– Wszystko dobrze – powiedziała uspokajająco. – Doskonale. I będzie doskonale. Obiecuję ci.

Rozejrzała się, uchwyciła przez szybę w drzwiach wzrok pielęgniarki i energicznie zamachała ręką.

– Może dacie jej jakiś środek? – syknęła, kiedy drzwi się otworzyły. – Proszę popatrzeć, ona ma bóle!

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Przykro mi, proszę pani. Dostała już wszystkie leki, które mogliśmy jej dać.

– Hm... a znieczulenie zewnątrzoponowe?

– Na razie o wiele za wcześnie. Przyślemy trochę lodu. – Drzwi znów się zamknęły.

– Co ona powiedziała? – załkała Jane. – Prędko mi dadzą leki? O Boże, chcę wszystko, co mają. A mówiłam, że niczego nie potrzebuję. Co ja miałam w głowie? Dlaczego byłam taka głupia?

– Każda tak myśli, zanim się zacznie. Daj spokój. Będzie dobrze.

Jane znów ścisnęła Annie za rękę, odcinając dopływ krwi.

– O Boże... Gdzie jest Mike, do diabła? Nie zostawisz mnie, prawda? Proszę, nie zostawiaj mnie!

Annie wciąż masowała jej plecy, czując, jak pod powłoką brzucha obraca się i porusza dziecko. Dziecko jej byłego męża. Najdziwaczniejsza sytuacja na świecie... Na szczęście, dzięki Polly, zyskała ostatnio trochę doświadczenia, jeśli chodzi o rzeczy dziwne.

– No dobrze – powiedziała. – Pora na specjalne ćwiczenia oddechowe. Zgoda?

Później Annie będzie wspominać ten dzień jako pouczający, przerażający i totalnie przytłaczający. Kiedy rodziła własne dziecko, większość czasu była nieprzytomna. Przechodziła od krzyku do chichotu, kiedy podziały lekarstwa i wieźli ją na cesarkę. Kiedy się obudziła, na jej piersi leżał opatulony noworodek, a Mike patrzył na niego z uwielbieniem. Gdyby wiedzieli, co ich czeka...

Teraz, jako osoba z zewnątrz, widziała każdą krwawą, pełną wrzasku chwilę narodzin córeczki Jane. Starła się trzymać z daleka od istoty sprawy, wkładała tylko jęczącej Jane kawałki lodu do ust, trzymała ją za rękę i ocierała z czoła pot strachu.

– Gdzie jest Mike? Gdzie jest Mike, kurwa mać? – powtarzała Jane.

– Nie wiem. Nie wiem – odpowiadała Annie.

Jane znowu się położyła, wyczerpana skurczami, które przebiegały przez nią falami.

– Dobrze, że tu jesteś. Zawsze myślałam, że przyjdiesz, jak będę rodzić.

I Annie przypomniała sobie coś z tej szczęśliwej mgielki, w jakiej się

znalazła po urodzeniu Jacoba – Jane przyszła pierwsza, jeszcze zanim Annie wzięła synka na ręce. Wpadła z balonami i niebieskim misiem rozmiarów małego psa i z radością uściśnęła Mike’a. Czy to się zaczęło już wtedy? Czy powinna była to dostrzec? To, co narastało między Mikiem a Jane?

Nie. Nie pójdzie znów tą drogą. Nie pozwoli, żeby każde dobre wspomnienie szerniało w jej rękach jak zgniły owoc, skażone jej żalem i cierpieniem. Jane była kiedyś jej najlepszą przyjaciółką. Mike był jej mężem. To się zaczęło dopiero później, kiedy stracili Jacoba i wszystko się rozpadło. Musi w to wierzyć.

Lekarka stojąca między nogami Jane podniosła wzrok. Twarz pod maską była spięta.

– W porządku, pani Hebden.

– Słucham? – o mało nie powiedziała Annie. Ugryzła się w język.

– Jane, chcę, żebyś ostatni raz mocno parła. Ona już jest gotowa, żeby wyjść.

– Ale Mike’a tutaj nie ma! Gdzie on, kurwa, jest? Nigdy mu nie wybaczę, nigdy...

– Nie możemy czekać. Pchasz. Ostatni raz, ale mocno.

Jane wrzasnęła tak głośno, że Annie pomyślała, że to ją chyba rozedrze na pół, i poczuła ból własnej ręki, ściśniętej do połamania kości. Stęknęła – i nagle, ni stąd, ni zowąd, rozległ się jeszcze jeden głos i w sali pojawiła się jeszcze jedna osoba. Na piersi Jane położono śliską grudkę, całą we krwi i śluzie, z kępką ciemnych włosów i zaciśniętymi oczami.

– Dziewczynka – stwierdziła lekarka. – Gratulacje, mamusiu.

Mamusiu... Annie stwierdziła, że płacze. Jej nikt tak nigdy nie nazywał. Jacob nigdy tak do niej nie powiedział i nigdy już nie powie. Wszystkie płakały, ona, Jane i niemowlę, czerwone i rozwrzeszczane.

– Wszystko z nią w porządku? – Jane macała, szukając dziecka, i na ślepo przygarbowała je do piersi. – Wszystko dobrze?

– Jest piękna – powiedziała Annie. – Najpiękniejsza na świecie.

Później – nie wiedziała dokładnie, o ile później – siedziała przy łóżku na krześle, a Jane spała. Po prostu odpłynęła. W ramionach Annie spoczywało niemowlę, jeszcze bez imienia, opatulone w biały kocyk, z jedną rączką zaciśniętą w piąstkę. Kołysała je delikatnie, gdy wtem otworzyły się drzwi. Annie odruchowo przytuliła maleństwo obronnym gestem do piersi.

Mike patrzył na nią – swoją byłą żonę – jak trzyma jego dziecko.

– Co...?

Annie przestraszyła się. Co on sobie pomyśli, że ona tutaj jest? Poderwała się tak szybko, że niemowlę poruszyło się i miauknęło cichutko.

– Nie mogli cię znaleźć. Ja tu byłam, bo moja przyjaciółka jest chora, więc Jane poprosiła, żebym przyszła. I... Masz! – Wyciągnęła ku niemu niemowlę niczym gwiazdkowy prezent.

Mike gapił się to na Jane, to na Annie, to na swoje dziecko.

– Ja... wyłączyłem telefon. Pokłóciliśmy się... Jezu. To miało być za miesiąc!

– Ale już ją masz.

– Ją?

– Ją. Masz... – Nagle zachłysnęła się łzami. – Masz córkę, Mike. Spójrz na nią. Jest śliczna.

Wziął dziecko na ręce i patrzył na nie tak samo, jak kiedyś na Jacoba.

– Nie mogę uwierzyć. Byłaś tutaj przez cały czas?

– Na dowód czego mam złamaną rękę. – Podniosła dłoń i znowu aż się poderwała, kiedy Mike ją chwycił.

– Annie... nie było mnie tutaj. Nie mogę uwierzyć, że mnie tutaj nie było. Ona musi mnie nienawidzić. Przepraszam... Ciężko mi to ogarnąć.

– Kto wie, czy w ogóle będzie z tego wiele pamiętała – skłamała Annie.

– Pokłóciliśmy się... Powiedziałem, że wtedy nie powinna cię była wpuszczać do domu. Bardzo źle to zniosła. Uważała, że zostaniemy ukarani za to, co ci zrobiliśmy... no i dziecko urodziło się wcześniej...

– Lekarka mówiła, że wszystko z nią w porządku. Jest tylko troszkę przymała.

Twarz mu się wykrzywiła i Annie zdała sobie sprawę, że Mike za chwilę się rozpłacze, do kompletu.

– Annie, a jak znów tak będzie? Ja tego nie zniosę. Ja... – Pochylił głowę nad niemowlęciem i wstrząsnął nim szloch. – Ja wcale nie chciałem kolejnego dziecka! Nie zniosę tego, jeśli ją też stracę!

Annie ostrożnie odebrała mu dziecko.

– Nie stracisz jej, Mike. To, co stało się z Jackeyem, to po prostu upiorny pech. Drugi raz tego nie będzie.

Mike szlochał, wpychając pięści w usta.

– Że ty w ogóle z nami rozmawiasz... po tym, co zrobiliśmy... Co ja zrobiłem... Musisz nas nienawidzić.

Annie bezradnie wzruszyła ramionami.

– Wiesz... przez jakiś czas nienawidziłam wszystkich. Ciebie. Jej. A najbardziej siebie samej. Ale... ostatnio chyba się to zmieniło. My z tobą... i tak nie dalibyśmy sobie z tym rady, prawda?

– Po prostu nie potrafiłem do ciebie dotrzeć. Czułem się taki bezradny. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

– Wiem – uspokajała go Annie (choć wcale nie była tego taka pewna). – Byliśmy załamani. Oboje. I ty po prostu zacząłeś nowe życie. To nie zbrodnia, tylko dlatego, że ja tak nie potrafiłam.

– Tak strasznie chciała, żebyś jej wybaczyła.

– Wybaczam – powiedziała Annie. – Wybaczam, naprawdę. – I może nawet była to prawda. A nawet jeśli nie była – jeśli Mike postąpił wobec niej najgorzej, jak tylko można sobie wyobrazić – teraz chyba nie miało to znaczenia. Teraz, kiedy na świat przyszła zupełnie nowa istota.

Nadal szlochał bezładnie. Annie wskazała mu krzesło, po czym przespacerowała się z dzieckiem po sali i znów je uspiła. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że przez szybę w drzwiach zagląda Polly: wychyliła się z wózka i przysłaniając oczy, usiłowała coś zobaczyć w środku. Annie po cichu uchyliła drzwi i przyłożyła palec do ust.

– Nie powinnaś wychodzić z łóżka!

– Nudziło mi się. Co się u diabła dzieje? Nie było cię całe godziny.

– To. – Annie uniosła dziecko w ramionach.

– Czy to... Boże święty. Byłaś przy jej porodzie?

– Nie miałam wielkiego wyboru. Mike był na samowolce.

Rozmawiały szeptem.

– To on? – Polly zawęszyła ciekawie na widok barczystego Mike'a obok uspiionej Jane. – Annie, będziesz musiała opowiedzieć mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

– Dobrze. Ale... popatrz na nią. – Podesunęła dziecko Polly.

– O mój Boże. Jest taka malutka...

– No. – Znowu łzy napłynęły jej do oczu. – Wygląda zupełnie jak on. Naprawdę. Jak Jacob.

– Och, Annie... Pewnego dnia będziesz miała inne dziecko. Po prostu wiem. Mnóstwo słodkich dzieci, może w kiltach...

– Przestań. – Annie otarła twarz rękawem, jako że w rękach trzymała maleńką dziewczynkę, która patrzyła na nią ciemnoniebieskimi oczami. Wszystko widziała po raz pierwszy. Cały świat miała przed sobą, lśniący i nowy. – Wszystko będzie ze mną okej, obiecuję. Ale na razie powiedz „cześć” osobie, która jest... a przynajmniej była przed chwilą... najnowszym człowiekiem na tej ziemi.

Dzień 68

ŁĄCZ LUDZI

Czyli tak: do króliczej norki, bieg wokół drzewa, i z króliczej norki króliczek dalej zwiewa!

– To jest trudniejsze, niż pani mówi, pani C – stęknęła Polly, walcząc z drutami i wełną. Annie wiedziała, że przyjaciółce brakuje siły w nadgarstkach, żeby je utrzymać.

– Dziś nikt nie umie robić na drutach. Wy, młode dziewczyny, po prostu kupujecie swetry w sklepach. A to tak drogo!

– Ja umiem robić na drutach, mam – powiedziała Annie. – Uczyłaś mnie, pamiętasz?

To jeszcze jedna rzecz, którą robiły w domu w długie niedzielne popołudnia – hobby, które niewiele kosztowało i pozwalało zaoszczędzić na kupnie odzieży. Pomyślała, że to nie w porządku. Jej matka wyglądała lepiej niż Polly, która zaledwie parę tygodni temu była taka barwna i pełna życia. Teraz wszystko z niej wyciekło. Biały szpitalny szlafrok, białe prześcieradła, blada twarz, łysa głowa... Tymczasem mama się ożywiła. Twarz jej się zaokrągliła, z nogą było lepiej, była weselsza i mniej dezorientowana. Ale nadal nie wiedziała, kim jest Annie. Może już nigdy jej nie rozpozna.

Teraz znów na jej twarzy pojawiło się napięcie, tak jakby usiłowała coś zrozumieć.

– Ja ciebie uczyłam? Ale kiedy... a właściwie to kim jesteś, kochana?

Może to okrucieństwo – ciągle jej przypominać, że nie jest już sobą...

– To nie ma znaczenia – powiedziała uspokajająco. – Fajnie, że nam to pokazujesz, Maureen.

– Wiesz, uczyłam dzieci w szkole. Chciałam się kształcić na nauczycielkę, ale niestety, nie spaliśmy na pieniądzach.

Kiedy Annie poszła do liceum, została asystentką nauczyciela, na część etatu. Wystarczało jej tak niewiele. Małe, nieważne życie. O nic nie prosiła, nic nie dostawała. Było w tym coś okrutnego – siedziała oto z matką, wiedząc, że ojciec nie żyje, i nie mogła z nią porozmawiać o swoim wyjeździe do Szkocji ani że jest na nią zła, że jej nie powiedziała o ojcu i jego próbach nawiązania kontaktu. Odepchnęła te myśli i zmusiła się do uśmiechu.

– Pokaż nam jeszcze raz, Maureen. Dobrze? Taka jesteś w tym dobra.

Rozdział 69

ZASZALEJ

Annie! – Przed izolatką Polly stał Costas, wymachując ze wzburzeniem rękami. – Dzięki Bogu, że jesteś. Mamy problem, Houston.

– O co chodzi? Coś z Polly? – Annie próbowała zajrzeć mu przez ramię do środka, ale Costas zagradzał jej drogę.

– Annie, zrobiłem coś złego.

– Na pewno nic wielkiego.

Uniósł ręce w geście poddania.

– Sama zobacz. To jest bardzo złe.

Weszli. Polly wyglądała przez otwarte okno. Otwarcie niewiele dało, bo na sali śmierdziało trawką. George siedział obok na krześle, oczy miał zamknięte.

Annie odwróciła się do Costasa. Oczy miał okrągłe ze strachu.

– Ty im to przyniosłeś?

– Kolega w pracy miał trochę... Annie, ja nie wiedziałem, że będą palić tutaj! Będziemy mieli wielkie kłopoty!

– Nie pękaj, Costasie z Costy – wybełkotała Polly od okna. – Po prostu chciałam być ostatni raz na haju. Co w tym złego?

– To, że palisz – syknęła Annie. – W szpitalu! Z guzem w płucach! Może byś tak odeszła od tego okna?

Polly cofnęła głowę. Jej ciałem wstrząsnął atak kaszlu.

– Raczej nie dostanę od tego kolejnego guza, prawda?

– Nie o to chodzi! Popatrz na siebie. Cała przemarzała! – Rzeczywiście, drżała i miała gęsią skórę, a oczy przekrwione i opuchnięte jak ci chłopcy, którzy palili za szopą na rowery kiedyś w szkole.

Zapędziła Polly do łóżka, wyjęła jej z palców żarzącego się dzointa i zgasiła go w szklance z wodą.

– No już, rozgrzej się. George, jak mogłeś na to pozwolić?

Żadnej odpowiedzi.

– Hm, Annie – szepnął Costas. – On... śpi.

Odwróciła się. George zwisał bezwładnie z krzesła, najwyraźniej sztywny. Costas wachlował go rękami.

– Och, na litość boską... Costas, idź poszukać doktora Maksa.

– Nie! – zajęczała Polly z łóżka. – Będzie na mnie krzyczał!

– I będzie miał za co. Idź, Costas!

Poszedł. George zachrapał przez nos. Annie wsparła ręce na biodrach i popatrzyła ze złością na malutką postać w łóżku.

– To pewnie był twój pomysł.

– Po prostu chciałam to zrobić... ostatni raz – wyrzeźbiła Polly. – Poczuc, że żyję. Poczuc się normalnie. Przestać być takim psujem dobrej zabawy.

– Polly, martwię się o ciebie. Posłuchaj swojego oddechu. – Grzechotał jak moneta wciągnięta przez odkurzacz.

Polly zakaszlała.

– Nie szkodzi. I tak umieram. Jakie to ma znaczenie, że palę trawkę albo upijam się na sztywno, albo bzykam się z każdym w szpitalu? No powiedz, Annie. Jaka to różnica, że przez ostatnie dni, jakie mi zostały, pożyję na całego?

Annie próbowała coś wymyślić.

– No wiesz... Nikt nie chce umierać na zapalenie pęcherza.

Polly wydała głośny pół szloch, pół śmiech. Przez ostatnie parę dni Annie często słyszała u niej taki dźwięk. Po chwili już tylko płakała z wykrzywioną, mokrą twarzą.

– Cholera, Annie... Już miałam moje ostatnie razy. Być na haju, upić się czy nawet pójść z kimś do łóżka... już nigdy mi się nic z tych rzeczy nie przydarzy. Już nigdy nie będę z nikim spała. Umrę tutaj, w tej koszmarnej szpitalnej sali, w tej pościeli, która zdecydowanie nie jest z najlepszej egipskiej bawełny...

Annie pomyślała chwilę i zdjęła tenisówki.

– Posuń się.

– Co ty robisz?

– Kładę się koło ciebie.

– Hm. Bez obrazy, ale ja myślałam raczej o kimś takim jak Ryan Gosling.

– Cóż, masz mnie. Jak się nie ma, co się lubi, to wiesz.

Łóżko było wąskie, ale Polly skurczyła się teraz do rozmiarów dziecka. Annie położyła się koło niej, myśląc o noclegach z Jane i dziewczynami, kiedy była nastolatką, o tym, jak zwierzały się sobie po nocy z rozmaitych tajemnic i chichotały tak głośno, że mama Jane przychodziła i uderzała pięścią w drzwi, żeby się uciszyły.

Polly oddychała ciężko, pościel była mokra od jej łez.

– Przepraszam.

– W porządku. Nic się nie stało. Chyba.

– Max będzie zły? – spytała żałośnie.

– No.

– Może byś mogła mu to jakoś wytłumaczyć? Wiesz, on cię lubi. Nawet bardzo.

Annie nie chciała teraz o tym myśleć.

– Ćśś. Jest dobrze. – Pogłaskała Polly po włosach, a raczej po tym, co z nich zostało, i po skurczonej twarzy. Z tą skórą obciążającą kości policzkowe wyglądała jak staruszka. Niknęła z minuty na minutę.

– Annie – szepnęła cichutko Polly. – Teraz jesteś chyba moją najlepszą

przyjaciółką. Wiesz o tym? Dziękuję ci za... dziękuję ci za to, że tutaj jesteś. Zostaniesz?

– Oczywiście. Nigdzie się nie wybieram.

– Bo ja cię potrzebuję. Żeby przez to przejść. Wiem, że byłam samolubna i okropna i... przepraszam.

– Ćśśś – szepnęła znowu, przełykając gulę w gardle. – Wszystko jest dobrze. Wszystko jest dobrze. – Chociaż wcale nie było.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – Drzwi otworzyły się gwałtownie i wtargnął doktor Max, a za nim zdenerwowany Costas. Max miał odcisniętą brudę na policzku, tak jakby spał przy biurku.

– Ćśśś. – Annie uniosła palec do ust. – Śpi. – Bo oddech Polly się uspokoił, oczy miała zamknięte. Piąstki zwinęła pod brodą jak dziecko.

Max zniżył głos.

– Naprawdę śpi, czy tylko udaje, żebym na nią nie krzyczał? Palić trawkę, na litość boską! Czy ona ma dobrze w głowie?

Podszedł, żeby skontrolować jej funkcje życiowe. Wziął ją za nadgarstek i sprawdził puls. Annie opuściła nogi z łóżka i wstała.

– Przepraszam – szepnął Costas, łamiąc ręce. – Wszystko z nią dobrze?

– Cóż, nie gorzej niż było. Ale serio... to się nie może powtórzyć. Zrozumiano? Następnym razem będę musiał wezwać policję.

Costas wyglądał, jakby się miał rozpłakać.

– Chyba nie wiedział, że będą palić tutaj – usprawiedliwiała go Annie. – Chciał tylko pomóc.

– Zabronionymi przez prawo narkotykami. – Max ostrożnie podniósł powiekę Polly.

– A sam nigdy nie popalałeś? Daj spokój. Nie czepiaj się go.

– Nie w szpitalu i nie kiedy mam guz w płucach. – Złagodniał. – Chyba nic takiego się nie stało, ale naprawdę George powinien być mądrzejszy i... ej, a gdzie on jest?

Wszyscy się odwrócili, by ujrzeć puste krzesło i otwarte drzwi.

– *Skata* – zaklął Costas.

George jednak nie zaszedł daleko. Leżał na podłodze przy automacie do sprzedaży. Stanęli nad nim we troje.

– Zaklinałem się – powiedział żałośnie.

Max ukląkł.

– Nie wiem, George, co z tobą zrobić. Najpierw narkotyki, potem próba kradzieży kitkاتا?

– Zapłaciłem... Nie wypadł.

– No tak, znam to uczucie. Sprawdźmy. – Max zajrzał do szczeliny na monety, nacisnął kilka guzików i wystawił rękę, żeby złapać to, co maszyna

wypluła. – Hm, widzisz, George, twój problem polega na tym, że ta maszyna nie akceptuje żetonów na siłownię.

– Aha – bąknął George. – Hm... pomożesz mi?

Max podwinął rękawy.

– Nie cieszysz się, że jest z tobą światowej sławy specjalista od chirurgii ekstrakcyjnej automatów do sprzedaży?

– Chirurgii? – Wargi mu zadrżały.

– A jakże. Nie da rady, trzeba będzie ci amputować rękę, chłopcze.

George się rozplakał. Max przewrócił oczami.

– Boże, ludzie na haju wszystko biorą na poważnie. Dalej, Costas, łap go za nogi. Chudy jesteś, skoro zdołałeś wepchnąć tam rękę.

Trochę pchali, trochę ciągnęli, George kwilił jak szczeniak, ale po dłuższej chwili był wreszcie wolny. Nie dostał kitkata, ale przynajmniej zachował w całości wszystkie kończyny.

– To było straszne. Myślałem, że umrę.

– Może powinieneś odstawić dragi, chłopcze. Wygląda na to, że to nie dla ciebie.

Costas klęczał przy George'u, czule badając jego obrzemiały nadgarstek.

– George, proszę... Musisz bardziej uważać. Zrobisz sobie krzywdę.

George zakrył oczy zdrową ręką.

– To był jej pomysł. Chciała ostatni raz odlecieć. Jak mogłem odmówić? O Boże... Jak to możliwe, że to ostatni raz? Moja siostra. Ona jest moją siostrą! Zostanę... tym, no, jak to się nazywa... jakby sierotą, ale nie sierotą?

Annie i Max wymienili spojrzenia.

– Jedyńkiem? – zaryzykowała.

– To nie jest w porządku. – George znów płakał. – To nie jest w porządku. Dlaczego Polly? Jest takim dobrym człowiekiem, taka mądra, taka pełna życia, taka niezwykła, a teraz umiera. To nie w porządku!

Costas przytulił go, szepcząc coś po grecku. Annie popatrzyła na Maksa i dziwny prąd przeniknął ją od stóp do głów. Zew krwi był tak potężny, że aż się zdziwiła, że nadal stoi, nadal ma na sobie ubranie. Max podrapał się w głowę. Jego rumieniec świadczył, że mógł poczuć to samo.

– Posłuchaj – wykrztusiła, nie patrząc mu w oczy. – Chodzi o Szkocję. Nie pamiętam, czy cię przeprosiłam za... wszystko. Ale przepraszam. Naprawdę. Byłeś dla mnie takim dobrym przyjacielem, a ja tak ci odpląciłam... Byłam okropna.

– Przyjacielem.

– No... tak. – Chciała, żeby był kimś więcej, znacznie więcej, ale nie wiedziała, jak to wyrazić, jak znaleźć w sercu miejsce obok tego wielkiego głazu, którym było umieranie Polly. – Ja...

Na chwilę zapanowała cisza, trwająca dłużej, niżby uważała za możliwe.

– Wszystko w porządku – powiedział. – To nie ma znaczenia. No to dalej, zanieśmy młodego George’a do łóżka, żeby mógł to odespać.

Dzień 70–80

DAJ SOBIE LUZ

Pod koniec, podczas ostatnich dni Polly, Annie czuła się jak jaskiniowiec. Do domu szła tylko po to, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie, a resztę czasu spędzała w szpitalu, kursując między jednym łóżkiem a drugim.

Jane wypisano do domu z dzieckiem w chuście. Nadal płakała i prosiła Annie, żeby przysłała z wizytą. Mike powtórzył zaproszenie, chociaż trochę bardziej nerwowo.

Annie powiedziała, że oczywiście. I może nawet naprawdę przyjdzie. W tej chwili jednak trudno było przewidywać dalej niż na jeden dzień. Na razie pozwoliła im – Jane, Mike’owi i ich dziecku – by odpłynęli, zniknęli z pola widzenia jak łódź, która chowa się za horyzontem. Wystarczy.

Do szpitala przywieziono maszynę do rezonansu magnetycznego, opłaconą z pieniędzy, które zgromadzili online i na koncercie dobroczynnym. Ustawiono ją, przybyła lokalna prasa, doktor Max niezręcznie przeciął wstęgę, a Milly podrzuciła historię „Guardianowi”, który zamieścił tekst o inspirującej roli Polly. Na maszynie umieszczono tabliczkę z napisem: „Ufundowana przez przyjaciół Polly Leonard”. Sama Polly była zbyt chora, żeby wstać z łóżka.

Annie zaczęła przyłapywać matkę na tym, że popatruje na nią podejrzliwie, tak jakby Annie chodziła w jakimś nieprzekonującym przebraniu. Jakby ją rozpoznawała, ale nie mogła sobie przypomnieć jej imienia, które miała na końcu języka.

George’a wezwano na kolejne przesłuchanie do chóru w musicalu na West Endzie – tym razem w *Facetach i laleczkach*. Napomknął, że może nie pójdzie, bo Polly jest chora, ale Annie na prośbę Polly tak długo go męczyła, aż zmienił zdanie.

Costas został uznany w Costa Coffe za pracownika miesiąca i przyniósł im wszystkie darmowe ciastka. Prawie codziennie przemycił Bustera, żeby zobaczyć się z Polly, aż doktor Max zauważył, że jego sportowa torba poszczekuje, i zakazał tego.

– Faszysta – wyrzęziła Polly.

Milly przyprowadziła swoje bliźniaki, Harry’ego i Lolę, które zabazgrały ściany kredką do oczu, a potem jadły czekoladki, które przysłało Polly, dopóki Harry nie zwymiotował za monitorem serca.

Suze przysłała z podróżnymi poduszczkami na kark, termoforami i ze swoim najnowszym, koszmarnym chłopakiem, Henrym, który prowadził startupową spółkę kawiarnianą w Shoreditch (Polly wyszeptwała: „na łożu śmierci proszę, żebyś nigdy więcej nie umawiała się na randki z kimś, kto prowadzi jakiegokolwiek

start-upy”). Musieli poprosić ludzi, żeby przekazywali datki na fundusz zamiast kwiatów, których zrobiło się tak dużo, że Max zaczął zrzędzić, że czuje się jak w *Dniu tryfidów*.

Valerie czesała resztki włosów Polly i nakładała krem na jej suchą skórę. Kiedy Polly kaszlała i pojawiały się kropelki krwi, szkarłatne jak maki, podstawiła jej pachnące chusteczki.

– Proszę, kochana, zmywają i nawilżają, tak o tym się mówi, prawda?

Roger czytał jej kolorowe czasopisma dla kobiet.

– No to zaczynamy. Dziesięć błędów przy makijażu... Boże święty, co to za nonsens?

Oboje praktycznie zadomowili się w izolatce. Przynosili czyste piżamy, książki, których Polly nie mogła czytać, i domowe jedzenie, którego nie mogła jeść, ale przede wszystkim pojawiali się o najróżniejszych porach.

Doktor Quarani też często bywał u Polly, chociaż pracował na innym piętrze.

– Co z nią? – pytał Annie, ilekroć ją spotykał.

Annie tylko kręciła głową.

– Wciąż jest. Jak dotąd. – Nic więcej nie dało się powiedzieć. I tak dzień po dniu.

Kiedy była w szpitalu, bardzo często mijala Maksa, jak kupował w barku poczwórne espresso, sprawdzał karty pacjentów, badał im tętno, prosił, żeby śledzili wzrokiem jego palec, przeglądał skany, golił się w toalecie, jadł twixy, siedział na wózkach z noszami i czytał książki medyczne albo Jilly Cooper. Czowała, że wiele powinni sobie jeszcze powiedzieć – tyle, że wystarczyłoby na wypełnienie jednej z tych grubych książek, które czytał – ale na razie widziała tylko na kilka kroków przed sobą, jakby szła w nocy i we mgle. Była w stanie tylko wstać, wziąć prysznic, ubrać się, a potem zajmować się Polly i matką.

Był taki dzień, kiedy Polly naciągnęła prowadzącego szpitalne radio – didżeja Snazzyego Steve’a – do puszczenia *Is this the Way to Amarillo* i namówiła wszystkich na oddziale, personel, odwiedzających i każdego pacjenta, który jako tako się czuł, żeby zatańczyli kongę na korytarzach. Przewijali się szeregiem przez sale, aż przyszła rozbawiona ochrona szpitala, którą Polly tak omotała, że i oni przyłączyli się do szeregu.

A potem przyszedł dzień, kiedy Polly zamówiła pizzę dla wszystkich w szpitalu z dostawą do łóżek, przy czym dostawca, chociaż to był maj, był w przebraniu Świętego Mikołaja, a George, przebrany za elfa, popychał jej wózek.

I były wizyty. Dion, którego wypisano do domu, przyszedł mizerny i elegancki, w jasnoszarym garniturze, z lakierowaną laską. Przyjaciółka Polly, Sandy, stylistka, modna i chuda prawie tak jak Polly, przesznurowała amaretto w piersiówce i opowiadała plotki z wybiegu. Przychodzili przyjaciele starzy i nowi, prawdziwi i fałszywi, płaczący i roześmiani, stoicy, samolubni. I wszystko

minęło, bo tak to jest z czasem. Ciągłe upływa. I wreszcie się kończy.

Dzień 81

POGÓDŹ SIĘ

Nie rozumiem – powiedział Tom. – Dlaczego przyszłaś?

Annie starała się być wyrozumiała. Wiedziała z doświadczenia, że to niepokojące, kiedy pod naszymi drzwiami staje jakaś dziwna kobieta.

– Przysłała mnie Polly. Teraz jest gotowa do rozmowy z tobą.

Mimo że była dziesiąta rano w dzień roboczy, Tom miał na sobie granatowy szlafrok. W jego biurze powiedzieli, że od jakiegoś czasu nie pojawia się w pracy. Nie golił się też od paru dni. Stał i drapał się w brodę.

– Ale... ostatnim razem mnie odprawiła.

– Wiem. Nie była gotowa. Teraz jest.

– Nawet nie wiem, kim jesteś.

– Jestem... słuchaj, czy to ważne? Jestem jej przyjaciółką. Fakt, znamy się od niedawna, ale... jestem jej przyjaciółką. I naprawdę uważam, że powinieneś natychmiast ze mną pójść. Uwierz mi. Inaczej będziesz żałować.

Odwrócił się w stronę holu.

– Nie jestem ubrany. Ja... no cóż, wziąłem trochę wolnego z pracy. Właściwie to wysłali mnie do domu. Po tym, co się poprzednim razem zdarzyło w szpitalu. Nie byłem sobą. Narobiłem scen... Coś rozbiłem.

– Naprawdę? Co?

– Kubek do kawy. I, hm... kserokopiarkę. Byłem trochę... zdenerwowany.

Annie знаła to uczucie.

– Czy ona tu jest... Fleur, tak ma na imię?

Pokręcił głową.

– Ona... ona się wyprowadziła. Robiłem za dużo problemów, powiedziała.

Annie westchnęła. Tyle ofiar toczącej się wojny.

– Może weźmiesz szybki prysznic, ubierzesz się i pójdziesz ze mną? Polly jest bardzo chora. To jest to.

Patrzyła, jak uderza w niego ta wiadomość, jak przesącza się w niego powoli jak mleko wlane do kubka kawy.

– Och. Chyba jakoś... cholera. Nie jestem gotowy.

– Nikt nie jest. Ale to się stanie. Niedługo. Więc chodź ze mną i pogódź się z nią. Przynajmniej tyle możesz dla niej zrobić.

Czekała w kuchni, kiedy brał prysznic. Panował tu bałagan, wokół zlewu stały stosy brudnych talerzy, a obok kosza na śmieci sterty pudełek po pizzy na wynos. Widać było jednak, że wcześniej musiało tu być bardzo ładnie. Posadzka z lśniącego marmuru, starannie dobrane antyczne meble. Na jednej ścianie zdjęcia z życia Polly i Toma w pieczołowicie odrapanych, stylizowanych na stare ramkach.

Z jej rodzicami, z George'em. Na jednym ze zdjęć rozpoznała Milly i Suze w strojach druhen. Żadnego szyfonu i bufiastych rękawów, tylko proste sukienki-koszulki z czerwonego jedwabiu, na wąskich ramiączkach. Pośrodku stała Polly w sukni ślubnej. Była taka piękna, że wprost trudno było to pojąć. Jak gwiazda filmowa. Włosy miała splecione w luźny warkocz utkany stokrotkami, koronkowa suknia przylegała do krągłych bioder. Nie do wiary, że to ta sama kobieta leżała teraz w szpitalnym łóżku, skurczona do rozmiarów małego dziecka, łysa i blada, pokryta łuszczącą się wysypką. Annie ścisnęło w gardle. Miała rację – zanim pojawił się rak, życie Polly rzeczywiście było doskonałe, przynajmniej z zewnątrz. Ale jednocześnie daleko mu było do doskonałości. Bardzo daleko.

– To był dzień naszego ślubu. – W drzwiach stał Tom, pachnący limonką, ubrany w szare dżinsy i gruby granatowy sweter. Znów mężczyzna z żurnalu. I mąż doskonały.

Annie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ślicznie wyglądała.

Przetarł oczy.

– Nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

– Rozumiem. Ale się stało. Chodźmy.

– Zostajesz? – W drzwiach do izolatki Polly Tom się zawahał, wyraźnie skrzepowany. Nie otworzyła oczu, kiedy wszedł. Oddychała powoli i głośno, wokół niej szumiały i popiskiwały maszyny.

– Wybacz. Prosiła mnie o to... ostatnio trudno jej mówić z tym respiratorem, ale powiedziała mi, co mam ci przekazać. Wiem, że to trudne.

Wyglądał na nieszczęśliwego.

– Ale ja... my... musimy coś sobie powiedzieć. To sprawy osobiste.

Annie rozpoznała, że Polly nie śpi. Trzeba było spędzić z nią wiele czasu, żeby to zauważyć po jej przymkniętych powiekach, a ona przez ostatnie dwa dni prawie nie wychodziła ze szpitala. Polly głęboko nabrała powietrza i wykaszała je w maskę tlenową.

– Tom – zaszemrała. Plastik zaparował.

– Cześć. Jak się...? – Umilkł. – Jezu, Poll. Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro. Nie miałem pojęcia, że to tak szybko pójdzie, myślałem, że cię uratują, wiesz, i...

Polly ścisnęła Annie za ramię. To był bardzo lekki uścisk, jak pulsowanie arterii.

– Ona nie chce, żebyś się usprawiedliwiał – przetłumaczyła Annie. – Wie, że powinna ci była powiedzieć, co się dzieje, i przeprasza, że tego nie zrobiła.

Tom tylko patrzył.

– Czy mogą coś na to poradzić? Może by coś zrobili?

– Robili już wszystko. – Annie mówiła stłumionym głosem, świadoma, że

powtarza słowa Maksa. – Radioterapia, chemioterapia, chirurgia... Guz jest złośliwy i rozrasta się, i już nie mogą tego powstrzymać. Ma drugiego guza w płucach, naciska jej na kręgosłup. Nie może już chodzić, a mowa i wzrok się pogarszają. Bardzo ją boli.

– Tak mi przykro – powtórzył. Twarz miał lśniąca od łez.

Polly zdjęła maskę, jej kruchym ciałem wstrząsnął spazm kaszlu.

– F...Fleur...

– Nie ma jej w domu. Przepraszam, że pozwoliłem jej się wprowadzić. Nie wiem, co ja... ale odeszła.

Polly poklepała Annie w ramię.

– Óóó – uciszyła go Annie. – Tom, ona chce wiedzieć, czy jesteś szczęśliwy z Fleur? A przynajmniej czy byłeś szczęśliwy?

– Hm... chyba tak, ale ja nie...

– M...miłość? – wydobyła z siebie Polly.

– Kochałeś ją? Ona kochała ciebie? Tom, ona chce usłyszeć prawdę.

Pokiwał głową. Szloch wyrwał mu się z piersi.

– Więc Polly chce, żebyś znów się z nią zszedł i był szczęśliwy. Bo z Polly nie byliście szczęśliwi i jej czas już się kończy, ale twój nie. A życie każdego z nas jest za krótkie, żebyśmy mieli nie być szczęśliwi. – Rzuciła okiem na Polly, która słabo pokiwała głową. Czyli mówiła, co trzeba. – Więc idź do domu, zadzwoń do niej i bądźcie razem. Jeśli będziesz chciał przyjść na pogrzeb, będziesz mile widziany. Możesz nawet przyprowadzić Fleur. – Polly wymogła na niej, żeby dodała to ostatnie zdanie, chociaż Annie skrzywiła się od siebie w stronę Toma. Sądząc po jego minie, można by pomyśleć, że to on ma nacisk na kręgosłup.

– Ale ja nie mogę... jak ona może tak po prostu... Jezu, Polly! Tak nie można! Jesteś moją żoną!

Polly poklepała Annie.

– Wszystko w porządku, Tom. Uważaj się za rozwiedzionego, tyle że bez tych wszystkich tych papierów – przetłumaczyła Annie i dodała: – Przepraszam, kazała mi obiecać, że powiem to wszystko. – Polly popatrzyła na nią wściekle, a nie było to łatwe, bo nie miała siły na mimikę. – Nie chce być okrutna. Po prostu uważa, że wszyscy marnujemy życie, kiedy jesteśmy nieszczęśliwi, skoro moglibyśmy być szczęśliwi. Wiem, że to nie takie proste, ale trzeba się starać.

Polly znów poklepała Annie po ramieniu i zamknęła oczy. Z trudem oddychała.

– Jest już zmęczona. Chyba tylko tyle chciała powiedzieć.

Tom przepchnął się obok Annie, chwycił cienką rękę Polly i przycisnął do twarzy. Polly na chwilę się spięła, ale potem pozwoliła mu się objąć i sama objęła go słabymi rączkami. Kołysał ją, tłumiąc łkanie.

Annie szybko wyszła z sali. Słyszała, jak z jego płaczem miesza się cichszy

placz Polly: słabiutki, wyczerpany smutek. Łzy człowieka, który wypłakał je już niemal wszystkie. Kiedyś i z nią tak było... Czy Tom w ogóle będzie w stanie sobie wybaczyć? Czy świadomość tego, co zrobił Polly, nie zniszczy wszelkiego szczęścia, które mógłby mieć w przyszłości? Annie zrozumiała, że powinna się zmusić i wybaczyć Mike'owi i Jane. Raz na zawsze. Bardziej dla siebie niż dla innych.

Wkrótce Tom wyszedł na korytarz, ten w kolorze bólu. Miał otwarte usta, zwieszona ramiona.

– Czy naprawdę... nic już się nie da zrobić?

– Nie. Musimy pozwolić jej odejść.

Oparł się o ścianę, wciąż głośno szlochając. Piers falowała mu spazmatycznie, jakby miał zwiymiotować.

– Z tyłu masz krzesło – powiedziała Annie. – Usiądź na chwilę.

Padł na nie, jakby zawiodły go nogi. Przez jakiś czas szlochał w stulone dłonie, po czym podniósł wilgotną twarz.

– Pewnie myślisz, że jestem potworem. Zdradzać chorą żonę...

– Nie wiedziałeś, że jest chora.

– Po prostu... kiedyś ją naprawdę kochałem. Chyba... Nie pamiętam. Czy to nie straszne, że nie pamiętam, czy byliśmy szczęśliwi? Jakoś tam było – mieliśmy udane życie. Ładny dom. Wakacje i tak dalej. Myślałem, że jesteśmy szczęśliwi. Oboje cały czas pracowaliśmy, widywaliśmy się w przelocie, kiedy ona wychodziła na jogę, a ja wracałem z golfa, w łóżku byliśmy pod telefonem, pracowaliśmy do trzeciej nad ranem... A potem poznałem... Fleur... i zrozumiałem, że wcale nie byliśmy szczęśliwi. Byliśmy jak obcy, którzy mieszkają razem w pokazowym domu.

– Tęsknisz za nią, za tą Fleur? – Annie wyobraziła sobie dziewczynę dwudziestoparoletnią, w obcisłej lycrze.

– I to jak. Rozpłakałem się niedawno, kiedy w praniu pokazała się jej skarpetka z fitnessu.

– No i wszystko jasne. Znajdź ją. Tom... wiem, że pewnie będziesz się czuł z tym fatalnie, że Polly umiera, a ty ją zdradzasz i tak dalej, ale to po prostu pech. Ona mówiła to na poważnie. My wszyscy – przede wszystkim ja – musimy pozwolić jej odejść, a potem postarać się jeszcze bardziej.

– To znaczy? – Ocierał twarz, próbując doprowadzić się do porządku. Pomyślała, że mężczyzna taki jak Tom nie płakał co najmniej od trzydziestu lat.

– Nadal żyć. Starać się być szczęśliwym. To wszystko.

Kiedy odchodziła, ciągnął się za nią korytarzem jego urywany szloch.

Dzień 82

NAPISZ SWOJĄ MOWĘ POGRZEBOWĄ

Nie, nie, nie, nie, absolutnie nie ma mowy!

– Ale... dlaczego? – wychrypiała Polly.

– Na litość boską, Polly... Nie chcę pisać dla ciebie mowy pogrzebowej, kiedy jeszcze żyjesz!

Polly siedziała w łóżku. Na łysej głowie miała jedną ze swoich peruk, tym razem krótką różową. Jeśli nie liczyć wychudzenia, wyglądała całkiem w porządku. Czy to ten „ostatni dobry dzień”, o którym powiada ludowa mądrość na temat raka?

– Dlaczego nie? Dzięki temu ją... usłyszę.

– Bo to takie... cliwe i tak jakbyś chciała być ośrodkiem zainteresowania, i Jezu... co to, jakiś Instagram w realu czy co?

Polly zachowała spokój.

– Po prostu chciałabym się dowiedzieć... co ludzie o mnie myślą, zanim umrę. Jaki pożytek z mówienia o mnie miłych rzeczy, kiedy mnie już... nie będzie? Dlaczego nie mielibyśmy powiedzieć komuś, że go kochamy, kiedy może to jeszcze... słyszeć? Zdasz sobie sprawę, że... umieram, tak?

Annie cmoknęła.

– Po co to mówisz? Od miesiący niczym innym się nie zajmujemy, tylko twoim umieraniem. Jesteś tak zajęta swoim umieraniem, że zapominasz, że my nadal żyjemy.

Polly usiłowała przewrócić oczami.

– Jeśli ktoś tu zapomniał, że żyje, to ty, Panno Zero Luzu.

Annie nie cierpiała, kiedy Polly miała rację.

– Okej, dobra. Oczywiście postawisz na swoim, tak jak we wszystkim. Czego chcesz?

Polly się uśmiechnęła.

– Chcę... mieć niby-pogrzeb. Chyba w tutejszej kaplicy, bo... nie mogę wyjść na zewnątrz. Ale podciągnij ją troszeczkę, okej? No wiesz, kwiaty, świece i... te rzeczy. Tam jest tak depresyjnie. Poproś Sandy. Ona skończyła... projektowanie wnętrza. I zadbaj, żeby nikt nie był ubrany... na czarno. A zwłaszcza ty. To takie przygnębiające. Chcę koloru, koloru, koloru... i jeszcze raz koloru.

– Coś jeszcze?

– Lista wszystkich muzycznych kawałków, jakie lubię. – Postukała palcem w oprawny w skórę notes na nocnym stoliku. – Na litość boską... nie pozwól mojej matce, żeby grała *The wind beneath my wings* czy coś równie... tandetnego. Mama prawdopodobnie będzie chciała, żeby... był ksiądz. W gruncie rzeczy po cichu

jest... tradycjonalistką. Ale ja chcę, żeby ceremonię poprowadził także mój kumpel Ziggy. On jest... zoroastrianinem i mieszka na drzewie. Nie spodoba się jej to. Powiedz jej, że ja... tego chcę.

– Ale... przecież ty jeszcze będziesz, prawda? Nie możesz jej sama powiedzieć?

Polly machnęła ręką.

– Jasne. Teraz jedzenie – nie z kantyny. Jest... ohydne. Zapytaj Toma o firmę, która obsługiwała nasze... wesele. Powiedz im... że żadnych korniszonów, pod żadnym pozorem.

Annie notowała w telefonie.

– To będzie najdziwaczniejsza impreza, jaką widział świat.

– Cała Polly... no nie?

– Nie możesz tak mówić sama o sobie. To brzmi okropnie narcystycznie.

– Dlaczego mam zmieniać całozyciowy nawyk... kochanie? – Wyjęła stopę spod kołdry. – Przydałby się... pedikiur. Mogłabyś znaleźć jakąś pedikiurzystkę, która przyszłaby do szpitala? Ale nie taką, co robi... odciski. To okropne. Taką, co zna się na żelowych tipsach. Chcę, żeby moje stopy wyglądały... wystrzałowo.

„Wystrzałowy pedikiur” – zapisała Annie.

– Co to ja jestem, twoja osobista sekretarka?

– A masz coś innego do roboty?

– Nie, bo przez kogoś wyrzucili mnie z pracy.

– Jak myślisz, w co się powinnam ubrać? Włożyłabyś coś czarnego na własny pogrzeb?

– Włóż, co ci się żywnie podoba. I tak zresztą to zrobisz.

– Racja. Zadzwoń do Sandy. Powiedz jej, że potrzebna mi jest jakaś wyjątkowa kreacja. Raz się umiera... Najpiękniejsza sukienka, w jakiej potrafi mnie sobie wyobrazić. Przynajmniej jestem na tyle chuda, że nie będę teraz miała problemów... z jej ściągnięciem.

Annie notowała. Łatwiej było po prostu akceptować te pomysły, niż dyskutować.

– Pedikiur, ciuchy, żarcie, muzyka, wystrój. Co jeszcze?

– Chcę, żeby był pokaz slajdów z mojego życia. Znajdź mi parę kontaktów do ludzi od wideo. I chcę, żeby każdy coś o mnie powiedział. Coś jak toast na... weselu, tyle że nie będę tego musiała z nikim dzielić.

– Czy ty zawsze byłaś taka narcystyczna? I ukrywałaś to przez całe lata?

– Myślę, że moja rychła śmierć zredukowała moje zapasy... zdolności do przejmowania się byle czym. – Polly spojrzała na swoje wysuszone i popękane stopy i westchnęła. – Wiesz, czego bym tak naprawdę chciała?

– Przelecieć się balonem nad Saharą? Zobaczyć spektakl *Nędzników* w kociej obsadzie?

– Chciałabym, żebym mogła pójść na... randkę. Głupie, nie? Nie byłam na randce od czasów Toma i zapomniałam, jak to jest. Jakbym się odstrzeżiła... to chciałabym pójść w jakieś... przyjemne miejsce. Z facetem. Ale kto by mnie chciał? I nawet nie mogę opuścić tego... głupiego szpitala.

Annie znowu zrobiła parę notatek.

– No cóż, nigdy nic nie wiadomo, Poll. Jeśli mnie czegoś nauczyłaś, to tego, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Polly skinęła głową.

– Może powinnam wejść na... Tinder i sprawdzić, czy nie ma w tym szpitalu kogoś, kto też umiera i byłby zainteresowany randką last minute. To może być interesujące dla tych... co się boją zaangażowania.

– No – potwierdziła Annie, obracając w głowie pewną myśl.

Polly odchyliła się na poduszkę i przymknęła oczy.

– To co zamierzasz o mnie powiedzieć w ramach... mowy pogrzebowej?

– Och, że byłaś szurnięta na maksa, że przez ciebie wyleciałam w pracy, że zmusiłaś mnie do tańca w lodowatej fontannie i że przez ciebie sto razy zleciałam ze stoku.

– Bardzo... mi przyjemnie.

Annie urwała, obracając w palcach długopis. Był opalizujący, taki sam jak ten, który dała jej jakiś czas temu Polly, żeby rozweselić jej ponure biurko.

– Polly... Chciałam cię o coś zapytać. Dlaczego ty to wszystko dla mnie zrobiłaś? Przecież jestem okropna, stale narzekam, wszystkiego się boję i jestem wredna.

Polly roześmiała się chrypliwie. Gardło miała wyschnięte.

– Jak zobaczyłam cię wtedy w szpitalu, byłaś taka... nieszczęśliwa, taka załamana, i pomyślałam sobie: oto ktoś, kto widzi świat taki, jaki jest naprawdę. Kto wie, że życie to naprawdę... badziewie i wszystko ostatecznie sprowadza się do tego, że umierasz samotnie w jakimś zapyziałym kącie. Nie chciałam... banałów. Moje przyjaciółki – tak, są wspaniałe, ale one zawsze są tak pozytywnie nastawione. Lajkowałyby wszystkie moje posty na fejsie i nigdy nie rozmawiałyby ze mną szczerze o tym, że... umieram, a na moim pogrzebie robiłyby sobie selfie i stawiałyby przy nich smutne emotikonki... i to by w pewnym sensie było takie... powierzchowne. Nawet Milly i Suze tak naprawdę nie chcą słyszeć nic... negatywnego. Doszukiwałyby się w tym jakiegoś znaczenia. Nawet moi rodzice... Są tacy wystraszeni, boją się spojrzeć prawdzie w twarz. Chcą dobrze, ale ja potrzebowałam czegoś... realnego, tak mi się zdaje. Chciałam spróbować zachować optymizm, patrząc prawdzie w oczy. Wiesz, dawniej taka nie byłam. Byłam taka jak ty – cały dzień spędzałam w pracy, narzekałam na... dojazdy, prawie nie rozmawiałam z moim mężem czy rodziną, przejmowałam się tym, ile lajków dostałam... na Instagramie i jaki kupić krem do twarzy. Tymi wszystkimi...

głupotami. Ale ty... pomyślałam, że jak spróbujesz być szczęśliwa, po tym wszystkim, co przeszłaś, to będzie to prawdziwe. Przekonam się, że naprawdę można wszystko zmienić. Naprawdę... stać się człowiekiem szczęśliwym.

– Czyli co, miałam być czymś w rodzaju twojego testamentu, tak?

– Z początku... może tak. Ale potem, no wiesz... w pewnym sensie zaczęłaś mi się podobać. Pani... Psuj. Wiesz... to dziwne. Nawet nie będę mogła stamtąd do ciebie zadzwonić ani napisać mejla... dokądkolwiek idę. Jak mam ci powiedzieć, co masz... robić? Dowiedzieć się, czy ci się ułożyło ze Zrządą? Czy po prostu spytać, jak się masz?

Annie spojrzała na Polly, która wciąż miała zamknięte oczy. Znowu zbladła, twarz miała kolor poduszki. Łatwo było sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała, gdy te oczy zamkną się na zawsze.

– Poll... czy ja ci kiedyś podziękowałam?

– Nie. Zapamiętam... ci to.

– No więc... dziękuję.

– Nawet za to, że cię wyrzucili z pracy?

– Hm.

– Będzie... dobrze, Annie. Jest mnóstwo rzeczy, które możesz robić w ramach pracy, mnóstwo firm, które cię chętnie wezmą. Uwierz mi, jak będziesz leżeć tu, gdzie ja teraz leżę – a kiedyś tam będziesz... to będziesz mi wdzięczna.

– Wiem – powiedziała Annie cicho. – Wiem. Dziękuję ci, Polly.

Chuda dłoń wychynęła z warstw pościeli i uścisnęła jej rękę.

– A ja dziękuję tobie, Annie. Bez ciebie nie dałabym rady. Byłabym rozhisteryzowanym wrakiem. Ty mi pokazałaś, że jak wszystko jest do dupy, to smutek jest okej. Że to nie choroba, którą trzeba leczyć. Człowiek ma prawo... być smutny.

– No cóż, czasem byłaś rozhisteryzowanym wrakiem, nie da się ukryć.

Polly roześmiała się cichutko, a po paru minutach oddech jej się wyrównał. Annie jeszcze przez chwilę trzymała ją za rękę, po czym wysliznęła dłoń z uścisku i wyszła.

Dzień 83

IDŹ NA PIERWSZĄ RANDKĘ

Hej, co za paznokcie!

– Dobrze, nie? – Polly poruszyła palcami u stóp, których paznokcie pomalowane były na kolor wścieklej pomarańczy. – To się nazywa dać czadu. – Zafalowała z kolei dłońmi: tu każdy paznokieć był w innym jaskrawym odcieniu, limonki, grejfruta, cytryny. – Będę najbardziej szalowym... trupem w kostnicy.

Annie skrzywiła się. Wolałaby, żeby Polly nie mówiła takich rzeczy, ale wiedziała, że nie ma prawa wymagać. Trudno oczekiwać od Polly, żeby oszczędzała uczucia innych, skoro to ona umierała.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Zupełnie dobrze. Mam zrobione włosy, mam ciuchy, jestem gotowa... tańczyć rocka.

Istotnie wyglądała lepiej. Peruka, blond loki, lśniące i delikatne jak u dziecka, przypominała do złudzenia jej naturalne włosy, makijaż dodał jej koloru. I uśmiechała się.

– Sandy przysłała mi niesamowicie piękną suknię. Co za szkoda, że muszę czekać na fałszywy pogrzeb, żeby ją włożyć.

Annie spojrzała na zegar. Już prawie pora.

– Wiesz co, może wcale nie musisz czekać.

– Co? – Polly, marszcząc nos, nachyliła się nad tacą z kolacją, na której była miseczka zupy jarzynowej z puszki i kilka kromek białego chleba. – Boże święty, co to jest? Wątpliwe, żeby zrobili ją... w blenderze.

– Nie jedz tego. Dzisiaj masz wyjście. To znaczy nie ze szpitala, na to nam nie pozwolą, ale przynajmniej z tego pokoju.

– Nam? Co jest grane? – Polly z brzękiem odłożyła łyżkę.

No to jazda. Ale kto wie, czy to wszystko wypali.

– No więc... powiedziałaś, że chciałabyś pójść na ostatnią randkę, więc ci ją zorganizowałam.

– Co? Z kim?

– A jak myślisz? Z twoją szpitalną sympatią.

– Nie... Och, Annie! Na litość... boską. Robiłam z siebie totalną idiotkę, próbując z nim flirtować. On nie był zainteresowany.

– A teraz jest. – Przynajmniej miała nadzieję... Wciąż nie mogła uwierzyć, że George zdołał jakoś sprawić, że się zgodził. Był taki rzeczowy, taki pełen rezerwy.

Polly spróbowała założyć ręce na piersi, ale była na to za słaba.

– To nie w porządku. To... zasadzka.

– Ohoho. A jak ty doprowadziłaś do tego, że mnie wyrzucili z pracy, to co? Albo jak powiedziałaś doktorowi Maksowi, że mi się podoba...

– ...co jest prawdą...

– ...albo kazałaś mi pozować nago i tak dalej, setki różnych głupot, w które mnie wrobiłaś? Jesteś moją dłużniczką, droga Polly.

– Pffff... Nie mam ochoty na randkę... ze współczucia.

– Przykro mi, dziecinko, ale inna jest w tej chwili raczej niedostępna.

– Przestań mówić do mnie... „dziecinko”.

– A ty przestań labidzić. No, wyskakuj z tej pizamy i wskakuj w suknię. On tu niedługo będzie.

Polly, przygryzając wargę, zdawała się przez chwilę namyślać, po czym uniosła ręce gestem poddania się.

– Jasny gwint, to chyba moja... ostatnia szansa. Pomóż mi, dobra? Obawiam się, że będziesz musiała mi... podciągnąć majtki.

– Wyglądasz pięknie.

– Dzięki. Pięknie jak na umierającą na raka, masz na myśli.

– Skąd. Wszystkie modelki zresztą wyglądają, jakby za chwilę miały umrzeć. Wstrześliłaś się idealnie.

Polly, obracając się na wszystkie strony, przejrzała się w niewielkim łazienkowym lustrze. Po raz pierwszy od tygodni Annie widziała ją na stojąco. Suknia była z ciężkiego czerwonego jedwabiu, z łódkowym dekoltem i obcisłymi rękawami do łokci. Bombiasta spódnica kryła chude biodra i uda, a czerwony kolor rzucał na bladą twarz ciepłą poświatę. Annie podała jej szminkę.

– Masz. Czerwona, pod kolor.

– Dzięki. – Polly, wciąż się sobie przyglądając, przeciągnęła szminką po wysuszonych wargach. – Boże, Annie. Wyglądam... normalnie. Wyglądam jak ja. Ja po paru miesiącach... oczyszczającej diety sokowej.

– Padnie na twój widok.

Polly zmrużyła oczy.

– Ha ha.

– Przepraszam. O rany, idzie! – Annie wyjrzała przez szybkę w drzwiach. – Tak, to on!

– Jezu, Annie, ja nie idę na... bal. – Ale takie się miało wrażenie: Polly, zaciskając dłonie, uśmiechała się szeroko. – Idę na... randkę! W romantycznym szpitalu!

– Ćśśś. Dobra, gotowa?

Zapukano do drzwi.

– Niech poczeka – mruknęła Polly. – Jeden, dwa, trzy... e, do diabła, nie mam czasu na gierki... jak to trudno zrozumieć. – Otworzyła drzwi. – Dobry wieczór, doktorze Quarani.

– Sami, jeśli można prosić. – Był w granatowym garniturze i jasnoniebieskiej koszuli, i ślicznie pachniał jakimiś perfumami z piżmową nutą. – Polly... Ślicznie wyglądasz.

– Och, to stara... suknia. A więc, Sami... dokąd mnie zabierasz?

– Idziemy w jedno takie... przyjemne miejsce, które znam.

– Do kantyny? – szepnęła Polly.

– Skąd. To śliczna knajpka, która przypadkiem tylko znajduje się w tym samym miejscu co kantyna. Idziemy? – Podał jej ramię. Polly podeszła, szeleszcząc spódnicą, która zafalowała jej wokół kolan, i wsparła się na nim ciężko. Nie chciała dziś korzystać z wózka. Do windy było tylko dziesięć kroków, więc może da radę.

– Powoli, powoli. – Annie ruszyła ich śladem. – Przypadkiem mi wiadomo, że waszej kelnerki jeszcze nie ma.

– Dziś mamy dla państwa specjalne greckie menu. Na początek gołąbki w liściach winogron, a potem musaka. Jakie wino państwo sobie życzą?

Annie musiała unikać oczu Polly, inaczej na pewno wybuchnęłyby śmiechem. Przez ramię miała przerzuconą ściereczkę do naczyń, a na białej bluzce pożyczoną od George'a kamizelkę. Światła w kantynie były przyćmione, na zestawionych stolikach przykrytych czerwonym obrusem migotały świece. Z iPod'a leciał Michael Bublė. Wyglądało niemal miło – jeśli przymrużyło się oczy i zignorowało ostry zapach środka dezynfekującego, którego nie był w stanie zagłuszyć nawet bukiet wonnych różowych lilii.

– A jakie mamy w karcie?

– Na przykład szampana. – Annie wskazała wiaderko z lodem, które Costas podprowadził z restauracji, w której pracował jego kolega.

– Wolno mi?

– Podobno tak. Jeden kieliszek.

Doktor Quarani pokręcił głową.

– Ja dziękuję. Nie piję.

– Nie ma problemu. Dla szanownego pana mamy sok z winogron.

Nalała obojgu. Doktor Quarani uniósł kieliszek.

– Wszystkiego najlepszego, Polly. To ile masz lat? – Polly rzuciła Annie spojrzenie mówiące: co jest? Doktor Quarani je zauważył. – Och, przepraszam, to niegrzeczne pytanie, prawda? A więc, jak to wy mówicie – na zdrowie.

– Pozostawiam państwa na chwilę. Na pewno zechcecie pogawędzić – rzekła Annie i zrejterowała do kuchni.

W kuchni panowała gorączka, i to nie w dobrym sensie tego słowa. Costas, cały czerwony, walczył z czymś na desce do krojenia, klnąc po grecku.

– Wyglądają jakoś inaczej, niż kiedy robi je moja mama.

George też był cały spocony, biała koszulka była mokra.

– Szlag, te przeklęte liście winogron nie dadzą się zwinąć! Czy twoja matka oddzwoniła, Costas?

Telefon wydał „biiip” i Costas chwycił go, rozmazując po ekraniku mielone mięso.

– Mówi, że zabieram się do kobiecej roboty. Stuprocentowa grecka mama.

– No, to nie za bardzo nam pomogła. O szlag. – George zaczął ssać skaleczony palec.

– Jakież problemy? – rozległ się głos o szkockim akcencie. W drzwiach stał doktor Max z rękami w kieszeniach białego (prawie) kitla.

– Liście winogron nie chcą dać się nadziać – jęknął Costas. – Nie nadążam za tym, co mówi mama.

Max podwinął rękawy.

– Czy ktoś zechce mnie łaskawie oświecić, co tu się właściwie dzieje?

– Hm... myśmy to wszystko uzgodnili ze szpitalem – bąknęła ze skruchą Annie. – Polly chciała mieć ostatnie wyjście, wiesz... Ostatnią randkę.

– I ofiarą padł Sami? Sami, który nigdy nie wykracza o włos poza relacje ściśle zawodowe? A teraz jest na randce z umierającą pacjentką?

George wytarł policzek, na którym miał trochę ryżu.

– Hm... Może nie do końca użyłem słowa „randka”.

– A co mu powiedziałaś? – Annie spojrzała na niego wściekle.

– Może mówiłem po prostu o spędzeniu z nią wieczoru... i może sugerowałem, że dołączą też do nich inni ludzie... Słuchaj – zdecydował się. – Powiedziałem mu, że Polly ma urodziny. Okej?

– Co takiego? – Pod ironicznym spojrzeniem doktora Maksa Annie poczuła się jak głupia.

Max westchnął.

– Super. I żadne z was nie pomyślało, że za randkę z pacjentką Samiego mogą wyrzucić? A jak go wyrzucą, to zostanie odesłany z powrotem w strefę działań wojennych?

– Skąd mieliśmy to wiedzieć? – George odwrócił się i ruszył w drugi kąt kuchni. – Słowo daję... Gotowanie, umawianie na randkę heteryków, ja się na to nie pisałem!

Costas w pomieszczeniu ocierał ręce z nadzienia.

– Znaczy że co? Nie szykujemy kolacji?

– Bez paniki – rzekł niezawodny doktor Max. – Ja to zrobię. – I zręcznie, umiejętnie zaczął obwiązywać zwinięte liście nitką. Annie patrzyła z mieszaniną irytacji i ulgi.

– Skąd wiesz, jak to się robi?

Wzruszył ramionami.

– To przecież wszystko chirurgia. Czego być nie powinno, usunąć, resztę

zostawić. – Przebijał gołąbki szpikulcami do szaszłyków równie zręcznie, jak zszywał rany. – No. A co z resztą?

– Musaka jest w piecyku – rzekł Costas z niepokojem. – George robi bakławę.

– Wątpię, żeby mi za nią podziękowano – rzucił George z drugiego końca kuchni.

Max umył ręce i zakręcił kran łokciem.

– Dobra. W takim razie idziemy – zwrócił się do Annie.

– Dlaczego? – Odwiązała fartuch, teraz poplamiony nadzieniem.

– Skoro to ostatnia szansa Polly na wieczór z mężczyzną, od nas zależy, czy go uratujemy. To znaczy, głównie ode mnie, ale ty możesz robić za frekwencję.

Robić za frekwencję, rzeczywiście. Zła ruszyła za nim.

– ...był to dosyć trudny zabieg, bo pacjent miał perforację jelit i wypływały fekalia... – Doktor Quarani, sącząc sok z winogron, opowiadał Polly o jakimś ponurym chirurgicznym przypadku. Szampan Polly był nietknięty, a ona sama rzuciła Annie pełne furii spojrzenie: „Co jest, do diabła?”

Annie unikała jej oczu. Doktor Max podszedł.

– Sami, Polly! Jak miło was widzieć! A co to za chłam tu macie? – Wyłączył iPoda. – Chyba mamy do dyspozycji coś lepszego. – W kącie kantyny, przykryte czerwoną tkaniną, stało pianino. – Wstawili je tu wolontariusze z Przyjaciół Szpitala... liczyli, że to poprawi morale... No, w końcu. – Udało mu się ściągnąć przykrycie i zasiadł na stołku. – Jakies życzenia?

– Umiesz grać na pianinie? – zdumiała się Annie, wypadając ze swojej roli. Czy jest coś, czego ten cholernik nie potrafi?

– Jasne. To kwestia palców. To może na początek coś Franka? Nie chodzi oczywiście o twojego guza, Polly. – I akompaniując sobie na pianinie, zaczął śpiewać *I get a kick out of you* Sinatry. Melodia pulsowała echem w pustym pomieszczeniu, głos Maksa był niski, gardłowy. W miejscu, gdzie mowa o nieszukaniu pociechy w szampanie, Max skinął głową w stronę doktora Quaraniego, który, o dziwo, uśmiechnął się! Dobrze, że nie robi tego częściej, pomyślała Annie. Nikt w szpitalu nie byłby w stanie pracować.

Costas i George wykradli się z kuchni, żeby posłuchać. Max grał i Polly w końcu wzięła kieliszek, a doktor Quarani uniósł swój w geście toastu. O Boże, tylko nie życz jej wszystkiego najlepszego z okazji urodzin... – myślała w popłochu Annie.

– Za ciebie, Polly – powiedział tylko. To wszystko.

– Pomóc ci zdjąć sukienkę?

Randka-nierandka nie trwała zbyt długo, bo Polly była za słaba, żeby wytrzymać na siedząco, ale w każdym razie zjadła jednego gołąbka i dwie łyżki musaki, i pół bakławy.

– Tam jest dosłownie milion warstw ciasta – chwalił się George. W końcu głupio wyglądało, żeby się tak kryli na zapleczu, więc ostatecznie wylądowali w szóstkę przy stole i przy świetle świec, z Michaeliem Bublé (ku protestom Maksa) w tle rozmawiali i śmiali się, i to było naprawdę fajne.

Polly pokręciła głową. Leżała na łóżku, nadal w czerwonej sukni, wpatrując się w sufit.

– Chyba w niej zostanę. Za ładna jest... żeby zdejmować.

– To co, udała się randka?

– On tak naprawdę nie wiedział, że to randka, prawda? Dziwiłam się, że się... zgodził.

Annie krzątała się, wygładzając poduszki.

– Musisz o tym pogadać z George'em.

– Było w porządku. Miałam to, czego chciałam – przystojnego faceta... który mnie zabrał do knajpki, śliczną... suknię i wieczór w towarzystwie najlepszych ludzi, jakich znam. Może wszystkie pierwsze randki powinny być... grupowe. – Urwała. – Opowiedział mi, co się tam działo. Z jego rodziną.

– O.

– Będziesz miała na niego oko? Ty i Max? Myślę, że jest samotny. Wyobraź sobie – utknąć akurat w Lewisham i nawet nie móc się napić! Biedak.

– Dobrze – obiecała Annie. Polly nie dodała „jak mnie nie będzie”, ale Annie wiedziała, co ma na myśli. – Chcesz, żebym przy tobie posiedziała?

– Och, nie. Trochę... się zdrzemnę.

– Jeśli tak wolisz. – Annie zmniejszyła światło i ruszyła ku drzwiom. – Zadzwoń na pielęgniarkę, jak będziesz chciała się rozmalować czy coś. W końcu za to im płacą, żeby być na każde twoje skinienie.

– Okej. Annie?

– Tak?

– Dzięki. To była najlepsza... nierandka, jaką kiedykolwiek... miałam.

– Dobranoc.

– Dobranoc... Annie.

Wychodząc, Annie obejrzała się na Polly. Leżała na kołdrze w szkarłatnej sukni, nieruchoma i biała jak posąg, z polśniewającymi w przyćmionym świetle resztkami złotych włosów.

Dzień 84

POŻEGNAJ SIĘ

Dzwonek. Telefon dzwoni. Annie chwilę macała pod poduszką, w końcu go znalazła i wcisnęła przycisk. Pokój wypełniło widmowe niebieskie światło.

– Uh? – Która to godzina? Jeszcze ciemno...

– Annie? – To był George. Dlaczego dzwoni w środku... Annie poderwała się.

– George? – Jej głos brzmiał głucho, tak jakby docierał z kosmosu. – Czy...

Nie odpowiedział. Usłyszała cichy, zdławiony szloch. Nie trzeba było nic więcej. Wstała, wciągnęła dżinsy, rozejrzała się za kluczami.

– Jadę. Zaraz będę.

Niewiele mogła sobie później przypomnieć z jazdy do szpitala. Pomarańczowy blask świateł, kiedy pędzili przez Catford, milczenie kierowcy, któremu chyba udzielił się jej lęk i ostro dociskał pedał gazu, hamując gwałtownie na światłach. Wysiadła, podziękowała mu i wbiegła do środka, w zielonkawą poświatę uśpionego szpitala. Odgłosy pracujących urządzeń, ostre światła, lekarze o zmęczonych oczach, pielęgniarki na dyżurze. Nie czekała na windę, wbiegła, dysząc, po schodach. W końcu korytarza, przed drzwiami Polly, widać było grupkę ludzi. Oczy ogarnęły to, ale umysł nie umiał. Valerie płacze George'owi w ramię, on ją poklepuje po plecach, twarz ma zalaną łzami. Roger stoi z boku, ramiona mu drgają jak wstrząśnięty szampan w butelce. Annie zahamowała gwałtownie przed drzwiami separatki, z rozpędu wpadając w poślizg. Przez chwilę nie rozumiała – przenieśli ją? Dlaczego wszyscy tu stoją, jeśli ją przenieśli, i...

– Annie. – Stał przy niej doktor Max, w tym samym ubraniu, z tą samą plamką po sosie pomidorowym na rękawie koszuli. Najwyraźniej nie był w domu.

– Gdzie ona jest?

– Annie. Przykro mi... właśnie się wymknęła.

– Nie.

– To musiało się stać niedługo po twoim wyjściu. Wciąż była w sukni, wyglądała spokojnie, naprawdę...

– Nie.

– Podarowałaś jej dobry ostatni wieczór. Ale już odeszła, odeszła, Annie. Przykro mi. Umarła jakąś godzinę temu. We śnie. Nie czuła, że umiera, słowo ci daję. To najlepsze, na co mogliśmy liczyć w tych okolicznościach.

– Nie!

Jak Polly mogła odejść? Przecież raptem dwie godziny temu jeszcze żyła, była szczęśliwa i ożywiona, rozmawiała, śmiała się, piła szampana. Jak mogła w jednej chwili tu być, a w następnej już nie?

Doktor Max objął ją ramieniem i delikatnie, lecz zdecydowanie odprowadził na bok.

– Chodź. Nic już nie można zrobić. Musimy stąd wszystkich usunąć.

– Ale przecież... za parę dni miał być jej fałszywy pogrzeb! – powiedziała głupio.

– Wiem. Myślę... myślę, że ona być może chciała, żeby to się odbyło w ten sposób. Chciała, żebyśmy byli gotowi. Wiedziała, że nie zdoła pociągnąć tak długo. No, chodź. Proszę.

Annie obejrzała się z niedowierzaniem na separatkę, którą Polly zajmowała przez ostatnie parę tygodni. Łóżko było równo zasłane, maszyny ciche i ciemne. Wyglądało, jakby w ogóle jej tu nigdy nie było.

Dzień 85
LEŻ W ŁÓŻKU I PŁACZ

Polly umarła.

Dzień 86

**WYJMIJ Z SZAFKI W ŁAZIENCIE OPAKOWANIE PIGULEK,
PRZYJRZYJ SIĘ IM I WŁÓŻ JE Z POWROTEM TAM, GDZIE BYŁY**

Polly umarła. Polly umarła. Umarła. Jak ona mogła umrzeć? To niesprawiedliwe. To tak strasznie, kurwa, niesprawiedliwe.

Dzień 87
SIEDŹ JAK OTEPIAŁA NA PODŁODZE, WPATRUJĄC SIĘ W
WYŁĄCZONY TELEWIZOR

Polly nie żyje. Nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje nie żyje.

– Annie? – Dotknięcie ręki Costasa na ramieniu. – Idę z Busterem na spacer.
– Piesek obwąchał stopy Annie, ale zbyt ciężko jej było na sercu, żeby go wziąć na rękę. – Przynieść ci jakąś pizzę?

Z trudem odnalazła własny głos, gdzieś w głębi siebie.

– Nie, dzięki.

– Musisz jeść, Annie.

Musi? Dlaczego musi? Polly nie żyje. Polly nie żyje i nic już nie ma sensu. Polly umarła. Choćby nie wiem ile razy to sobie powtórzyła, wciąż nie mogła tego ogarnąć. Tym razem nie wiedziała, jak się kiedykolwiek zdoła pozbierać.

Dzień 88

PRZEMAWIAJ PUBLICZNIE

Czy to możliwe, żeby kobieta, która przeżyła zaledwie trzydzieści pięć lat, знаła tylu ludzi? Kościół był wypchany po brzegi. Udało się im przenieść pogrzeb ze szpitala, ale poza miejscem wszystkie szczegóły były takie, jak zaplanowały – z tą tylko różnicą, że nie było Polly. Żywej w każdym razie.

Przecisnęła się nawą do przodu, czując się jak zawstydzona narzeczona w czasie ślubnej ceremonii. Długo się szykowała, przypominając sobie samej, że Polly na pewno by chciała, żeby umyła włosy, umalowała się, znalazła rajstopy bez oczek. Do tego nie przywykła do chodzenia w tych nowych srebrzystych pantoflach z odkrytą piętą, które kupiła parę tygodni temu. Nie wiedziała tego wówczas, ale wyraźnie szykowała je na pogrzeb Polly. Który się właśnie odbywał.

Znalazła miejsce w jednym z przednich rzędów, za rodziną, i przepchała się, mrużąc usprawiedliwienia. George, o oczach czerwonych ze zmęczenia, siedział w pierwszym rzędzie, ubrany w połyskujący kombinezon motocyklisty. Po bokach miał oboje rodziców, Valerie w wielkim czerwonym kapeluszu z woalką, i Rogera, o kamiennej twarzy, w zielonym tweedowym garniturze, który domagał się pralni. A dokładnie na wprost ołtarza, w tej biodegradowalnej trumnie z włókna konopnego – tak, to była Polly. Jej ciało, jej umysł, wszystko, czym była. W pudełku. Na zawsze.

Usiadła i rozejrzała się. Była Suze ze swoim chłopakiem hipsterem – właśnie go besztala, że nie może się rozstać z telefonem. Wyglądała mizernie i żałośnie, co kontrastowało z sukienką w wesołym kolorze koralowego różu. Była Milly, w zieleni – usiłowała okiełznać swoje maluchy, jedno w różowej sukience, drugie w garniturku. Jej mąż bez skutku próbował dzieciaki uciszyć. I byli inni ludzie: Costas, w doprawdy eleganckim grafitowym garniturze, a do tego różowy krawat; Dion, kruchy, wsparty na lasce, w jasnobłękitnym garniturze, który kiedyś pewnie leżał na nim jak ulał, ale teraz wisiał. Dalej zaś niemal połowę kościoła wypełniał szpitalny personel. Sprzątaczkę. Recepcjonistki. Radiolodzy. Zarah też oczywiście przyszła, podobnie jak Miriam, pomimo że nie znały Polly. Annie posłała im lekki uśmiech. Był też doktor Quarani. A za nim – serce zatłukło się jej w piersi – stał doktor Max.

Na tę uroczystą okazję włożył garnitur, ale i tak był wymięty, a kędziory sterczały mu jak u Wolverine'a. Twarz też miał pooraną zmarszczkami zmęczenia. Uchwycił jej spojrzenie; odwróciła wzrok.

Z przodu wszczął się jakiś ruch i ukazał się ksiądz w towarzystwie mężczyzny o długich siwych włosach, w tęczowym ornacie. To musiał być ten znajomy Polly, humanitarny mistrz ceremonii. Spotkała się wzrokiem z

George'em; wznosił oczy do nieba, uśmiechnął się leciutko i wzruszył ramionami. To była Polly. Co można zrobić innego, niż płynąć z prądem?

– Witam was tu dziś, umiłowani – rzekł ksiądz, znajomy Valerie z grupy czytelniczej. – Chciałbym tym samym powitać również wielebnego... yyy... Ziggy'ego, który wraz ze mną będzie celebrował tę uroczystość, zgodnie z humanitarnym duchem, jakiego życzyła sobie Polly. Tak jak chciała, jesteście wszyscy szalenie kolorowi, i wiem, że bardzo by się jej to podobało.

Wielebny Ziggy podszedł do mównicy.

– Pokój wam, chłopaki i dziewczyny. Niech duch Polly świeci nad nami jak tęcza! Odpowiedzcie mi: tak, do diabła!

Zgromadzeni wydali nieokreślony pomruk. Ksiądz mężnie podjął:

– Usłyszymy teraz krótkie mowy pogrzebowe w wykonaniu przyjaciół i krewnych Polly. Jako pierwsza, zgodnie z życzeniem Polly, wystąpi jej przyjaciółka Annie Hebden.

To ona. Annie ścisnęła w ręce kartkę, już pomiętą od jej spoconej dłoni. Ruszyła naprzód, czując na sobie palące spojrzenia wszystkich obecnych. O Boże, Polly. Jesteś moją dłużniczką. Jesteś moją dłużniczką jak cholera.

Dotarcie na miejsce wydawało się trwać całe lata. Bała się, że się pośliznie na tych obcasach. Mównica była za wysoka, więc ksiądz musiał obniżyć dla niej mikrofon, a gdy to robił, zauważyła, że przy goleniu zaciął się pod uchem.

– Hm... Witajcie.

W kościele było cicho jak makiem zasiał. Ludzie w czerwieni, w zieleni, w pomarańczu, wszyscy utkwili w niej oczy.

– Hm. Tak naprawdę nazywam się teraz Annie Clarke, albo będę się niedługo nazywać... większość z was tego nie rozumie, ale myślę, że Polly by się to podobało. – Polly, która jest w tym pudełku z przodu i w ogóle o niczym nie będzie wiedziała. – Yyy... znałam Polly dość krótko, w porównaniu z większością z was. Ale spędziłyśmy razem wiele czasu i myślę, że poprosiła mnie o zabranie dziś głosu, bo wiedziała, że najwięcej się nauczyłam z jej podejścia do własnej śmierci. Było ono po prostu niezwykle. Przytrafiło jej się to, co jest najgorszym sennym koszmarem większości ludzi – diagnoza raka w stadium terminalnym – a ona zmieniła to w szansę na to, żeby być człowiekiem radosnym, twórczym i zmienić własne życie, więcej – żeby zmienić życie innych ludzi. Jednym z tych ludzi jestem ja.

Nadal nieskazitelna cisza. Annie brnęła dalej:

– Kiedy poznałam Polly, byłam nieszczęśliwa. Nie cierpiałam mojego życia i wszystkiego, co w nim było, czułam się najbardziej samotnym i najbardziej skrzywdzonym człowiekiem na świecie. Cóż, Polly naturalnie nie mogła tego tak zostawić, więc grała swoją kartą raka, jak to nazywała, i wciągała mnie po kolei w różne sprawy. Z początku nie chciałam o tym słyszeć... szczerze, myślałam, że jest

wariatką... ale powoli mnie wciągnęła, i oto jestem tutaj. I chcę się podzielić tym, czego nauczyłam się w ciągu ostatnich osiemdziesięciu z kawałkiem dni.

Zaczerpnęła tchu.

– Czasem się mówi, że trzeba żyć tak, jakby każdy nasz dzień miał być ostatni. Cóż, myślę, że to mało praktyczne – można potem żyć przez pięćdziesiąt lat i będzie to coraz bardziej skomplikowane, jeśli nie będziemy zmywać podłogi w kuchni, płacić podatków czy jeść sałatek. Nie mówiąc o tym, że wszystko wokół nas będzie lepkie od brudu. – Powiodła wzrokiem po morzu twarzy. Ludzie uśmiechali się, ocierali dyskretnie oczy. Znowu zaczerpnęła tchu. – Więc chcę się podzielić tym, czego nauczyłam się od Polly: poprzez swoją śmierć nauczyła mnie, jak żyć. Myślę, że wszyscy powinniśmy żyć, jakbyśmy też umierali – bo umieramy, nie łudźmy się. Powinniśmy żyć, jakbyśmy mieli umrzeć w jakimś nieokreślonym, ale niewykluczone, że bliskim terminie. Nie możemy się spodziewać, że każdego dnia będziemy szczęśliwi, zawsze będą jakieś problemy, choroby, smutki, ale właśnie ze względu na ten krótki termin nie wolno nam się godzić ze smutkiem, nudą, depresją. Nikt z nas nie ma na to czasu, czy zostało mu sto dni, czy sto tysięcy.

Spojrzała na swoje zapiski. I nagle poczuła, że ją to przytłacza: to, że musi podsumować wszystko, co teraz czuła; że musi mówić w imieniu przyjaciółki, takiej barwnej i pełnej życia, gdy ona, Annie, zawsze była taka szarobura. Niech cię szlag, Polly. Jak można tego żądać? Zawsze żądała za wiele.

– Hm... – Dostrzegła w tłumie doktora Maksa, w garniturze i krawacie w okropnym kolorze wścieklej pomarańczy. Nie płakał. Jemu cały czas umierali pacjenci. Ryzyko zawodowe. – Hm... to właściwie wszystko. Chcę po prostu powiedzieć, że choć znałam Polly krótko, zmieniła moje życie i nigdy nie będę już taka, jaka byłam. I tęsknię za nią. Bardzo za nią tęsknię. To wszystko.

Patrząc na własne srebrne pantofle, zeszła ze schodków. Nad jej głową niósł się łoskot oklasków, jak ryk samolotu, jak świergot ptaków. Ludzie wyciągali do niej ręce, klepali ją po ramieniu, szepcząc pocieszające słowa.

„Bardzo dobrze powiedziane...”

„Dziękuję, Annie...”

„Podobałoby się jej...”

Ale ona widziała tylko jedną twarz, słyszała tylko jeden głos, czuła tylko jedno ramiona, które ogarnęły ją i poprowadziły na miejsce. Czysta, mydlana woń doktora Maksa.

– Dobrze ci poszło, dziewczę. Dobra robota. Już po wszystkim.

Reszta uroczystości minęła jej jak we mgle. Max usiadł przy niej, obejmując ją ramieniem, a ona płakała swobodnie w jego marynarkę, wdychając jego woń. Muzyka, kwiaty, zabawne historie, łzy. George załamuje się w trakcie opowiadania o dzieciństwie Polly, córeczka Milly śpiewa *Gdzieś ponad tęczę*, zapomina tekstu i

ucieka, walebny Ziggy każe wszystkim chodzić po kościele i obejmować się nawzajem. Annie dostrzegła, jak Valerie więźnie w bardzo niezręcznym uścisku jednego ze szpitalnych portierów i jak mały synek Milly, Harry, ściska dłoń doktorowi Quaraniemu.

Zaledwie wszystko się skończyło i z głośników buchnęła ogłuszająco głośna wersja *I've had the time of my life*, Annie przepchnęła się przez tłum i wyszła na słońce. Zaczerpnęła pełną piersią powietrza, tak jakby się dusiła.

– Boże – powiedziała do siebie drżącym głosem.

– Prawda? Ja już się zmyłam.

Obejrzała się. Na płycie jakiegoś grobu siedziała Valerie, paląc papierosa. Obok leżał jej czerwony kapelusz.

– Nie mów nic George'owi, dobrze? Po prostu coś mi było potrzebne. Ona brała ślub w tym kościele, wiesz? Cała w bieli. Była taka piękna.

– Trzymasz się jakoś? – Pytanie było głupie, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

Valerie znowu zaciągnęła się dymem.

– Polly mówiła mi, że straciłaś dziecko.

– Tak.

– Czy doszłaś po tym w jakiejś chwili do siebie? Czy to uczucie... – Valerie postukała się w pierś – ...jakby się samemu umierało... kiedyś mija? Ona była moją małą córeczką, Annie. Moim dzieckiem.

– Wiem. Szczerze – nie jestem pewna, czy to kiedykolwiek mija. Myślę, że po prostu... przykrywa się to kolejnymi warstwami w miarę upływu czasu.

– Ja jej nie chcę niczym przykrywać. Chcę pamiętać wszystko. – Valerie zgasiła papierosa. – Czemu takie rzeczy się zdarzają, Annie? Twoje dziecko, moja córka?

– Nie wiem. – Annie grzecznie wzięła od niej niedopałek. – Nie wiem, czy w ogóle mamy to wiedzieć. Nie ma przyczyny. Tak po prostu jest. To się po prostu zdarza, a my musimy z tym żyć.

Valerie wydała długie, drżące westchnienie i włożyła kapelusz z powrotem.

– Głupi kapelusz. Cała Polly – kazać nam się przebrać za klaunów.

– Mnie się dosyć podoba – powiedziała szczerze Annie. – Jest wyjątkowy. Tak jak ona.

– Dziękuję ci za to, co o niej powiedziałaś. To wiele znaczy. – Wstała. – Muszę po prostu jakoś przetrwać dzisiejszy dzień. Muszę się po prostu wziąć w garść. – Schyliła się, żeby przyjrzeć się wieńcom zgromadzonym pod ścianą. Było ich tyle, że nie zmieściły się w kościele. – Ludzie są tacy mili, prawda? Wielu z nich to zupełnie obcy. O, spójrz na ten: „Od Jeffa i całej Rady Gminy Lewisham”. Nie myślałam, że działalność rady obejmuje tego typu usługi. Jakie to miłe.

Annie podeszła, żeby zobaczyć to na własne oczy. Wieniec z żółtych róż.

Musieli się zrzucić, dowiedziawszy się, że straciła przyjaciółkę... Koperta krążyła po ludziach, tak jak tyle razy, kiedy tam jeszcze pracowała – komuś urodziło się dziecko, ktoś miał urodziny, ktoś inny odchodził i kupowano prezent pożegnalny. Drobne gesty, które dawniej uważała za bezsensowne, jeśli kogoś nie znamy naprawdę. Koniecznie musi im wysłać podziękowanie.

– Wszystko w porządku, Ma? – Przez kościelny dziedziniec szedł ku nim George. – Annie, ty palisz?

Annie rzuciła Valerie konspiracyjne spojrzenie.

– Hm... nie, po prostu niedopałek leżał na ziemi, więc podniosłam.

Cmoknął.

– Brudasy. Gdzie stoi, tam upuszcza peta. Ma, podobno ma nas stąd zabrać jakiś autobus?

Valerie wzruszyła ramionami.

– Kolejny zwariowany pomysł twojej siostry.

– Cała ona. – Podał matce ramię. – Chodźmy. Znajdę ci miejsce.

– Cała Poll – mruknął znowu George, wspinając się po schodkach do czerwonego londyńskiego piętusa z lat sześćdziesiątych. – Wynając autobus weselny na pogrzeb... Jejku, są nawet upominki! – Były też malutkie oprawione w ramki fotki Polly z sentencją na odwrocie. – „Nie płacz nad moim grobem” – przeczytał George. – Boże, gdybym mógł jej powiedzieć, jakie to pretensjonalne!

– Może wysmażę o tym jakiś tekst – powiedziała Suze, pociągając z butelki, którą miała w torebce. – Czy pogrzeby to nowe wesela? Kto chce trochę dżinu?

– Mnie się przyda. Inaczej ciężko będzie to przetrwać. – George wziął od niej butelkę i też zdrowo pociągnął.

Costas był zbulwersowany.

– A gdzie modlitwy? Gdzie kadzidło? I jeszcze te oklaski i obściskiwanie się w kościele! Kto to widział!

– Mój mały prawosławny gej. – George objął go ramieniem. – Masz, łyknij sobie dżinu. Skończyłeś osiemnastkę, tak?

W domu czekały ich kolejne wrażenia. Drzewa były obwieszane chorągiewkami, a do wejścia prowadziły strzałki z napisem: „Pogrzeb – tędy”, które Polly musiała kazać komuś wydrukować. W salonie odbywał się pokaz slajdów. Polly na uroczystości rozdania dyplomów. Polly na jachcie. Polly na Szlaku Inków. Polly biegnie w maratonie. Uśmiechnięta blondynka, umalowana, perfekcyjna. Annie nie wyobrażała sobie, że mogłaby się kiedykolwiek zaprzyjaźnić z tą osobą. Z Dawną Polly. Mogła tylko być wdzięczna losowi, że poznały się wtedy, kiedy się poznały, obie tak skrajnie zmienione przez życie.

Uśmiechnięta załoga cateringowa w czarnych kamizelkach częstowała kielichami szampana.

– Szlag – mruknęła Annie, ogarniając wszystko wzrokiem. – Ile to

kosztowało? Nie wystarczyłoby musujące wino z Aldiego?

I zdała sobie sprawę, że Polly tu nie ma i nie uśmiechnie się na to jej zrządzenie, nie przewróci oczami, nie wykrzyknie: „Karta raka!”, usuwając oboma kciukami korek z butelki. Tam, gdzie jest, panuje wyłącznie pustka i cisza, i tak będzie już na zawsze. Nigdy więcej nie usłyszy głosu Polly.

– Cześć! – powiedziała Polly.

Annie zamarła. Wprawdzie wypła parę kieliszków szampana, ale przecież nie tyle, żeby mieć omamy dźwiękowe! Po czym zdała sobie sprawę, że to naprawdę głos Polly i że dochodzi z salonu. Weszła, gubiąc drobiny ziemi z trawnika, które przywarły do tych jej głupich obcasów. Młody człowiek w koszulce polo majstrował przy projektorze, odpierając ataki Valerie.

– Przepraszam panią. Zapłaciła mi za to, żebym przyszedł i zaprezentował to wideo. Muszę to zrobić.

– Ale to przecież pogrzeb! George, wiadomo ci coś o tym?

Wzruszył ramionami.

– Jakieś kolejne wariactwo Polly. Co to za wideo?

Nieszczęsny kamerzysta wcisnął odtwarzanie i na ekranie ukazała się gigantyczna twarz Polly. Film nakręcono przed tygodniem, Annie poznawała to po szydełkowym kapeluszu, który Polly miała na głowie, i po szpitalnym łóżku w tle.

– Cześć wszystkim! Mam nadzieję, że dobrze się bawicie na moim pogrzebie. Przykro mi, że mimo wszystko nie mogę tam z wami być. Spróbujcie tego łososa, jest boski.

Wszyscy zagapili się w ekran. Przekaz wideo od zmarłej? Tego naprawdę jeszcze nie było.

– A więc, skoro nie mogę być osobiście – choć myślę, że pogrzeb na żywo może się przyjąć w tych czasach, w pokoleniu selfie – chciałam wam pozostawić parę ostatnich słów z za grobu. – Spróbowała mówić głosem ducha, po czym roześmiała się, a następnie zakaszła. – Szlag. Może lepiej nie będę się starała być zabawna. Okej. Ostatnia wola i testament Pauline Sarah Leonard – cha, cha, tak, Pauline, udało mi się to przed wami ukryć, co nie? – prawie zdrowej na umyśle i totalnie niezdrowej na ciele. Testament nie będzie dotyczył przedmiotów. Nie mam nic, co warte byłoby zadysponowania, jako że dom pozostał przy Tomie – cześć, Tom, jeśli tam jesteś.

Tom, który właśnie jadł jajko przepiórcze, zaczerwienił się i zaczął kaszleć w serwetkę. Polly na ekranie mówiła dalej:

– A więc to, co zamierzam wam dziś przekazać, to nie majątek; to rzeczy niematerialne. Costas! Jest tam Costas?

Costas pomachał ręką w stronę ekranu, tak jakby mogła go widzieć.

– Sandy... Sandy też jest? – Była, piła wodę mineralną, szczupła i elegancka w swojej złamanej bieli. – Chcę, żebyś dała naszemu Costasowi pracę. On się

marnuje przy kawie. Ma najlepsze oko do kolorów, jakie w życiu zdarzyło mi się widzieć, i myślę, że będziesz z niego dumna. Założę się, że wygląda dziś super, prawda?

Sandy pokiwała głową.

– Pogadamy, Costas.

– Teraz George. Gdzie jest mój piękny brat? Na pewno jęczy nad jedzeniem.

– George znieruchomiał z rękami nad półmiskiem crudité, pokrajanych w słupki surowych warzyw, którym przyglądał się nieufnie. – George, najdroższy bracie, oboje wiemy, ty i ja, że nie żyjesz uczciwie. Właściwie to cię nie ganię, bo kto z nas jest do końca uczciwy? Ale przyszedł czas, żebyś był tym, kim jesteś. Bez względu na to, co myśli o tym mama. – Valerie, siedząca samotnie na sofie, zeszywniała. – Więc daję ci Diona – jest tam Dion? Mam nadzieję, że czułeś się na tyle dobrze, żeby przyjść.

– Jest! – zawołał ktoś. Dion pomachał laską z kąta, gdzie padł na krzesło, wyraźnie wyczerpany.

– George, uważaj na Diona. To, co się przydarzyło jemu i jego przyjaciółom, było straszne, ale to było w jego pokoleniu i mam nadzieję, że nie przydarzy się tobie. On musiał walczyć o prawo do tego, żeby być sobą – dla ciebie, właśnie dzięki niemu, nie będzie to takie trudne. Wiem, że jesteś do tego gotów, brat. Słuchaj, co ma do powiedzenia. Jesteś częścią tej społeczności, tej historii, i chcę, żebyś był z tego dumny, a nie się wstydił. Mamo – przepraszam. Nie chciałam cię zranić, ale taka jest prawda. Pozwól Georgiemu być tym, kim jest, pozwól, żeby był szczęśliwy, a wtedy być może przestanie się spotykać z łobuzami, którzy go biją. Miłość jest najważniejsza, bez względu na to, skąd przychodzi. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że oni do siebie wrócą, inaczej to będzie syf total.

Wszyscy spojrzeli na George'a.

– Nie wrócimy – mruknął obronnym tonem. – Hm... cześć, Dion.

– Witaj, drogi chłopcze – powiedział Dion ochryple. – Nie wiem, czy dam radę uprawiać clubbing, ale może umówimy się niedługo na jakiś koktajl.

– ...a teraz zwracam się do mamy i ojca – mówiła dalej Polly na ekranie. – Przykro mi, że przyczyniłam wam tyle zmartwień. Wiem, że to trudne, że nie umieram normalnie. Zadbajcie o siebie, dobrze? I ty, George, dbaj o nich. To musi być okropne stracić dziecko, zwłaszcza tak cudowne jak ja. – Valerie wydała długi szloch. – Ale nie to chciałam powiedzieć. Chcę powiedzieć: mamo, tato – rozwiedźcie się, proszę. – Rozległ się brzęk tłuczonego szkła: to Roger upuścił kieliszek z winem. Nikt się nie ruszył, wszyscy byli jak urzeczeni przez Polly, po śmierci tak jak za życia. – Nigdy nie byliście tak naprawdę szczęśliwi. Stworzyliście ładną fasadę – przyjemny dom, przyjaciele, kolacyjki – ale my z George'em zawsze wiedzieliśmy, że się tak naprawdę nie kochacie. Tato zawsze w pracy, mama zawsze narzeka... to nie w porządku.

Roger ruszył w stronę kamerzysty.

– Przykro mi, proszę pana – dał się słyszeć współczujący głos tego ostatniego. – Nie wolno mi tego wyłączyć.

– A więc, tato – może zrobić krok naprzód? Postaraj się być szczęśliwy? Wiem, że w tej chwili za dużo pijesz. Domyślam się, że w tym momencie jest to zrozumiałe, ale – pilnuj tego, co? Nie chcę, żebyś dołączył do mnie zbyt prędko. Mamo, wierz mi – mówię to jako kobieta, która też usiłowała trzymać się męża, który jej nie kochał: nie warto. To nic nie daje, wyłącznie cierpienie. Pozwól tacie odejść. Znajdź sobie kogoś, kto będzie cię kochał naprawdę. Chodź na te swoje warsztaty ceramiki i to swoje taekwondo, i co tam chcesz. Nie potrzebujesz ojca, żeby być sobą. Tato, wiem, że będziesz się czuł winny, ale to nic złego być szczęśliwym. Och, zdaje się powinnam powiedzieć to samo Tomowi, o ile się pokazał... – Tom zalał się szkarłatem. – Jeśli kochasz Fleur, to zostań z nią i bądź szczęśliwy. Ćwiczcie taniec interpretacyjny czy jogę, czy co tam jeszcze. Tylko dbajcie o moją marokańską mozaikę, bo kosztowało, kurczę, majątek, żeby ją sprowadzić statkiem z Essaouiry. – Uśmiechnęła się z ekranu. – Teraz jeśli chodzi o pozostałych. Milly, kochana... Nie znam nikogo, kto znałby się na mediach społecznościowych tak jak ty. Proszę, wróć do pracy. Harry i Lola sobie poradzą. Nie pozwól, żeby Seb zamknął cię w domu na zawsze. Cześć, Seb, jeśli tam jesteś.

– Mamusiu, czy to ciocia Polly? – pisnęła Lola.

– Ćśśś, kochanie – uciszyła ją Milly, purpurowa na twarzy.

– Suze. Najdroższa Suze. Jesteś taka niezwykła, taka śliczna. Proszę, proszę – rzuć tego swojego okropnego chłopaka i znajdź sobie kogoś lepszego. Albo bądź sama przez jakiś czas. To lepsze niż być z kimś, kto cię nie docenia albo każe ci płacić wszystkie swoje rachunki, bo on otwiera jakąś sezonową kafejkę w supermarkecie. Okej?

Suze i Henry stali obok siebie i pili szampana, unikając swoich oczu.

– A teraz Annie.

Annie drgnęła. Nie spodziewała się, że zostanie wymieniona – przy tak krótkim okresie znajomości, mniej niż sto dni.

– Jesteś tam, Annie? Mam nadzieję, że powiedziałaś tę mowę pogrzebową, inaczej będę cię straszyć zza grobu. Chcę ci podziękować. Pewnie myślisz, że nauczyłam cię tego i owego, i niewątpliwie nauczyłam, i to kupę rzeczy, ale prawda jest taka, że i ja się czegoś nauczyłam od ciebie. Nauczyłam się o smutku. Głupio to brzmi, ale smutek to coś, czego nigdy tak naprawdę nie doświadczyłam. Wyrosłam w przekonaniu, że jak masz kiepski nastrój, to potrzebny ci jest kieliszek wina albo jakiś poradnik, albo joga, albo pigułki od lekarza. Nigdy nie musiałam się zastanawiać, jak to jest, kiedy życie wali ci się w gruzy. Kiedy człowiek nie to, że ma zły nastrój, tylko po prostu jest taki nieszczęśliwy, że wydaje mu się, że nigdy więcej nie będzie szczęśliwy. Ja, owszem, miałam raka, ale to ty, Annie – ty

byłaś ta dzielna. To ty musiałaś żyć z tak strasznym bólem, że nawet trudno mi to sobie wyobrazić. Joga i pozytywne myślenie nie sięgają czegoś takiego. A ty nadal funkcjonujesz. Podziwiam to. To dopiero dzielność! To dopiero walka! Ja, cóż – stylowo tonę. A ty nadal płyniesz pod prąd, każdego dnia na nowo.

Wszystkie oczy spoczywały teraz na Annie. Spojrzała na ekran, na uśmiechniętą twarz przyjaciółki.

– Hm... dzięki, Poll – wykrztusiła drżącym głosem. – Nie mogłaś mi tego powiedzieć, jak żyłaś?

Rozległ się lekki śmieszek, napięcie na chwilę opadło. Facetowi od wideo najwyraźniej ulżyło. To pewnie najdziwniejsze zadanie, jakie przyszło mu kiedykolwiek wykonywać... Jak pójdzie wieczorem do domu, do swojego współlokatora, swojej dziewczyny, swojego chłopaka czy rodziców, opowie im o tym, i Polly wpłynie na życie kolejnych ludzi, niczym przesuwaną się po niebie ognista kometa.

– A więc, Annie. Zostawiam ci moją kartę raka – a ty, jeśli chcesz, możesz ją zmienić w kartę rozmaitych złych rzeczy. Ale jest ważna tylko przez miesiąc, a potem musisz iść naprzód z daną sprawą. Takie są zasady. A więc – oto co jeszcze ci zostawiam. Zostawiam ci doktora Maksa. A tobie, Max, jeśli tam jesteś, zostawiam Annie. Powinniście zrobić krok naprzód, i to szybko. Dla wszystkich to oczywiste.

– Amen – mruknął George. Annie wpatrywała się w ekran z otwartymi ustami.

– A więc naprzód. Zróbcie to. Łapcie życie. Ja je kończę. Prośba do wszystkich: nie mówcie, że przegrałam walkę z rakiem. Ja niczego nie przegrałam. Prawda jest taka, że są rzeczy, z którymi po prostu nie sposób walczyć, obojętne jak byśmy się starali. Doktor Max robił, co mógł, żeby mnie uratować, nikt nie starałby się bardziej niż on, ale bez rezultatu. Po prostu takie jest życie. Nie wszystko może być pozytywne. Po tańcu w fontannie masz mokre nogi. Po przejażdżce kolejką górską możesz zwymiotować do kosza na śmieci. Na tym polega równowaga. I proszę, nie martwcie się o mnie – naprawdę mam się okej. Bardzo mi zależało, żeby mnie zapamiętano, ale w ciągu paru ostatnich tygodni zdałam sobie sprawę, że zostanę zapamiętana, obojętne jak. Pomyślicie o mnie, kiedy usłyszycie w radiu jakąś piosenkę, albo kiedy uśmiechniecie się na wspomnienie kawału, który wam opowiedziałam, albo jak będziecie pili kawę w słońcu, albo kiedy włożycie ulubiony ciuch. Wiem, że będziecie mnie pamiętać, a to znaczy, że od was nie odchodzę. W gruncie rzeczy nie. – Zrobiła ironiczny znak V dwoma palcami. – No to co – spadajcie w pokój, chłopaki i dziewczyny.

Ekran zgasł.

– Annie? – Odwróciła się na dźwięk jego głosu. Stał w drzwiach w poluzowanym krawacie, z podwiniętymi rękawami koszuli. – To ty ją do tego

namówiłaś?

– Skąd! Nie miałam o niczym pojęcia. Przysięgam!

– Bo ja nie pozwolę sobą pomiatać. Wciąż jakieś sprzeczne sygnały, to się zbliżasz, to oddalasz. Mam tego dość, Annie. – Odwrócił się i wyszedł, zatrzasnął drzwi za sobą tak mocno, że zabrzęczały szybki.

Zamurowało ją. Przez chwilę stała bez ruchu.

– Leć za nim! – wrzasnął Costas. – Nigdy nie oglądałaś komedii romantycznej czy co?

Więc pobiegła. Dysząc, gnała ulicą za jego szybko oddalającą się sylwetką. Po drodze naciągał płaszcz, walcząc ze splątanymi rękawami.

– Max! Zaczekaj!

– Czego chcesz, Annie?

– Yyy... płaszcz ci się... – Włożył rękę w niewłaściwy rękaw. – Posłuchaj... Przepraszam, okej? Przepraszam. Nic o tym nie wiedziałam, słowo daję. Ale wiem, że... ona ma rację. Co do nas. Co do mnie w każdym razie.

Pokręcił głową.

– Za późno. Właśnie z tym skończyłem. Mam dość, jasne? Przez ostatnie dziesięć lat poświęciłem dla tego szpitala wszystko. Życie osobiste. Wszelkie szanse na zdrowy układ krążenia. Większość znajomych, trzy związki. I znaczną część moich włosów. A co dostałem w zamian? Pacjentów, którzy mi umierają, wciąż na nowo, a ja nic nie mogę zrobić. Kierownictwo, które oszczędza na ludziach, jak może, i traktuje nas jak śmieci. Krewnych, którzy grożą nam sądem i narzekają na wszystko, co robimy, szukają wiadomości w Google'u, a od nas oczekują potwierdzenia. Mam dość. Nie byłem w stanie pomóc Polly i na pewno nie potrafię pomóc tobie. Ona odeszła. A ty, Annie, będziesz musiała tym razem wydobyć się z dołka sama. Wszyscy koniec końców będziemy musieli.

– Ale... ale... – Co tu powiedzieć? Że nie ma racji? Miał rację. I ściany jej dołka wydały się nagle tak wysokie i strome jak nigdy.

Na szczycie wzniesienia obejrzał się jeszcze raz i krzyknął:

– Powiedz rodzicom Polly, że przepraszam!

I zniknął.

Dzień 89

PRZECZYTAJ STARE LISTY

Annie weszła do domu matki. Powietrze było tu nieruchome i wilgotne. Przez brudne okna wpadało słońce i oświetlało walające się po podłodze kłębki kurzu. Szyby dzwoniły, ilekroć pobliską ulicą przejeżdżał autobus. To był dom, w którym się wychowała, spędziła tu całe swoje życie do chwili, gdy poznała Mike'a i zamieszkali razem. Jeśli zamknęła oczy, bez trudu mogła przywołać obraz matki takiej, jaka była: niezawodna, choć czasem zanadto się wtrącała. Zawsze była przy niej, czy kiedy się przewróciła i skaleczyła w kolano, czy kiedy pokłóciła się z Jane, czy kiedy uciekła od Mike'a. Do chwili, gdy, całkiem nagle, przestała taka być. Teraz już Annie wiedziała, że nikt nie może być przy niej na zawsze.

– Miałas rację, mamó – szepnęła. – Nie ma czegoś takiego jak doskonałe życie. Ale... może jest coś takiego jak życie szczęśliwe. Może.

Wszystko było takie znajome – porcelanowe figurki na gzymsie kominka, teraz potrzebujące gruntownego odkurzenia. Wgnieciony fotel matki, w którym siadywała, rozwiązując krzyżówki, oglądała telewizję, czytała książki. Wytarty wzorzysty dywan, który leżał tu od czasu, gdy Annie była małym dzieckiem. Nic tu nigdy nie zostało zmienione – nie możemy sobie na to pozwolić, mawiała matka. Nie śpimy na pieniądzach. Przez twojego ojca.

A teraz Annie wiedziała, że ojciec się starał, przynajmniej pod koniec. Jak łatwo sobie wyobrazić, że wszystko było inaczej... Wystarczy zamknąć oczy. Weekendy i święta spędzane z ojcem. Są sobie bliscy, ona czuje się kochana. Ma siostrę. Otworzyć oczy – i znowu jest w tym hałaśliwym salonie, a ojciec nie żyje. A matka, wiedziała to, już tu nie wróci. Będzie musiała jej znaleźć jakieś inne miejsce do życia. Ten dom wraz ze wszystkimi smutnymi wspomnieniami trzeba będzie sprzedać.

Znalazła ten list w dolnej szufladzie nocnego stolika matki, w pudełku po butach, w którym znajdowały się kiedyś praktyczne pantofle na płaskim obcasie. Annie, wstrzymując oddech, włożyła rękę do środka. Po czym, jakby była przy niej Polly i ją przynagliła, wyciągnęła list i wyjęła go z koperty. Standardowy niebieski papier, pochyłe pismo. Pismo jej ojca.

Droga Annie. Mam nadzieję, że matka przekaże ci ten list...

Oczy jej się zamgliły i włożyła list z powrotem do pudełka. Może przeczyta go później, kiedy będzie się czuła silniejsza. Kiedy będzie potrafiła to wszystko jakoś przetrwać.

W pudełku było coś jeszcze – strzępek tkaniny w kolorze nieświeżego łososia. Z jej sukni na bal maturalny, którą matka z takim staraniem uszyła, a ona ją odrzuciła; myślała, że matka się nie przejęła, nie dostrzegając, że jest wręcz

odwrotnie. Natknęła się na coś jeszcze: małą plastikową bransoletkę, tak małą, że z trudem wchodziły w nią dwa palce. „Anne Maureen Clarke”. Jej szpitalne oznakowanie, kiedy przyszła na świat... Przechowywane przez cały ten czas, tak jak ona przechowała bransoletkę Jacoba.

Znowu łzy rzuciły jej się do oczu i zawartość pudełka zaczęła się rozmywać. Usiadła na włochatym różowym dywanie w pokoju matki, wdychała woń wilgoci i Anais Anais i oplakiwała wszystko to, co straciła, i wszystko to, czego nigdy nie miała.

Dzień 90

ODWIEDŹ GRÓB

Grób był jak otwarta rana w gruncie: wzgórek świeżej ziemi, wieńce na wierzchu już trochę przywiędły i zaczynały tracić wygląd.

– Nie podobałoby ci się to, prawda? To takie nieszykowne – powiedziała Annie na głos. Cisza. – Chyba będę przychodzić tu częściej. I trochę sprzątać u ciebie. Wiesz, jesteś na tym samym cmentarzu co Jacob. Mogę odwiedzać was oboje.

Kwiaty poruszały się na wietrze. Annie wepchnęła ręce głęboko do kieszeni zakietu.

– Może lepiej opowiem ci nowiny. Doktor Max wyjechał. Okazało się, że jednak nie jest mną zainteresowany. – Cisza. Westchnęła. – Okej. Masz rację. Był zainteresowany, ale go wystraszyłam, bo zachowywałam się jak wariatka i wpadłam w panikę, kiedy próbował mnie pocałować. Mój błąd. Wszyscy inni robią to, o co prosiłaś. Twój rodzice się rozwodzą – tato już szuka mieszkania. Atmosfera jest dość przyjazna. Costas złożył wypowiedzenie. George zamierza złożyć na Caleba doniesienie na policję. Moja mama niedługo wychodzi ze szpitala. Szkoda, że cię tu nie ma, powiedziała byś mi, co robić. Sprzedać dom? Powiedzieć jej, że wiem o ojcu? Może tego nawet nie zrozumieć.

Nie było odpowiedzi, rzecz jasna. I nigdy nie będzie. Jeśli wydawało jej się, że słyszy w głowie głos Polly, była to tylko wyobraźnia, projekcja, duch.

– Mimo wszystko chciałabym, żebyś przysłała mi tego mejla. Powiedz, że masz się okej. Powiedz, że jestem idiotką. Cokolwiek.

Milczenie. Annie przyklęła i zaczęła przyszytywać niektóre wieńce.

Dzień 91

WSPOMINAJ

Co ci jest, kochanie? Wyglądasz, jakbyś miała chandrę.

Annie patrzyła na migające w rękach matki druty: dziergała coś z miękkiej żółtej włóczki. Miejmy nadzieję, że to nie kolejny ciuszek dla malucha... Zawsze czuła wtedy ucisk w żołądku.

– Bo mam chandrę, Maureen. Wiesz, Polly umarła. Umarła i nie wiem teraz, co zrobić ze światem, na którym jej nie ma. To tak jakby... zostać za długo na imprezie, kiedy najfajniejsi ludzie już poszli.

– A kto to jest Polly? – Oczy matki błędziły po szpitalnej sali, przytomne, ale dłonie nie przestały się poruszać. Zręczne, szybkie, nigdy nie gubiły choćby jednego oczka. Jak ona to potrafi, skoro nie pamięta, kim jest?

– To moja... przyjaciółka. To była moja przyjaciółka.

– Jane? Jane jest twoją przyjaciółką, tak?

Annie zamarła.

– Tak. Wiesz, kim jestem, Maureen?

Matka nawet nie podniosła wzroku znad robótki.

– Oczywiście, że wiem, Annie. Przecież siedzimy i rozmawiamy, tak? I co to za historia z tym mówieniem do mnie per Maureen? Mów mi mamo.

– Hm... przepraszam. – Serce Annie zabiło. Doktor Quarani mówił, że mogą się zdarzyć momenty takie jak ten: chmury się rozstępują i matka odzyskuje przytomność umysłu. Wraca do siebie. Ale już prawie straciła nadzieję. – Jak się czujesz, mamo?

– Och, zupełnie dobrze. Chociaż trochę mam dość tego miejsca, jeśli mam być szczerą. Jedzenie mają okropne. Gorsze niż jak pojechaliśmy z twoim ojcem na wakacje z Butlinsem^[7] w siedemdziesiątym piątym.

Mogła powiedzieć: mamo, on nie żyje, i czemu mi nie powiedziałaś, że chce się ze mną zobaczyć? Ale nie chciała popsuć tej chwili, sprawić, że czar pryśnie.

– Niedługo może cię stąd zabierzemy. Gdzie byś chciała być, mamo? Chciałabyś zamieszkać ze mną?

– W tej twojej ciupce? – A więc pamiętała, że Annie się wyprowadziła z tamtego ładnego domu. – Nie obraż się, kochanie, ale wolę u siebie w domu.

– Wiem, mamo, ale... to będzie niebezpiecznie. Kiedyś upadłaś, pamiętasz? Może bym ci znalazła jakiś przyjemny dom opieki, jak myślisz? Tak będzie dobrze? Mogłybyśmy... Myślę, że dom mogłybyśmy sprzedać.

– Chyba tak. Nigdy tak naprawdę nie lubiłam tego domu. – Wróciła do robótki. – Tylko żeby nie było tam za dużo niedołączonych staruszek. Wiesz, ja się jeszcze nie ślinię do owsianki.

– Jasne, mamó. Na pewno znajdziemy coś fajnego. – Postanowiła zaryzykować. – Mamó... czy ty pamiętasz to wszystko, co się stało? Ze mną i z Mikiem, i z Jane, i... ze wszystkim?

Zmarszczyła brwi.

– Pogniewałyście się z Jane, tak?

– Tak, mamó. Ale już się przeprosiliśmy. Wiesz, że Jane ma dziecko? Dziewczynkę. Dali jej na imię Matilda.

– Bardzo ładnie. Jak w tej książce, którą tak lubiłaś, jak byłaś mała.

– Tak, mamó. – Miała nadzieję, że matka nie spyta, kto jest ojcem dziecka.

– To Jacob będzie miał się z kim bawić, co? Nie przyniosłaś go dzisiaj? – Rozejrzała się niepewnie, tak jakby mały gdzieś tu mógł być.

Serce Annie zrobiło się ciężkie jak kamień. Czyli nie pamięta wszystkiego... A ona nie udźwignie przypominania jej o tym wciąż na nowo. Lepiej niech wierzy, że jej wnuk żyje.

– Nie, mamó. Nie przyniosłam.

– Dobrze, w takim razie kiedy indziej. Może pójdziemy z nim do parku? – rozpromieniła się. Zabawne, że kiedy teraz miała dobry dzień, wydawała się taka szczęśliwa! Dawniej się jej to nigdy nie zdarzało. Tak jakby choroba ją rozprężyła, rozciągnęła aż do granic, pomiędzy którymi były i łzy, i śmiech, i wszystko. I Annie zdała sobie sprawę, że przez ostatnie parę miesięcy stało się tak i z nią. Przerosła siebie samą. Stała się dostatecznie duża, by pomieścić cały ten smutek i radość, cierpienie i śmiech.

Spojrzała na matkę. Jak to możliwe, że człowiek, który dał jej życie, jest dla niej taką tajemnicą? Musi spróbować jeszcze raz.

– Mamó, znalazłam list od taty. Napisał go, zanim umarł. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Matka wróciła do dziergania, tak jakby nie słyszała. I może naprawdę nie słyszała.

– Mamó, chciałam ci powiedzieć... Nie chcę cię martwić, wiem, że chciałaś jak najlepiej, ale przez tyle lat mi powtarzałaś, żebym nie miała za wielkich oczekiwań wobec życia, odradzałaś mi pójście na studia, zawsze tylko oszczędzałaś i ciułałaś... – Przełknęła łzy. W tych dniach były tuż pod powierzchnią. Czy mama w ogóle wie, że ojciec nie żyje? Czy będzie okrucieństwem, jeśli jej to powie? – Nie powinnaś była mi mówić, żebym nie sięgała po księżyc. Wiem, że chciałaś mnie chronić, ale naprawdę... co złego jest w tym, że człowiek ma oczekiwania wobec życia? Niektórzy mówią, że nawet jeśli nam się nie uda złowić księżyca, to przynajmniej przez chwilę byliśmy wśród gwiazd. Choć w sensie astronomicznym to jest kompletnie bez sensu.

Milczenie. Matka dziergała, patrząc z uśmiechem na robótkę

– Wiesz co, Sally? Włóż ten sweterek w sobotę na tańce!

Annie westchnęła. Znowu była Sally.

– Dobrze, Maureen.

– Może będzie Andrew Clarke? Jak myślisz? To najbardziej marzycielski chłopak w szkole.

– Aha. Na pewno będzie. – Urwała. – Maureen, a może opowiesz mi więcej o Andrew Clarke'u? Jaki on jest?

Dzień 92

IDŹ NA KAWĘ

George westchnął.

– To się po prostu wydaje jakieś nienormalne, że jej tu nie ma. I że nas nie namawia do zrobienia czegoś głupiego i niesamowitego.

Spotkali się w trójkę na kawie – Annie, George i Costas – ale tak jak powiedział George, czegoś tu zdecydowanie brakowało.

– To mówicie, chłopaki, że macie nowiny?

Costas i George uśmiechnęli się do siebie.

– Ty mów.

– Nie, ty powinienes.

Costas sprawiał wrażenie niespokojnego.

– Annie, chcę ci powiedzieć, że się wyprowadzam – co ty na to? Będę mieszkał z George’em.

Annie zamrużyła.

– To znaczy... jako para? Czy jako współlokatorzy?

Wymienili kolejne zawstydzone spojrzenie i Annie zajrzyła. W mieszkaniu będzie tylko jedno łóżko.

– O! Dla mnie okej, Costas, nie ma sprawy. To super, naprawdę.

George upił łyk swojej flat white i na ustach został mu lekki ślad pianki. Annie z drgnieniem bólu wspomniała doktora Maksa.

– Pewnie zrobilibyśmy to wcześniej, ale wiesz, z tym wszystkim – Caleb i Polly, i w ogóle...

– Ona by na pewno tego chciała. Jestem pewna.

– Ale dasz sobie sama radę z czynszem? – Costas, w obcisłym czarnym sweterku i szarych dżinsach, wyglądał jak uosobienie kontynentalnego szyku. – I wzięlibyśmy też ze sobą Bustera, gdybyś nie miała nic przeciw temu. Co ty na to, Annie?

Ku swemu zaskoczeniu poczuła ukłucie żalu. Oczywiście miało to sens – niedługo będzie miała nową pracę, plus jak zawsze wizyty u matki. Mimo to szczeniaczek zdołał się jakoś wśliznąć do jej serca.

– Tak chyba będzie okej. Myślę, że będzie z wami szczęśliwszy. – Buster pod krzesłem pomachał leniwie ogonem. – Z czynszem też dam radę. Być może... Cóż, mamie będzie potrzebny dom opieki. Może będę musiała się przeprowadzić, żeby być bliżej niej.

Opieka nad niepełnosprawną matką, starzenie się, siedzenie w domu, żadnych wyjść... Czyżby to miało być teraz jej życie? – pomyślała z melancholią. Czyżby to z Polly to był tylko przerywnik, błysk, niczym przemknienie podczas

jazdy nocą przez oświetlony tunel?

– A co z tobą? – spytał George. – Idziesz za wskazówkami Polly i ruszasz w pogoń za tym apetycznym doktorem Zrzędą?

– Och, nie. Widziałeś, jak było. Nie mógł się doczekać, żeby ode mnie odejść. Nawet nie pracuje już w szpitalu. – Niedawno – niby przypadkiem, a w gruncie rzeczy celowo – przeszła się na oddział neurologii i odręczny napis na drzwiach zniknął, a tabliczka z nazwiskiem została zasłonięta. – Mówią, że odszedł z pracy.

– Dokąd? Gdzie mógł pojechać?

– Nie wiem. Miał, co mało zaskakujące, mnóstwo zaoszczędzonych urlopów, więc nie musiał pracować w okresie wypowiedzenia.

– Może potrzebuje trochę czasu – zauważył Costas. – Wszystkim nam smutno w związku z Polly. Może wróci?

Annie wspomniała, jak mówił: „Mam tego dość. Dłużej nie mogę”.

– Nie wiem, czy wróci.

George westchnął.

– Próbuję wymyślić jakąś radę czy zachętę, jaką ona by ci dała. Ale nie potrafię.

– Ja też nie. – Nie powiedziała, o czym tak naprawdę myśli – że się strasznie boi, że bez Polly, która by ją dopingowała i prowokowała, nie potrafi sobie zorganizować ani jednego szczęśliwego dnia. Dokończyła swoją kawę. – Pójdę już, chłopaki.

– Ej, poczekaj! Wieczorem idziemy z Dionem i Sandy na clubbing.

Annie się uśmiechnęła.

– Dzięki, ale nie jestem pewna, czy się do tego nadaję. A poza tym muszę pomóc Suze zrobić porządek z rzeczami Polly. – Jej grafik był tak naprawdę ściśle wypełniony w tych dniach. Lunch z Fee, wieczorem wyjście z Zarah i Miriam. Miała przyjaciół, i to wielu. Nie było tylko Polly. I Maksa.

Odchodząc, zarejestrowała wzrokiem, że George i Costas trzymają się pod stołem za ręce. Costas otarł George'owi piankę z górnej wargi i obaj się roześmiali. Dźwięk zawibrował w wiosennym słońcu. Zawsze będą jacyś ludzie... Ludzie, z którymi będzie mogła się pośmiać, rozerwać, wypić kawę, pogadać. Ale czy znajdzie się kiedykolwiek ktoś tylko dla niej? Cieszyła się ich szczęściem, ale nie mogła się pozbyć uczucia, że reszta życia to będzie już tylko nieciekawym, monotonnym epilog, a wszystko, co ważne, ma już za sobą.

Dzień 93

UPORZĄDKUJ GARDEROBĘ

Jakie to trudne – westchnęła Suze. – Ilekroć patrzę na te ciuchy, myślę o niej. Te cholerne spodnie do jogi. Praktycznie z nich nie wychodziła. Spójrz, w jakim są stanie. Nie mogę znieść ich widoku.

– Rozumiem – powiedziała łagodnie Annie. Nie była tak przywiązana do rzeczy Polly, nie znając jej tak długo. Mimo to i tak bolało, kiedy patrzyła na pantofle, które już nigdy nie wejdą na jej tańczące stopy, na kapelusze, które nigdy nie przykryją tej szalonej głowy. Co bolało najbardziej, to że te rzeczy były takie normalne. Ona знаła Polly jako tęczę, jako płonącą na niebie kometę, ale te rzeczy – rozciągnięty stanik, jakieś sweterki, okulary do czytania, nocna szafka – należały do kobiety totalnie przeciętnej. Tak samo jak każdy jest zarazem wyjątkowy i pospolity. – Spróbujmy to zrobić, zanim wróci Tom.

Znajdowały się w dawnym domu Polly, pakowały rzeczy, które Polly zostawiła, kiedy uciekła. Tom taktownie umówił się z nimi, że pójdzie w tym czasie z Fleur kupić spiralizer do warzyw.

– Helou! – To Milly. Weszła, pukając grzecznościowo w otwarte drzwi. – Udało mi się jednak znaleźć nianię. Nie macie nic przeciw mojej obecności?

– Jasne, że nie! – Suze uściśnęła przyjaciółkę i przez sekundę Annie poczuła się wyłączona. Stała z fioletową włóczkową czapką w rękach – i w tym momencie Milly wyciągnęła ramiona i ku niej.

– Annie, kochana, jak się czujesz? – Tak jakby była jedną z nich. Przyjaciółką. Ma o dwie przyjaciółki więcej.

Oddała uścisk, wciągając w nozdrza woń perfum Milly, czegoś rzadkiego i na pewno mieszanego ręcznie. Schudła ostatnio i pod koszulką w biało-granatowe paski wyczuwało się jej kości.

– Och, w porządku. Próbuję sobie jakoś poradzić.

– Zrobiłaś coś w związku z tym słodkim doktorem, którego dostałaś w testamencie? – spytała niewinnie Milly, otwierając szufladę.

– A! Wiesz, nie. Wyjechał. A poza tym myślę, że trudno człowiekowi coś nakazać w takich sprawach.

Nastąpiła chwila ciszy, Milly i Suze wymieniły szybkie spojrzenie.

– Ja postanowiłam wrócić do pracy – rzekła Milly. – Seb będzie musiał trochę skrócić swój czas pracy. Albo zapłacić niani.

– A ja zerwałam z Henrym – dodała Suze. – Wiecie... – Zrobiła gest imitujący posiadanie wielkiej, krzaczastej brody. – P zdecydowanie miała rację w tej sprawie. Powiedział, że to, że codziennie płaczę, „naprawdę psuje mu humor”.

Milly zachichotała.

– Krzyżyk na drogę, złotko.

– No. Choć z początku, jeśli mam być szczerą, byłam na nią naprawdę zła – jak ona śmie tak nami dysponować? Najpierw się od nas odcięła, jak ją zdiagnozowali – przez parę miesięcy nie miałyśmy od niej żadnych wiadomości – a potem nagle zostałyście najlepszymi kumpelami, Annie, i wszystko kręciło się wokół tych stu szczęśliwych dni i żeby żyć na całego.

– A teraz umarła – dokończyła Milly. – I nie możemy już ani się na nią wściekać, ani się śmiać razem z nią, ani jej powiedzieć, żeby się ogarnęła. Po prostu wszystko... się zatrzymało.

Annie nigdy nie pomyślała, czym to jest dla nich – utrata przyjaciółki. Widziała w nich jedynie wymuskane, eleganckie kobiety, których życie było poukładane jak należy.

– Naprawdę... codziennie płaczesz? – spytała nieśmiało.

Suze skinęła głową.

– Głównie pod prysznicem.

– Ja też – dodała Milly. – Tylko wtedy mogę być sama. Choć parę razy się zdarzyło, że się załamałam podczas *Świnki Peppy*.

– A ja mam tak w szpitalu – wyznała Annie. – Kiedy odwiedzam mamę. Na szczęście niedługo wychodzi.

– Jakbyś potrzebowała pomocy, żeby ją gdzieś ulokować, to mów – rzekła Suze. – P zawsze mówiła, że my z Milly potrafimy przenosić góry. A teraz potrzebujemy trzeciego muszkietera, wiesz.

Annie zapatrzyła się na beżowy mokasyn, który trzymała w rękach, dopóki nie przestały jej piec oczy.

– Plasterki świeżego ogórka – powiedziała, kiedy już mogła mówić. – Wszystkim nam są po prostu potrzebne plasterki świeżego ogórka. To wszystko.

Dzień 94

PODZIĘKUJ

Naprawdę, nie wiem, jak panu dziękować za to, co pan zrobił. Moja wdzięczność nie ma granic.

– To tylko moja praca, pani Hebden.

– Znowu mówi pan do mnie po nazwisku? Nawiasem mówiąc, wróciłam do nazwiska Clarke.

Doktor Quarani uśmiechnął się leciutko.

– Przyzwyczajenie. Przepraszam, Annie. To było bardzo pomocne w moich badaniach klinicznych – pani matka bardzo dobrze reaguje na ten lek. Okresy przytomności się u niej wydłużyły. Ale sama choroba... cóż, jest uporczywa. Nie mogę zagwarantować, że uda się ją cofnąć.

– Wiem o tym. Ale naprawdę nie myślałam, że będzie tak, jak jest. – Kiedy przyszła, matka powitała ją, zwracając się do niej jej prawdziwym imieniem. Myślała, zdaje się, że jest rok dwa tysiące trzeci i nadal premierem jest Tony Blair, ale i tak był to ewidentny postęp.

Drzwi łazienki się otworzyły i wyszła matka, w płaszczu, ściskając pod pachą torebkę.

– Bardzo dziękuję, panie doktorze – powiedziała oficjalnie. Najwyraźniej nie myślała już, że jest Omarem Sharifem, więc i tak było to coś.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Clarke. Życzę pani dużo szczęścia w nowym domu.

Z jego pomocą znalazły przyjemny dom opieki w Kent, otoczony rozległym zielonym ogrodem. Był tam klub robotek ręcznych, a pensjonariusze mieli na ogół poniżej sześćdziesiątki, choć zostali okradzeni ze wspomnień. Kiedyś i ona, Annie, może być jedną z nich – nie zrobiła dotąd badania na obecność genu alzheimera i nie wiedziała, czy kiedykolwiek zrobi. Miała nadzieję, że nie będzie potrzebowała bodźca w postaci terminu na karku, żeby przez resztę dni, jakie jej pozostały, żyć pełną piersią. Nawet jeśli miała przed sobą nie więcej niż dwadzieścia lat życia w dobrej formie, wystarczy, żeby zrobić wszystko, na co miała ochotę. Zobaczyć Machu Picchu w Peru. Zwiedzić zaginione ogrody w Kornwalii. Nawet mieć kolejne dziecko – choć lękała się mieć na to nadzieję. No i nie za bardzo było widać potencjalnego ojca w zasięgu wzroku.

– Przepraszam za tamten ostatni wieczór z Polly. – Spojrzała mu w oczy. – Za to, że tak złapałam pana jak na łąso. Wiem, że to nie w porządku. Ale dziękuję panu za to – to dla niej wiele znaczyło, nawet jeśli było udawane.

Wzruszył ramionami, zakłopotany.

– Była taka ładna. Tyle mogę powiedzieć. Jak... błyskawica w butelce, czy

coś pięknego a ulotnego, czego nie można utrzymać w ręce. Ale ja nie mogę wchodzić w relacje osobiste z pacjentami, Annie. Taka jest zasada. A poza tym nie mogę... nie ma we mnie przestrzeni na coś takiego. To niemożliwe... jeszcze nie. Ale może właśnie zaczynam po troszeczkę powracać do świata.

– Naprawdę?

– Nie wiem. – Jego oczy spoczęły na zdjęciu siostry z dziećmi. – Nie wiem, czy potrafię, Annie. Wciąż jest tyle rzeczy, o które trzeba się martwić, walczyć o nie. Wie pani, kiedy tu przyjechałem, w ogóle nie potrafiłem się zaaklimatyzować. Ci wszyscy ludzie żyjący w takim bezpieczeństwie, w takim dobrobycie... a pomimo to i tak się skarżą i krytykują, i żądają jeszcze więcej, więcej, więcej. Po prostu zły byłem, że nie zdają sobie sprawy, jakie mają szczęście. A tymczasem moja rodzina żyje każdego dnia pod bombami, które lecą z nieba.

Annie ze skrucną skinęła głową. Ona też była jedną z tych ludzi.

– Ale teraz... teraz mam już trochę przyjaciół... – Mówił to tak nieśmiało. – Może potrafię pomyśleć o tym, żeby zorganizować tu sobie dom... Może potrafię przestać biec tak szybko.

A to, wiedziała, była już co najmniej połowa sukcesu.

– Mam nadzieję, że tak się stanie – powiedziała serdecznie. – To co, mamu, idziemy?

Matka otworzyła szeroko oczy, po czym je przymrużyła.

– Czy pani jest pielęgniarką, kochanie?

– Mamu, to ja, Annie.

– Kto?

– Mamu, to ja. Przecież przed chwilą mnie rozpoznawałaś! – Tego było za wiele. Taki zawód! To, co dobre, nie może trwać choćby przez minutę... – Czemu się nie postarasz, mamu? Postaraj się! Spróbuj sobie przypomnieć, proszę!

Usta matki zaczęły drżeć.

– Nie trzeba krzyczeć. Kim pani jest? Co to za miejsce?

Annie poczuła na ramieniu lekki dotyk ręki. Doktor Quarani ostrzegął ją łagodnie. Oczy wezbrały jej łzami.

– Rozpoznawała mnie. Rozpoznawała mnie, a teraz...

– Zawsze tak będzie, Annie. Jak ze słońcem. To świeci, to się chowa za chmurę. Przynajmniej będzie pani miała te chwile.

Skinęła głową. Przetarła twarz dłońmi.

– Dziękuję, doktorze. Dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

Podniósł rękę w geście pożegnania.

– Wszystkiego dobrego, Annie.

Prowadząc zdezorientowaną matkę do taksówki, poszukała wzrokiem Jonny'ego na przystanku. Pusto. Skrawek ziemi, na którym przebywał, szybko

wtapiał się w otoczenie, tak jakby nigdy go tu nie było. To nie w porządku, pomyślała, że świat tak pędzi naprzód, tak szybko o człowieku zapomina. Nawet ktoś taki jak Polly zostanie wkrótce gdzieś z tyłu i nie pozostanie po niej żaden ślad.

Dzień 95

IDŹ NA PRZYJĘCIE

Annie zawahała się na chodniku przed wejściem. Wielki prezent, owinięty w kolorowy podarunkowy papier, omal nie wysliznął się jej z rąk. Oczami wyobraźni widziała Polly mówiącą: „No wejdźże wreszcie. Co masz do stracenia?”

Na szczęście drzwi się otworzyły i wyjrzała Miriam w ozdobnym kapeluszu, w kostiumie dorosłej Elzy z *Krainy Lodu*.

– Zobaczyłam cię przez okno. Wchodzisz?

– Hm... Właśnie się zastanawiałam.

– Mamy tort. I kostiumy. I skrzydła wróżki.

– Tort brzmi dobrze. – Annie powoli ruszyła ku drzwiom. Zalały ją wspomnienia tego samego dnia sprzed dwóch lat. Biegnie do samochodu, drze się Mike'owi prosto w twarz, odjeżdża bez niego...

Miriam objęła ją ramieniem.

– Hej, wszystko jest okej. To inny dzień, jasne?

– Mamusiu, mamusiu, mogę już dostać tortu? – Za Miriam ukazała się mała dziewczynka przebrana za małą Elzę, z przyszpilonym do piersi kartonowym kółkiem z cyfrą 3.

Annie ścisnęło się serce. Była taka śliczna. Duże ciemne oczy, wpleciona we włosy czerwona wstążka. Dziewczynka, której mogła już nigdy nie widzieć, gdyby nie wtrąciła się Polly. Nachyliła się, wciąż przyciskając przesadnie wielki prezent.

– Cześć, Jasmine. Jestem Annie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

Dzień 96

DOŁĄCZ DO KLUBU

Cześć – powiedziała Annie. – Czy to... hm... czy jesteście ogrodnikami?

Głupie pytanie. Kim innym mogli być ludzie zgromadzeni wokół kawałka ziemi za wiatą przystanku, pochyleni nad szpadlami i wrywający chwasty?

– Oczywiście – odparła kobieta z dzieckiem w chuście. – Dołączysz do nas? Ja jestem Kate, a to Finn.

Annie popatrzyła na małą twarzyczkę wyglądającą z chusty i zdała sobie sprawę, że to nie boli tak jak zwykle. Była teraz w stanie uśmiechnąć się do dziecka, nie widząc w nim za każdym razem Jacoba, jego małego, już zimnego ciała w tamten straszny poranek. To jej nigdy nie opuści, o nie, i nie chciała tego. Ale przynajmniej mogła znowu funkcjonować wśród ludzi.

– A ja jestem Annie. Co mogę zrobić?

– Może mogłabyś pomóc Geoffowi wyrwać te chwasty.

Geoff był starszym człowiekiem w koszulce z Rolling Stonesami, z białą brodą. Zdjął powalaną ziemią rękawiczkę, żeby uścisnąć dłoń Annie.

– Witamy, Annie. Wiesz, co się robi ze szpadlem, prawda?

– Chyba tak.

Podłożyła sobie dywanik i uklękła, czując pod kolanami, jak miękko poddaje się ziemia. Ten kawałek gruntu – zarosły pietruchą i pokrzywami, upstrzony potłuczonymi butelkami i kto wie czym jeszcze – niespecjalnie teraz wyglądał, ale wystarczy, że włożą troszkę pracy, i na pewno znowu rozkwitnie.

Dzień 97

ZRÓB KROK W TYŁ

Hej, Annie!

Obejrzała się zdziwiona. Z naprzeciwka nadchodził jakiś mężczyzna. Był gładko ogolony, miał krótkie ciemne włosy, i nie poznałaby go, gdyby nie niebieska kurtka. Nie miała pojęcia, że jest taki wysoki.

– Jonny! To pan?

– To ja. – Roześmiał się, widząc jej minę. – Po prostu się ogoliłem i wziąłem kąpiel.

– Ożeż! Zamieszkał pan w schronisku?

– Na razie. – Twarz mu się wydłużyła. – Nie jest łatwo, wie pani. Ale przynajmniej mam prysznic.

– Bardzo mi przyjemnie, naprawdę. Zastanawiałam się, co się z panem stało.

– Jak tam stary przystanek? – spytał niemal z nostalgią.

– Dawno tam nie byłam. Moja mama już wyszła ze szpitala.

– A koleżanka?

Annie tylko wzruszyła ramionami. Znowu łzy stanęły jej w oczach.

– O, szlag. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. To zawsze kiedyś przychodzi.

– Bardzo miło wyglądała. Jakby była naprawdę dobrym człowiekiem.

– Cóż, była dosyć dominująca i skoncentrowana na sobie, a czasem trochę zwariowana, ale tak. Była naprawdę dobrym człowiekiem.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– Cóż, muszę iść. Schronisko zamykają na noc. Ale dziękuję jeszcze raz.

– Ja nic nie zrobiłam.

– Rozmawiała pani ze mną. Jakbym był człowiekiem jak wszyscy. Nie wie pani, ile to znaczy.

Pomachał jej rażno i odszedł. Annie odprowadzała go wzrokiem.

Dzień 98

POMALUJ MIESZKANIE

Annie trochę żałowała, że kupiła tyle puszek farby. Ciężko było dźwigać je ze sklepów do domu. Ale to takie ekscytujące! Zielenie, błękity, żółcie, czerwienie, fiolety... Gospodarz powiedział, że może pomalować kuchnię, o ile sama za to zapłaci, więc wpadła w szaleństwo, gromadząc najrozmaitsze próbki. Po raz pierwszy podejmowała takie decyzje sama, nie radząc się matki, Jane czy Mike'a. Sama! I to było fajne.

Przystanąła na chwilę, żeby odpocząć. Dyszała, pot spływał jej po plecach. Zapowiada się piękne lato, pomyślała. Zawsze lubiła tę porę roku – rozkwitające wszędzie kwiaty, długie dni i jakieś takie uczucie nadziei. A Polly nie ma, żeby to widzieć. Polly już przeżyła swoje ostatnie lato i zimę, i wszystko. Ale ona, Annie, ma ich przed sobą, miejmy nadzieję, o wiele więcej i powinna je wykorzystać jak najlepiej.

Schyliła się, by podnieść torbę z puszkami, i spostrzegła wychodzącą z kościoła naprzeciwko znajomą postać. Do poręczy była przymocowana tabliczka z napisem „Klub Zdrowego Odchudzania”. Kobieta, w długiej luźnej sukni drukowanej w psy, zatrzymała się przy bramie, rozejrzała ukradkiem, po czym wyjęła z torby batonik double decker, rozwinęła go i wpakowała do ust. Umazała się przy tym czekoladą.

Annie miała zamiar zabrać się i pójść w swoją stronę – bądź co bądź była to Sharon – coś jednak sprawiło, że podniosła rękę i pomachała.

Sharon zmrużyła oczy, przyjrzała się jej, po czym podniosła usmarowaną czekoladą dłoń i też jej pomachała. Annie nie podeszła, żeby się przywitać. Nie wszystko naraz, pomyślała.

Dzień 99

WYŚLIJ LIST

Pani Annie Hebden, née Clarke. List wyglądał na urzędowy, adres wypisany był drukiem na sztywnej kremowej kopercie. Wzięła ją z maty i rozpoznała na niej logo adwokata Polly. Z bijącym sercem rozerwała kopertę. Wewnątrz była druga, liliowa, z rysunkami gwiazd i serc, tak jakby Annie nagle przybyła jakaś dziesięcioletnia korespondencyjna koleżanka.

Zanim ją otworzyła, usiadła przy stole – wiedziała, że to będzie coś ważnego. Bądź co bądź list był od Polly. Coś mniej wstrząsającego niż eksplozja nie byłoby w jej stylu.

Moja najdroższa Annie, mój Psuju!

Nie obawiaj się, nie piszę do ciebie z za grobu. Załatwiłam, żeby wysłano ci to w jakiś czas po moim odejściu, bo wiem, że trzeba ci przypomnieć parę rzeczy. I wiem, jak uparci jesteście oboje, ty i doktor Max.

Powiada się, że należy żałować tylko tego, czego się nie zrobiło. To oczywiście bzdura, bo jeśli się rozpętało trzecią wojnę światową albo kupiło do cholery płyt blue-ray, albo coś w tym stylu? To, czego ja żałuję, to że nie nakłoniłam cię, żebyś zaprosiła doktora Maksa na randkę. Wiesz, byłam troszeczkę zazdrosna. Że ty będziesz mogła dalej żyć i zakochać się, a dla mnie to wszystko skończone. Przebacysz mi? Ty jesteś smutna, a on wkurzony, ale czuję, że razem każde z was będzie smutne i wkurzone trochę mniej. Jak was znam, to bardzo wątpię, czy w tej chwili ze sobą rozmawiacie, dlatego moje przesłanie z zaświatów jest następujące: Goń go. Bądź szczęśliwa, Annie. Zaslugujesz na to. Wszystkiego innego miałaś już aż nadto.

Jeśli się myślę i jesteście już razem, to super, wygrałaś, i pozdrów go ode mnie. Nie zaczynaj prasować mu koszul.

Nie wiem, czy wierzę w Niebo ani czy tam pójdę, ale jeśli myślę się i w tej sprawie, to zakładam się z tobą o twój słodki tyleczek, że znajdę tam Jacoba i twojego tatę i mocno ich od ciebie uścisknę. Chociaż nie będą mieli pojęcia, kim jest ta dziwna łysa pani.

Z wielką miłością

Polly xxxxx

Annie wytarła łzy, które kapnęły na list, rozmazując jaskrawofioletowy atrament. Cholerna Polly. Cholerna, okropna, cudowna, niezastąpiona Polly. Co ona bez niej zrobi? Z kim teraz będzie się kłócić? Wręcz słyszała w głowie jej głos, który ją przynaglał.

Ale on sobie poszedł. Powiedział: nie.

Był po prostu zdenerwowany. Miał za złe samemu sobie.

Ale może znowu powiedzieć: nie.

Annieeeee – co masz do stracenia?

Ale ja nie wiem, gdzie on jest!

A gdzie, do diabła, może być?

Odłożyła list, wzięła do ręki telefon i zaczęła sprawdzać pociągi do Szkocji.

Dzień 100 POWIEDZ PRAWDĘ

W metrze znowu był ścisk. Annie została wtłoczona pod pachę jakiegoś spoconego biznesmena, z którego słuchawek sączyła się muzyka. Spróbowała nawiązać kontakt z Polly: nie wściekaj się. Wznies się ponad to. Jakaś kobieta z wózkiem, usiłując wejść do środka, walnęła ją w kostkę. Annie stęknęła.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, wyraźnie przemęczona i zdenerwowana. – Jest tak ciasno... – Dziecko w wózku wyglądało na wystraszone tym tłumem ludzi, który zewsząd napierał. Buzię miało usmarowaną jakimś organicznym niemowlęcym jedzeniem ze słoiczka.

Annie dotknęła ramienia biznesmena.

– Co jest? – spytał z irytacją, wyjmując słuchawkę z ucha. Annie zdała sobie sprawę, że i ona była kiedyś takim człowiekiem: naładowanym gniewem, pogrążonym w smutku, zarażającym wszystkich wokół swoim toksycznym bólem.

– Jak pan myśli, dałby pan radę posunąć się troszeczkę? Tak żeby ta pani mogła wejść? Wiem, jest strasznie nabite... O, dziękuję.

– Przepraszam, nie zauważyłem – rzekł ze skruchą w głosie i przesunął się odrobinę.

– Może pani tutaj usiąść! – zawołał inny mężczyzna, dotąd grający w jakąś grę na smartfonie i starannie ignorujący sytuację.

– Albo tu, jeśli pani woli. – Nagle zaczęto wstawać w całym wagonie. Poczucie winy kazało ludziom coś zrobić, cokolwiek.

– Dziękuję. – Kobieta uśmiechnęła się do Annie, wdzięczna niemal do łez. Usiadła i wypięła dziecko z wózka. – Może i pani by usiadła?

– Dziękuję, nie trzeba. – Annie została na miejscu. – Wszystko dobrze, dziękuję. Jest okej.

Jako że i tak już popełniała szaleństwo, poszła na całość i kupiła bilet pierwszej klasy. Rozparła się na szerokim siedzeniu i patrzyła, jak pociąg mija pola, wsie i miasteczka, miliony ludzkich żywotów, o które nigdy się nie otrze, miliony serc, które będą biły, a potem przestaną, a ona nigdy się o tym nie dowie. Obsługa pociągu przyniosła jej kawę i herbatę, a ona rozkoszowała się komfortem i ciszą. Świadomość, że mknie naprzód, koła umysł. To był dobry pomysł. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, lepiej być w ruchu niż tkwić w miejscu.

Kiedy w końcu dotarła na miejsce, był już późny wieczór, czarny jak smoła i przejmująco zimny. Gdy szła, dysząc, pod górę, pod turystycznymi butami miała szron, delikatny jak cukier puder. Tym razem przygotowała się na ziąb, wiedziała, że czerwiec w Szkocji niekoniecznie oznacza lato. Nie było tu smogu i niebo było usiane gwiazdami, milionami maciupenkich punkcików światła. Prawie go nie

zauważyła, siedzącego samotnie na zboczu wzgórza.

Odchrząknęła. Co po tym wszystkim powiedzieć? Teraz, kiedy Polly nie żyje? Na szczęście w tej chwili potknęła się o króliczą norkę i padła u jego stóp. Zerwał się.

– Jezu! Annie!

– Hm... cześć.

– Nic sobie nie zrobiłaś? – Jego akcent wydawał się teraz jeszcze silniejszy.

– Nie, wszystko dobrze. Przynajmniej jeśli chodzi o ciało.

– Dlaczego... Co ty tu robisz?

– Twoja mama mówiła, że cię tu znajdę. Że będziesz siedział w ciemności na zboczu.

– Mam koc. Siadaj. Na gołej trawie się przeziębisz.

– Naprawdę od tego można się przeziębic? – Usiadła obok niego na miękkim kocu w kratę.

– Można czy nie, mokry zadek to nic dobrego. – Twarz miał w cieniu, zwróconą w inną stronę. Widać było jednak, że odrosła mu broda, całkiem jak u górala albo miejskiego hipstera. – Co ty tu robisz, w sensie ogólniejszym?

– Hm. Cóż. Szukam ciebie, bo ode mnie uciekłeś.

– Hm. Nie uciekłem. Po prostu musiałem wyjechać. Musiałem.

Annie zaczerpnęła tchu. Zęby jej szczękały. W pociągu ćwiczyła ten moment bez końca.

– Mam takie wrażenie, że kiedyś chciałeś mnie pocałować – palnęła, przechodząc wprost do sedna.

– No. Chciałem. A ty się uchylałaś.

– Nie! Po prostu... byłam zaskoczona. Już parę lat minęło, odkąd miałam z czymś takim do czynienia... i w dodatku skończyło się totalną katastrofą. Rozdeptano mi serce jak przejrzałą truskawkę. Po prostu... nie potrafiłam znowu zaryzykować. Chyba za mało cię jeszcze znałam. Tak myślę.

– A więc fakt, że przez całe moje życie ratuję życie niemowlętom i staruszkom, i twojej przyjaciółce też... nic dla ciebie nie znaczy?

Annie westchnęła.

– Spróbujmy nie wyręczać się Polly, bo tak się wygodnie składa, że nie ma jej tu i nie może zaprotestować. To ona mnie przekonała, że nie mamy czasu na romans.

– Ależ to była cholerna egoistka – prychnął. – A ty jej nawet wcześniej nie znałaś. Czemu tak się nią przejmowałaś, niańczyłaś ją, słuchałaś wszystkich jej głupot? Ja musiałem być przy niej codziennie, ale ty – ty robiłaś to wyłącznie z serca. Jestem pod wielkim wrażeniem, Annie.

„Była”. „Robiłaś”. Wciąż uderzał ją ten czas przeszły. Polly już była i zrobiła wszystko, co mogła. Ich wspomnienia o niej zastygły jak bursztyń, a ona

nie będzie mogła się bronić.

– No to zobacz, co ona zrobiła dla mnie – powiedziała. – Kiedy ją poznałam, byłam totalnie nieszczęśliwa. Nieszczęśliwa i zła. W zasadzie przestałam żyć. A Polly... cóż, przez te ostatnie parę miesięcy żyła bardziej niż ja kiedykolwiek przez całe życie. I to mnie zawstydziło. Że mam do dyspozycji całe życie i je marnuję. Taka była Polly.

Była.

– A ja nie potrafiłem jej uratować. To była ta kropla, która przepełniła czarę. Taka wspaniała kobieta, taka pełna życia, a ja nic nie mogłem zrobić, żeby ją uratować. Rak wygrał ze mną jeden do zera.

– Zrobiłeś wszystko, co można. Wiesz o tym.

– I przegrałem. Ona umarła.

Annie westchnęła.

– Chyba jesteś przyzwyczajony do tego, że umierają ci pacjenci. To znaczy... nie sugeruję, że jesteś kiepskim lekarzem czy coś. Ale rak mózgu to potężny przeciwnik. Gorszy niż Voldemort.

– Nie wymawiaj jego imienia – mruknął.

– Polly nie chciałaby, żebyś rzucał pracę, na litość boską. Czy nie jesteś potrzebny innym? Uroczym dzieciakom? Bezradnym staruszkom, na które czekają duże kochające rodziny?

– Annie... Czy ty po to jechałaś taki kawał drogi, żebym się poczuł jeszcze gorzej?

– A kto ci powiedział, że przyjechałam do ciebie? Mam rodzinę w tych stronach, jak dobrze wiesz.

Poczuła, że zwraca się w jej stronę.

– Zamierzasz się z nimi zobaczyć? Z Morag i Sarah?

– No wiesz... być może. Podobno tato zostawił mi jakieś pieniądze. Co nie znaczy, że czuję się do nich uprawniona.

Cmoknął z irytacją.

– Annie, na rany boskie. Przez całe życie nie dostałaś od niego ani pensa! Nie bądź najgorszym wrogiem siebie samej. Spotkaj się z nimi!

– Wiem, wiem. Może się i spotkam. Zależy.

– Od czego?

– Yyy... od tego, jak potoczy się dalej ta rozmowa.

– Hm. A liczyłaś, że jak się potoczy?

Annie zdała sobie sprawę, że nie wie.

– Liczyłam, że przestaniesz być na mnie zły. I może wrócisz. Nie wiem. Jeśli zechcesz. – Odetchnęła pełną piersią. Przeklęta Polly... Przeklęte obietnice dane na łożu śmierci. – Liczyłam, że cię po prostu zobaczę, bo tęsknię za tobą. Naprawdę.

Długą chwilę siedzieli, patrząc w ciemność. Annie zadrżała.

– Zimno? – Bez pytania objął ją ramieniem. Było takie mocne, takie ciepłe. Przez starą wełnianą kurtkę przebijał jego żar. Annie przygarnęła się do niego.

– Och, Annie – westchnął. – I co my teraz bez niej zrobimy? To znaczy, co teraz – sto dni smutku? Sto dni fatalnego samopoczucia? Sto dni powrotu do normalności, sypiania na lekarskiej kozetce i grzebania w automacie do sprzedaży?

Siedziała wsparta o niego. Przez kilkanaście warstw, jakie miał na sobie, czuła bicie jego serca.

– A jakby tak sto dni starania się ze wszystkich sił, żeby żyć pełną parą – nawet jeśli jest smutno czy zwyczajnie i przeważnie chce nam się płakać? Chyba na tym polega życie. Na akceptacji tego wszystkiego. Dni szczęśliwych, dni smutnych, dni gniewnych. Na tym, żeby mieć świadomość tego wszystkiego.

– Zaczynasz mówić tak, jakbyś cytowała któryś z jej motywacyjnych poradników.

– No cóż, to twoja wina. Wyjechałeś i nie mam nikogo, kto by zrzędził i przypominał mi, że moje pomysły przynoszą więcej szkody niż pożytku. Z Costasa nie ma żadnej pociechy, jest cały w skowronkach. I George też zmierza w tę stronę. Jakie to przykre, zgryźliwy młodzieniec ginie w kwiecie wieku i zamienia się we własne przeciwieństwo.

– Wygląda na to, że sprawy stoją gorzej, niż myślałem – zauważył. – Niedługo będziecie sobie wszyscy robić oczyszczanie czakr.

– Może powinieneś wrócić – zaryzykowała. Nie odpowiedział. – Wróć, proszę – zniżyła głos niemal do szeptu. – Potrzebujemy cię. Ja... ja cię potrzebuję.

Jego ręka gładziła leciutko jej plecy, bardzo delikatnie. Annie niemal wstrzymała oddech. Jak to się stało, że siedzi tu, na zboczu wzgórza, i marznie u boku jakiegoś gburowatego neurologa, i całe jej życie zależy od tego, co on teraz powie?

– Mówiłaś, że próbowałem cię pocałować – rzekł. – Czy... czy to sugestia, że powinienem spróbować jeszcze raz?

Annie nie odpowiedziała. Wyciągnęła ramię, ujęła obejmującą ją rękę i ucisnęła. Własne dłonie niemal jej zgrabiały.

– Max.

– Nigdy dotąd tak do mnie nie mówiłaś. Ojejku, ty zmarzłaś, dziewczę.

„Dziewczę”. Chybaby się rozplynęła, gdyby nie było tak zimno.

– Może wejdziemy do środka?

– Sekundę. Chyba nie sądzisz, że siedzę tu bez powodu? Myślałaś, że pomieszało mi się w głowie, tak?

– Yyy...

– Annie. Będziesz musiała zacząć myśleć o mnie same najlepsze rzeczy. Nie jestem twoim byłym facetem, który uciekł z twoją przyjaciółką, gówniarz. Ja to ja. Spójrz.

Wskazał na niebo, które przybrało niezwykły odcień. Jakby zaświeciło na nim zielone światło. Jakby poświata wielkiego miasta, tyle że w pobliżu żadnego miasta nie było.

– Czy to...

– A jakże. Mówiłem ci, że często ją tu oglądam.

– Ona tęskniła za nią. Tęskniła jak cholera.

Poczuła, że Max się uśmiecha. Wsparła się o niego plecami i razem patrzyli, jak zorza polarna lśni i migocze na niebie wszystkimi kolorami tęczy. Fiolety, róże, zielenie, błękity... Przesuwały się po niebie i przenikały się nawzajem. Nic piękniejszego nigdy nie widziała. To było niepowtarzalne. Wszechogarniające. Jak Polly.

– W którejś z twoich motywacyjnych książek mogłoby być napisane, że ona jest teraz właśnie taka. Odległa i lśniąca.

Annie cmoknęła.

– Sprzeciw, Max.

– Racja. Ale – jest piękna, nie?

– Piękna.

– Nawet jeśli wszystko inne to gówno, a ludzie wciąż umierają. Jesteśmy tutaj – przypuszczalnie z odmrożonymi tyłkami, ale jesteśmy, oglądamy to, żyjemy. Czy to ci wystarczy?

Annie poczuła, że ogarnia ją ramionami i przytula. Siedzieli, tylko ich dwoje, pod rozległą kopułą niebios. Gwiazdy słały im światło z bardzo daleka – same już martwe i wypalone, świeciły nadal. Polly też będzie świeciła, dopóki będą o niej pamiętać. Ona, Annie, była tutaj. Na całej planecie nie było nikogo takiego jak ona, nie było i nigdy nie będzie. Nikogo, kto miałby takie jak ona linie papilarne, takie jak ona wspomnienia, zapisane w tym splocie tkanki i nerwów, które stanowiły jej mózg, nikogo, w czyich żyłach płynęłaby taka krew jak jej. Była sobą i była żywa, tu i teraz, pomimo wszystko. I on także.

– Tak – powiedziała. – To wystarczy.

Podziękowania

Żeby luźny pomysł, jaki przychodzi człowiekowi do głowy na przykład w pociągu, przybrał ostatecznie kształt pięknie wydanej książki, którą przed sobą widzicie, potrzebne jest zaangażowanie całej gromady ludzi. Muszę podziękować przede wszystkim mojej wspaniałej agentce Dianie Beaumont, która zawsze umiejętnie mną steruje, ilekroć czuję się troszkę zagubiona, i mobilizuje mnie do dodatkowego wysiłku, zwłaszcza kiedy mi się wydaje, że na więcej mnie nie stać. Sasha Rankin z Nowego Jorku znakomicie załatwiła sprawę zagranicznych praw autorskich – to szalenie ekscytujące, że książka zostanie wydana w różnych językach. Wielkie dzięki także dla wszystkich w agencjach UTA i Marjacq – za pomoc, niezbędną do tego, by książka wystartowała i zaistniała.

To pierwszy przypadek, kiedy moja książka zostanie wydana po obu stronach Atlantyku, i jest to fantastyczne przeżycie. Dziękuję wszystkim w wydawnictwach Sphere i Harlequin US/Graydon House, zwłaszcza Maddie West i Margo Lipschultz za entuzjastyczną, wnikliwą redakcję. I wielkie dzięki dla wszystkich, którzy byli zaangażowani w adiustację, projekt okładki, marketing, reklamę i co tam jeszcze – to naprawdę robi wielkie wrażenie, kiedy się obserwuje tak rozległe wsparcie dla książki.

Mam to szczęście, że mam wielu wspaniałych przyjaciół, piszących i niepiszących, którzy wspomagali mnie na każdym etapie twórczego procesu. Życzę wam wszystkim, w tym również mojej rodzinie, wielu setek szczęśliwych dni. Ostatecznie zadedykowałam tę książkę Scottowi, który towarzyszył mi podczas wielu szczęśliwych dni, w większości wypadków obejmujących także i ciastko. Wybacz, że przeze mnie musiałeś jechać w lutym do Szkocji i że cię zmusiłam do jazdy na nartach w zamieci!

Zarówno ta, jak i wszystkie inne książki byłyby niczym bez czytelników, dlatego moje największe podziękowania kieruję do was, kochani.

Cześć wszystkim!

Bardzo dziękuję za przeczytanie tej książki. Zaczęłam ją pisać, bo zaintrygował mnie pomysł „100 szczęśliwych dni”, który wciąż pojawiał się na mojej głównej stronie na Facebooku. Zwykle na widok czegoś takiego przewracam oczami i z lekka zbiera mi się na wymioty, kiedy w mediach społecznościowych widzę hasztaga #uszcześliwiony. Z natury wcale nie jestem optymistką – przede wszystkim wychowałam się w Irlandii Północnej, a my lubimy odrobinę tragedii. Coś mnie jednak w tym pomysśle zastanowiło. Czy to naprawdę możliwe – sprawić, że będziemy szczęśliwi, wyłącznie poprzez odnotowywanie pozytywnych rzeczy, jakie się nam zdarzyły każdego kolejnego dnia? Czy można odbić się od dna i zacząć od nowa?

Bywało w moim życiu, że i ja, podobnie jak książkowa Annie, czułam, że spadłam na dno. Kiedy miałam dwadzieścia cztery lata, zdiagnozowano u mnie – podobnie jak u Polly – raka. Na szczęście został wykryty dość wcześnie i wróciłam do zdrowia, ale trudno mi było zacząć życie na nowo. Później rozpadło mi się małżeństwo i znalazłam się bez dachu nad głową. Mało tego – na dodatek potrącił mnie samochód! (Na szczęście nic poważnego mi się nie stało). W obu przypadkach zdałam sobie sprawę, że robienie pozytywnych rzeczy istotnie poprawia mi samopoczucie. Uczęszczanie na warsztaty tańca, spacerowanie wzdłuż plaży, nawet upieczenie ciasta. A więc tak, myślę, że to możliwe – odnaleźć na nowo radość i nadzieję, nawet w najczarniejszym okresie. Na świecie zawsze są rzeczy dobre.

Mam nadzieję, że – jeśli zdarzy się wam trudny okres – wy też będziecie potrafili je odnaleźć. Dzięki za przeczytanie książki, a jeśli miałoby się ochotę podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami na jej temat albo zwierzyć się z podobnych doświadczeń, będzie mi szalenie miło. Można się ze mną kontaktować za pośrednictwem Twittera: @inkstainsclaire, Instagramu: @evawoodsauthor lub mojej strony internetowej: www.evawoodsauthor.com. A jeśli książka wam się spodobała, byłoby fantastycznie, gdybyście napisali gdzieś jej recenzję albo komuś o niej opowiedzieli. Dziękuję!

Eva xx

Przypisy

^[1] Wiele firm na świecie prowadzi program Brother Eco-point, za pomocą którego zachęca swoich pracowników i ich rodziny do zachowań przyjaznych dla środowiska i przeciwdziałających globalnemu ociepleniu, jak przemieszczanie się pieszo, rowerem lub komunikacją zbiorową, segregowanie odpadów, wchodzenie po schodach zamiast korzystania z windy, wyłączanie niepotrzebnych świateł, zachowania prozdrowotne itp. (przyp. tłum.).

^[2] Związek zawodowy aktorów w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

^[3] Choroba królików (przyp. tłum.).

^[4] Linia kolejowa o długości 118 km, budowana od r. 2009, która ma połączyć Shenfield i Gravesend po wschodniej stronie Londynu z jego centrum oraz z Heathrow i Reading, leżącymi po stronie zachodniej. Ma znacznie ułatwić komunikację w Londynie. Przewiduje się stosowanie pociągów o długości 200 metrów, kursujących z częstotliwością 24 na godzinę (przyp. tłum.).

^[5] Noel Coward (1899–1973), angielski dramaturg, kompozytor, reżyser, aktor i piosenkarz (przyp. tłum.).

^[6] Nagroda przyznawana corocznie twórcom teatralnym w USA, powszechnie uznawana za teatralny odpowiednik filmowych nagród Akademii Filmowej, muzycznych nagród Grammy i telewizyjnych nagród Emmy (przyp. tłum.).

^[7] Brytyjska sieć ośrodków wczasowych, założona w r. 1936 przez Billy'ego Butlina w celu umożliwienia taniego wypoczynku zwykłym brytyjskim rodzinom (przyp. tłum.).

